

J o a n n a J a x

# ZEMSTA I PRZEBACZENIE

Tom I

*Narodziny gniewu*

VIDEOGRAF



J o a n n a J a x

ZEMSTA  
I PRZEBACZENIE

Tom I

*Narodziny gniewu*

V I D E O G R A F

*Niech przeto ten, komu się zdaje, że stoi, baczy, aby nie upadł.*

**1 Kor 10,12**

*Ewie i Dorocie. Ukochanym Siostronom*



## 1. Chełmice, 1915

Mężczyzna z trudem wstał z niskiego zydelka, podpierając się drewnianymi kulami. Nie był w stanie dłużej znieść dźwięków dochodzących z sąsiedniej izby. Ze złością przesunął niedokończony wiklinowy kosz, zdjął z gwoździa czapkę i pokuśtykał przed chałupę. Rozejrzał się dookoła i głośno westchnął. Po chwili przełknął ślinę, nie chcąc się rozpląkać. Postanowił odpędzić dręczące go myśli, omiatając wzrokiem zdezelowaną ławeczkę, kury dziobiące ziarna z wydeptanego podwórza, kulawego kundla przywiązanego do łańcucha i polną drogę, wzdłuż której rosły powykrzywiane wierzby.

Niebawem z ochronki miała powrócić jego śliczna córeczka, Hania. Była jeszcze mała, ale mężczyzna był przekonany, że wyrośnie na tak piękną kobietę, jak jej matka. Przypomniawszy sobie moment, gdy zobaczył po raz pierwszy swoją żonę. Anna Sobala była równie urodziwa, co dumna. Chodziła wyprostowana, z wysoko podniesioną głową, niczym szlachcianka, a nie córka ubogich chłopów. Gruby, jasny warkocz sięgał jej niemal pasa, a w niedziele i święta zamieniał się w upiętą wysoko koronę. On też był biedny, ale miał muskularne ciało, siłę tura i zniewalające szare oczy. Wodziły za nim wzrokiem wszystkie młode dziewczyny ze wsi, a nawet damy mieszkające w majątku Chełmice. Zapewne właśnie to szalone powodzenie i wygląd przypominający rzeźby herosów sprawiły, że Anna Sobala po kilkunastu rozmowach i kilku spotkaniach nad rzeką zgodziła się na ślub.

Ich skromne, ale szczęśliwe życie przerwał wybuch wojny. Mężczyzna opuścił gospodarstwo, swoją piękną żonę, malutką Hanię i wyruszył wraz z innymi młodymi chłopakami na front, walczyć w Legionach. Ta cholerna wojna, pełna trupów i ludzkiej krwi, pozbawiła go nóg. Wyjechał zdrowy i silny, powrócił jako kaleka. Nie mógł pracować w polu i nie miał po co jechać do Ameryki, by zdobyć majątek. Skończył jak starcy w jego wsi – wypłatał kosze, palił najtańszą machorkę i patrzył na pogardliwą minę swojej wciąż pięknej i ponętnej małżonki.

– Masz syna, Lewin. Syn to błogosławieństwo. – W drzwiach chałupy stanęła Harmoniowa, stara, otyła kobieta, która od czterdziestu lat pomagała przychodzić na świat dzieciom z Chełmic.

– Tak, syn to błogosławieństwo – bąknął Ignacy Lewin i uśmiechnął się smutno.

– Coś się nie cieszysz, Lewin? Jak Hanka się urodziła, to trzy dni gorzałkę piłeś i śmiałeś się tak głośno, że cię we dworze słyszać było – przypomniała podejrzliwie akuszerka.

Ignacy zmieszał się i machnął od niechcenia ręką.

– Widzisz, Harmoniowa, kaleka jestem, pracować nie mogę, a dzieci wykarmić trzeba.

– Ale do tej roboty to siły znalazłeś. – Zarechotała, ukazując szerniałe zęby, po czym dodała: – Odkąd Anka do dworku pracować poszła, żyje wam się lepiej niż niejednemu chłopu w Chełmicach. Nie musisz myśleć o żniwach, gradobiciach i jak przezimować.

– To chłop powinien zarabiać na chleb, a baba w domu siedzieć i dzieci pilnować. A Hanka musi do ochronki chodzić, jak sierota jakaś. Teraz to nawet Anka bez roboty zostanie, bo kto się synem zajmie?

– Chełmicki to porządny człowiek, pomógł wam, jak na wojnie byłeś. Słyszałam, że Anka będzie mogła z małym do dworu przychodzić i piastunka się nim zajmie. – Harmoniowa próbowała pocieszyć Lewina.

– Tak... To porządny człowiek – westchnął Ignacy.

– Idź, Lewin, zobacz syna. Dorodny dzieciak – mruknęła Harmoniowa i zwało ruszyła w stronę drewnianej furki zagrody Lewinów.

Ignacy zacisnął zęby, poczekał, aż Harmoniowa oddali się od domu, po czym, nie oglądając się

za siebie, pokuśtykał w stronę pól żyta.

Lubił kiedyś spacerować po polach, wdychając zapach siana, przyglądając się makom i chabrom, dotykać pełnych i twardych kłosów wypełnionych ziarnem. Wsłuchiwał się wówczas w cykanie świerszczy i szczebiot ptaków. A gdy nadchodziła zima i przykrywała wszystko białą pierzyną, lubił patrzeć na oszronione gałęzie i skrzące się w słońcu płatki śniegu.

Odkąd stracił nogi, już nie chodził zimą na spacer, a i latem była to raczej męcząca wędrówka przypominająca mu o jego niemocy. Tego dnia jednak pragnął uciec jak najdalej od domu i zapomnieć o jego istnieniu. Nie chciał myśleć o kolejnym dniu naznaczonym żalem do świata i Boga, że zabiera mu po kawałku wszystko, niczym Hiobowi, a rozdaje tylko wybrańcom, szastając swoją szczodrością niczym cesarz obdarowujący klejnotami swoje nałożnice. Kiedy zabrał mu wszystko, co materialne i cielesne, postanowił zabrać mu teraz godność, wypełniając serce goryczą, a głowę pytaniami i wątpliwościami. Ignacy zastanawiał się nad sensem swojego istnienia i szukał w sobie odwagi, by skończyć marny żywot na tym świecie.

\*\*\*

– Drze gębę, jakby ją ze skóry obdzierano. Kawał cholery z niej wyrośnie. A dla dziewczuchy to niedobrze. Takie to potem sufrażystkami zostają i chłopom usługiwać nie chcą – powiedziała babka Alicja, przez wszystkich nazywana Alutką.

– Myślałby kto, żeś mi usługiwała – mruknął dziadek Broniek i skubnął wąsa. – Tylko się ciebie głupie żarty trzymały. Śmichy-chichy, krzyż pański, babo, z tobą mam.

– Bo ja taka się urodziłam. Widziały gały, co brały. Na szczęście Bóg wiedział, że kiepska ze mnie żona i matka, to dał ciepłego chłopca i jedną, spokojną córkę. – Alutka roześmiała się rubasznie.

– Ale powiedz, śliwki pierwsza klasa – dodała i sięgnęła do miski po kolejną węgierkę.

– Bóg cię za złodziejstwo skarze, a i jeszcze mundurowi swoje dołożą – bąknęła.

– A nie przejmuj się, stary, nikt nie pomyśli, że to babka Rosińska na szaber poszła.

– Może cię kto widział? – zatroskał się dziadek i mimo zdegustowania niecnym czynem małżonki sięgnął po kradzione owoce.

– A gdzie tam... Wszyscy w synagodze siedzieli. Klamkę kołkiem podparłam, pewnie do tej pory wyjść nie mogą. A te owoce aż się prosiły, żeby się nimi poczęstować.

– Mamo, ukradłaś ze dwadzieścia kilo, to nie poczęstunek – odezwała się córka Alutki, Michalina, jednocześnie kołysząc trzymane na rękach dziecko.

– A czy ja ci wypominam, że dziecko urodziłaś bez chłopca? Nie! To odczep się od moich śliwek – mruknęła Alutka.

– Martwię się, że do kozy w końcu pójdziesz – jęknęła Michalina.

– E tam. – Babka machnęła ręką i dodała: – Nie wiem, czy to dobrze, że mała imię po mnie dostała. Jak będzie taką wariatką jak jej babka, to osiwiejesz przed trzydziestką.

– Odpukaj w niemalowane i spluń trzy razy przez lewe ramię – zaśmiała się Michalina.

– Tylko jak opluję ojca, to nie sarkajcie znowu – zupełnie poważnie powiedziała Alutka i splunęła za siebie.

– Tak, druga Alicja Rosińska na tym świecie to prawie jak katastrofa Titanica – dodał Bronisław z głośnym westchnieniem.

Okna niewielkiego salonu Rosińskich w jednopiętrowej kamienicy wychodziły na błotnistą drogę, po której z trudem poruszały się wozy i od czasu do czasu jakaś dorożka. Ulica prowadziła na targ,

gdzie w każdy wtorek i piątek zbierali się okoliczni mieszkańcy chcący coś kupić albo coś sprzedać. Było to także miejsce wymiany wszelkich informacji i plotek na temat mieszkańców Chełmic i okalających miasteczko wsi. Oczywiście, najwięcej emocji budziła rodzina Chełmickich, bogatych ziemian, których przodkowie założyli w XVI wieku Chełmice. Opowieści o tym rodzie, ich bogactwie i życiu obyczajowym były niczym opasła powieść w odcinkach, ciągnąca się latami, a kolejne części można było usłyszeć z ust mieszkańców w każdy wtorek i piątek. Chełmiccy walczyli z tym, co jakiś czas wymieniając niedyskretną służbę, ale wszystko na nic. Zawsze znalazł się ktoś, kto coś szepnął, coś napomknął, a inni snuli domysły, dorabiając do zasłyszanych informacji intrygującą historię.

Na targowisku zbierali się wszyscy. Chłopi, krawcy i piekarze, służba z majątku, a niekiedy nawet jego właściciele. Status społeczny ujawniał się jedynie w dokonywanych przez nich zakupach.

Gdy młodzi mężczyźni trafili do Legionów, plotek zrobiło się jeszcze więcej, bo rynek odwiedzały głównie kobiety, targając worki ziemniaków, prowadząc dorodne prosiaki i wożąc drewnianymi wózkami kanki z mlekiem. Damy najczęściej siedziały w dorożkach, wysiadając jedynie przy straganach z rękodziełem, chustami czy obrusami. Stąpały delikatnie na palcach, by nie pobrudzić pantofli i sukien, a konwersacje prowadziły ze swoich pojazdów, blokując drogi i bramy wjazdowe. Te gorzej urodzone, z bruzdami na twarzach, w pocerowanych, skromnych sukniach, przystawały w grupkach i albo szeptały, albo przekrzykiwały się wzajemnie. A gdy wymieniały się informacją o kolejnym poległym mężczyźnie z okolicy, lamentowały, zawodziły i chwyciły się za owinięte chustkami głowy.

– Dajże mi już spokój – odpowiedziała babka i klepnęła po dłoni męża. – Zostaw śliwki. Przecież kradzione. I zbieraj się, bo zaraz kuternoga przyjdzie na przymiarkę. Chrzciny już w tę niedzielę. Szkoda mi go, pamiętam, chłop był na schwał i nawet panny miastowe wodziły za nim oczami.

– Niedługo i Chełmiccy będą swojego pierworodnego chrzcic – powiedziała Michalina. – Całe korowody dorożek zjadą się do kościoła.

– A drugi syn furmanką przyjedzie. Taka to boska sprawiedliwość – mruknęła Alutka.

– Nie powtarzaj plotek – burknął Bronisław. – To, że pracowała w majątku, jeszcze nie znaczy, że kochanicą Chełmickiego była.

Alutka zachichotała.

– Nie od dziś wiadomo, że on pies na baby, a Lewinowa też święta nie jest. Chłop na wojacze, a jej brzuch urósł. Pewnie zielonych jabłek się objadła i ją tak wydeło, tylko skąd dzieciak potem się wziął. Niby że przed czasem się urodził i takie tam bajki, ale Harmoniowa mówiła, że chłopak duży.

– Nie nasza to zgryzota – mruknął Bronisław i wskazał brodą w kierunku Michaliny. – Mamy swoją.

– Teraz to ludzie mordy zamkną, bo nad Lewinowym dzieciakiem będą się pastwić. A naszej bajki sprawdzać nie będą, bo i jak nie mają. Wojna się porobiła, chłop był i chłopca nie ma.

Bronisław wstał z krzesła, wziął z komody pęk kluczy i ruszył w stronę drzwi. Na parterze znajdował się jego mały zakład krawiecki, w którym spędzał większość dnia. Teraz miał jeszcze wnuczkę i zastanawiał się, czy podoła utrzymaniu trzech kobiet jedynie z szycia. Chełmice były biedne, a wojna jeszcze bardziej wydrenowała kieszenie mieszkańców. Głównie łątał ubrania albo przerabiał i tylko od czasu do czasu trafiał mu się kasek w postaci zlecenia na uszycie surduta czy płaszcz.

Gdy mężczyzna opuścił mieszkanie, Michalina usiadła na jego miejscu i westchnęła.

– Moja dziewczynka jest taka śliczna, może wyrośnie na piękną pannę i jakiś arystokrata straci dla niej głowę?

– Życia nie znasz? Oni tracą głowy na jedną noc. A gdy osiągną swój cel, wraca im na swoje

miejsce. Moja droga, są drzwi, których nie da się otworzyć – powiedziała Alicja ze spokojem.

Nie wierzyła w szczęśliwe zakończenia takich bajek, co to kobieta z nizin robiła karierę przy dobrze urodzonym mężu. Nie zamartwiała się jednak, jej córka jeszcze miała trochę czasu, żeby się rozczarować światem i z hukiem powrócić z obłoków na ziemię, gdzie jedynie pogoda ducha była za darmo.

\*\*\*

Izabela Chełmicka była drobną, bladą kobietą o wątłym ciele i sile kanarka. Poród pierwotnego niemal pozabawił ją życia, a powrót do normalnego funkcjonowania ciągnął się od tygodni. Kobieta nieco przesadzała z rekonwalescencją, traktując urodzenie dziecka jako proces nadający jej status mężczyzny. Nie chodziła na spacer, nie przyjmowała gości i nie uczestniczyła w spotkaniach towarzyskich. Najczęściej siedziała w saloniku albo ogrodzie, owinięta pledem, i wpatrywała się tępo w brzozy las, staw z łabędziami czy drewnianą huśtawkę, która delikatnie kołysała się pod wpływem silniejszych podmuchów wiatru. Synem Julianem zajmowały się piastunki i mąż Izabeli.

Antoni Chełmicki zbliżał się do wieku, kiedy zostaje się raczej dziadkiem niż ojcem, dlatego narodziny syna przyjął z nieopisaną radością. Żeniąc się z dwadzieścia lat młodszą Izabelą Wołoszyńską, miał nadzieję na szybkie pojawienie się potomstwa, ale los okazał się nierychliwy i kazał czekać Antoniemu na tę chwilę prawie dwanaście lat. On sam był przekonany, że jest mężczyzną zdolnym do spłodzenia dzieci, dlatego nie gardził stosunkami z gorzej urodzonymi pannami, które pełniły w dworku rolę służących, kucharek i ogrodniczek. Nie miał zamiaru się zajmować ewentualnymi skutkami swojej chuci, a jedynie udowodnić, że jest prawdziwym mężczyzną. Gdy więc Anna Lewin poinformowała go, że oto zostanie ojcem, zaproponował jej jedynie niewielką rekompensatę finansową. Być może gdyby w podobnym czasie nie dowiedział się o brzemienności swojej prawowitej małżonki, jego reakcja byłaby inna. Jednak niemal równocześnie Izabela oznajmiła mu, że oto ich modlitwy zostały wysłuchane i spodziewa się dziecka.

Po przyjsciu na świat syna Antoni oszalał. Nosił na rękach małego Julianka niemal bez przerwy, zakupił dla niego złoconą kołyskę, a żonie sprawił naszyjnik z pereł. Jego marzenie w końcu się spełniło.

– Antoni – jęknęła słabym głosem Izabela – nie noś go ciągle na rękach, bo w kołysce spać nie będzie chciał.

– Jestem taki szczęśliwy, Izabelo, że najchętniej nie wypuszczałbym go z rąk! – wykrzyknął.

– A ja się boję. Znowu jakaś wojna. Wiecznie jesteśmy jak nie u siebie – powiedziała cicho.

– Nie interesuje mnie polityka, a na wojaczkę za stary jestem. Zanim Julian dorośnie, wojna na pewno się skończy i będzie spokój. A czy tutaj będą Prusy, czy carat, to już wszystko jedno. Bylebyśmy jakoś się w tym umieli odnaleźć – mruknął Antoni.

– Wszyscy mówią tylko o wojnie i polityce, a ty jesteś taki spokojny – westchnęła.

– Bo żyję dobrze ze wszystkimi. I z Prusakami, i z pułkownikiem Łyszkinem. Ktokolwiek nastanie, mnie krzywdy nie dadzą zrobić. Byle jak najmniej nam rozkradli, bo wszystko wywożą albo niszczą. Cholera jasna, wojny im się zachciało, a my znowu będziemy chłopcem na posyłki...

– A jak cię za szpiega wezmą albo za zdrajcę? – zatroskała się Izabela.

– Dajże spokój, jedyne tajne informacje, jakie posiadam, to gdzie posiać pszenicę, żeby były dobre plony, i dlaczego po moją gorzałkę i Rosjanie, i Niemcy do Galicji przyjeżdżają. – Chełmicki parsknął śmiechem.

W duchu nie było mu do śmiechu. Nie chciał jednak straszyć i tak przerażonej żony. Nie wie-

dział, co będzie. Trzy mocarstwa, które podzieliły Polskę, teraz chwyciły się za łby. Piłsudski utworzył Legiony pod sztandarem Austro-Węgier, a Dmowski upatrywał szansy w dogadaniu się z Rosją. Chełmicki obawiał się, że jedni i drudzy będą chcieli okpić Polskę, a teraz szukali jedynie sprzymierzeńca w walce z wrogiem. Prawdą jednak było, że oficjalnie Chełmicki nie angażował się w żadne polityczne dyskursy, a jego majątek, znajdujący się na rubieżach Galicji, radził sobie całkiem dobrze.

Chełmicki robił interesy z rodakami, ale też i z Niemcami, i z Rosjanami. Otwarta kilka lat wcześniej gorzelnia miała do zaproponowania niezłe trunki w bardzo przystępnych cenach, którymi zachwycono się zarówno w zaborze pruskim, jak i rosyjskim. Przymykano więc oko na nie do końca zgodne z prawem kwestie celne i ograniczenia stawiane w poszczególnych zaborach. To dawało świetne zyski Chełmickiemu, który nie chciał ich stracić poprzez branie udziału w spiskach, tajnych akcjach sabotażu czy sporach polskich polityków. Chciał mieszkać i pracować w wolnym kraju, swojej ojczyźnie, prawdziwej Polsce, ale uważał, że ważniejsze są spokój i dobrobyt jego rodziny.

Chełmicki lubił wieczorami siadać na tarasie, popijać herbatę i patrzeć na zachód słońca, które powoli chowało się za zagajnikiem. Niekiedy nurtowało go pytanie, czy warto wytrzebić młode brzozy i sosny, aby móc dłużej napawać wzrok widokiem słońca. Przeważnie jego myśli nie zajmowały ani sprawy zniewolonego kraju, ani nie zastanawiał się nad sensem życia. Jego dni wypełniały rozważania na temat cen alkoholu, nowych inwestycji i dylematy związane z kosztownym hobby, jakie miał. A były to wyścigowe konie, które przynosiły niemałe zyski, a jego napawały dumą i radością. Tak, Antoni chciał zarabiać na wszystkim. Na obrazach, starych monetach, złocie i klejnotach. Wciąż zliczał swój majątek, tracąc humor za każdym razem, gdy wymyślony przez niego interes nie okazywał się tak intratny, jak zaplanował. Zdarzało się to jednak rzadko. Miał nosa do dobrych inwestycji i cieszył się, że nie był jednym z tych rozpróżniczonych arystokratów, którzy trwonili majątki, zamiast je powiększać, i płakali za każdym razem, gdy wiry historii i ekonomii pozbawiały ich kolejnych arealów ziemskich.

\*\*\*

Chełmice były miasteczkiem jakich wiele. Z okalającymi je polami i wiejskimi zagrodami. Był oczywiście też dworek, należący do Chełmickich, o których bogactwie krążyły legendy. Życie koncentrowało się przy rynku, a w niedziele i święta w kościele albo synagodze. Były sklepiki i zakłady usługowe opanowane przez sprytnych Żydów i gorzelnia Chełmickich, która dawała pracę mieszkańcom. Niewielka szkoła, ochronka i mała lecznica dopełniały małomiasteczkowy obrazek. Ludzie rodzili się i umierali, kochali i nienawidzili, co zawsze stanowiło pożywkę do rozmów, plotek i domysłów. Tym fascynowali się mieszkańcy Chełmic, zamknięci we własnym kręgu, gdzie życie innych zawsze zdawało się bardziej interesujące niż ich własne.



## 2. Chelmice, 1931

Hanna Lewin stała przed ogromnym lustrem w pracowni krawieckiej Rosińskich i wpatrywała się z zachwytem w swoje odbicie. Nowa sukienka była doskonała. Podkreślała jej wąską kibić, a lekko rozkloszowany dół dodawał chłopięcym biodrom krągłości. To była jej pierwsza nowa sukienka od pięciu lat. Gdy Hanka stała się już dojrzałą dziewczyną, donaszała ubrania po swojej matce. Były one nieco za luźne na wiotką Hankę, często pocerowane i sprane, ale Lewinowie byli biedni. Nowa sukienka, płaszcz czy spodnie dla Emila to był wydatek, na który rodzina mogła sobie pozwolić sporadycznie. Teraz jednak, gdy Hanka przekroczyła dwudziesty rok, a na horyzoncie nie było widać żadnego pretendenta do jej ręki, Anna Lewinowa postanowiła zainwestować w córkę i uszyć jej u krawca Rosińskiego nową sukienkę.

– Myślisz, że w czwartek Jakub mnie zobaczy w nowej sukni? – zapytała siedzącą na taborecie Alicję Rosińską.

Mimo że między dziewczętami było kilka lat różnicy, rozumiały się doskonale. Alicja, jak na szesnastoletnią dziewczynę, była dojrzała, dorodna i ta różnica wieku była prawie niedostrzegalna.

– Żydzi nie obchodzą Bożego Ciała – zaśmiała się Alicja. – Ale Jakub pewnie będzie wyglądał przez okno, żeby w procesji ciebie wypatrzeć.

– Naprawdę myślisz, że mu się podobam? – zapytała ponownie nieco zatroskana Hanka.

– Pewnie, że się podobasz, tylko Moselowie mu zabraniają się z tobą zadawać, bo oni tylko starozakonnych uznają – mruknęła Hanka. – Jejku, jakie to romantyczne. Wszyscy są przeciwko wam, a wy i tak na przekór rodzinie kochacie się.

Hanka Lewin zarumieniła się.

– To nie jest tak, jak mówisz, niestety. Jakub jest bardzo, jak by to powiedzieć, nieśmiały. Nigdy nie przyznał się, że jest we mnie zakochany. Tylko tak pięknie patrzy tymi swoimi wielkimi, ciemnymi oczami... Zdaje mi się jednak, że on na wszystkie tak patrzy – powiedziała Hanka.

Chciała, żeby przyjaciółka zaprzeczyła. Potrzebowała słuchać, że Jakub Mosel za nią szaleje, a jedynie sprzeciw rodziców powstrzymuje go przed wyznaniem swoich uczuć i poczynieniem odpowiednich kroków, żeby ją poślubić.

– Na mnie tak nie zerka, Hanka. Mówię ci, jak tu siedzę, i że bym miała jutra nie dożyć. – Alicja zaczęła uderzać się dłonią w pierś.

– No, a ten twój? – zapytała Hanka niepewnie.

Alicja machnęła ręką.

– Jaki on mój... On tylko za Adrianną Daleszyńską wzdycha. Tak jak i twój brat. Gdzie mi myśleć, że on, panicz z Chelmickich, zechce na mnie wzrok zawiesić.

– Czytałaś Mniszkównę. Ileż to razy bogaci panowie do biednych dziewcząt się umizgiwali. Ta Adrianna to nic niewarta, z całego majątku tylko nazwisko jej pozostało, to się za bogatymi rozgląda. Słyszałam, że jej ojciec cały dobytek przegrał w karty, tonie w długach, a swoją córkę niczym kurtyzanę wozi po majątkach, co by ją sprzedać najbogatszemu. Piękna to może i ona jest, ale Julian na głupiego nie wygląda i szybko się na niej pozna. Za młody jest na żeniactwo, a przez kilka lat wszystko się może zmienić – pocieszała przyjaciółkę Hanka.

Tak naprawdę obie żyły złudzeniami i marzeniami właściwymi swojemu wiekowi. Nie istniały bariery nie do pokonania, aby zdobyć miłość, a młodzi mężczyźni, w których się kochały, byli idealni. Konkurentki zaś dzieliły się na piękne i głupie lub mądre i szpetne. Przeszkody stanowiły czynniki ze-

wewnętrzne, takie jak inna wiara czy status materialny, ale przecież, gdy ma się lat szesnaście czy dwadzieścia, nie były one nie do przebrnięcia. Krygowały się jednak przed sobą, aby wzajemnie się wspierać i snuć opowieści, które miały nikłe szanse, aby się ziścić.

\*\*\*

Hanka trzymała w dłoniach sukienkę zawiniętą w szary papier przewiązany sznurkiem i z dumą wracała ocienioną aleją do domu. Dwa razy zatrzymały się wozy ze wsi, żeby ją podwieźć, ale odmawiała, chcąc tanecznym krokiem przemierzyć drogę i snuć marzenia o Jakubie Moselu. Mogła także śpiewać pełną piersią miłosne piosenki, głosem nieco chrapliwym, ale tak pięknym, że zdawało się, iż milkną ptaki, gdy wydobywa z gardła dźwięki.

Po chwili kolejny pojazd zatrzymał się przy idącej Hance. Ale nie była to wiejska furmanka, a wóz Chełmickich. Antoni nie mógł przekonać się do automobili i mimo że posiadał dwa, wołał tradycyjne pojazdy zaopatrzone w dorodne rumaki. Samochodem wyruszał jedynie do Warszawy albo Poznania, żeby zaimponować swoim partnerom w interesach, ale podczas podróży przeżywał prawdziwe katusze. Wciąż mu się zdawało, że to żelastwo rozpadnie się za chwilę na kawałki albo wybuchnie niczym granat na bitewnym polu. Po swojej okolicy jeździł albo eleganckim powozem, albo wierzchem, samochody pozostawiając na specjalne okazje. Niektórzy posądzali go o skąpstwo i zbytnią oszczędność w eksploatacji aut, ale ludzkim gadaniem od dawna się nie przejmował.

– Dzień dobry, Hanka! – wykrzyknął i przesunął palcem po wąsie. – Pięknie śpiewasz.

– Dzień dobry. – Dygnęła niczym pensjonarka, komplement ignorując ze zwykłej skromności.

– W sobotę wydajemy z żoną przyjęcie. Nie zechciałabyś zaśpiewać? Jak nie masz ładnej sukienki, to ci kupię.

– Mam sukienkę! – krzyknęła entuzjastycznie i pomachała szarym pakunkiem. Po chwili dodała:

– A co mi tam, pewnie, że mogę zaśpiewać.

– To przyjdź do nas w sobotę o szóstej – odpowiedział Chełmicki i ruszył aleją w stronę majątku.

„Jaki radosny i szczęśliwy dzień – pomyślała Hanka. – Mam nową sukienkę, a w sobotę zaśpiewam na przyjęciu, gdzie będą sami wielcy państwo”.

\*\*\*

W tym samym czasie, gdy podekscytowana Hanka wracała do domu z nową sukienką, jej przyjaciółka, Alicja Rosińska, również szykowała się do wyjścia. Powód nie był szczególnie, ale dla szesnastoletniej dziewczyny – nader ważny. Jej dziadek, miejscowy krawiec, od czasu do czasu szył dla rodziny Chełmickich. Nie były to suknie dla pani domu ani fraki dla właściciela ziemskiego, ale fartuchy dla kucharek i mundurki dla pokojówek, a niekiedy zasłony czy pościel. Nic szykownego i wytwornego. Państwo Chełmiccy najczęściej korzystali z usług znanych warszawskich krawców albo nabywali dla siebie garderobę w Paryżu czy Berlinie. Dla Bronisława Rosińskiego byli jednak ważnymi klientami i zamawiane wyroby dostarczał do dworku osobiście, a później korzystając z pomocy wnuczki. Była to dla niego ogromna udręka, bo do domu Chełmickich było sześć kilometrów. Alicja zaś czekała na te wyjścia z podnieceniem, ponieważ zauroczona była synem Antoniego Chełmickiego, Julianem. Przemierzając kilkukilometrową drogę, wciąż wymyślała rozmaite wróżby, czy spotka młodzieńca. Zrywała gałązki akacji, bezlitośnie ogoławając je z liści i szepcząc cichutko: „będzie, nie będzie”. Innym razem wypatrywała czarnego kota albo zrywała dmuchawce i chuchając co sił w płucach, próbowała pozbawić je wszystkich pręcików, wszak tylko wówczas wróżba była pomyślna. Tym razem również była pełna

nadziei. Włożyła swoją najlepszą sukienkę, wzięła w dłonie ciężki pakunek i ruszyła w stronę dworku.

Dziadek uszył dla niej prawdziwe dzieło sztuki. Mimo całej sympatii do Hanki Lewin, jej sukienka było o niebo piękniejsza. Kolor bladego różu podkreślał jej śniadą cerę, którą Bóg raczy wiedzieć po kim odziedziczyła, a biały satynowy kołnierzyk nadawał jej cech dobrze urodzonej panny. Jedyne pantofle były stare, brzydkie i nieco sfatygowane. Alicja miała jednak nadzieję, że Julian nie zwróci na nie uwagi.

Był taki przystojny... Mimo że, podobnie jak ona, skończył szesnaście lat, emanował męskością i dystynkcją. Ona również starała się być damą, ale w otoczeniu figlarnej babki i nieco zagubionej matki jej starania ograniczały się jedynie do poprawnej polszczyzny, znajomości angielskiego i umiejętności prawidłowego posługiwania się sztucami.

Po godzinie marszu dotarła do bogato zdobionej bramy. Była otwarta, bo najwyraźniej gospodarze na kogoś czekali i chcieli, aby ów gość poczuł, że jest mile widziany w ich progach. Wzdłuż alei prowadzącej do dworku pyszniły się idealnie przycięte bukszpany i okazałe jałowce w różnych odcieniach, począwszy od tradycyjnej zieleni, a na przygaszonej żółci kończąc. Zaraz przy bramie można było dostrzec piaszczystą aleję biegnącą wzdłuż krzewów dzikiej róży i tamaryszku. Alicja wiedziała, że dróżka wiedzie do nowoczesnych stajni i padoku dla luksusowych i drogocennych rumaków Antoniego Chełmickiego. Nie to jednak było dla Alicji ważne, ale fakt, że często z tej alejki wylaniał się Julian. Wysoki chłopak o oczach ciemnoniebieskich niczym niebo przed burzą i włosach w kolorze dojrzałego żyta. Tym razem jednak droga była pusta. Alicja z drżącym sercem podążyła dalej, zastanawiając się, czy Julian w ogóle przyjechał. Uczył się w Warszawie i większość czasu spędzał właśnie tam, ale miała nadzieję, że zarówno święto Bożego Ciała, jak i urodziny ojca przywiodą go do rodzinnego domu.

Na prostokątnym dziedzińcu dworku stały samochody i dorożki. Auta nie należały do gospodarza, on bowiem stawiał swoje w garażach na tyłach posesji i korzystał z nich rzadko, nazywając publicznie „dziełem szatana”. Natomiast bryczka niewątpliwie była Chełmickich, bo Alicja rozpoznała stangreta, starego Majkowskiego, który z pietyzmem szcztokował sierść konia. Alicji niekiedy się zdawało, że w majątku Chełmickich konie są najważniejszymi mieszkańcami, ponieważ Antoni niemal bez przerwy o nich rozprawiał, dbał o nie nieustannie i chwalił się nimi każdemu, kogo spotkał. I nie tylko tymi najdroższymi, stanowiącymi obiekty westchnień rasowych koniarzy, ale również tymi służącymi mu do pracy i podróżowania bryczkami. Być może to właśnie miłość do koni sprawiła, że na pojazdy mechaniczne stary Chełmicki patrzył z niechęcią.

Alicja pozdrowiła stangreta i udała się na tyły domu, gdzie znajdowało się wejście kuchenne. Kiedy minęła rabatę karminowych róż, usłyszała śmiech dobiegający przez otwarte okna biblioteki, cichą muzykę i z patefonu śpiew największej diwy – Hanki Ordonówny. Z zazdrością patrzyła na rzeźbione dębowe drzwi wejściowe, za którymi zaczynał się inny świat. Dom Chełmickich nie był ani zamkiem, ani okazałym pałacem, ale niekiedy Alicji zdawało się, że ludzie przekraczający jego próg wiodą królewskie życie, nieskalane troskami o dobra doczesne. Jednocześnie uważała, że cena, jaką się płaci za to bogate życie, jest wysoka. Jej dzieciństwo to były przygody, podrapane kolana i brudne sukieneczki. Śniadanie stanowił kubek mleka i bułka maślana, który to posiłek spożywała na stojąco, w pośpiechu, bo pod lasem już czekały dzieci i zabawa. Niekiedy jeszcze ze śladami mleka pod nosem i niedomytymi poprzedniego dnia nogami wybiegała do świata, który był tajemniczy, niezbadany, ale pełny śmiechu i radości. Bawiła się z Lewinami, Moselami i Kaweckimi. Dzieci chłopów, sklepikarzy i niższych urzędników. A że do wsi były trzy kilometry, spotykali się w połowie drogi. Nie musieli się umawiać na godziny, niczego ustalać, zawsze ktoś był. Później, gdy byli starsi, dzieci chłopów musiały pomagać przy

źniwach i inwentarzu, ale po spełnionych obowiązkach biegły co sił w nogach, jedząc po drodze chleb ze smalcem i wołając z pełną buzią: „Poczekajcie na nas”.

Niekiedy, idąc drogą prowadzącą do wsi, a dalej do majątku Chełmickich, Alicja widywała młodego chłopaka, ubranego, jakby na mszę jechał, w towarzystwie drobnej i bladej matki albo grubego ojca z wąsem niczym Piłsudski. Julian patrzył na dzieci, pozdrawiał, machając dłonią, i z nostalgią odwracał w ich kierunku głowę, jakby chciał zrzucić elegancki mundurek i śnieżnobiałe skarpety, i pobiec naprzeciw przygodzie, gdy kradnie się jabłka z sadów, pije wodę ze strumienia i buduje szałas z świerkowych gałęzi. Alicja myślała wtedy, że wcale mu nie zazdrości takiego nudnego dzieciństwa, jak również tego, że musiał wyjechać do gimnazjum w Warszawie i mieszkać w domu Ireny Wigoniowej, nadętej damy, dla której czas zatrzymał się w XIX wieku. Te dziecięce myśli Alicji wcale nie odbiegały od rzeczywistości.

\*\*\*

Julian Antoni Chełmicki nie uważał, że wygrał los na loterii, rodząc się jako pierwszy i jedyny syn najbogatszego człowieka w okolicy. Zamknięty w ogromnym domu, niczym w złotej klatce, miał niły kontakt z okolicznymi rówieśnikami. Jego towarzystwo od najmłodszych lat musiało być wyszukane, dopasowane do poziomu życia, jakie wiódł, i było przeraźliwie nudne. Lekcje języków, jazdy konnej i coraz modniejszego tenisa nie mogły zastąpić igraszek na bagnach, grania w „zośkę” czy łapania szczurów. Jadał przy stole, używając eleganckich srebrnych sztućców, zamiast chwycić pajdę chleba brudnymi rękami i biec przed siebie, dopóki starczy sił.

Wyjazd do gimnazjum niewiele zmienił jego sytuację. Ojciec nie zgodził się, żeby jego oczko w głowie zamieszkało w bursie, i opiekę nad jego wychowaniem w tym czasie powierzył swojej starszej siostrze, którą niekiedy Julian nazywał „starą wiedźmą”. Korzystał z każdej okazji, żeby wyrwać się do domu, bo chociaż nie było tam idealnie, w porównaniu z życiem pod kuratelą ciotki Chełmice wydawały się rajem.

Wracał właśnie z garaży ojca i dostrzegł idącą z ogromnym pakunkiem Alicję Rosińską. Lubił ją, chociaż była typową chłopczycą. Mimo ładnych sukienek, szytych przez jej dziadka, i misternie uplecionych warkoczy Alicja kojarzyła mu się z łobuzerstwem, ciętym językiem i dowcipami, czyli tym wszystkim, co stanowiło dla niego obiekt westchnień i tęsknot.

– Dzień dobry, panno Alicjo! – krzyknął ze śmiechem. – Pomogę ci z tymi pakunkami.

– Są ciężkie, a panicz nie wygląda mi na herosa – zażartowała Alicja i za chwilę pożałowała tego. Miała zachowywać się jak prawdziwa dama, jedna z tych, które oblewają się rumieńcem, gdy wybranek serca spojrzy w ich stronę.

– Ale złośliwa jesteś. – Julian zmrużył oczy w udawanej złości. – To może się zmierzmy, kto silniejszy.

– Będziemy pchali samochody czy młócili żyto na czas? – zapytała i wyciągnęła pakunek w stronę Juliana. – Proszę, możesz poćwiczyć tężyznę.

Weszli do chłodnej sieni, a potem do przestronnej kuchni, gdzie gruba kucharka układała talerze w kredensie.

– O... w końcu jesteś – mruknęła niezycliwie, patrząc badawczo zarówno na nią, jak i na wchodzącego Juliana.

– Miałam przyjść o czwartej – odpowiedziała Alicja i zerknęła na wiszący nad drzwiami zegar. – A jest za pięć czwarta.

– Nie bądź taka mądralińska i pyskata do starszych, bo dziadkowi się poskarżę – warknęła kucharka.

Alicja wzruszyła ramionami i bez słowa wyszła z kuchni. Julian także się nie odzywał, dopóki nie znaleźli się na dziedzińcu.

– Przepraszam za Ludmiłę. Prawdziwa z niej zrzęda – powiedział cicho.

– Nie musisz przeproszać za kogoś. – Roześmiała się. – Nic sobie nie robię z jej gderania. Kto by się przejmował takimi babami, które ciągle mają nos na kwintę i są wiecznie niezadowolone.

– Uwierz, widzę takie obrazki nader często i zastanawiam się, czy Ludmiła nie dodaje dziegciu do posiłków – odpowiedział Julian. – Moja ciotka z Warszawy to też kawał gangreny, trudno z nią wytrzymać, ale za rok matura i wyfruwam z tego gniazda osy.

– I co będziesz robił? – zapytała z trwogą Alicja.

Chełmiccy byli bogaci, Julian mógł wyjechać na studia nie tylko do Warszawy lub Lwowa, ale do Paryża, Mediolanu czy Londynu.

– Mam zamiar zrobić karierę w wojsku i pójść do szkoły podchorążych, ale na razie mój ojciec nie chce o tym słyszeć i pcha mnie w kierunku ekonomii, a ta dziedzina mnie odstręcza. – Uśmiechnął się smutno.

– Rozumiem cię, ja skończyłam powszechniak i dziadek uczy mnie krawiectwa. A ja to bym chciała tańczyć. Umiem stepować, jestem wysportowana i aż mnie tylek parzy, jak przy maszynie dłużej niż godzinę siedzę. Marzy mi się szkoła tańca, u Tacjanny Wysockiej, ale nie wiem, czy przekonam dziadka i mamę, bo babcia Alutka jest za mną całym sercem i nawet języków mnie uczy, gdybym miała międzynarodową karierę zrobić. Babka ma do nich talent, jeździła trochę po Europie, to się wyuczyła.

– Tancerka? To nie jest dobre zajęcie dla kobiety... – odpowiedział Julian, marszcząc czoło. Po chwili jednak zreflektował się, że może tym sprawić przykrość Alicji i powiedział: – To pokaż, co potrafisz.

– Zwariowałaś? Tutaj? – zapytała z lekkim przerażeniem Alicja.

– Na tarasie, za domem. Nikt nie będzie patrzył.

– Bez muzyki?

– Zanucę ci. – Roześmiał się.

– Wariat. – Odwzajemniła uśmiech.

I wtedy Julian dodał coś, co zmroziło Alicję.

– Moja Adrianna też pięknie tańczy.

Julian nie chciał zranić Alicji, nie miał pojęcia o jej uczuciach. Odnosił się do niej jak do koleżanki, zazdrościł jej pewności siebie i ciętego języka, a przede wszystkim sądził, że i ona w podobny sposób traktuje ich luźną znajomość. Widywali się rzadko, od czasu do czasu porozmawiali w żartobliwy sposób. Alicja nie wdzięczyła się jak inne dziewczęta i nie udawała damy. Była po prostu fajnym kompanem i odskocznią od nadętego towarzystwa.

Tymczasem dla Alicji słowa Juliana były niczym kubek zimnej wody. Pożegnała się pośpiesznie, zrzucając to na karb obowiązków w zakładzie dziadka, i ruszyła, zdruzgotana, ku kutej bramie. Jej marzenia o Julianie legły w gruzach. Póki niewypowiedziane są niektóre słowa, można mieć złudzenia, wymyślać historie, żywić się nadzieją. Ale Julian jednym zdaniem zburzył ten wymaginowany świat. I nie chodziło nawet o treść, ale o ten błysk w jego oczach, gdy wypowiadał imię tej dziewczyny, zienawidzonej Adrianny Daleszyńskiej, dla której młodzi chłopcy tracili głowę. Julian również i w tym wyścigu po jej serce, a pewnie za kilka lat i po jej rękę, był zdecydowanym faworytem. Bogaty, wykształcony

i piękny. I cóż z tego, że Adrianna była pustą lalką, jak to szeptały sobie z Hanką, kiedy potrafiła oczarowywać w sposób, w jaki ona nigdy nie umiała. A przecież ona, Ala, była ładna, miała jasne włosy, ciemną cerę i duże zielone oczy. Co było z nią nie tak, że Julian patrzył na nią jak na kumpla, a nie jak na dziewczynę? Nie była bogata jak on ani nie posiadała manier damy, ale nosiła piękne sukienki uszyte przez dziadka i nie była głupia, mimo marnej edukacji szkolnej. Postanowiła, że pewnego dnia Julian dostrzeże w niej kobietę, choćby miała na to czekać wiele lat. Udowodni mu, że bycie zadziórą nie pozbawia jej dziewczęcości, a bezpośredniość jest zaletą, a nie wadą.

Przepełniona żalem i złością, dotarła do domu i nawet nie zaglądając do pracowni dziadka, rzuciła się na łóżko, tłumacząc zaskoczonej matce i babci, że dopadła ją comiesięczna dolegliwość. Wpatrywała się w obraz Matki Boskiej, wiszący nad łóżkiem, i połykała łzy, przeklinając swój los. Najbardziej bolało ją to, że Julian Chełmicki nie widział w niej dziewczyny, ale sympatycznego kumpla, który dawką sarkazmu wywoływał uśmiech na jego twarzy.

Po kilku godzinach tępego patrzenia w jeden punkt, gdy niemal fizyczny ból odbierał jej oddech, nadeszła chwila złości. Na świat, w którym nie mogła realizować swoich marzeń. Była zakochana bez wzajemności, tańczyć mogła jedynie w samotności albo na nielicznych zabawach uświetniających ważne wydarzenia w miasteczku. Musiała uczyć się zawodu krawieckiego, do którego czuła żywiołową niechęć, i patrzeć na smutną twarz swojej rodzicielki, jak gdyby ta straciła złudzenia i pogodziła się z losem pogardzanej panny z dzieckiem. Jedynie babka Alutka, jej imienniczka, dodawała otoczeniu jaśniejszych barw, tryskając humorem i kpiąc z życia niczym komicy opowiadający pikantne dowcipy. Żadna przygód, bywała i w Wilnie, i w Berlinie, szukała swojego miejsca na ziemi, niestrudzenie podążając za marzeniami, radosnym życiem i tym, co kochała najbardziej...

Alutka chciała zostać sławną projektantką mody, a dziadek Broniek miał być jej kluczem do sukcesu. Realizował jej pomysły, szyjąc dziwaczne suknie i spodnie dla kobiet, które z trudem przedzierały się na salony. Były uznawane za symbol chorego feminizmu, a kobiety, które w swojej zaciętości i odwadze usiłowały je nosić, wypraszano z kościołów, a na snobistycznych salonach stanowiły obiekt wszelkiej maści plotek i kpin. Inne projekty zaś oferowały paniom tańszą wersję sukienek kabaretowych, z mocno wyciętymi dekoltami i wykończonych frędzlami, które pobudzały męską wyobraźnię, rozpałały zmysły i cieszyły się powodzeniem jedynie wśród prostytutek. Gdy w końcu prototypy kreacji zalegały w garderobie, a Rosińscy splukali się niemal do zera, dziadek Bronisław postanowił zaprotestować. Grożąc rozwodem i odebraniem prawa do opieki nad Michaliną, ich jedyną córką, wywiózł Alutkę na prowincję i założył mały zakład krawiecki, budząc niechęć starozakonnych, którzy opanowali w miasteczku wszelkie gałęzie usług. W proteście Alutka nigdy więcej nie zaprojektowała żadnej sukni, ku ogromnej uldze małżonka, wszak owe twory wyobraźni niesfornej żony mogłyby wywołać niemałą konsternację w tym konserwatywnym, małomiasteczkowym społeczeństwie.

Alicja Rosińska jednak nie zgorzkniała i nie wyżywała się na mężu za brak wiary w jej talent, ale pogodziła się z losem, usiłując jedynie urozmaicić swoje życie dowcipami, głośnym śmiechem i poglądami, które wprawiały w osłupienie niejedną osobę zamieszkującą Chełmice.

Jej wnuczka, leżąc w pokoju, przestała rozmyślać o pięknym Julianie, bez pamięci zakochanym w równie pięknej Adriannie Daleszyńskiej, i zaczęła rozważać burzliwe życie swojej babki. Cóż z tego, że nie udało jej się zostać sławną kreatorką mody i wylądowała w brzydkiej, nieciekawej miejscinie, gdzie jedyną atrakcją były krążące o Chełmickich plotki? Ale zawalczyła o swoje marzenia, spróbowała robić w życiu to, co kochała, a oprócz tego zdobyła serce dziadka, którego jedynie troska o jedynaczkę zatrzymała przed utratą wszystkiego, co miał, byle jego krnąbrna, ale pełna wdzięku żona była zado-

wolona.

A gdyby tak została tancerką? Poruszałyby się pięknie, emanowała seksapilem, nosiła frywolne sukienki i mówiła niskim, chrapliwym głosem. Mężczyźni tracili głowy dla takich kobiet. Może nie były one najlepszym materiałem na żony, ale rozpałały zmysły, pobudzały fantazję i były niczym piękne anioły dane jedynie na chwilę, by uszczęśliwić swoim widokiem rozmarzonych mężczyzn. Gdyby taką nową Alicję zobaczył za kilka lat Julian, czy również oszalałby, jak inni? A ona wówczas, rozpieszczona powodzeniem, dawałaby mu prztyczki w nos, uwodząc, a jednocześnie zwodząc obietnicą romansu? Kucharki i pokojówki, te które nabyły umiejętność czytania, zachwyciły się romansami przystojnych, bogatych mężczyzn i ubogich, skromnych guwernantek, ale ona wiedziała, jaka była prawda. Ta płeć zdecydowanie wołała obdarzone seksapilem diwy w mocnym makijażu i w błyszczących sukniach, które oślepiły zbyt dużą ilością brokatu. Tak, mężczyźni kochali takie kobiety jak Hanka Ordonówna, Pola Negri czy ekscentryczna Tamara Łempicka. Ordonka też zaczynała jako tancerka, Mata Hari swoim tańcem uwiodła najważniejszych ludzi polityki, dlaczego ona miałaby nie spróbować? Była ładniejsza niż Ordonka, smuklejsza niż Mata Hari i poruszała się lepiej niż Helena Grossówna. Tak, mogłaby spróbować, ale jak? Musiałaby wyjechać, znaleźć mieszkanie i pracę, pójść do szkoły tańca, a na to wszystko potrzebne były pieniądze. Tymczasem ona nie miała żadnych. I mimo że w okolicy uchodziła za hardą i wygadaną dziewczynę, brakowało jej także odwagi, by rzucić się w wir wielkiego miasta, postawić wszystko na jedną kartę, niczym szuler oddający ostatnią monetę w nadziei na wielką wygraną.

Nie jedząc kolacji, nie czytając ani nie schodząc do pracowni dziadka, usnęła, skulona w kłębek, przykryta przez matkę jedynie narzutą, by uciec przed światem, który zdawał się nie być jej światem. A jedyny promyk, który rozjaśniał jej monotonne życie, właśnie zgasł, obdzierając jednym zdaniem ze złudzeń, którymi karmiła się, odkąd skończyła trzynaście lat.

\*\*\*

Ten dzień dla jej przyjaciółki, Hanki Lewin, zapowiadał się daleko przyjemniej. Czar jednak prysł, gdy zbliżała się do rodzinnej chałupy. Jej matka siedziała na ławce przed domem, bledsza niż zwykle, i lekko pokasywała, z trudem łapiąc powietrze. W dłoni trzymała tamborek, a na sukience leżał motek czerwonej muliny. Wyglądała, jakby nie miała siły nawlec igły i przeciągnąć nici po zarysie maków namalowanych miękkim ołówkiem na grubym płótnie. A może cierpiała, słysząc dźwięki awantury dobiegającej z domu. Nie chciała kolejny raz patrzeć, jak jej ukochany synek Emil dostaje dyscyplinę, jaką jej mąż wykonał z równym pietyzmem, co kosze, które sprzedawała co wtorek i piątek na targu.

Tym razem Emil okradł z miedziaków glinianego aniołka w kościele, gdzie parafianie wrzucali drobne przeznaczone na nową chrzcielnicę. Organista, gdy przyłapał Emila na tym niecnym czynie, od razu powiadomił starego Lewina, wierzył bowiem, że ojcowskie cięgi sprawdzą się daleko lepiej niż policyjna koza.

– Ty gnoju, złodziejskie nasienie. Żebyś ja w domu złodzieja trzymał, co nawet świętego miejsca uszanować nie może! Oduczę cię kraść, ty parszywy hultaju. Łapy siekierą prędzej poucinam niż złodzieja wychowam! – krzyczał Ignacy Lewin, okładając syna, gdzie popadnie.

– Nie chcę żyć w nędzy! – ze łzami w oczach odszczekiwał się Emil. – Nie chcę chodzić w za krótkich portkach i dziurawych butach! Lej mnie, a i tak do bogactwa dojdę, jak nie pracą, to złodziejstwem!

Po tych słowach Ignacy zaczął bić Emila jeszcze mocniej. Miał problem z trafianiem, bo sprawny i młody syn odskakiwał co chwilę od ojca kaleki, gdy nie mógł znieść bólu razów zadawanych sple-

cionymi wierzbowymi witkami.

Gdy stary Lewin opadł z sił, odłożył ze złością dyscyplinę i przetarł zroszone czoło. Miał nadzieję, że tym razem na dłużej wybije chłopakowi z głowy takie haniebne pomysły.

Hanka, podobnie jak matka, stała przed chałupą i czekała na zakończenie owej lekcji wychowawczej, której jej ojciec nader często lubił udzielać. Ona też kilka razy miała okazję zmierzyć się z bólem, jaki wywoływały witki, i te wspomnienia sprawiały, że wszelkie poczynania mogące rozzłościć ojca omijała szerokim łukiem.

Gdy krzyki umilkły, drzwi chałupy otworzyły się i stanął w nich Emil. Chłopak miał oczy wypełnione łzami i czerwone pręgi na rękach, szyi, a nawet twarzy. Popatrzył ze złością na bladą, zatrwożoną matkę i wyszczał:

– Nienawidzę was! Nienawidzę was wszystkich!

Po chwili podciągnął opadające, wypłowiałe spodnie, poprawił rozchełstaną koszulę i pobiegł łąką w stronę miasteczka. Gdy dom zniknął mu z oczu, zwolnił. Czuł łaskotanie traw, słyszał skrzeczenie żab i przeklinał ojca. Nie tylko za to, że kolejny raz go sprzął, ale dlatego, że godził się na taką żalną egzystencję, wmawiając dorastającemu synowi, że jedynie praca przez kilkanaście godzin dziennie da im odzienie, strawę i dach nad głową.

„Gówno prawda” – myślał z goryczą Emil.

Tacy Chełmiccy, na przykład, nic nie robili, a stać ich było nawet na samochód. Jego rówieśnik, Julian, nie doił krów, on jeździł konno. Nie chodził w przykrótkich, połatanych spodniach, tylko w marynarkach szytych na miarę i posiadał chyba z pięć par butów. A on, mając ojca kalekę, od najmłodszych lat chodził w pole i miał tyle pieniędzy, ile udało mu się ukraść. Tyle że nie było komu. Chełmiccy, najbogatsi w okolicy, najczęściej nosili swoje eleganckie pugilaresy w wewnętrznych kieszeniach płaszczy i marynarek, a żydowskie banknoty śmierdziały czosnkiem i cebulą.

Nagle zatrzymał się, bo zobaczył w oddali jadącą bryczkę Chełmickich, a w niej najpiękniejszą kobietę, jaką kiedykolwiek widział, Adriannę Daleszyńską. Dziewczyna miała jasne włosy, ułożone w starannie wykonane fale, błękitne, błyszczące oczy i duże usta wydęte w grymas, niczym mała dziewczynka, którą zmuszano do zjedzenia owsianki.

Kiedys spotkał ją na stacji, gdy czekała na pociąg jadący w kierunku Warszawy. Stał tak blisko, że czuł jej zapach. Delikatną woń kwiatów zmieszaną z zapachem landrynek. Miała drobne, białe dłonie, którymi bezskutecznie usiłowała otworzyć niesforną parasolkę. zaproponował jej wówczas pomoc. Skinęła głową, wydeła usta i wręczyła ją Emilowi. Bez trudu poradził sobie z jej otwarciem i wtedy Adrianna obdarowała go uśmiechem. Jej błękitne oczy zamieniły się w szparki, jakby nie mogły pomieścić na drobnej twarzy ogromnych ust wyginających się w uśmiechu.

Od tej chwili Emil Lewin nie mógł myśleć o niczym innym. Był zaczarowany. Znał wiele ładnych dziewcząt, widywał je w kościele i na targu, ale żadna nie była w stanie równać się z tym anielskim stworzeniem. Adrianna bywała często w Chełmicach, bo jej rodzice przyjaźnili się z Chełmickimi, i gdy tylko Emil dostrzeżał jej obecność, chodził za nią niczym pies przybłęda, chcąc zwrócić na siebie uwagę. Byle tylko powiodła po nim wzrokiem albo uśmiechnęła się jak wtedy, gdy otworzył jej parasolkę, ale ona zdawała się kompletnie ignorować chłopca, który miał za krótkie spodnie i zniszczone ciężką pracą dłonie. Niekiedy ocierał się o nią, niby przypadkiem, by poczuć znowu zapach landrynek i snuć młodzieńcze fantazje, które w połączeniu z szalejącymi hormonami były coraz śmielsze. Cóż jednak mógł jej zaferować? Objazdowe kino, gdzie jadło się podłą kiełbasę z chlebem i popijało piwem? Romantyczne spacerunki w dziurawych butach i smród obory? Adrianna była wielką damą o nieskazitelnym wy-



gładzie, manierach księżniczki i pięknym zapachu, od którego kręciło się w głowie.

Gdy bryczka znalazła się w jego pobliżu, spostrzegł naburmuszoną minę swojej faworytki. Po ostatnich deszczach koleiny wypełniły się wodą i koła rozbryzgiwały błoto, nie omijając pasażerki. Z pewnością była zdegustowana faktem, że Chełmicki wysłał na stację bryczkę, zamiast samochodu, który był szczytem luksusu i automatycznie kwalifikował podróżujących nim ludzi do elity społecznej. Emil Lewin nie zdążył pomyśleć, co dokładnie spowodowało grymas na twarzy jego wybranki, bo nagle wóz zachybotał się niebezpiecznie i przechyłony, utknął w bagnistej kałuży.

Emil nie zastanawiał się, czy pręgi z jego ciała zniknąły i czy piękna Adrianna zwróci na nie uwagę, tylko rzucił się do bryczki, aby pomóc stangretowi wyciągnąć ją z zapadliny. Panna Daleszyńska piszczała co chwile, okazując jednocześnie strach, jak i niezadowolenie. Gdy jednak udało się zażegnać kryzys i bryczka stanęła w pionie, twarz Adrianny wypogodniała.

– Gdyby nie pan, taplałabym się w kałuży niczym kaczką w stawie. Dziękuję – mruknęła i popatrzyła na Emila.

Mimo że zdawał sobie sprawę z przepaści, jaka ich dzieli, postanowił zaryzykować. W końcu uchodził we wsi za przystojniaka i niejedna panna się do niego umizgiwała.

– A czy w ramach wdzięczności, dałaby się pani zaprosić na lody jutro po procesji? – zapytał hardo.

– To najlepszy żart, jaki usłyszałam w tym tygodniu. – Roześmiała się głośno, z nutką szyderstwa. – Panie Majkowski, ruszamy, na co pan czeka? Aż ten wiejski chłopaczek pomyśli, że mogłabym być nim zainteresowana?

Bryczka odjechała, a panna Daleszyńska nawet nie spojrzała na swojego wybawiciela.

Ten policzek był gorszy niż półgodzinne cięgi ojca. Emil nie zdziwiłby się, gdyby odmówiła, ale mogła to zrobić jak prawdziwa dama. „Wiejski chłopaczek” – myślał z goryczą i kolejny raz tego dnia jego oczy wypełniły się łzami.

– A czego mi brakuje? – pytał siebie i w końcu sam sobie odpowiedział: – Wszystkiego...

\*\*\*

Święto Bożego Ciała, podobnie jak pasterka, gromadziło tłumy. Każdy mieszkaniec chrześcijańskiej części społeczeństwa stawiał się tego dnia przed kościołem parafialnym, odziany w najlepsze, jakie miał, ubrania, i obserwował zbierających się ludzi. Ci bardziej oddani Kościołowi z dumą naciągali białe rękawiczki i przepasywali się szarfami, by nieść w procesji krucyfiksy, sztandary i inne elementy stanowiące nieodzowny element każdej procesji.

Okna domów ozdabiano obrazami świętych oraz szarfami i kwiatami. Szczególnie strojnie wyglądało to na ulicach, wzdłuż których kroczyła procesja i poustawiane były ołtarze. Najczęściej ich tło stanowiły kolorowe, ozdobne dywany, do których przyszywano pąki kwiatów i mocowano obrazki lub makatki przedstawiające sceny z życia chrześcijan. Śnieżnobiałe obrusy przykrywające ołtarze usłane były płatkami świeżych kwiatów, a w trawniki i rabaty wkopywano młode brzoźki, które po każdej procesji kończyły swój żywot w paleniskach i piecach. Owe ołtarze, nieco jarmarczne i pstrokate, stanowiły często tło dla rodzinnych fotografii, gdzie obok członków rodu przystawali księża ściskający w dłoni brewiarze. Czarno-białe zdjęcia, choć nie ukazywały pełnej krasy ołtarzy, były ważną pamiątką, którą wklejano na pierwszej stronie albumów albo wkładano do ramek i wieszano na ścianach, obok krucyfiksów i obrazów Matki Boskiej.

Nawet Żydzi, którzy tego święta nie obchodzili, wylegali na ulicę, żeby podziwiać uczestników

tej kolorowej ceremonii. Był to również ten moment, kiedy mogli spotkać swoich znajomych i po procesji uczestniczyć w lokalnym festynie. W ten dzień rozstawiano karuzelę, zapraszano klaunów, a niekiedy magików i innych dziwacznych osobników, wzbudzając ciekawość mieszkańców, którzy na co dzień nie mieli zbyt wielu rozrywek. Młodzi mężczyźni, zbyt nieśmiali lub zbyt szarmanccy, mogli tego dnia zaproponować swoim wybrankom watę cukrową, lody albo jedną z tandetnych, ale tanich ozdób, których pełno było na licznych straganach. Proboszcz nie pochwalał tych zabaw wieńczących Boże Ciało, bo handlowanie w takie wielkie święto było dla niego świętokradztwem. Na jarmark nie przychodzili także Chełmiccy, urządzając przyjęcia w swoim przepastnym domu, będące niejako otwarciem sezonu letniego. Tego roku okazja była podwójna, bo święto zbiegło się z urodzinami Antoniego Chełmickiego.

Dla niektórych uczestników obchodów święta Boże Ciało był to wyjątkowo trudny dzień. Emil Lewin kroczył w tłumie z miną zbrodniarza, złorzecząc rodzicom, światu i Bogu, któremu przyszedł oddać hołd. Rozglądał się co kilka minut, szukając wzrokiem kolejnej sprawczyni swojego upodlenia, Adrianny Daleszyńskiej. Dostrzegł ją w końcu, idącą z matką i ojcem, w małym, letnim kapelusiku, spod którego wystawały kosmyki jasnych włosów. Jak zazwyczaj miała ten sam wyraz twarzy, nieco naburmuszony i trochę melancholijny.

Emilem targały dziwne uczucia. Z jednej strony wciąż uważał, że jest najpiękniejszą dziewczyną, jaką spotkał, i wiele by dał, żeby obdarzyła go łaskawszym spojrzeniem czy gestem, z drugiej – nienawidził jej za to, w jaki sposób go potraktowała. Z pogardą i szyderczym uśmiechem. Jak gdyby był śmieciem leżącym na drodze. Wiejskim głupkiem nadającym się jedynie do wypychania bryczki z błota. Czy nie był wart szacunku i życzliwego słowa?

Snuł w myślach wizję upadku pięknej Adrianny. Oto on nagle staje się bogaty i elegancki, a ona łąsi się do niego, niczym kotka spragniona pieszczot swego pana. Tymczasem on wykorzystuje ją w najbardziej brutalny sposób, zrywając z niej jedwabne pończochy i zamieniając w strzępy elegancką sukienkę. I gdy ona stoi już w samej bieliźnie, delikatnej i przyozdobionej koronkami, jak jedna z tych bezwstydnich kobiet na zdjęciach, które kiedyś pokazał mu Kawecki, on wymierza jej siarczysty policzek, rzuca niczym szmacianą lalkę na łóżko i spełnia swoje najbardziej ordynarne zachcianki. A kiedy da już upust swojej żądzy, gdy ujrzy jej oddanie – złapie za włosy i wyrzuci za drzwi. Naga, sponiewieraną i obdartą z godności, aby poczuła to, co on poprzedniego dnia, gdy wyśmiała jego zaloty.

Im dłużej trwała procesja, a ludzie coraz głośniejszy śpiewali pieśni, w jego wyobraźni Adrianna Daleszyńska była poddawana coraz wymyślniejszym torturom psychicznym. Nie zastanawiał się, że ani czas, ani miejsce nie jest odpowiednie na oddawanie się podobnym myślom, ale czuł się tak bardzo poniżony, że nic nie było w stanie zmienić jego nastawienia.

W przeciwieństwie do Emila Lewina Alicja Rosińska nie była żadną zemsty. Jej twarz wyrażała przygnębienie i jakąś nieuchwytną złość na siebie. Nie miała żalu do Juliana, że wołał piękną Adriannę – której już sam ubiór tego dnia krzyczał: „jestem kimś lepszym” – ale do świata, gdzie szczytem marzeń był przystojny i bogaty mąż. Zresztą, mój Boże, a co ona zrobiła, chcąc zwrócić jego uwagę na siebie? Paplała głupoty, chwaliła się rozbitym kolaniem i dokuczała mu, że jest wymuskany, delikatnym kawalerem wychowanym pod kloszem nadopiekuńczej matki i nadętego ojca. Podobnie jednak jak Emil Lewin, wypatrywała swojego faworyta, by wmawiać sobie, że wcale nie jest ani taki przystojny, ani taki elegancki, jak dotychczas jej się zdawało.

Po chwili przez tłum przedarła się jej przyjaciółka, Hanka.

– Rozmawiałam z Jakubem – wyszeptała jej do ucha, podekscytowana.

– I co? – zapytała z udawaną ciekawością, bo wciąż zbyt mocno była zajęta swoim złamanym

sercem.

– No patrzył na mnie jak ja na kremówki w cukierni Rotfeldów. – Uśmiechnęła się promiennie.

– Ale zadeklarował się jakoś? zaproponował spacer nad staw albo watę cukrową na festynie? – zapytała chłodno Alicja.

– Nie... No wiesz, on jest taki nieśmiały – bąknęła Hanka, zdziwiona nieco oziębłym tonem przyjaciółki.

– Zapomnij o nim, Hanka. Szkoda życia. Od patrzenia to się za męża nie wychodzi. Zwykła pierdoła, którego matka ożeni z kim zechce, bo on nie będzie miał śmiałości, żeby sam sobie żonkę wybrać – warknęła Alicja.

– Dlaczego tak mówisz? – zapytała ze smutkiem Hanka.

– Bo lata ci lecą, a Mosel jak się gapił, tak gapi nadal i nic ci z tego nie przychodzi.

Alicja raniła słowami przyjaciółkę. Nie robiła tego celowo, ale uważała, że ich młodzieńcze mrzonki o idealnych chłopcach powinny odejść w zapomnienie. Hanka była od niej starsza, ale jej naiwność wciąż była porażająca. Uznała więc, że im szybciej przyjaciółka pójdzie po rozum do głowy, tym dla niej lepiej.

Do rozmawiających cichym głosem dziewcząt podeszła Anna Lewin, matka Hanka. Procesja dobiegła końca i ludzie zbierali się w grupkach, by w końcu swobodnie porozmawiać, zamiast szeptać do ucha, a niektórzy rozglądali się dookoła, jakby zastanawiali się, jak zakończyć ten piękny, słoneczny i wolny od pracy dzień.

– Chodź, Hanka. – Matka szarpnęła córkę za rękę, kiwając zaledwie głową na znak powitania.

Anna Lewin nie lubiła Alicji, bo uważała, że taka gówniara nie powinna być przyjaciółką jej córki, a poza tym według niej dziewczyna miała zadatki na upodobnienie się do swojej babki, skandalistki o tym samym imieniu, co jej wnuczka.

– Pogadam jeszcze trochę z Alicją i dogonię was – powiedziała Hanka.

Wiedziała, że dzisiejsze atrakcje nie są dla nich, bo w domu czekał ojciec, który ze zrozumiałych względów nie mógł uczestniczyć w procesji. Mieszkańcy chcieli zorganizować dla niego wózek inwalidzki, ale nie odebrał tego jako aktu życzliwości, lecz jako objaw litości i współczucia dla kaleki i ro-gacza.

– Nie, Hanka. Mamy iść z wizytą do Koniuszków – powiedziała spokojnie Anna.

– Po co? – odburknęła jej Hanka, bo dobrze wiedziała, o co chodzi matce.

Koniuszkowie, właściciele niewielkiego gospodarstwa oddalonego niecały kilometr od Lewinów, mieli syna, którego koniecznie chcieli ożenić. A ponieważ Stefana Koniuszkę zajmowało jedynie picie piwa i gorzałki, stara Koniuszkowa postanowiła wziąć sprawy w swoje ręce i wyswatać pierworodnego.

Ciągle podchmielony Stefan o słoniowatych nogach i nieświeżym oddechu nie był szczytem marzeń Anny Lewin o dorodnym zięciu, ale Koniuszkowie mieli większe gospodarstwo, kilka krów więcej i lubili Hanke, która była zawsze uczynna i grzeczna.

– Czas chyba pomyśleć o jakichś zrękowinach – stanowczo odpowiedziała Anna Lewin.

Póki swaty kończyły się na dziwnych uśmiechach i towarzyskich komentarzach, Hanka ignorowała je. Nawet przez chwilę nie pomyślała, że mogłaby zostać żoną Stefana. Nawet go nie lubiła, bo był obcesowy, głupi i wiecznie niedomyty.

– Nie ma mowy, mamó!

– Poskarżę się ojcu – wycodziła matka.

– Możesz się poskarżyć nawet samemu proboszczowi. Nie wyjdę za niego, choćbym miała starą panną zostać, choćbym miała się pod lokomotywę rzucić – prawie wyłkała.

– Głupia jesteś, Hanka. Wciąż wzdychasz do tego pejsaka, Mosela. I co, myślisz, że stary pozwoli Jakubowi na ożenek z tobą? – Lewinowa pogardliwie wydeła wargi i dodała: – Lepiej się szybko namyślaj, bo Stefek wiecznie czekać nie będzie, a ty skończysz jak Bolkowa, co na stare lata z tego staropanieństwa zwariowała i teraz majtki nad stawem młodym chłopakom pokazuje.

– Wolę pokazywać majtki obcym niż temu pijaczynie bez charakteru – odcięła się Hanka. – Zresztą dzisiaj do Chełmickich idę.

– Po co tam leziesz? – Twarz Lewinowej spochmurniała jeszcze bardziej. – Podobno tam roboty dla ciebie nie ma.

– Śpiewać będę na przyjęciu – z dumą odpowiedziała Hanka.

– Zapłacą ci chociaż? – zaciekała się matka.

– Nie wiem... – bąknęła, zmieszana. – Nie pytałam o pieniądze.

– Oczywiście! Jak jesteś na naszym utrzymaniu, to cię takie sprawy nie zajmują – złośliwie odpowiedziała Lewinowa i zakasłała.

Widząc jednak, że nic tymczasem nie wskóra, odeszła bez słowa. Mimo niechęci Hanki do poczynań matki martwiła się o nią. Anna Lewinowa kaszlała coraz mocniej i częściej, z trudem znosiła wszelki wysiłek, a jej niegdyś rumiana twarz nabrała woskowego kolorytu. Wraz z ojcem usiłowali namówić ją na wizytę u doktora, ale Lewinowa zbywała ich machnięciem ręki i tekstem: „Samo przyszło, samo pójdzie”. Początkowo również tak uważali, uznając, że to najnormalniejsze przeziębienie, ale czas mijał, a uporczywy kaszel, niestety, nie.

– Naprawdę będziesz śpiewać u Chełmickich? – zapytała z ekscytacją i jednocześnie niedowierzaniem Alicja. – Czy nabujałaś matce, żeby cię do Stefka nie ciągnęła?

– Naprawdę. Antoni Chełmicki poprosił, żebym zaśpiewała na przyjęciu. Mają nawet fortepian i ktoś z rodziny będzie mi przygrywał – z dumą odpowiedziała Hanka.

– Zazdroszczę ci – westchnęła Alicja i roześmiała się. – A tancerki nie potrzebują?

– Nie mają takiego dużego salonu. – Hanka również się roześmiała i dodała: – Ale byłabyś blisko Juliana...

– Zapomnij o Julianie – stanowczo odpowiedziała Alicja. – On jest beznadziejnie zakochany. Niestety, nie we mnie, tylko w Adriannie Daleszyńskiej...

– Przykro mi – mruknęła niepewnie Hanka.

Postanowiła tym razem nie pocieszać przyjaciółki, bo wiedziała, że jeśli Alicja wypowiedziała te słowa z taką pewnością w głosie, to musiała w jakiś drastyczny sposób nabrać podobnego przekonania.

\*\*\*

Julian Chełmicki przemierzał wolno alejkę parku okalającego jego rodzinny dom. Obok niego szła Adrianna Daleszyńska. Podobała mu się i cieszył się, że kojarzono ją jako jego partię, a w przyszłości żonę. Nie mówili zbyt dużo, ale to nie miało dla Juliana znaczenia. Wciąż zastanawiał się nad tym, jak wygląda drobne ciało Adrianny pod elegancką sukienką. Pozwalała mu na niezbyt wiele. Dotknięcie dłoni, muśnięcie warg, od czasu do czasu czuły uścisk to był ich cały kontakt fizyczny. Tymczasem koledzy w szkole opowiadali niestworzone historie o swoich podbojach. Widywał też fotografie rozneglizowanych dam, bezwstydnie pokazujących ramiona, uda, a nawet gołe piersi. Te czarno-białe zdjęcia, nieco już sfatygowane i nadgryzione zębem czasu, krążyły po Chełmicach wśród młodych

chłopaków. Za dwa grosze każdy mógł popatrzeć na wyuzdane kobiety w mocnym makijażu, niemal cyrkowym, owinięte jedynie boa albo w barchanowych majtkach zakończonych koronką. Niektóre z nich były kompletnie nagie, leżały na zmierzwionej pościeli albo atłasowych narzutach i rozpały chłopięce żądze. Kiedyś i jego zagadnęli, czy nie chciałby wyasygnować pięciu groszy na obejrzenie frywolnych obrazków. Wiadomo, dla niego stawka była większa, ale stać go było, żeby wydać równowartość pół litra mleka, aby sprawdzić, o czym szeptało w miasteczku. Oczywiście, po obejrzeniu udawał znudzonego i zawiedzonego, ale w duchu musiał przyznać, że owe erotyczne fotografie pobudziły jego zmysły. Nagie kobiety nie mogły się jednak równać z jego piękną Adrianną, która dumnie szła przy jego boku, ale cóż z tego, skoro te części jej ciała, które chciał oglądać, były poza zasięgiem jego wzroku.

– Co sądzisz o moich przyjaciółkach, Adrianno? – zagadnął, by odpędzić myśli od pokus, które oferowała jego towarzyszką.

– Walter von Lossow robi bardzo dobre wrażenie, jest prawdziwym dżentelmenem i inteligentnym młodym człowiekiem, ale Igor Łyszkina ma zadatki na bolszewika – odpowiedziała. – Patrzy na wszystkich jak jakiś barbarzyńca.

Julian uśmiechnął się pod nosem. Dla Adrianny każdy Rosjanin był bolszewikiem, a każdy bolszewik barbarzyńcą. W istocie Igor nie poszedł w ślady ojca i z pogardą patrzył na właścicieli ziemskich, przemysłowców i innych wyzyskiwaczy klasy robotniczej. Był jednak dobrze wykształconym człowiekiem, studiującym w Wojskowej Akademii Inżynieryjnej w Leningradzie. Ku rozpaczy ojca, bo była to typowa szkoła mająca umacniać Armię Czerwoną i nowy system Związku Radzieckiego. Igor jednak uparł się i pragnął wrócić do kraju przodków, gdzie szalały idee bolszewizmu, zarażając młodych ludzi niczym czarną ospą. Tymczasem stary Łyszkina wciąż mieszkał w Polsce, gdzie w czasie zaborów prowadził rozliczne interesy, mimo wysokich apanaży wojskowych. Pomógł mu w tym ożenek z polską szlachcianką, Marią Dybowską. Jako biznesmen i żołnierz armii carskiej ze smutkiem patrzył na rewolucyjne przemiany w swoim kraju i dziękował Bogu za zesłanie mu żony mieszkającej w kraju rządzonym przez piłsudczyków. Chociaż było to wielce niepatriotyczne, gdy wybuchła wojna polsko-bolszewicka, trzymał stronę Polaków, bo najbardziej przerażały go rządy czerwonych potworów. Nie mógł jednak nic poradzić na to, gdy jego syn wygłaszał poglądy niczym zagorzały komunista. Woził go więc po świecie i po domach zamożnych znajomych, zapoznawał z najpiękniejszymi dziewczętami z porządnymi domów w nadziei, że dostatnie życie i blichtr wielkiego świata zawrócą go z drogi, na którą chciał wejść.

Igor poddawał się zabiegom ojca, ale gdy tylko wracał do Leningradu, wsiąkał w nowy system, który mamił ludzi równością społeczną i sprawiedliwością dziejową. Uczestniczył w zebraniach Komso-mołu i wyjeżdżał na Wielkie Budowy Socjalizmu, między innymi do Magnitogorska, gdzie z podobnymi do niego zapaleńcami budował nowy kraj. Nowocześnie, silny i mogący stanowić przykład, że rozwój przemysłu czy komunikacji może odbywać się bez kapitału prywatnego, a wszystko stanowić wspólną własność. Z niesmakiem odnosił się do nadętych przyjaciół ojca, którzy kupowali co pół roku nowy model samochodu albo kolejną posiadłość, gdy tymczasem ludzie u nich pracujący nie umieli czytać i pisać, bo ich rodziców nie było stać, by wysłać dzieci do szkół. Nie mógł zrozumieć tych podziałów społecznych, gdzie jeden cierpi z obżarstwa albo wyrzuca wiktuały, gdy tymczasem inny choruje na szkorbut i gruźlicę z powodu niedożywienia i kiepskich warunków bytowych. Kochał jednak rodziców i nie stał się ich wrogiem, bo wybrali inną drogę i odmienny system wartości. Lubił też niektórych ich znajomych i nie ział nienawiścią do obcych, ale gdy słyszał napuszone rozmowy o kolejnym interesie albo o zbytkach, które nikomu do niczego nie były potrzebne, zaciskał zęby i odchodził, samotnie paląc papierosy albo popijając herbatę, która, chociaż dobra, nie mogła równać się z tą rosyjską, zaparzaną

w samowarze przez jego babkę.

Z młodych osób przebywających w majątku Chełmickich Igora najbardziej irytowała niejaka panna Adrianna. Nadęta do granic możliwości dama, która uważała, że uroda i nazwisko są wystarczającymi powodami do prowadzenia próżniaczego trybu życia, kosztem chłopstwa i biedoty. Gdy dawała moniaka żebrakowi, robiła przy tym minę, jakby była królową świata, która w swojej łaskawości i przyplwywie dobrego humoru obdarowuje jałmużną głupich poddanych.

Jeśli chodzi o Chełmickich i ich towarzystwo, Igor tolerował jedynie młodego Juliana, który zdawał się zdystansowany zarówno do siebie, jak i do otaczającego go bogactwa. Lubił sypać niczym z rękawa dowcipami, łowić ryby ze starej łódki i opowiadać o kobiecych piersiach. Sprawy zakupów kolejnych koni czy antyków w ogóle go nie obchodziły. Lubił też von Lossowa, który kochał po prostu dobrą zabawę i zdawał się nie przejmować kompletnie niczym.

Na tematy polityczne zaś w domu Chełmickich się nie rozmawiało wcale, gdyż zaproszeni goście pochodzili z innych krajów. Mieszane towarzystwo Niemców, Francuzów, Anglików czy Rosjan miało podkreślać kosmopolityczny charakter spotkań, a z uwagi na wciąż napiętą sytuację w Europie starano się pewne kwestie omijać szerokim łukiem. Polska stawała się coraz silniejszym krajem, nadrabiając straty wynikające z grabieży zaborców, pierwsza euforia z odzyskania niepodległości minęła i Polacy chcieli się bawić, rozwijać biznes, a nie zajmować się kontrowersyjnymi sprawami Europy i awanturami w polskim sejmie. Pragnęli bez kompleksów być na równi z tymi, którzy niepodległości nigdy nie stracili, a jeśli przeżywali kryzysy, to na własne życzenie. Nie było sensu już rozpamiętywać, że przez odchodzących zaborców Polska została ogołociona niemal ze wszystkiego. Wbrew pozorom działania typowo wojenne stanowiły jedynie pięć procent wszystkich strat. Teraz jednak kraj kwitł, rozwijał się, w stolicy królowały kabarety i kawiarnie artystyczne, kręcono lekkie komedie. Kobiety żywiej interesowały się modą i premierami kinowymi, zaś mężczyźni woleli spędzać czas na dancinach i wyścigach konnych, będących właściwie sportem narodowym.

Antoni Chełmicki wpisał się w ten nurt, rozwijając swoje interesy nie tylko w kraju, ale także za granicą. Nie miał żadnych szczególnych uprzedzeń, chciał tylko zarabiać pieniądze. Korzystał ze swojego statusu materialnego, nabywając eleganckie i modne przedmioty, podróżując po świecie i inwestując w edukację swojego jedyne go syna. Rzadko rozprawiał o polityce, a jeśli to czynił, rozważał owe fakty poprzez pryzmat gospodarki i rynkowych trendów. Miał nadzieję, że Julian połknie bakcyła i będzie w przyszłości równie skutecznie pomnażał rodzinny majątek.

W przeciwieństwie do Igora Łyszki młody von Lossow był przedstawicielem nowoczesnej młodzieży zachodnioeuropejskiej. Wychowany w Wielkopolsce, w ogromnym majątku ziemskim, uznawał wojny i swary polityczne za niepotrzebne i bezsensowne. Sądził, że szczęśliwy naród to zamożny naród i jedynie rozwój gospodarczy gwarantuje stabilność państwa i zadowolenie społeczne. Według niego Niemcy zawdzięczały Hitlerowi bardzo wiele, ale jego dyktatorskie zapędy, ksenofobię i nacjonalizm uważał za równie pochylą, która może się zakończyć kolejną wojną. A to była ostatnia rzecz, jakiej potrzebowała Europa. Było tyle krajów do podbicia, nieznanymi terenami w wielu zakątkach świata, pełnych bogactw naturalnych i na wpół dzikich ludzi, którzy nie wiedzieli, jak je wykorzystać. Jak niegdyś Wielka Brytania, Niemcy również mogłyby poszukać szczęścia na rubieżach Afryki czy Dalekiego Wschodu, zamiast wymachiwać palcem sąsiadom. Dlatego Walter studiował w Paryżu, mieście frywolnym i otwartym, gdzie rozwijała się kultura i sztuka, a nie nacjonalistyczne manifesty. Lubiał też bywać w Chełmicach, gdzie myślano podobnie, a młodzież stawiała raczej na dobrą zabawę aniżeli dyskusje światopoglądowe.

Julian i Adrianna powrócili do dworku, bo zbliżała się pora kolacji. Była to również główna uroczystość tego dnia, będąca jednocześnie przyjęciem urodzinowym starego Chełmickiego. Służba uwijała się wokół ogromnego, długiego stołu, szcękając sztućcami, dźwięcząc kieliszkami i stukając porcelanową zastawą z monogramami rodowymi.

Goście siedzieli w rattanowych fotelach na tarasie albo przechadzali się po ogrodzie w pobliżu domu, czekając na dźwięk kryształowego dzwoneczka, którym to zapraszano do stołu. Zapachy dochodzące z kuchni i odgłosy dobiegające z jadalni, która szerokimi drzwiami połączona była z obszernym salonem, sprawiły, że gościom zbierała się w ustach ślina, a brzuchy bulgotały niespokojnie, jak gdyby domagały się spożycia tych rarytasów, które przygotowywała od rana Ludmiła. Marynowane ziołami mięsa, rosół z tłustej kury, pieczone kurczaki i tłuczone ziemniaki były świetnym podłożem pod wypijane przy stole trunki. Zwieńczeniem kolacji miał być ogromny, piętrowy tort z maślanym kremem i napisem „100 lat”. Okazjonalny napis był neutralny z uwagi na kompleks jubilata, który wciąż miał żelazną kondycję, cieszył się dobrym zdrowiem, lubił otaczać się młodymi kobietami i nieco wstydził się swojego zaawansowanego wieku.

\*\*\*

Gdy w dworku szykowano przyjęcie, kilka kilometrów dalej, w domu Lewinów, Hanka upinała elegancki kok. Najchętniej wycisnęłyby modne fale, ale nie miała żelazka do włosów ani specjalnych klipsów, które kobiety zakładały na noc, na mokre jeszcze pasma. Spały następnie w tych metalowych hełmach, które przy każdym poruszeniu wbijały się w ich głowy, powodując dyskomfort i bolesny ucisk. Hanka także byłaby gotowa na takie poświęcenie, ale, niestety, nie posiadała klipsów. Siedziała więc przed toaletką z potrójnym lustrem, która oprócz rzeźbionej komody była najbardziej luksusowym meblem w ich domu, i misternie układała włosy. Pomyślała, że dobrze byłoby mieć jeszcze jeden przyrząd, ale było to coś tak niesamowitego i niedawno opatentowanego, że jego sława nie dotarła nawet do Warszawy. Przeczytała w gazecie o zalotce do rzęs, która niesamowicie je podkreślała i nadawała oczom łabędziego wdzięku. „Pomysłodawca, William McDonell, musiał po prostu kochać kobiety” – pomyślała z westchnieniem Hanka, która nie posiadała w swoich zasobach nawet pudru. Jedynym jej kosmetykiem była stara szminka po matce, która była tak zużyta, że jej resztki Hanka musiała wydłubywać zapałką.

Po skończeniu fryzury pomalowała usta i uszczypnęła się kilka razy w policzki, aby nabrały rumianych barw. Tak przygotowana wyszła z pokoju do kuchni, gdzie przebywali wszyscy. Ojciec palił papierosa, matka tłukła ziemniaki w żeliwnym saganie, a Emil leżał na kozetce, wpatrzony w obraz świętej Rity, upstrzony czarnymi kropkami owadzich odchodów. Czekał na kolację i próbował oszukiwać żołądek, który domagał się stawy. W tak wielkie święto matka ucięła kawał słoniny i usmażyła skwarki jako omastę. Ich zapach roznosił się po chałupie, potęgując głód. Jeszcze kilka dni temu Emil planował, że po kolacji pójdzie do Chełmic na piwo i tańce, ale ostatnie wydarzenia sprawiły, że nie miał na nic ochoty.

– A co żeś się tak wystroiła jak dziedziczka? – zapytał złośliwie brat, widząc stojącą w drzwiach kuchni Hanke.

– Do dworu idzie śpiewać staremu Chełmickiemu – mruknął Ignacy. – Za wysokie progi na twoje nogi, Hanka. Lepiej zakręć się porządnie koło Stefka, zanim inna go do ołtarza zaciągnie.

– Przecież ona do tego pejsaka wzdycha – ze wzgardą powiedział Emil.

– On nie dla niej – krótko podsumowała matka, żeby zakończyć temat.

– Prędeż bym zabił, niż bym jej rękę Żydowi oddał – warknął Ignacy. – Ma pójść za Stefka, bo lepszej partii nie znajdzie w okolicy.

– Nie wyjdę za Koniuszkę – stanowczo odpowiedziała Hanka. – Nawet gdybyś miał mnie zabić.

– Tyś chyba dawno mojej dyscypliny nie wężała. Powiadam ci, jak za pejsatego zechcesz wyjść, z domu wypędzę i jeszcze psami poszczuję.

– On i tak jej nie chce. Cebulak ożeni się z cebulakową – złośliwie dodał Emil.

Hanka ze złością popatrzyła na brata.

– A ty myślisz, że ta twoja panna Adrianna to ciebie chce? Może i nie Żydówka, a i tak na ciebie nawet nie spojrzę, tylko za Julianem wodzi oczami – odcięła się.

– Lepiej kosza od panny Daleszyńskiej dostać niż od pejsaka Mosela. – Emil nie był dłużny siostrze.

– Przestańcie się kłócić. Na swary się wam zebrało. Ty, Emil, masz czas na żeniączkę, a Hanka wyjdzie za Koniuszkę. Zrękowiny w przyszłym tygodniu i nie ma co gadać. Jakieś miłości sobie powymyślali! Za dużo teraz w tym kinie głupot pokazują, a tu trzeba przeżyć, najęść się do syta i mieć dach nad głową – mruknęła Anna Lewinowa.

– Muszę już iść, spóźnię się na występ u Chełmickich, a to przecież nie wypada – powiedziała po cichu Hanka, nie chcąc kontynuować tematu.

Opuściła dom i ruszyła Wierzbową Drogą, jak ją nazywali chełmiczanie, do majątku. Zastanawiała się, co zrobi, gdy nadejdzie dzień, kiedy matka siłą ją zaciągnie do Stefana. Mógł jej Jakub nie chcieć, ale małżeństwo z Koniuszką wydawało się końcem świata. To byłby dzień, gdy wszystkie marzenia musiałyby wyrzucić na śmietnik.

Pogrążona w myślach, nie zorientowała się nawet, kiedy dotarła do dworku, skąd dobiegały muzyka, śmiechy i głośne rozmowy. Zapukała do głównych drzwi, uznając, że nie jest na służbie, żeby dobijać się do kuchennego wejścia. Lokaj bez żadnych grymasów wpuścił ją do środka i Hanka Lewin znalazła się w salonie Chełmickich. Na jej widok głosy zamilkły i wszyscy przypatrywali się jej, nie wiedząc, skąd przyszła i kim jest. Antoni Chełmicki wstał od stołu i podszedł do Hanki.

– A to nasz lokalny talent. Posłuchajcie tylko, jak śpiewa. Ordonka mogłaby się zawstydić. Heleno... – Antoni zwrócił się do jednej z kobiet. – ...siadaj do fortepianu.

Helena Ducret była ekscentryczną kobietą, która kilka lat temu powróciła z Paryża po nieudanym małżeństwie z równie ekscentrycznym pieśniarzem. Z tego wielkiego i pięknego miasta przywiozła francuskie nazwisko, kilka ekstrawaganckich sukien i skandaliczne obyczaje. Była ciekawą osobowością, którą Antoni ściągał z Warszawy, by swoimi postępowymi, jak na owe czasy, poglądami urozmaicała przyjęcia i spotkania. Krążyły plotki o jej licznych kochankach, wyuzdanych stosunkach z kobietami i kawiarnianym życiu w stolicy. Musiało coś być na rzeczy, bo Helena nie pracowała, z Francji powróciła splukana bardziej niż kurz z tarasu w Chełmicach, a jednak stać ją było na ciągle podróże po Europie, sobolowe futro i siedmiopokojowe mieszkanie w warszawskiej kamienicy przy Wspólnej.

– Co byś chciała zaśpiewać? – zapytała Helena, gdy przeszły do części salonu, w której stał fortepian.

– *Rozkwitają pąki białych róż*... – powiedziała niepewnie Hanka.

– O, mój Boże, to takie niedzisiejsze. – Helena roześmiała się cicho. – Może *Uliczkę w Barcelonie*? To teraz największy przebój Ordonki. Znasz?

– Kto by nie znał? – Uśmiechnęła się.

Lubiła piosenki Hanki Ordonówny, sądząc, że posiadanie takiego samego imienia może stanowić



rodzaj memento, nawet jeśli owo było jedynie pseudonimem artystycznym słynnej diwy.

Po krótkiej rozmowie Helena Ducret zasiadła do fortepianu, a Hanka kolejny raz uszczypnęła się w policzki, chcąc sobie dodać kolorków. Zaczęła śpiewać. Goście patrzyli z zachwytem na Hankę i wsłuchiwali się w jej nieco chrapliwy, ale czysty i dźwięczny głos. Po piosenkach Ordonki przyszedł czas na kolejne szlagiery, po których w salonie Chełmickich rozbrzmiewały oklaski, a goście chcieli słuchać więcej i więcej. Wciąż rzucano propozycje kolejnych utworów, które Hanka wykonywała z entuzjazmem, niekiedy a cappella, gdyż Helena Ducret nie potrafiła ich zagrać.

Tylko jeden człowiek obecny na przyjęciu nie rzucał pomysłów dotyczących kolejnych piosenek. Siedział wpatrzony w Hankę i pierwszy raz w życiu poczuł przyśpieszone bicie serca. Nie wiedział, czy sprawił to jej głos, czy jasne oczy otoczone ciemnymi rzęsami i idealnymi łukami brwi. A może to były drobne usta układające się w kształt serca, gdy śpiewała. Zastanawiał się, kim była owa dziewczyna w skromnej, ale ładnej sukience, sfatygowanych pantoflach, białych skarpetkach i z kwiatkiem rumianku wetkniętym w upięty kok. Igor Łyszkin na kilka godzin przestał myśleć o bogatych dziedzicach i ubogich chłopach, o nowych inwestycjach, które budowali młodzi, dzielni komsomolcy, ale wpatrywał się w Hankę i słuchał jej jak zahipnotyzowany. Musiała być dziewczyną z nizin, jedną z tych, których talent zniknie wśród łanów zbóż i szumu lasów, bo są zbyt ubogie, by zainwestować w rozwijanie swoich umiejętności i jedynie łaska jakiegoś bogacza sprawi, że ktokolwiek inny będzie mógł usłyszeć jej piękny głos. Prezentowana niczym mała małpka w cyrku, odejdzie w zapomnienie w kolejnym sezonie, bo pojawi się inny ciekawy okaz.

Gdy Hanka skończyła swój recital, Helena Ducret wyszła z nią do ogrodu i zagadnęła:

– Masz wielki talent, moja droga. Szkoda, żebyś się marnowała na prowincji. Znam w Warszawie wiele wpływowych osób, bywam w słynnych kawiarniach i kabaretach, mogłabym ci ułatwić start w stolicy. Przyjedź do mnie, do Warszawy, skontaktuję cię z niejakim Baroczym, impresariem wielu wschodzących gwiazdek. Pomaga im w angażach, załatwia mieszkania i ułatwia stosunki z ważnymi ludźmi. Nie zawsze jest lekko i nie mogę ci obiecać, że będziesz drugą Ordonką czy Zimińską, ale może warto spróbować? Cóż cię tu czeka, moja droga?

Po chwili ktoś przywołał Helenę. Odwróciła się jeszcze do Hanka i wręczyła jej bilecik wizytowy, po czym poklepała delikatnie po ramieniu.

– Muszę wracać do towarzystwa, bo już mnie atakują, że ich zaniedbuję, ale ty, moja droga, poważnie rozważ moją propozycję.

Piękna Helena Ducret odeszła w stronę stojącej nieopodal grupki osób, w jedwabnej sukni, ponętnie kręcąc biodrami i śmiejąc się gardłowym głosem. Hanka została sama i przez chwilę patrzyła na białą wizytówkę ze złotymi literkami. Miała zamiar dokończyć wręczony jej przez kelnera kieliszek szampana i opuścić dom w Chełmicach. Wiedziała, że tej nocy nie zmruży oka, zastanawiając się nad czekającą ją karierą albo upadkiem. Słyszała wiele ponurych opowieści o prostych wiejskich dziewczynach, które w poszukiwaniu lepszego życia wyjeżdżały do Wilna czy Warszawy, by potem kończyć na ulicy. Wyklęte przez rodzinę, zhańbione przez licznych kochanków, nie miały gdzie się podziać, gdy mijała uroda i te kilka chwil chwały, dzięki którym zabłysnęły jasnym, chociaż szybko wygasłym światłem. Z drugiej strony przyszłość w Chełmicach była równie niepewna. Jakub Mosel miał małe szanse, żeby zostać jej mężem, a Stefan Koniuszko nie był w stanie go zastąpić. Jakie życie czekałoby ją przy boku mężczyzny, do którego nie czuła nawet szacunku. Jej matka wiodła teraz życie z kaleką i osobnikiem gwałtownym, a niekiedy zgorzkniałym, ale ojciec był niegdyś przystojnym, jurnym mężczyzną o dobrym sercu i Anna Sobala chociaż przez kilka lat mogła poczuć smak prawdziwej miłości. Tymczasem

Stefan nie miał w sobie niczego, co mogłoby nawet na chwilę ją zauroczyć.

Jej rozważania przerwał nieznajomy.

– Dzień dobry – powiedział dość ładną polszczyzną. – Piękny występ. Nazywam się Igor Łyszkin.

– Hanna Lewin. – Uśmiechnęła się nieznacznie i wyciągnęła w kierunku Igora drobną dłoń, po czym dodała: – Bardzo panu dziękuję.

– Nie mów do mnie „pan”. – Roześmiał się – W Związku Radzieckim już nikt tak nie mówi.

– Jest pan bolszewikiem? – z przestachem zapytała Hanka.

– Wy, Polacy, uważacie nas za prostaków i barbarzyńców. Jak widać, w towarzystwie też umiemy się zachować – mruknął, nieco sarkastycznie, Łyszkin. – Niech się pani nie obawia, nie jestem sowieckim szpiegiem. Przyciągnął mnie tu ojciec, który, niestety, opowiada się po stronie burżuazji. Ale to jednak ojciec i nie mogę nic poradzić, że wybrał drogę kapitalizmu i nierówności społecznych.

– Nie znam się na polityce – bąknęła Hanka.

– A szkoda, bo kobiety w proletariacie są na równi z mężczyznami. Nie ma biednych i bogatych, wszyscy żyją tak samo i jeśli cokolwiek robią, czynią to dla wspólnego dobra. Dlaczego Chełmiccy żyją otoczeni luksusami, a ciebie zapewne nawet nie stać na nowe buty? To niesprawiedliwe – odpowiedział Igor.

Hanka zmieszała się nieco, spuszczać wzrok na swoje zniszczone pantofle, które tak bardzo chciała ukryć przed ludźmi.

– Przepraszam. Nie chciałem cię urazić. Nie musisz się wstydzić – zreflektował się młody Łyszkin. Zdał sobie sprawę, że dla młodych dziewcząt to wciąż musiał być problem: strój, sposób wysławiania, różnice w edukacji. Hanna Lewin zapewne miała kompleksy w stosunku do bogatego towarzystwa.

– Nie mam się czego wstydzić! – wybuchła. – Nie kradnę, nie zabijam i nie cudzołożę.

Igor Łyszkin pomyślał, że nie udał mu się ten pierwszy w życiu podryw. Wyrzucał sobie, że kolejny raz wychylił się ze swoimi poglądami. A przecież akurat tym razem chciał dodać otuchy tej młodej kobiecie, która musiała się czuć niczym uboga krewna na przyjęciu wydawanym przez bogatą rodzinę. Zaproponował, że odprowadzi ją do domu, ale odmówiła. Grzecznie, ale wystarczająco stanowczo, żeby ostudzić jego zapędy.

Wyszła z domu Chełmickich żegnana niczym objawienie i szczęśliwa ruszyła w stronę domu. Było dość późno, rodzice zapewne już spali, ale postanowiła, że jeszcze tam nie wróci. Skierowała się w stronę Chełmic i domu swojej przyjaciółki, Alicji. Chciała porady, co dalej powinna zrobić ze swoim życiem, a przede wszystkim miała ochotę opowiedzieć komuś o tym ekscytującym wieczorze.

Tymczasem w domu Chełmickich odbywały się tańce, piło się więcej alkoholu niż zazwyczaj i panowała frywolna atmosfera, uświetniana opowieściami Heleny Ducret o mrocznej bohemie artystycznego Paryża. Julian przytulał w tańcu Adriannę, chcąc poczuć miękkość jej piersi, Walter von Lossow przygrywał na fortepianie, myląc się co kawałek, a Igor Łyszkin siedział posepny w rattanowym fotelu na tarasie i pił wódkę. Im bardziej szumiało mu w głowie, tym większą czuł wściekłość na siebie za niewykorzystanie szansy, jaką było nawiązanie znajomości z Hanką Lewin. Już teraz nie będzie miał okazji, żeby ją spotkać, a za nic w świecie nie pozwoli się zaciągnąć do kościoła, gdzie modlono się do ścian i obrazów.

Nagle Igor usłyszał śmiechy i rozmowę kilku osób. Pewnie nie zwróciłby uwagi na kolejne opowieści z bujnego życia bogatej dziwki, jaką niewątpliwie była Helena Ducret, gdyby nie usłyszał

imienia, które tego wieczoru wryło mu się w serce.

– Mam nadzieję, że ta dziewczyna pójdzie po rozum do głowy i nie zostanie na tej swojej wsi. Jest ładna, ma talent, w Warszawie albo Wilnie miałyby szansę na karierę.

– Nie jest wykształcona, nie ma obycia, obawiam się, że skończy jako fordanserka i śpiewaczka do kotleta, uwodzona przez znudzonych urzędników średniego szczebla – odpowiedział Helenie stary Chełmicki.

– No tak, wiele z tych gwiazdek spotyka właśnie taki los, ale wprowadzę ją do towarzystwa i może trafi jej się jakiś bogaty protektor. – Helena znowu się roześmiała, co miało niewątpliwie oznaczać, że ów protektor po prostu zostanie jej kochankiem.

Łyszkinowi zrobiło się przykro. Ta Helena była niczym sutener sprowadzający świeży towar do Warszawy, aby jej rozpróżnieni znajomi mogli mieć kolejną zabawkę. Choćby gdyby udało się skusić Hankę na wyjazd do metropolii, wtedy i on miałby szansę zostać jej kochankiem. Był przystojny i miał bogatego ojca. A w Warszawie także potrzebowano ludzi szerzących idee, w które on tak bardzo wierzył. Mieli swoje przyczółki wśród polskich komunistów, a on dość dobrze władał językiem polskim.

Coraz bardziej pijany odpływał w otchłań marzeń o kobiecie, która jeszcze niedawno stała przy fortepianie i śpiewała. Był przekonany, że jeszcze kiedyś się spotkają.

– Łyszkin, stary druhu, chyba już całkiem omamił cię komunizm i przestałeś nas lubić. – Poczul dłoń Juliana Chełmickiego na swoim ramieniu.

– Nie, Julianie, po prostu wypilem za dużo i wietrzę umysł – odpowiedział zmieszany Igor.

– Może odprowadzę cię do pokoju i prześpisz się nieco? – zaproponował.

– My, Rosjanie, mamy mocne głowy do picia. Aż tak ze mną źle nie jest, żebym nie miał trafić do pokoju... – wybąkał. – Wracaj do swojej uroczej partnerki.

Julian przysiadł na oparciu fotela i powiedział cicho:

– Jest przepiękna, prawda?

– Tak... – przeciągnął sylabę Łyszkin. – Piękna i pusta, niczym porcelanowa lalka w waszej serwantce.

– W istocie, za dużo wypiełeś, Łyszkin – powiedział zde gustowany opinią kolegi Julian i wstał gwałtownie.

Igor pociągnął go za rękaw.

– Przepraszam, druhu. Ale lubię cię i nie chciałbym, żebyś pewnego dnia się obudził z poczuciem, że zmarnowałeś życie przez kobietę, która nie jest tego warta. No, ale nie moja sprawa – dodał ugodowo. – Jeśli tobie odpowiada panna Daleszyńska, kibicuję ci całym sercem.

Julian jednak był zły na kolegę i nic nie było w stanie go udobruchać. Adrianna miała nie tylko piękną twarz, ale i usposobienie anioła. Cóż z tego, że rzadko się odzywała albo oceniała ludzi na podstawie krążących stereotypów? Zapewne to jej skromność nakazywała jej powściągliwość w wypowiedziach, co było, zdaniem Juliana, bardziej frapujące niż na przykład gadatliwość i postępowość takiej Heleny Ducret.

\*\*\*

Hanka Lewin dotarła do miasteczka, gdy zapadł zmierzch. Czerwcowe noce były krótkie i dlatego pomyślała, że musi być już po dziesiątej. Stanęła przed kamienicą Rosińskich i zadarła głowę. Tak jak się spodziewała, w oknach było już ciemno, a dźwięki dochodzące z festynu – ciche i spokojne, co oznaczało, że teraz trwa tylko zabawa taneczna. Wiedziała, że zarówno matka Alicji, jak i ona sama nie

bawią na imprezie, więc podniosła z ulicy kamyk i rzuciła w narożne okno mieszkania. Pod nim właśnie stało łóżko jej przyjaciółki. Najwyraźniej Alicja nie spała, bo niemal natychmiast Hanka usłyszała skrzyknięcie otwieranego okna.

– Kto tam, u licha? – zapytała poirytowana Alicja.

– To ja, Hanka. Od Chełmickich wracam i muszę z tobą porozmawiać – odpowiedziała ściszym głosem.

– Wszyscy już śpią. Poczekaj, wezmę klucze od zakładu i tam pogadamy – równie cicho odpowiedziała Alicja.

Po chwili weszły do pomieszczenia, zapaliły lampę i usiadły na twardych krzesłach, otoczone manekinami, skrawkami materiałów i porozwieszanymi wokół prawie gotowymi sukienkami. Hanka opowiedziała o propozycji Heleny Ducret. Alicja pomyślała przez chwilę i westchnęła:

– Jedź, Hanka. Tutaj nic cię nie czeka, oprócz zapijaczonego Stefka Koniuszki. Tam przynajmniej będziesz miała szansę i zobaczysz trochę wielkiego świata. Gdyby mnie coś takiego zaproponowano, nie wahałabym się ani minuty.

– Boję się – wyszeptała.

– A nie będziesz się bała ze Stefkiem do wyrka pójść?

– Nie mów mi nawet o tym... Nie wyjdę za niego za żadne skarby świata. – Hanka wzdrygnęła się.

– No to, kochana, pakuj walizkę i jedź do Warszawy. Nie masz wyjścia – złowroźnie zakończyła Alicja.

Hanka wróciła do domu. Wszyscy już spali, więc tego wieczoru obyło się bez krzyków i awantur. Nazajutrz natomiast inne wydarzenie zdominowało życie Hanka. Jej matka zaniemogła zupełnie. Leżała w łóżku, mokra od potu, i wycierała z ust krwawą plwocinę. Przybyły lekarz nie miał dobrych wieści. Gruźlica najpewniej była już tak zaawansowana, że należało spodziewać się najgorszego. Gdy opuścili ich domostwo, a wyczerpana matka zasnęła, ojciec zrobił radę w kuchni.

– Matce potrzeba dobrze zjeść, a i lekarstwa tanie nie są. Wszystko, co mamy, musimy wydawać na Ankę, bo inaczej źle z nią będzie. Tobie, Hanka, trzeba za męża jak najprędzej pójść, a ty, Emil, musisz iść do dworu i o robotę Chełmickiego przebłagać. Niech chociaż ze dwadzieścia złotych tygodniówki da. Ja przypiszę Hance dwie morgi z tego pola pod lasem jako posag i niech za Stefana idzie – zawyrokował ojciec.

Hanka poczuła, jakby właśnie ziemia się rozstąpiła, a ona wpadła w jej otchłań. Piękne fantazje o karierze pieśniarki właśnie rozplynęły się we mgle. Najgorszy scenariusz, jaki mogła sobie wyobrazić, właśnie zaczął się realizować. Małżeństwo z odpychającym Koniuszką, umierająca matka i ojciec kaleka. I brat, który tylko szukał sposobności, żeby wyrwać się z domu i robić wszystko, byle nie wiązało się to z ciężką pracą. Poczuli się tak, jakby nagle ogromny ciężar spadł na jej ramiona, niweczając plany i niszcząc marzenia.

Gdy Anna Lewin obudziła się po krótkiej drzemce, zawołała do siebie Emila.

– Emilek – powiedziała słabym głosem – jak Hanka z ojcem pójdą w pole, przyjdź do mnie. Muszę ci coś powiedzieć.

Tak też uczynił. Gdy tylko pozostali mieszkańcy opuścili dom i wyruszyli w pole, wziął taboret z kuchni i przycupnął przy matce. Wolał być przy niej niż na rozgrzanym od słońca polu, poza tym uważał, że matka jest jedyną osobą na tym podłym świecie, która go kocha. Jego, właśnie jego. Drobego złodziejaska i obiboka. Nie wyobrażał sobie, że może jej nagle zabraknąć. Przeczował, że gdy odejdzie,

ojciec któregoś dnia go zatłucze na śmierć albo on zabije ojca. Nie żywił bowiem do niego żadnych ciepłych uczuć. Miał wrażenie, że stary Lewin nienawidzi go, bo syn nie chce być taki jak on. Emil pragnął od życia czegoś więcej niż strawa dwa razy dziennie i praca od rana do wieczora.

– Emilek... – zaczęła cicho Anna. – Jak twój ojciec był w Legionach, ja pracowałam u Chełmickiego. Prałam mu odzież, krochmaliłam i maglowałam. Pewnego dnia przyszedł do mnie, do pralni, i powiedział, że jestem bardzo piękna. Wiesz, byłam kiedyś ładna...

– Wiem, mamu. Wszyscy w Chełmicach mówią, że ładniejszej dziewczyny w całej okolicy nie było – wydukał, połykając łzy, bo z urody jego matki nie pozostało nic, a choroba wyniszczyła ją jeszcze bardziej niż ciężka praca.

– Powiedział, że zakochał się we mnie i że da mi wszystko, co dusza zapagnie... – Anna Sobala męczyła się nawet mówiąc.

Emil milczał, czekając, aż matka odpocznie i skończy swoją opowieść.

– Niewiele mi dał... Tylko z dworu wygonił. Jedyne, co mi po nim zostało, to ty. Więc teraz myślę, że dał mi wiele. Emilek, tyś nie syn Lewina, tylko hrabiego Chełmickiego. W tobie płynie lepsza krew i zasługujesz na coś więcej niż takie podłe życie. Gdy mi o tym powiedziała, wyparł się ciebie, ale dał mi trochę pieniędzy. Kupiłam za to parę sztuk złota i dobrzem zrobiła, bo przyszedł czas, że mogłabym sobie za te pieniądze jedynie bochenek chleba kupić. Jak umrę, a to pewnie niedługo nastanie, idź do ziemianki i znajdź kamień. Jeden duży tam leży, nie kazałam go ruszać Hance, a Ignasz, jak wrócił bez nóg z wojny, i tak tam nie schodził. Pod kamieniem znajdziesz woreczek ze świecidełkami. Dużo tego nie ma, ale należy ci się po prawowitym ojcu. Zrobisz z tym, co zechcesz.

Emilowi odpłynęła krew z twarzy, gdy usłyszał, że nie jest Lewinowym synem, ale bogacza i szlachcica, Antoniego Chełmickiego. On był jego synem i Julian również, ale to ten drugi się kształcił w Warszawie, na koniach arabach wierzchem jeździł i spotykał się z jego miłością, Adrianną Daleszyńską. Nie był jednak zły, jakby można było przypuszczać, ale dumny, że ma krew szlachecką. Poczł jeszcze większą pogardę do człowieka, który go wychowywał różgami i wyzwiskami. Bardziej niż kiedykolwiek przedtem poczuł do ojca niechęć i zrozumiał, skąd u niego tęsknota za życiem lepszym niż to, które dotychczas było jego udziałem. Zawsze czuł przecież podskórną, że stworzony jest do innego świata.

Wyszedł do kuchni i wyjął z kieszeni kapoty papierosa. Zapalił i zaciągnął się dymem. Nie miał najmniejszego zamiaru iść w pole. Ani teraz, ani kiedykolwiek. Zamierzał natomiast pójść do starego Chełmickiego i upomnieć się o miejsce w jego życiu, należne mu jako synowi.

Tak Emil dotrwał do południa, ocierając czoło matce i pojąc ją ziołami, które miały wzmocnić jej organizm. Czł jednak, podobnie jak i ona, że koniec jej życia jest bliski.

Ojciec powrócił z pola dość szybko, bo i tak nie mógł pracować. Chciał jedynie wskazać miejsce, gdzie Hanka miała skosić siano. Był wściekły, że chłopak nie dołączył do nich, by pomóc siostrze.

– Czemuś, łajzo, nie przylazł na pole robić? – zapytał ostro i sięgnął po wiszącą na zardzewiałym gwoździu dyscyplinę.

– Nie waź się mnie tknąć, parszywy kuternego – wysyczał młody Lewin.

Twarz Ignacego poczerwiała ze złości.

– Ty mi nie będziesz, gówniarzu, mówić, co mam robić i jak chować swojego syna! – warknął rozwścieczony Lewin i znowu próbował sięgnąć do gwoźdźca.

– Rzecz w tym, kaleko, że nie jesteś moim ojcem i nigdy nim nie byłeś. – Emil odepchnął z impetem Ignacego.

– Tak, bękarcie, nie jesteś, ale dałem ci dach nad głową i jedzenie, więc musisz robić, co ci naka-

zuję – warknął stary Lewin i kolejny raz próbował dosięgnąć dyscypliny.

– Tak? A chcesz zobaczyć, jak ci za to podziękuję? Za

te wszystkie wyzwiska i cięgi, którymi mnie raczyłeś przez te wszystkie lata? Za upadanie mnie każdego dnia i wychwalanie Hanki? – Emil podszedł do kaleki i kopnął w jedną z drewnianych kul, która z hukiem gruchnęła o podłogę.

Ignacy zachwiał się, ale nie upadł, podpierając się z całych sił drugą kulą. Miał w oczach przeżenie. Emil był zdrowy, młody i silny, i właśnie dowiedział się, że mężczyzna, który okładał go różgą i wyzywał od świniopasów, głupków i śmierdzących łajnem leni, nie jest jego prawowitym ojcem.

Emila już nie dało się zatrzymać. Z całej siły popchnął Ignacego na żeliwną kuchenkę i usłyszał, jak ten uderza głową o jej rant. Stary Lewin osunął się na podłogę, przewracając cynowe wiadro z wodą i drewniany taboret. Z tyłu jego głowy zaczęła sączyć się krew i mieszając się z wylaną wodą, utworzyła na drewnianych deskach podłogi czerwoną kałużę.

Emil odwrócił się i zobaczył w drzwiach pokoju zapłakaną matkę opierającą się o framugę drzwi i z trudem stojącą na nogach.

– Emilek, synku, coś ty zrobił? Coś ty zrobił? – wyłkała.

\*\*\*

Pogrzeb starego Lewina odbył się na przykościelnym cmentarzu w otoczeniu kapłana, rodziny, kilku znajomych i lokalnych płaczek. Anna Lewin, z domu Sobala, stała podtrzymywana przez zapłakaną córkę i silnego syna. Była blada, chwiała się na nogach i z trudem łapała powietrze.

Emil Lewin nie poniósł kary za zabójstwo swojego ojca, bo Anna nie zdradziła nikomu, czego była świadkiem. Nie chciała, aby jej ukochany syn resztę życia spędził w więzieniu. Powiedzieli wszystkim, że stary uległ wypadkowi, przewracając się i niefortunnie uderzając w żeliwną kuchnię. Nikt nie negował tej wersji, w końcu Ignacy był kaleką, a nikomu nie przyszło do głowy, że do jego śmierci mógł przyczynić się chłopak, którego co prawda nie spłodził, ale wychował jak własnego. Nawet Hanka nie знаła prawdy. Śmierć ojca była dla niej szokiem, ale odwlekła na pewien czas jej matrymonialne plany i na czas żałoby powstrzymywała nieco zapędy Koniuszków.

Kilka tygodni później młodzi Lewinowie pożegnali także matkę, która tajemnicę śmierci Ignacego Lewina zabrała ze sobą do grobu. Tym razem jednak to Emil szlochał na pogrzebie, wściekły na starego Chełmickiego, że nawet w ciężkiej chorobie matki, o której szeptało całe miasteczko, nie zaproponował pomocy.

Tuż po pogrzebie, gdy rana po śmierci matki była jeszcze świeża, udał się do majątku Chełmickich. Przy bramie natknął się na elegancko ubranego Juliana, który prowadził po piaszczystej alejce konia do stajni.

– Dzień dobry – powiedział Emil. – Czy twój ojciec jest w domu?

– Witaj, Lewin – odpowiedział mu Julian. – Tak. Jest u siebie, w bibliotece.

Nie zapytał, po co Emil chce się spotkać z ojcem, ani też szczególnie nie zdziwił. Bardzo często młodzi chłopcy z okolicy przychodzili do starego Chełmickiego prosić o pracę albo jałmużnę.

– Przykro mi z powodu śmierci rodziców – ze współczuciem dodał Julian. – To ogromna strata dla ciebie i Hanki.

– Cóż robić... – westchnął Emil. – Tak widać Bóg chciał.

Pożegnał się kurtuazyjnie ze swoim przyrodnim bratem i ruszył w stronę domu. Powinien żywić do niego jakieś cieplejsze uczucia, bo płynęła w nich krew ich wspólnego ojca, ale w tym momencie czuł

jedynie zawiść. To Julian dostał wszystko, a on jedynie zmarnowane dzieciństwo i kilka świecidełek ukrytych pod kamieniem w ziemiance. Ale teraz nadszedł czas wyrównania niesprawiedliwości i miał nadzieję, że Antoni Chełmicki postara się nadrobić stracony czas.

– Mogę wejść i z panem porozmawiać? – Emil grzecznie zapytał Chełmickiego, gdy kamerdyner zaprowadził go do biblioteki.

– Tak, proszę, wejdź – mruknął Antoni, po czym dodał to samo, co kilka minut wcześniej jego syn, Julian: – Przykro mi z powodu śmierci twojej matki i ojca. To byli porządni ludzie, uczciwi i pracowici. Jak mogę ci pomóc po tej głębokiej stracie?

– Obaj wiemy, że Ignacy Lewin nie był moim ojcem – powiedział spokojnie Emil.

– Nie pleć głupstw i nie powtarzaj plotek – obruszył się Chełmicki.

– I tylko tyle masz mi do powiedzenia... ojcze? – wycodził Emil.

– Nie jestem twoim ojcem, nie wierz we wszystko, co mówią – wydukał, lekko zmieszany.

– Nie wierzę ludziom... Ale swojej matce chyba mogę?

– Czego chcesz? – warknął zniecierpliwiony Chełmicki.

– Jak to czego? Tego, co należne twojemu synowi.

– Mój syn ma na imię Julian i otrzymał wszystko, co mu należne z racji urodzenia! – Stary Chełmicki stracił cierpliwość.

– Nie dam się tak łatwo spławić... tato – odpowiedział z ironią Emil. – Chyba coś mi się należy za życie w nędzy i upokorzenia, jakie mnie spotkały?

– Ty wstrętny naciągaczu... – wysyczał. – Wynoś się z mojego domu i więcej się tu nie pokazuj, bo cię psami poszczuję. Chciałem ci jakoś pomóc, bo straciłeś rodziców, a twój ojciec był bohaterem wojennym, ale widzę, że ty jesteś małym, nędznym skurczybykiem. Nie raz Ignacy się skarżył, że mu sprawiasz kłopoty, ale to, co robisz w tej chwili, obraża pamięć o nim. Wstydu nie masz, gnojku! – warknął rozwścieczony już Antoni.

– A ty, masz wstyd? Moja matka zdychała w norze, pozbawiona dobrych leków i porządnego jedzenia. Ale jak sypiałeś z nią, mówileś, jaka jest piękna i że zasłużyła na lepsze życie niż u boku takiego prostego osiłka jak Lewin. I teraz, gdy umarł ostatni świadek twojego romansu, ty chcesz mnie pouczać?

Chełmicki wyciągnął z kieszeni portfel i drżącymi dłońmi zaczął wyciągać z niego banknoty. Zrobił z nich zwitek i podał Emilowi.

– Masz i się wynoś – niemal wyszeptał.

Emil Lewin wziął do ręki pieniądze, popatrzył na nie i mocno ścisnął w dużej, silnej dłoni. Zgnieciony plik rzucił Chełmickiemu po nogi i ze łzami w oczach powiedział:

– Niczego od ciebie już nie chcę. Do wszystkiego dojdę sam, a wiedz, że kiedyś wyrwę się z tego grajdoła i będę kimś. I wtedy strzeż się, bo zniszczę wszystko, co stworzysz. Wciągnę ciebie i twojego synka na dno. Na samiutkie dno. I bądź pewien, że kiedyś ten dzień nadejdzie. Dzień zapłaty, tato...

Opuścił bibliotekę ojca i ruszył przed siebie. Gdzieś w oddali słyszał głos Juliana i pytanie, czy załatwił z ojcem, co chciał, ale Emil nie odpowiedział. Minął bramę i dławiąc w sobie kolejne upokorzenie, ruszył przed siebie. Właśnie sobie coś postanowił i to dodawało mu siły. Przysięgnął sobie, że Chełmiccy zapłacą mu za wszystko, i pewnego dnia to młody, dumny Julian będzie prosił go o pomoc i zostanie upokorzony tak, jak on dzisiaj. Wiedział jednak, że zostając na ojcowiznie, której połowa i tak należała do Hanki, i z kilkoma sztukami złota, niczego nie osiągnie i do niczego nie dojdzie. A jeśli zacznie kraść, mieszkańcy go wydadzą władzy, bo już nie będą mogli liczyć na reakcję uczciwego Ignacego

Lewina.

Emil Lewin nie chciał egzystować w nędzy, jak jego przybrany ojciec i matka. Nienawidził swojego życia, bo widział, że można patrzeć na świat innymi oczami i opływać w dostatek. Tylko głupiec mógł godzić się na swoje smutne położenie, czerpiąc uciechę z pełnego żołądka i upicia się od czasu do czasu samogonem. Nawet nie potrafił sobie wyobrazić, że ci ludzie, którzy wiodą swój prosty i nędzny żywot, mogliby kiedykolwiek powiedzieć o sobie, że są szczęśliwi. On w każdym razie nie byłby w stanie czuć radości z posiadania suchego chleba, gdy byli tacy, którzy zajadali się kawiozem. Jak na przykład jego prawdziwi ojciec i brat. Nie rozumiał takiej niesprawiedliwości losu, który rozdawał jednym same asy, a innym tylko blotki. W Boga wierzyć już przestał, przecież gdyby istniał, świat byłby urządzony inaczej.

\*\*\*

Hanka siedziała u Rosińskich i łkała.

– Będę za tobą tęsknić, Alicjo. Sama tam pojedę i jak kolek w płocie będę.

Nic jej nie trzymało w Chełmicach, ale to było miejsce, które знаła. Wiedziała, na kogo może liczyć, z kim porozmawiać. Tutaj pozostawał również Jakub, ale jego szkoda jej było najmniej. Informację o jej wyjeździe skwitował jedynie wzruszeniem ramion.

– A ja ci zazdroszczę, że się stąd wyrwiesz. Chełmice to zawsze będzie prowincja, mów, co chcesz – westchnęła Alicja i nałożyła na talerzyk przyjaciółki kolejną porcję drożdżowego ciasta.

– Ale tutaj, gdy się budzisz rano, wiesz, co cię czeka...

Hanka miała wciąż wątpliwości, klamka jednak zapadła. Chałupę i ziemię odsprzedali Koniuszkom i podzielili się po połowie z Emilem. On także nie zamierzał tu zostać. Wybierał się do jakiegoś wielkiego miasta, ale mimo że Hanka była jego siostrą, nawet jej nie chciał zdradzić, gdzie postanowił rozpocząć nowe życie.

– No właśnie... – mruknęła Alicja. – Wiem. I to, co wiem, wcale mi się nie podoba.

– Pójdę już, moja droga przyjaciółko. Jutro o szóstej mam pociąg do Warszawy. – Hanka wstała z krzesła i sięgnęła po ostatni kawałek ciasta.

Gdy Lewinówna opuściła mieszkancko Rosińskich, Alicja zaczęła zbierać ze stołu filiżanki po herbacie i talerzyki. Babcia Alutka podniosła się z fotela, w którym czytała gazetę, podeszła do wnuczki i powiedziała:

– Zostaw to. Michalina pozmywa, a ty chodź ze mną na spacer nad stawy.

Alicja odstawiła talerze do zlewu, wzięła z szafki kapelusik i już była gotowa do wyjścia. Alutka wiedziała, że jej wnuczka bardzo przeżywa rozstanie ze starszą przyjaciółką. Gdy dotarły nad staw i przysiadły na jednej z ławek, babka odezwała się:

– Mam odłożone tysiąc złotych. W Warszawie to nie będzie kwota, która ci pozwoli na luksusy, ale dopóki nie znajdziesz jakiejś pracy, wystarczy na czesne u Tacjanny i wynajęcie jakiejś klitki. Potem albo wrócisz, albo się usamodzielnisz i spełnisz swoje marzenia. Samej to bym cię nie puściła, ale będziesz miała Hanke i we dwie, kto wie, może zawojujecie świat.

Alicja wzdrygnęła się.

– Mama i dziadek nigdy się na to nie zgodzą. Szkoda nawet pytać.

– Dziadek i matka nie przeżyją za ciebie życia. Za chwilę będziesz dorosła i co? Zostaniesz krawcową? Przecież tego nienawidzisz. Wyjdiesz za jakiegoś nudnego urzędnika? Bo, spójrzmy prawdzie w oczy, Chełmicki nie dla ciebie.



Alicja popatrzyła ze zdziwieniem na babkę, ale ta uśmiechnęła się jedynie i dodała:

– Myślałaś, że nie wiem? Może jestem już stara, ale nie ślepa i nie głucha. Dziadkowi i matce nic nie powiem. Wyjedziesz jutro z Hanką, a ja z nimi sama załatwię. Tylko jak już się trochę urządzisz, list przyślij. Z czasem dziadek przestanie sarkać, a Michalina zawsze marzyła o innym życiu dla ciebie, tylko rozstać się z tobą nie chciała. Musi jednak wypuścić cię z gniazda, jeśli chce, żebyś była od niej szczęśliwsza.

Przez chwilę milczały. Alicja zaczęła cicho chlipać.

– Jesteś kochana, babciu – wyłkała.

\*\*\*

W najlepszych sukienkach stały we dwie z Hanką na stacji i wypatrywały lokomotywy. Pociąg, który miał nadjechać, był symbolem rozpoczęcia nowego życia, a stojące obok walizki – wkraczaniem w wiek dorosłości. Czekał na nie tajemniczy, nieznan świat. Obie czuły zarówno lęk, jak i ekscytację. Oto prowincjuszki mają zamiar zrobić karierę w stolicy i albo im się to uda, albo wrócą pokonane. Miały jednak siebie i to dawało im nadzieję, że nie zginą w Warszawie i nie będą musiały żyć na prowincji. Hanka właściwie nie miała wyjścia. Została sama, bez domu, ziemi i z niewielkim plikiem banknotów. Alicja zaś szukała motywacji i siły, żeby opuścić Chełmice i spróbować innego życia. A najbardziej chciała uciec od swoich uczuć, jakimi darzyła Juliana Chełmickiego. Miała nadzieję, że będąc daleko, w nowym miejscu, świecie tysiąca perspektyw, i w tłumie ludzi, ostudzi swoje zranione serce albo spotka na swojej drodze nową miłość, która pozwoli jej uwierzyć w siebie i własne możliwości.

### 3. Warszawa, 1936

Warszawa była jednym z tych miast, o których się mawiało „wielki świat”. Ludziom spragnionym zabawy, kultury, blichtru, a nawet rozpusty oferowała bardzo wiele. Eleganckie restauracje, teatryzki i kabarety, dansingi z fordanserkami i prostytutki, których było tak wiele, że doczekały się swoistej hierarchii w zależności od wyglądu i cen, za jakie proponowały swoje usługi. Każdy spragniony uciech cielesnych mógł znaleźć córę Koryntu dopasowaną do zasobności swojego portfela. Zamożni warszawiacy grywali w tenisa, pili kawę w klimatycznych cukierniach i chodzili na tory wyścigowe znajdujące się na Polach Mokotowskich. Ta ostatnia rozrywka pasjonowała także i gorzej uposażonych, gromadząc na wyścigach tłumy.

Stolica oprócz szerokich arterii, luksusowych hoteli i apartamentów miała też inne oblicze, które ani nie błyszczało, ani nie zapewniało luksusu. Były to dzielnice robotnicze o odrapanych kamienicach, skleconych z desek wychodkach i ryneczkach, gdzie można było kupić lub sprzedać swoje dobra. To były także klany koczujących w określonych rewirach żebraków, którzy swoje zajęcie podnieśli do rangi zawodowstwa, kieszonkowców zwanych doliniarzami i szajki przestępcze włamujące się do bogatych domów, bankowych sejfów i innych miejsc, gdzie można było znaleźć gotówkę.

Warszawa nie różniła się od innych tętniących życiem stolic europejskich z całym przekrojem ludzi, którzy mogli uważać się za bardziej lub mniej wygranych. Była tajemnicą i jednocześnie miejscem, gdzie wszystko jest możliwe. Wabiła ludzi z mniejszych miast i wiosek, oferując pracę i kusząc perspektywą dostatniego życia.

Dlatego rodzeństwo Lewinów wybrało właśnie to miejsce na rozpoczęcie nowego życia. Nie były to łatwe początki, okupione rozczarowaniem i szukaniem swojego miejsca do życia. Tutaj możliwe było wspięcie się na same szczyty, jak również upadek na samo dno. Każdy dzień to była walka o swoje miejsce, byt i marzenia o lepszym jutrze. Wielu się poddawało i ich życie wciąż pozostało nędzne, inni szukali rozwiązań. Nie zawsze jednak było to moralnie słuszne, ale pokus dookoła tak wiele, a konkurencja tak duża, że opory znikwały.

Emil Lewin przebył długą i męczącą drogę, zanim znalazł się w miejscu, w którym teraz był. Tymczasem siedział w wygodnym skórzanym fotelu, ubrany w drogi, dobrze skrojony garnitur, i popijał koniak z pękatego kieliszka. Wyglądał jak człowiek sukcesu i takim postrzegali go inni, ale Emil wiedział, że to jest dopiero początek jego podróży, aby poczuć się tak, jak odbierało go otoczenie. Lewin nie chciał stwarzać pozorów, ale na tę chwilę były one niezbędne, by mógł wcielić w życie swój plan. Dlatego siedział nonszalancko, popijał drobnymi łydkami bursztynowy napój i wypuszczał dym z papierosa, jak człowiek, który jest pewny siebie i swojej pozycji. Wiele osób szybko przekonywało się, że w istocie Emil jest pewny siebie, natomiast jego pozycja była mocno kontrowersyjna.

– To pospolity szantaż, panie Lewin. – Dyrektor banku otarł zroszone potem czoło.

– Panie Lisiecki, może jest to szantaż, ale przez grywanie na Polach Mokotowskich pieniędzy swoich klientów też nie jest godne pochwały. – Uśmiechnął się szyderczo.

– Ale skąd pan, u licha, o tym wie? – Wciąż był zdziwiony, że jego misterna intryga okradania banku, w którym był dyrektorem, się nie udała.

– Pan wybaczy, panie Lisiecki, ale to tajemnica zawodowa. – Kolejny uśmiech pojawił się na twarzy Lewina.

– Cholerny drań – bąknął Lisiecki i sięgnął po metalową kasetkę. Otworzył ją, po czym wyjął z niej plik banknotów i położył przed Lewinem.

– Pozwoli pan, że przeliczę. Nie, żeby panu nie wierzył, ale mógł pan się ze zdenerwowania pomylić – obłudnie powiedział Emil.

– Nie ma obawy, panie Lewin. Dwadzieścia tysięcy, co do grosza, ale oczywiście, proszę przeliczyć. – Znowu otarł czoło.

Chciał jak najszybciej pozbyć się z gabinetu szantażysty, którego jeszcze kilka tygodni temu nazywał kompanem i po wyścigach pił z nim wódkę w Adrii. Tymczasem okazało się, że intencje Emila Lewina nie były zbyt czyste. Nie wiedział jednak, w jaki sposób ten człowiek wszedł w posiadanie sfalszowanych dyspozycji wypłat klientów, które przechowywał w szafie pancерnej swojego mieszkania przy Grochowskiej. Być może, będąc częstym gościem, zdołał ukraść komplet kluczy i dorobić swoje? A może zatrudnił włamywacza albo przekupił jedną z jego licznych kochanek?

Nie mylił się. Jedno przemyślenie było jak najbardziej trafne. Elżbieta Kornalska była półanałfabetką i początkującą tancerką, ale lubiła szampana, piękne stroje i bywanie w najlepszych lokalach warszawskich. Wykonała zadanie bez zarzutu, nie mając pojęcia, co jest w papierach, które wykrała po upojnych igraszkach z dyrektorem Lisieckim. Ten ostatni okazał się bowiem niezbyt jej przydatny. Mimo eksponowanego stanowiska przegrywał fortunę na wyścigach, ją zbywając jedynie jakimiś drobiazgami, które okazywały się gówno warte. Zaś Emil Lewin mimo młodego wieku miał niemałe pieniądze i był daleko bardziej przystojny niż brzuchaty Lisiecki, ale na zostanie jego kochanką nie miała szans. Powiedział jej to pewnego dnia dobitnie i bez ogródek. Była niepokieszona, ale zaproponował jej interes, na którym w ciągu jednej nocy mogła zarobić nawet pięćset złotych. Zgodziła się bez wahania i bez najmniejszych skrupułów ukradła Lisieckiemu papiery, posługując się wytrychem wręczonym przez Lewina. Oplaciło się.

– Mogę jeszcze pofiglować z tobą w łóżku – powiedziała, chowając do stanika zwitek pieniędzy. – Niezła w tym jestem. Chociaż nie jestem prostytutką.

– A kim? – zaśmiał się Emil.

– No, niewam czasami kochanków, którzy mnie utrzymują... – zaczęła się tłumaczyć.

– A zatem jesteś prostytutką. Tylko trochę lepszą niż te z Powiśla, bo te oddają się za porcję jedzenia. No i nie wystajesz w bramach, jak te z Muranowa – odpowiedział jej ostro.

– Kapeluszową też nie jestem – prychnęła. – One mają między nogami większy ruch niż kolej wileńska.

– Ale przynajmniej nie udają dam – zarechotał Emil.

Nieczęsto korzystał z usług prostytutek, nawet tych najdroższych i najlepszych. Znał życie i wiedział, że z tych uciech można się nabawić francy. Dlatego wybierał na kochanki niewinne dziewczyny, które mamił obietnicą rychłego ożenku. Niejedna gaz odkręcała albo chciała się pod tramwaj rzucać, ale Lewin niezbyt się tym przejmował. Nadrabiał zaległości z czasów, gdy był biednym, brudnym wieśniakiem, dla którego szczytem marzeń było oglądanie erotycznych zdjęć za dwa grosze.

Teraz był eleganckim, przystojnym mężczyzną z zasobnym portfelem i z uwodzenia dobrze urodzonych i niewinnych panien zrobił niemal dyscyplinę sportu. Im bardziej niewiasta upierała się, że niewinność stracić może jedynie po ślubie, tym więcej potrafił obiecać i obdarowywać swoje wybranki wyszukаныmi komplementami i wyznaniem. A gdy już osiągał swój cel, porzucał kobiety bez żalu i specjalnego zakłopotania. Już kilku srogich ojców miało ochotę przetrzepać mu skórę, ale odpowiednia rozmowa, a niekiedy gratyfikacja, ratowała sytuację. Emil nie gardził też stosunkami z bogатыmi i atrakcyjnymi mężatkami, które wspierały go finansowo, poznawały z właściwymi ludźmi i uczyły manier dżentelmena. Nomen omen, pierwszą jego kochanką została Helena Ducret, która pomagała jego

siostrze wejść w wielki świat artystycznej Warszawy.

Był rok 1933, gdy osiemnastoletni Lewin stanął przed drzwiami mieszkania przy Wspólnej. Odkąd pojawił się w Warszawie, trochę kradł, trochę pracował, ale nie wiodło mu się tak, jak to sobie wymarzył. Wciąż między nim a przyrodnim bratem i prawdziwym ojcem była przepaść. Chwilowo był bez grosza, bo trafił do pudła za kradzież w sklepie, i w związku z tym postanowił odnaleźć siostrę, której nie widział, odkąd oboje opuścili Chełmice.

Zadzwoił do drzwi o poranku, mając nadzieję, że nie obudzi przyzwyczajonej do nocnego życia Heleny. Otworzyła mu, co prawda, zupełnie rozbudzona, ale jeszcze w długim, ciemnym peniuarze, wykończonym króliczym futrem.

– Słucham? – zapytała, zdziwiona.

– Nazywam się Emil Lewin. Szukam siostry. Wiem, że pani jej pomagała, i liczę, że zna pani jej adres – powiedział grzecznie, miętosząc w dłoniach sfatygowany beret.

– Przyjechał pan z Chełmic? – zapytała.

– Tak... – bąknął niedbale, nie chcąc zdradzać szczegółów swojego życiorysu.

– To chyba pan zmęczony. Proszę wejść, spróbuję panu pomóc, a tymczasem napije się pan jakiejś herbaty albo zje pan śniadanie. Zaraz poproszę swoją gosposię, to coś panu przygotuje, a ja tymczasem się przebiorę – powiedziała życzliwie.

Lewin wszedł do środka i poczuł, że kiedyś sam będzie mieszkał podobnie. Wszędzie stały eleganckie dębowe meble i kwieciste kanapy, a z sufitów zwisały ozdobne żyrandole. Na ścianach panoszyły się olejne obrazy, a mięsiste dywany pokrywały połyskliwe parkiet.

– Nie musi się pani przebierać, wygląda pani bardzo pięknie – powiedział hardo.

– Mały dzentelmen – roześmiała się Helena i zmierzwiła włosy Emila.

Nie przebrała się jednak, tylko usiadła przy stole, tuż obok Lewina, i założyła nogę na nogę, odsłaniając mlecznobiałe, ponętne uda. Ten gówniarz zrobił na niej wrażenie i zaczęła tęsknić za młodym, silnym ciałem, którym jej starzy kochankowie nie mogli się, niestety, pochwalić. Helena jednak nie była już wybredna, ponieważ czasy jej młodości i urody minęły bezpowrotnie.

– Co pana sprowadza do Warszawy, panie Lewin? – zapytała gardłowym głosem i nalała z dzbanka herbatę do delikatnej porcelanowej filiżanki, niby nie chcący odsłaniając już lekko przywiedły duży biust.

Emil miał usta pełne chleba z szynką i mieszał herbatę, obstukując bezlitośnie porcelanę pani Ducret. Położyła rękę na jego dłoni i powiedziała cicho:

– Proszę najpierw przełknąć, a potem coś panu pokażę.

Przełknął kęs, nieco zawstydzony zwróceniem uwagi przez taką damę jak Helena. Ta wyjęła delikatnie łyżeczkę z jego dłoni i zaczęła bezgłośnie mieszać herbatę w jego filiżance.

– Widzi pan, panie Emilu, nie trzeba wcale głośno i mocno. Można tak delikatnie poruszać łyżeczką... – Mówiąc to, patrzyła głęboko w jego stalowe oczy.

– Przepraszam – bąknął.

– Nie przepraszaj, Emilu. – Zmniejszyła dystans między nimi, zwracając się do niego po imieniu.

– Gdzie się miałeś tego nauczyć? Ale ja mogę pokazać ci, jak zachować się w towarzystwie.

– Dlaczego? – zapytał niepewnie.

Zaczęła znowu mierzwić jego gęste, jasne włosy.

– Bo myślę, że jesteś bardzo miłym, przystojnym mężczyzną – niemal wycharczała.

– A ja? Jak bym mógł się pani odwdziaczyć za te lekcje? – Zaczęło do niego docierać, czego

oczekiwała od niego pani Ducret.

– Ha... No na przykład mógłbyś zamieszać we mnie, jak tą łyżeczką. – Zaśmiała się.

– Zamieszać jak ja czy jak pani? – zapytał uwodzicielsko.

– Szybko się uczysz, Emilu Lewinie – mruknęła.

Spotkanie Heleny Ducret było kamieniem milowym w osiągnięciu sukcesu na salonach Warszawy. Nauczył się manier i szarmanckiego zachowania wobec kobiet. Wiedział, jak emanować pewnością siebie i jak trzymać cygaro bądź papierosa, aby brano go za światowca i nie podejrzewano, że jest goły jak święty turecki. Dostał od Heleny eleganckie ubrania i słuchał plotek o ważnych osobach tego miasta. Nie przeszkadzało mu, że jest utrzymankiem i musi sypiać z Heleną. Tymczasem pani Ducret kompletnie straciła głowę dla młodego kochanka. Z innych natomiast zrezygnowała, a jej oszczędności zaczęły topnieć. Miała świadomość, że jurny Emil niebawem ją opuści, i nie mogła się z tym pogodzić.

Dopóki młody Lewin był zwykłym wiejskim chłopakiem, spała spokojnie. Wiedziała, że bez niej na powrót skończy jako drobny złodziejczek, by ponownie trafić do więzienia. U niej miał wygodne lokum, kieszonkowe na drobne wydatki i trzy wykwentne posiłki dziennie. W zamian każdej nocy ofiarowywał Helenie swoje młode ciało, mocne ramiona i nieposkromioną wręcz żądzę. Lewinowi to odpowiadało. Pani Ducret mimo dojrzałego wieku była apetyczna, zadbana i zawsze chętna. A kiedy nadchodził dzień, z pasją chłonał jej nauki o tym, jak powinien się zachowywać, aby ludzie brali go za człowieka, który swoje maniery wyssał niemal z mlekiem matki. Z czasem jednak, gdy poczuł, że Helena stworzyła mu złotą klatkę, zaczął się dusić. Chciał spróbować czegoś więcej, imponowało mu, że budzi zainteresowanie dam i szacunek innych mężczyzn. Pragnął wolności.

Do dramatycznego w skutkach wydarzenia doszło na jednym z przyjęć, na którym Helena pojawiła się, jak zwykle, ze swoim młodym protegowanym. Lekko wstawiona szampanem, z rozmazanym makijażem podeszła do ubranego we frak Emila i powiedziała zimno:

– Ta Cukierska cię ewidentnie uwodzi, Emilu.

– Jesteś pijana, Heleno. A ja nie jestem twoim psem, żebyś trzymała mnie na smyczy – odburknął.

– Ale to mnie zawdzięczasz to, gdzie jesteś – wybełkotała.

Emil Lewin nie był już jednak tym samym zahukany chłopcem, który dwa lata wcześniej stanął w jej drzwiach w przyciasnym płaszczu, otrzymanym z kościelnej organizacji wspierającej byłych więźniów.

– Przypominasz mi o tym nader często – powiedział stanowczo.

– Bo jest o czym. – Helena nie dawała za wygraną.

– Odpłacałem ci gorącymi nocami, chyba nie myślisz, że robiłem to dla przyjemności – warknął.

– Ty niewdzięczny gnoju – wysyczała i chlusnęła mu szampanem w twarz.

Zgromadzeni goście momentalnie odwrócili się w ich stronę. Emil spokojnie wyciągnął chusteczkę z butonierki i wytarł nią twarz.

– Państwo wybaczą, pani przesadziła z szampanem – powiedział, po czym opuścił lokal.

Wrócił na Wspólną, spakował swoje rzeczy i opuścił piękne gniazdo pani Heleny Ducret. Wynajął podłą stancję na Powiślu i rozpoczął swoją działalność szantażysty. Mały pokój znajdował się w skromnym mieszkaniu wdowy po pracowniku kolei, która po jego śmierci została bez środków życia. Była to jednak osoba o gołębi sercu i gdy Lewina nie było stać na opłacenie komornego, pozwalała mu w zamian wyręczać ją w pracach domowych, które dotychczas wykonywał jej mąż. Przynosił węgiel, palił w piecach i przeprowadzał drobne naprawy. Ona dzieliła się z nim chlebem i cieką zupą, najczę-

ściej kartoflanką.

– Ty, Emilek, to kimś ważnym kiedyś będziesz – ze łzami w oczach mawiała gospodyni i klepała go po ramieniu. – Dobry z ciebie chłopak, piękny i mądry.

– Pani Ozorkowa, taki mądry i piękny, a za pokój nie mam pani jak zapłacić – mówił ze smutkiem i z wdzięcznością, przyjmując talerz zupy.

– Emilek, ja już stara jestem, niewiele mi do życia potrzeba, a ciebie lubię i jakoś mi tak weselej, jak mi co śmiesznego opowiesz albo o tych aktorkach, co w złotych sukienkach chodzą. Ja to mam tylko jedno marzenie, Emilek. Ale i ono się pewnie nie spełni. Ja to bym chciała przed śmiercią jeszcze do Mateńki Boskiej, na Jasną Górę pojechać. Podziękować jej – westchnęła Ozorkowa.

– A za co pani Ozorkowa chce jej podziękować? Za biedę? Za śmierć męża? Czy za to, że dzieci pani nie dała i teraz sama pani jak ten kołek w płocie została? – mruknął Lewin.

– Ty, Emilek, to za dużo od życia wymagasz i pewnie dlatego ciągle niezadowolony jesteś. – Starsza kobieta uśmiechnęła się dobrotliwie. Jej pokryta siateczką zmarszczek twarz wciąż miała pogodny wyraz i nawet na Lewina działała kojąco. – Żyliśmy z Władkiem skromnie, ale szczęśliwie. Nie kłóciliśmy się, bo i o co nie było. Na hulanki nie chodził, ot czasem chlapanął kielicha, bo i za co nie było. A w niedziele, jak ładnie było, to na spacerzy chodziliśmy nad Wisłę albo radia słuchaliśmy. Gości nie zapraszaliśmy, bo to zawsze coś na stół postawić trzeba, sami też tylko do Władka rodziny jeździliśmy. Bo ja to, Emilek, sierota jestem. Ale Władek to kochał mnie, skubany, na amen. Ja jego też i smutno mi przeraźliwie bez niego. Więc mam za co Mateńce dziękować, że takiego chłopca mi dała. A w chwili śmierci my wszyscy równi – czy bogaci, czy biedni.

Lewin zastanowił się nad słowami starej Ozorkowej. Może w istocie miłość wynagradza niedostatki życia. Gdyby Adrianna go pokochała biednego i sama nie miała zbyt wygórowanych wymagań, może byłaby to jakaś rekompensata, a może nawet nie zauważałby niedostatku? Nie miał jednak zamiaru czekać na Adriannę albo inną miłość, która mogła stanąć mu na drodze, aby się o tych mądrościach Ozorkowej przekonać.

Żyjąc z Heleną Ducret, wiedział wystarczająco dużo, aby wyciągać pieniądze od niewiernych mężów, bogatych homoseksualistów i niezbyt uczciwych biznesmenów. Przekazywał też informacje organizacjom komunistycznym, które coraz aktywniej działały na terenie Polski. Z miesiąca na miesiąc jego portfel robił się coraz grubszy i pewnego dnia Emil był gotów, by opuścić Powiśle i dobrotliwą panią Ozorkową, która była dla niego niczym matka. Nie zapomniał również ani o jej marzeniu, ani o tym, że w trudnych dla niego chwilach dzieliła się tym, co miała. A miała niewiele. Żegnała go ze łzami w oczach.

– Uważaj na siebie, Emilek, bo ty narwany trochę jesteś, a to niedobrze. – Ścisnęła Lewina w matczyzny uścisku.

– Będę, pani Ozorkowa, bez obaw. A tu ma pani pieniądze na wycieczkę do Częstochowy i do Mateńki. – Emil wcisnął jej w dłoń zwitek banknotów. – I zanim pani znajdzie nowego lokatora, żeby pani na węgiel i jedzenie miała.

– Coś ty, Emil, tyle pieniędzy to ja nawet w kinie nie widziałam. Lepiej trzymaj je dla siebie, na czarną godzinę. I jak tyś tak w piórka obrósł? – zainteresowała się kobieta.

– Pani Ozorkowa, ja już wszystkie czarne godziny odrobiłem w swoim życiu i już mnie żadna nie dopadnie. Bierze pani, bo następny może nie zrobić takiej kariery jak ja – ze śmiechem powiedział Lewin.

– Jak cię pierwszy raz w tym eleganckim garniturze zobaczyłam, to od razu pomyślałam, że jesz-

cze ci się będzie wiodło. – Uśmiechnęła się – Dziękuję, Emilek, pojedę do Mateńki. Widzisz, będę miała za co dziękować. Że takiego porządnego i dobrego chłopaka spotkałam, co prawie jak syn dla mnie był.

Lewin też się uśmiechnął po nosem. Ozorkowa była prostą i dobrotliwą kobietą, która kompletnie nie знаła się na ludziach.

Emil Lewin swoją siostrę widywał niekiedy na scenach kabaretów i lokali warszawskich, gdzie próbowała robić karierę pieśniarki. Hanka, nie chcąc jednak korzystać ze swoich wdzięków i hojności bogatych adoratorów, wciąż mieszkała w dość podłej kamienicy przy Wolskiej, dzieląc pokój z tancerką knajpianą i kabaretową, Alicją Rosińską, która przybrała pseudonim artystyczny Alicja Ross. Jego siostra nie wygłupiała się z nadawaniem sobie wyszukanych nazwisk i pozostała Hanką Lewinówną. Recenzje po jej występach były świetne, zapraszano ją na recitale do teatrów w całej Polsce, ale życie artystów wciąż nie wiązało się ze zbytnim luksusem. Dlatego unikał siostry, bo jak na razie nie sprawiała wrażenia, żeby mogła być mu w jakikolwiek sposób przydatna.

\*\*\*

– Masz jeszcze czernidło?! – krzyknęła z korytarza Alicja, wpatrując się z grymasem w swoje podniszczone pantofle.

– Leży gdzieś w szafie albo w łazience, albo... – Hanka zamilkła i roześmiała się.

– Albo myszy go zeżarły – mruknęła Alicja i zaczęła rozcierać palcem to, co jeszcze zostało na pantofelku.

– Wybierasz się gdzieś po spektaklu? – zapytała Hanka.

– Tak! – krzyknęła Alicja. – Julian Chełmicki jest w Warszawie ze swoim batalionem i zaprosił mnie na kolację do Oazy.

Hanka zerwała się z krzesła w pokoju i stanęła w drzwiach.

– I na dansing też? I dlaczego nic nie mówiłaś?! – indagowała przyjaciółkę.

Alicja machnęła dłonią i uciekła wzrokiem.

– Bo to zwykła kolacja starych przyjaciół – westchnęła. – Studenci ze szkoły podchorążych przyjechali ukulturalnić się do stolicy, a w czasie wolnym odwiedzić mniej formalne przybytki. I zobaczył mój występ z dziewczętami, i zapytał po spektaklu o mnie, i zaprosił na kolację, i...

– I będzie romantyczny wieczór...

– Nie sądzę. Po prostu ucieszył się, że spotkał kogoś z rodzinnego miasteczka i pewnie chce wspominać dziecięce harce – mruknęła.

– Ale teraz jesteś inną kobietą. Pełną seksapilu, uwodzicielską. Dostajesz upominki po spektaklu i za jeden twój łaskawszy uśmiech mężczyźni rzucają ci kwiaty do stóp. A major Kostecki nawet ci się oświadczył... – z entuzjazmem powiedziała Hanka.

– No, a ty? Mogłabyś już dawno pławić się w luksusach, a ciągle mieszkasz ze mną w tej norze – odczęła się Alicja.

Hanka westchnęła.

– Sama wiesz... Przystojni mężczyźni, oddani i bogaci wielbiciele, kolorowe światła Warszawy, a ja wciąż tęsknię za tym jedynym, przy którym milknie muzyka, gasną światła i tylko serce gra melodię, gdy błyszczą jego oczy – rozmarzonym głosem powiedziała Hanka. – Zapiszę to, będzie świetny tekst do piosenki.

– Wariatka – burknęła Alicja i wyszła z domu.

Dość dziwnie brzmiało mówienie „dom” o tej norze. Zajmowały jeden pokój na strychu, tak cia-

sny, że każda dodatkowa osoba powodowała ścisk, a jedyny luksus stanowiła łazienka. Kuchenka zaś była tylko małą wnęką w wykuszu okna, gdzie nie mieściło się nic oprócz chlebaka, czajnika, jednej wąskiej szafki i kozy.

Mała przestrzeń powodowała, że w mieszkanku dziewcząt wciąż panował bałagan, a fatałaszkę zalegały dosłownie w każdym kącie. Jako rozrywkowe warszawianki musiały mieć dużo sukien, dzięki którym brylowały w popularnych lokalach czy na deskach kabaretów i nigdy nie musiały płacić za swoje kolacje. Eleganckie stroje, fryzjer i wreszcie luksusowe dodatki pochłaniały niemal cały ich budżet, a zarobki w branży były niepewne. Jeśli jakieś przedstawienie się sprzedawało – było dobrze, natomiast marna publika oznaczała suchy prowiant i uwodzenie bogatych protektorów. Nie chciały jednak zniżyć się do roli kochanek brzuchatych przemysłowców i poprzestawały na zapewnianiu im towarzystwa i stanowieniu pięknej ozdoby przyjęć.

Dziewczynom bywało ciężko. Może gdyby umiały lepiej zarządzać zarobionymi pieniędzmi, starczałoby na skromną egzystencję, ale były tak pełne optymizmu co do swojej przyszłości, że pozwalały sobie na życie z dnia na dzień. Po każdej wypłacie biegły do sklepów, kupować kolejne fatałaszkę albo kosmetyki, by wyglądać bardziej ponętnie i uwodzicielsko. Gdy powracały z takich zakupów, najczęściej ich portfeliki już zaczynały świecić pustkami. Nie dbały o to zupełnie, żyjąc w przeświadczeniu, że kolejny dzień przyniesie rozwiązanie ich problemów. Byli przecież mężczyźni, dzięki którym mogły najeść się do syta, a z których naśmiewały się wieczorami, gdy kładły się spać po wykwiutnych kolacjach. W ucieczkach zaraz po posiłku doszły niemal do perfekcji, niekiedy zostawiając zawiedzionych wielbicieli na środku ulicy. Ci ludzili się, że wieczór zakończy się w pokoju hotelowym, bo dziewczyny sprawiały wrażenie rozwiązłych i chętnych na niezobowiązujące romanse, ale niestety, rozczarowywali się głęboko, gdy znikawały chwilę po romantycznej kolacji. Propozycje spacerów w Łazienkach oraz wyjść do teatru czy kina odrzucały od razu, przyjmując jedynie te, które wiązały się z wizytą w restauracji. Niekiedy, gdy po kilku dniach przymusowej diety kelner przynosił posiłek, musiały mocno się hamować, by zachowywać się jak prawdziwe damy i spożywać dostojnie potrawy, zamiast napychać się nimi bez opamiętania. Jednak i tak pochłaniały niemal wszystko z talerza, budząc zdziwienie swoich partnerów, którzy nie mieli pojęcia, że dziewczyny od kilku dni niewiele miały w ustach.

Niebawem miały odbyć się próby do nowego wodewilu, który powinien ściągnąć do niewielkiego teatru na Nowym Świecie tłumy warszawiaków. Dyrektor Wojnicz odgrażał się, że zrobi z Czarodziejskiego Fletu kabaret na miarę Qui pro Quo. Prowadził rozmowy z Tuwimem i Hemarem i nawet udało mu się wyrwać kilka tekstów do piosenek Hanki Lewinówny. Ściągnął na gościnne występy znanego komika, Myszora, i pracował nad choreografią dla grupy tanecznej. Dziewczyny też miały nadzieję na sukces spektaklu, żeby nie musiały chałturzyć w lokalach czy wyjeżdżać z występami na prowincję. Wojnicz liczył, że po tym przedstawieniu gwiazda Lewinówny rozbłyśnie pełnym blaskiem, a on sam się nieco odkuje na swojej największej artystce. Liczył się z jej utratą, ale na szczęście, gdy była bez grosza, podpisał z nią kontrakt, który wiązał się z dużymi pieniędzmi, gdyby chciała go opuścić. Hanka nie była głupia, wiedziała, że godzi się na bycie bez mała niewolnicą Wojnicza i jego teatryku, ale to dzięki niemu wyrwała się spod kurateli Baryczego, który mniej przypominał impresaria, a bardziej sutenera.

\*\*\*

Alicja spoglądała powłóczytym spojrzeniem na Juliana, jak kobieta, dla której łamanie męskich serc było codziennością.

– Prawdziwy łabędź się zrobił z panny Alicji. – Młody Chełmicki uśmiechnął się i skinął na



kelnera.

– Sugeruje pan Julian, że byłam szpetna niczym brzydkie kaczątko. – Zrobiła naburmuszoną minę, chcąc upodobnić się do Adrianny Daleszyńskiej.

– Powiedzmy, że była panna Alicja nieopierzonym kurczaczkiem. – Roześmiał się, chcąc rozluźnić atmosferę spotkania.

Mimowolnie również się rozpromieniła, chociaż jej serce łomotało jak szalone. I co z tego, że minęło kilka lat, jeśli nadal była nieprzytomnie zakochana i żaden warszawski przystojniak nie był w stanie zdobyć jej serca. Teraz jednak, w przeciwieństwie do sytuacji sprzed pięciu lat, nie była onieśmielona ani nie czuła się kimś gorszym. Ona, co prawda, nadal klepała biedę, a jego ojciec wciąż się bogacił, ale w tej luksusowej restauracji, ubrana nie gorzej niż inne obecne na sali damy, nie miała poczucia, że pochodzą z dwóch różnych światów, między którymi nie ma przejścia. Europa się zmieniała, Polska stawała się mniej zaściankowa i to, co było niemożliwe jeszcze całkiem niedawno, stawało się możliwe. Hrabiowie żenili się z aktorkami, pisarze obcowali z politykami, a biedni, ale ambitni i zdolni ludzie zostawali lekarzami i prawnikami. Reforma szkolnictwa niosła kaganek oświaty pod strzechy, a na ulicach coraz częściej samochody zastępowały dorożki.

– Pan Antoni wciąż unika automobili? – zapytała.

– Tak i chyba nigdy mu nie przejdzie. Zwłaszcza teraz, gdy podupadł na zdrowiu i każde zderzenie przypłaca piekącym bólem w mostku – odpowiedział Julian i zapytał: – A panna Alicja ma narzeczonego?

– A chciałby pan Julian mi się oświadczyć? – odpowiedziała pytaniem, niby z lekkością motyla, ale jednak ścisnęło ją w dołku, gdy oczekiwała, jak zareaguje.

– Panny Alicji to się wciąż żarty trzymają. – Nie mając pojęcia, że właśnie odziera ze złudzeń swoją wielbicielkę, dodał, dobijając Alicję jeszcze bardziej: – Jeszcze ze dwa lata i oświadczę się pannie Adriannie.

– Młodzieńcza miłość, widzę, panu nie minęła? – nieco kąśliwie zapytała Alicja, prawie mdlejąc z żalu.

– Nie miała jak minąć. – Roześmiał się – Rzadko się widzujemy, ja wciąż przebywam wśród mężczyzn, więc i pokus brak.

– Ale dzisiaj spotkał się pan ze mną. – W głosie Alicji zabrzmiał wyrzut.

– Do Adrianny daleko, a pani jest miła i piękna. Nawet najbardziej kulturalny człowiek chamieje wśród żołdaków, a spotkanie z kobietą zawsze łagodzi obyczaje i szlifuje dobre maniery – odpowiedział, wciąż nie przestając się uśmiechać.

– Jestem tancerką wodewilową, daleko mi do dystyngowanych dam z porządnych domów – mruknęła.

– Panna Alicja jest stuprocentową damą – zaprzeczył gorliwie. – Znam ja takie tancerczki, że lepiej, żeby tylko tańczyły i broń Boże buzi nie otwierały.

– A mówił pan, że od kobiet stroni – powiedziała Alicja z przekorą.

– Takie spotkania to doprawdy rzadkie przypadki. Ale nie ukrywam, że czasami koledzy wyciągają mnie do kabaretu albo na dansing. Tak jak ostatnio, gdy oniemiałem, ujrzawszy pannę Alicję na scenie. Że Hanka Lewin pojechała robić karierę do stolicy, to wiedziałem od Heleny Ducret, ale że panna Alicja też, to nie...

– Ta cała Helena Ducret to prawdziwe ziółko. Ten jej znajomy, ten niby impresario, Baryczy, to chciał przehandlować Hankę, niczym worek z pszenicą. Ciągał ją po lokalach, poznawał z jakimiś

brzuchatymi przemysłowcami i brakowało jedynie, żeby wskakiwał na podest i krzyczał: „Kto da więcej? Pięć tysięcy po raz pierwszy, po raz drugi”.

– Panna Alicja to doprawdy nawet smutną rzecz potrafi dowcipnie opowiedzieć. Nie znam Baryczego, ale wierzę na słowo, że to kawał szubrawca. Zresztą i za Heleną Ducret nie przepadałem specjalnie. Wciąż przechwalała się liczbą kochanków, jakby to co najmniej był powód do dumy.

– Dla niej widocznie był. Uwiodła nawet młodego Lewina.

– Co panna Alicja mówi? Doprawdy? I poleciał na to stare, przechodzone próchno? O, przepraszam, chyba nie powinienem tak mówić o damie warszawskich salonów... Ale nie rozmawiajmy już o tej strasznej kobiecie. Gdybym wiedział, że pani mieszka w Warszawie, odwiedziłbym panią wcześniej. Jednak mój ostatni dłuższy pobyt wykluczał zagładanie do miejsc rozrywkowych. Pełniłem w katedrze Świętego Jana wartę honorową przy trumnie Piłsudskiego – powiedział ze smutkiem.

– Pamiętam, że gdy umarł marszałek, przerwaliśmy spektakl. Wojnicz wszedł na scenę i kazał naszemu pianście przestać grać. Hanka zamilkła w połowie zwrotki. Wtedy Wojnicz ogłosił wszystkim, że marszałek nie żyje. Widzowie normalnie zaczęli szlochać, wszyscy byli poruszeni. Pamiętam też pogrzeb. Nie graliśmy wtedy z powodu żałoby i wszyscy wylegli na ulice. Chyba cała Warszawa i pół Polski żegnało marszałka. Ludzie lamentowali, z każdego okna zwisały flagi z kirem. Poczulałem się wtedy tak, jakby coś się skończyło. Jakaś epoka.

– Bo się skończyło. Przestaliśmy spać spokojnie. To Piłsudski podarował nam ojczyznę, wolność i niepodległość. A teraz nikt nie wie, jak długo to potrwa. Hitler i Stalin zbroją się na potęgę, znowu przebąkuje się o nowej wojnie. A przed marszałkiem nawet Hitler czuł respekt.

– Nie mówmy już o polityce i wojnie. Nie znam się na tym i nie chcę się poznać – wzdrygnęła się Alicja.

– Ale o tej starej marmuzeli i Lewinie chyba też nie będziemy rozmawiać? – Uśmiechnął się, po czym spoważniał. – Ludzie gadali, że Emil Lewin to mój brat przyrodni, ale nie wiem, ile w tym prawdy. Kiedyś chciałem z nim porozmawiać, no, wie panna Alicja, sprawdzić, czy do ojca podobny, ale zbyt mnie i patrzył tak na mnie... dziwnie... jakby mnie nienawidził.

– Co się pan Julian będzie plotkami przejmował, o wielu dzieciach tak gadano. Każda, która we dworze służyła, a potem dziecko rodziła, to podobno pana siostrę albo brata. – Alicja machnęła ręką.

Do niej także docierały te plotki, ale każdy, kto znał dobrze Antoniego Chełmickiego, mówił, że to niepodobne, aby dziecko spłodził, a potem na pastwę losu porzucił.

– Pytałem ojca o to. Powiedział, że Lewinowi piątej klepki brakuje i żebym uważał na niego – westchnął Julian.

– Nie wygląda, jakby mu jakiejś klepki brakowało, ale do pana Juliana to on żadną miarą niepodobny. I nie tylko z wyglądu. Taki jakiś gbur, co się nie bardzo śmiać lubi – pocieszała Alicja.

– Chyba nie mógłbym darować ojcu, że swoje dziecko porzucił, nawet takie z nieprawego łoża. Przecież to jego krew... – powiedział cicho.

– Tak, to byłoby smutne... Ale przecież ojciec nie okłamałby pana Juliana, prawda?

– Już sam nie wiem... Ale myślę, że nie...

Mimo że rozmowa na ten temat skończyła się, między nich wkroczyła jakaś nieuchwytna nutka nostalgii. Alicja już nie musiała ukrywać smutku i zgrywać wesołej panienki z wodewilowej sceny. W duchu czuła ogromny ból i nie sprawił tego wcale świętej pamięci marszałek Piłsudski ani przyrodni brat z nieprawego łoża.

\*\*\*

Kolejny dzień był niesłychanie pracowity w Czarodziejskim Flecie. Próba zdawała się nie mieć końca, a zaraz po niej należało się przygotować do wieczornego spektaklu. Hanka nie zdążyła wypytać o spotkanie z Julianem, bo już spała, gdy Alicja wróciła do ich mieszkania, rankiem zaś obudziły się zbyt późno i miały niecałą godzinę, żeby dotrzeć na próbę.

Reżyser spektaklu, niejaki Niemcow, był szalenie przewrażliwiony na tle punktualności, a oprócz tego pokrzykiwał na aktorów i pieśniarzy, nie mówiąc o tancerkach, które traktował jak mało istotny element wyposażenia sceny. Niekiedy udręczone dziewczyny nazywały go w garderobie skrzyżowaniem Szwaba z capem. Hanka i Alicja ledwo zdążyły na tramwaj, który jak zwykle był przepełniony, i niemal wisząc na schodkach, z duszą na ramieniu pokonywały kolejne przystanki w nadziei, że uda im się chociaż zmienić pozycję. Potem pobiegły do teatru, gdzie zdążyły pojawić się dosłownie w ostatniej chwili przed próbą.

– Dziewczyny, układ pierwszy, z laskami i kapeluszami. No, ruszcie swoje tłuste dupska i na scenę. Nogi wyżej, Rylska, do cholery, z drewna jesteś?! Matusińska, tak to możesz na wiejskich potańcówkach stepować. Z życiem, dziewczęta, z życiem! Trzeba było się po zadymionych lokalach w nocy nie szlajać. Co za kozy, niech to szlag, z kim ja mam pracować. No, panie Wojnicz, materiału na gwiazdy to pan nie masz. Na dworcu w Kolbuszowej możecie tak tańczyć, a nie w stołecznej rewii! – wykrzykiwał Niemcow, czerwieniąc się niczym dorodne prosię i opluwając pianino wraz z grajkim i nutownikiem stojącym nieopodal.

Do pierwszej przerwy tancerki były półżywe. A czekały je kolejne dwie godziny i wieczorny spektakl.

– Co za bydlak z tego Niemcowa – burknęła jedna z dziewcząt, wachlując się starym programem, po czym zwróciła się do jednej z koleżanek: – Gdzie pchasz te brudne kopyta na mój stolik?

– Słyszałam, że ten Niemcow to chłopców woli i dlatego tak pomia ta dziewczynami. Kacperek go widział, jak się po placu Napoleona kręcił i rozglądał za męskimi dziwkami – dodała kolejna.

– Za to można pójść siedzieć na trzy lata. A niech tam łązi, to może go kto przyuważy, zrobi się skandal, on wyjedzie w siną dal i święty spokój będzie – rzuciła kolejna.

– Słuchajcie, a wiecie co z Maryską? Wróci do teatru? – zagadnęła ruda dziewczyna o długich nogach i obgryzionych paznokciach.

– Maryska chyba nie wróci. Załamała się po ostatnim romansie. Sądziła, że facet poważnie o niej myśli, a on jej dziecko zrobił i odszedł do urzędniczki z poczty. Pojechała się gdzieś wyskrobać po cichu i coś tam poszło nie tak. Tak mówiła jej siostra, jak po rzeczy na stancję przyjechała – powiedziała blondynka o dużym biuście i karminowych ustach.

– Bo ona za miękka na ten świat była. Wydawało jej się, że jak dostanie kwiaty albo pójdzie na dansing z takim, co bilecik portierowi zostawi, to od razu ślub i dzieci mu w głowie. A oni tylko zabawić się chcą, na połowicę to wybiorą cichą szarą myszkę, najlepiej z dobrego domu i z okazałym posagiem! – krzyknęła któraś.

– Jesteście takie cyniczne... – mruknęła Alicja.

– Kochaniutka – westchnęła najstarsza z zespołu – siedzę w tym biznesie już ładnych parę lat. Niedługo będę się musiała pożegnać z deskami, bo ani uroda nie najświeższa, ani siły za wiele. I co? Żaden poważny facyt mi się nie trafił, no może jeden, ale całkiem nieudacznym. Nie mam zawodu, jestem kiepsko wykształcona, jedyne, co potrafię, to tańczyć. Odejdę z teatru i tylko sobie w łeb strzelić. To naciągam swoich wielbicieli, przyjmuję prezenty od kochanków i zbieram na swoją rentę, bo żyć

jakoś trzeba, a i wymagania coraz większe. Jesteś jeszcze młoda, możesz byle jak mieszkać i byle jak jeść, a wszystko wydawać na fatalaszki i czekać na księcia z bajki. Powiadam ci, nie doczekasz się i zostaniesz z niczym. Albo wyjdiesz w końcu za pierwszego lepszego, co rękę poda i palce policzy.

Wtem otworzyły się drzwi i stanął w nich Wojnicz. Niektóre z tancerek były w negliżu, ale widok Wojnicza nie robił na nich żadnego wrażenia.

– Dziewczynki, ciszej, na miłość boską, tutaj ściany cienutkie, z dykty ledwo, przecież to słychać, jak wyklinacie i reżysera o pociąg do chłopców posądzacie – spanikowanym głosem mówił Wojnicz.

– A bo co, nieprawdę mówimy? – odezwała się gromko jedna z tancerek.

– Prawdę, nieprawdę, macie cicho siedzieć i już – burknął dyrektor i wyszedł, z impetem zamykając drzwi.

Nowy reżyser, Niemcow, który miał za sobą spektakle w Wilnie, Lwowie i Berlinie, był jego ogromną szansą na wypłynięcie na szerokie wody warszawskich kabaretów. Wiedział, że dziwny i agresywny był to jegomość, ale słyszał, że potrafiłby nawet z kawałka sztachety zrobić tancerkę.

Gdy znalazł się na korytarzu, udał się do swojej najlepszej artystki, Hanki Lewinówny.

– Panno Haneczko – zaświergotał – czy wszystko w porządku? Niemcow nie jest dla panny Haneczki zbyt obcesowy?

– Dla mnie nie tak bardzo, bo na śpiewaniu to się zna jak kura na pieprzu, ale dla dziewczyn jest okropny. Panie dyrektorze, powiedzmy sobie szczerze, to kompletny ordynus, ten Niemcow.

Wojnicz zaczął się kręcić niespokojnie.

– To wybitny reżyser. I ma odpowiednie koneksje, a w Pikadorze przesiaduje jak u siebie w domu. Zna wszystkich i już dzisiaj na premierę zapowiedzieli się najważniejsi krytycy. A jeśli nas nie obsmarują, to ten spektakl będzie dla nas prawdziwą trampoliną do sukcesu.

– Już pan dyrektor to samo mówił przed ostatnim przedstawieniem, a graliśmy je tylko dwa miesiące – mruknęła Hanka, niezbyt zadowolona z prowadzenia zespołu przez Niemcowa.

– No już się nie dąsaj, moja droga, bo mam dla ciebie wspaniałą informację. Niemcow wierzy w twój talent i załatwił pannie Hance spotkanie z samym Lejtesem, który szuka obsady do *Dziewcząt z Nowolipek* – dodał ugodowo dyrektor Wojnicz.

– Nie dąsam się. Wiem, że to dobry reżyser, ale dziewczyny nie są mięsem na straganie.

Wojnicz już nic nie odpowiedział, tylko opuścił garderobę Hanki Lewin.

\*\*\*

Dziewczyny wracały do swojej kwatery bardzo zmęczone. Tramwaje już nie kursowały, a taksówka była luksusem, na który sobie pozwalały jedynie w wyjątkowych wypadkach.

– No, opowiadaj – powiedziała Hanka, gdy szły Chmielną.

– A co tu opowiadać... On ciągle zaślepiony tą całą Adrianną. Jak tylko wyjdzie z podchorążówki, ma zamiar się żenić – westchnęła Alicja.

– I co teraz zrobisz? – zapytała słabym głosem Hanka.

Alicja milczała. To było pytanie, na które musiała sobie odpowiedzieć, jeśli nie chciała przez resztę życia oczekiwać niemożliwego. Co miała dalej robić ze swoim życiem? Była młoda, ładna i wysoko podnosiła nogi. Co i rusz dostawała kwiaty, znajdowała pudełka czekoladek i liściki pełne słów uwielbienia. Niektórzy z tych mężczyzn byli przystojni i zamożni, jedni traktowali ją z lekkością, inni bardziej poważnie. Ale ona w jakimś zaślepieniu i dzikim uporze wciąż myślami była przy Julianie

Chełmickim. Nie pomógł wyjazd z rodzinnej miejsciny ani blichtr wielkiego miasta. Jeden cios nie pomógł, drugi, niestety, nie zostawił żadnych złudzeń.

Po kilkunastu minutach rozważań doszła do wniosku, że jej starsza koleżanka po fachu ma rację. Musi nauczyć się wykorzystywać swoją młodość i urodę, żeby zabezpieczyć sobie przyszłość, która w tym zawodzie była wyjątkowo niepewna. Przez te kilka lat nabrała ogłady, umiała się zachować, podszlifowała języki z obcokrajowcami. I tak miała więcej szczęścia niż inne dziewczęta. A najważniejsze, że poznała ten świat, w którym nie było miejsca dla dziewcząt słabych i marzących o księciu z bajki. Były takie, którym się udało, ale stanowiły nikły odsetek wśród dziewcząt z prowincji przybywających do wielkiego miasta w poszukiwaniu lepszego życia.

Od tego wieczoru, kiedy tylko próba do nowego spektaklu *Nocne motyle* nie była zbyt wyczerpująca, umawiała się z młodymi, przystojnymi mężczyznami i nie były to spotkania tak niewinne, jak do tej pory. Byli też inni: zamożniejsi, stateczniejsi i, niestety, mniej przystojni. Nadeszła także noc, gdy upojona szampanem w Adrii, postanowiła oddać swój wianek księgowemu z dużej drukarni. Nie był ani bogaty, ani specjalnie nie kipiał wdziękiem, ale Alicja wyczuła, że naprawdę się w niej zakochał. O świcie, gdy bąbelki szampana wyparowały, stwierdziła, że nie było ani tak źle, jak straszyły niektóre mężatki, ani tak dobrze, jak rozprawiały o tym bardziej rozwiązłe dziewczyny. Po miesiącu została spokojnego księgowego i rzuciła się w wir kolejnych romansów, po których z czułością spoglądała na kasetkę z biżuterią i rosnący stosik banknotów.

\*\*\*

Julian Chełmicki przybył do Chełmic niespodziewanie. Otrzymał przepustkę za zdobycie największej liczby punktów w konkurencji jazdy konnej i strzelania do celu. Ubrany w mundur galowy, w porze kolacji stanął w drzwiach salonu. Tym razem gości było niewiele, jedynie von Lossowie z synem Walterem zaszczylicili Chełmice swoją obecnością. Do kolacji podano zimną wódkę, a gdy zastawa zniknęła ze stołu, Julian, Walter oraz stary Chełmicki i von Lossow rozpoczęli partyjkę brydża. Rodzinie Waltera nie wiodło się ostatnio najlepiej, ponieważ stary Lossow zaczął publicznie krytykować Hitlera i jego reżim. Poza tym robił interesy z Żydami, a ostatnimi laty już nie miał za bardzo z którymi. Każdy zamożny Żyd wyjeżdżał jak najdalej od Rzeszy i w chwili ucieczki najczęściej już nie był zamożny. Von Lossow próbował różnych sztuk, by zmienić orientację swojego biznesu, ale brak przynależności do NSDAP zamykał mu wiele drzwi.

– A ja tam chyba wstąpię do SS – mruknął lekko wstawiony Walter. – Nie muszę wierzyć w te idee, ale przynajmniej będę miał święty spokój. A teraz mnie wszyscy wyśmiewają, że jedzie ode mnie czosnkiem i cebulą, bo się z Żydami zadawaliśmy.

– Rób, co chcesz, synu, ale mnie żaden polityk nie będzie rozkazywał. Za stary jestem, żeby mnie przymuszano do wielbienia czegoś, co moim zdaniem źle się dla Rzeszy skończy – odpowiedział mu ojciec.

– Tato, mówiłeś to samo, jak wybrali Hitlera na kanclerza, a on, jak widać, świetnie sobie radzi – uśmiechnął się Walter.

– Dyktaturą i tyranią – bąknął pod nosem stary von Lossow.

– Przesadzasz. – Walter nie dawał za wygraną. – Naród go czci, niczym Boga.

– Naród, który czci jednego człowieka niczym Boga, jest narodem głupim i skazanym na zagładę. Żydzi mają zmysł do interesów, są pracowici i bogobojni. Co mu oni przeszkadzali? – odpowiedział mu ojciec.

– Ale sam przyznasz, Martinie, że Żydzi za bardzo się panoszą. W Polsce również. Już jedna trzecia mieszkańców stolicy to pejsaki. Gdzie się nie obejrzyysz, tam są oni. Nawet w Chełmicach opanowali niemal cały handel i usługi, zabierając chleb Polakom – wtrącił się Antoni Chełmicki.

– A kto broni Polakom handlować? Moim zdaniem, kto lepszy i sprytniejszy, ten ma. A niech on nawet będzie Papuasem. Wszyscy chcieliby na gotowe przyjść, żeby było łatwo i bez problemów. I jeden drugiego w łyżce wody by utopił. Oni trzymają się razem, nie wydają pieniędzy na zbytki i stąd ich sukces w robieniu pieniądza. Powinniśmy się od nich uczyć, zamiast patrzeć na nich wilkiem. Idą jak taran, kto broni innym podobnie postępować? – obruszył się nieco von Lossow.

– Ja także uważam, że Żydzi za bardzo czują się jak u siebie. Między sobą to może i dobrze żyją, ale Polaków nie lubią i jak tylko mają okazję, żeby ich okpić, robią to bez wahania – dołożył swoje trzy gorsze Julian.

– Ale czy wiesz, młody człowieku, co robią z Żydami w Rzeszy? Przecież to nieludzkie – spokojnie powiedział von Lossow.

– Zatem niech wyjadą, jeśli nie są mile widziani. Poza tym wielu z nich hołduje bolszewizmowi, a sam pan przyzna, że to barbarzyński system – upierał się Julian.

– Bolszewizm to w istocie zaraza ludzkości, ale nie demonizowałbym Żydów. W każdym narodzie znajdują się czarne owce, bolszewicy, mordercy i złodzieje. My tymczasem uważamy, że jeśli jeden czy drugi Żyd jest bolszewikiem, to i cała reszta. Jeśli zatem w Polsce zdarzają się morderstwa, to czy cały naród można okrzyknąć mordercami? Twój przyjaciel, Igor Łyszkin, to też komunista, a jednak nie zdyskwalifikowałeś go. – Von Lossow wciąż bronił swoich racji.

– Tato, a gdybyś nie wzbogacił się dzięki interesom z Żydami i nie poniósł kilku finansowych klęsk z powodu ich emigracji, czy dzisiaj broniłbyś ich równie zaciekle? Niejednokrotnie mówiłeś, że trzeba na nich uważać, bo strasznymi z nich kanciarze – roześmiał się Walter.

– Nigdy nie twierdziłem, że ich lubię albo że są łatwymi partnerami w interesach, mówię tylko, że rasizm i ksenofobia nie powinny cechować nowoczesnego państwa. – Stary von Lossow był uparty.

– W takim wypadku oni rządząliby nami, w naszym kraju, a nie my nimi. I uwierz, Martinie, oni nas by nie oszczędzali. Dlatego czasami należy im utrzyć nosa, a jak potrzeba, to i skórę przetrześć. Oni są gośćmi, więc niech zachowują się jak goście. – Antoni Chełmicki poklepał swojego przyjaciela po ramieniu, chcąc zakończyć rozmowę, która stawała się coraz bardziej burzliwa.

Mężczyźni skończyli grę późno w nocy. Wszyscy byli na lekkim rauszu i dlatego Julian zdecydował się nieco przewietrzyć. Walter postanowił mu towarzyszyć.

– Nie szła ci coś dzisiaj karta, Julianie – roześmiał się przyjaciel.

– W istocie, nie było dzisiaj najlepiej, ale bądź pewien, że jutro, jak mi wyparuje wódka z głowy, to się odegram – odpowiedział Julian.

– A ja to mam ochotę pójść na dziwki. Do takiego prawdziwego burdelu, gdzie wybieram sobie dziewczynę i nie muszę się cały wieczór umizgiwać, tylko robię swoje i wychodzę rozluźniony. Albo do lokalu, gdzie są same chętne dziewczyny – westchnął Walter.

– W Warszawie burdela są dziesiątki. Moi koledzy często tam chadzają, ale ja się boję francę złapać – odpowiedział z lekkim żalem Julian.

– W porządnym burdelu nie złapiesz francy, dziewczyny są czyste. – Walter poklepał Juliana po ramieniu.

– Kochany przyjacielu, nie ma czegoś takiego jak czysta prostytutka. Ale wiesz co, mnie też już męczy ten celibat. Możemy wyjechać nieco wcześniej i się zabawić. Znam kilka adresów godnych po-

lecenia.

– I za to cię lubię, Julianie. – Walter wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu.

– Podobno w Warszawie jest Igor. Może zabierzemy i jego? – zapytał Julian.

– Pewnie, zabierzmy Łyszki komunistę i zrobimy sobie kawalerski wieczór – wybełkotał

Walter.

\*\*\*

Premiera *Nocnych motyli* odbyła się przy pełnej sali. Było to zrozumiałe, bo większość miejsc zajmowali krytycy, dziennikarze i wpływowi goście, z których zdaniem liczyli się wszyscy. Wojnicz kręcił się niespokojnie za kulisami, co chwilę zerkając przez szparę w kotarze. Sprawdzał, kto przyszedł, a kto zignorował zaproszenie. Miał jednak nadzieję, że nazwisko Niemcowa i coraz bardziej docenianej w branży Hanka Lewinówny przyciągnie znane w Warszawie osoby. Tak też się stało, ale Wojnicz zamiast się uspokoić, zaczął się denerwować, że coś pójdzie nie tak. Po spektaklu zaś wybrańcy z sali oraz cały zespół występujący w *Nocnych motylach* mieli zakończyć wieczór na zakrapianej imprezie w Gastronomii, gdzie przygotowano na tę okazję specjalną salę.

– Żeby tylko wszystko poszło jak trzeba – denerwował się Wojnicz, miętosząc sznur, którym podciągano i opuszczano kurtynę.

– Niech się pan tak nie denerwuje. Nawet jeśli się nie uda, to nie jest przecież koniec świata – mruknął Niemcow, stojący obok i czekający na rozpoczęcie przedstawienia.

– To jest koniec świata, panie Niemcow. Zainwestowałem wszystkie pieniądze w ten spektakl i raut po przedstawieniu. Jeśli będzie kłapa, będę musiał zamknąć teatr – westchnął.

– Już proszę przestać, wychodzi pan na scenę. To pana wielka chwila. – Niemcow delikatnie popchnął Wojnicza do przodu.

Kurtyna była jeszcze opuszczona, a ostatni widzowie zajmowali krzesła.

– Szanowni państwo... – rozpoczął Wojnicz.

Gdy kurtyna poszła w górę, pierwszy na scenę wszedł zespół taneczny, potem kilka skeczów przedstawił Myszor, po nim znowu dziewczyny, a na końcu na scenę weszła Hanka Lewinówna z nowym repertuarem. Gdy zaczęła śpiewać, wszyscy zapomnieli o Myszorze i jego dowcipach, a występy zespołu tanecznego zbledły. Każdy oniemiał z zachwytem, gdy Hanka wykonała swoje nowe utwory. Zmysłowo, nieco nostalgicznie, z charakterystyczną chrypką, jakby wyciszając fajerwerkowy charakter przedstawienia. Gdy skończyła, rozległa się burza okłasków, a nawet wybredniejsi krytycy wstali z miejsc. Nikt już nie szeptał o zapachu stęchlizny, niewygodnych krzesłach i lekko wyświechtanej kurtynie, ale o występie Hanka Lewin.

– I po co ja tyle pieniędzy wydawałem na raut! – wykrzyczał rozentuzjasmowany Wojnicz w garderobie tancerek. – Dziewczęta, tylko szybciotko się przebierajcie, samochody czekają. Dzisiaj będziecie traktowane niczym aktorki z Hollywood.

– A to stary sknera – mruknęła ruda dziewczyna. – Jak to mu szkoda dla nas pieniędzy? Raz się szarpnął na porządną kolację i już łzy krokodyle wylewa.

– Hollywood! – parsknęła Alicja i odkleiła sztuczne rzęsy. – Ciekawe, czy tam też w garderobach są szczury?

– Swoją drogą ciekawe, że nie pozdychały u nas z głodu – zachichotała inna. – Przecież my ciągle się odchudzamy.

– Pewnie tylko przechodzą do Wojnicza, bo nasz grubasek lubi sobie podjeść – dodała kolejna.

Nastrój był jednak wesoły, bo wszystko się udało. Obyło się bez wpadek, pomyłek i innych katalizmów, takich jak chociażby wybijająca toaleta, której zapach potrafił przegonić nawet najbardziej wytrwałych widzów spektaklu. Wojnicz oczywiście zrzucił to na karb niezbyt ładnie poprowadzonego przedstawienia, ale zmarszczone nosy opuszczających salę, niestety, nie pozostawiały złudzeń.

Sala bankietowa Gastronomii – restauracji usytuowanej na rogu Nowego Świata i Alei Jerozolimskich – w istocie była przygotowana prawie po królewsku, a stoły uginały się pod ciężarem półmisek z przekąskami. Gdy już wszyscy zaproszeni goście przybyli na miejsce i zrobiło się małe zamieszanie, Hanka z Alicją udały się do toalety, by przypudrować nosy. Minęły zatłoczoną salę główną i przechodziły właśnie wzdłuż baru, gdy Alicja szarpnęła za rękaw Hankę.

– Zwariowałaś, ta suknia kosztowała fortunę, chcesz mi ją porwać? – warknęła Hanka.

– Patrz, kto tam siedzi – powiedziała Alicja. – Julian Chełmicki w towarzystwie kolegów i dziwek z Gastronomii...

– O proszę, jaki wierny narzeczony – prychnęła Hanka. – Oni wszyscy tacy sami. A tego jednego to widziałam w Chełmicach, jak śpiewałam na urodzinach starego. Jakiś kompletnie nawiedzony Rosjanin, Łyżkin czy Łubin, nawet nie pamiętam, bo mnie zdenerwował.

– Czemu? – bezwiednie zapytała Alicja, zajęta myśleniem o Julianie.

– Gadał coś o moich zniszczonych butach... – burknęła.

– Prawdziwy dżentelmen... – westchnęła Alicja.

Stały przed ogromnymi lustrami w toalecie i poprawiały makijaż. Alicja była dziwnie milcząca, chociaż jeszcze niedawno paplała podekscytowana o przybyłych gościach. Już nawet upatrzyła sobie jednego i zamierzała go uwieść.

– Co ty kombinujesz, Alicja? – zapytała Hanka, przeciągając karminową szminką po wargach.

– E... nic – mruknęła Alicja, udając, że poprawia fale na włosach.

– Znam cię, moja droga, i wiem, że coś ci tam po głowie chodzi. Powiedz... – Hanka nie dawała za wygraną.

– Pomyślałam, że jeśli Julian chodzi na dziwki, dzisiejszej nocy mogę stać się jedną z nich – westchnęła Alicja.

– Tak, podejdziesz do niego i powiesz: „Dzień dobry, panie Julianie, dzisiaj na jedną noc zamieniłam się w prostytutkę. Moje usługi kosztują sto złotych”. – Hanka parsknęła śmiechem.

– Nie... właśnie myślę, jak to rozegrać... – powiedziała, jakby do siebie, Alicja i zaczęła powoli się pudrować.

Gdy wróciły na salę, wszystkie sępy w postaci krytyków i agentów gwiazd rzuciły się na Hankę Lewinównę, żeby chociaż przez chwilę pograć się w jej aurze chwały. Tymczasem Alicja wciąż nie mogła zapomnieć obrazka sprzed kilku minut. Sama nie rozumiała własnego uporu i tego, że nikt i nic nie było w stanie zatrzeć obrazu Juliana Chełmickiego. Wiedziała, że nie może go mieć na całe życie, dlatego chciała go dostać chociaż na jedną noc. Postanowiła zagrać z nim w otwarte karty. Może nie do końca, nie była przecież prostytutką, ale postanowiła zaproponować swoje usługi za odpowiednią zapłatę. A jeśli się zgodzi i tę noc spędzą razem, po prostu nie przyjmie pieniędzy. Miała świadomość, że o poranku odkryje jej intencje, ale wtedy będzie jej już wszystko jedno.

Wróciła do sali, gdzie siedzieli koledzy Chełmickiego i on sam z paniami znanymi warszawiakom z lekkich obyczajów, i niby to niechcący szturchnęła ramię jednego z nich. Słodko powiedziała „przepraszam” i wtedy ich oczy się spotkały.



– Panna Alicja... – niemal wybełkotał zmieszany Julian, po czym przeprosił towarzystwo, wstał i poprowadził Alicję w głąb sali.

– Dzień dobry, panie Julianie – powiedziała słodko.

– Ja... to znaczy oni... wie pani, jak to jest z kolegami – zaczął nieporadnie tłumaczyć się Julian.

Położyła mu dłoń na ramieniu i spojrzała w oczy tak samo, jak wtedy gdy uwodziła kolejnych amantów.

– O tak, wiem, panie Julianie. Młodzi mężczyźni potrzebują wyszumieć się przed ślubem i dobrze zabawić, a my im tę rozrywkę zapewniamy. – Uśmiechnęła się czule.

– My? Co to znaczy, panno Alicjo? – Twarz Juliana spochmurniała.

– To znaczy, panie Julianie, że za dwieście złotych może pan spędzić ze mną dzisiejszą noc.

– Podała cenę, która wydawała jej się wystarczająco wygórowana, aby nie myślał, że jest byle jaką dziwką.

– Przeraża mnie pani – wymamrotał.

– Nie podobam się panu? – zapytała. – Nie jestem tak pociągająca, jak te panie, które siedzą z wami przy stoliku, co?

– Ależ skąd? Panno Alicjo, tylko nie mógłbym. Bardzo pannę Alicję lubię i byłoby to chyba niewłaściwe... – Julian nie mógł znaleźć sensownych argumentów.

– Więc dlaczego nie? – Alicja była uparta.

– Boże... – wyszeptał i potarł dłonią twarz. – Bo ja nie myślałem...

– Dobrze, w takim razie proszę mnie poznać z którymś z pana kolegów – zalefowała. – Chyba są dobrze sytuowani i będzie ich na mnie stać.

– Panno Alicjo, dam pani te pieniądze, ale niech pani przestanie...

Julian zaczynał być zły. Lubił Alicję i uważał ją za piękną i pociągającą tak bardzo, że nie miałby nic przeciwko romansowi z nią, gdyby nie Adrianna, ale za pieniądze? Nie mieściło mu się to w głowie. Pomyślał także, że bardzo źle by się czuł, gdyby zrobiła to z von Lossowem albo Łyszkinem. Postanowił tej nocy zabrać ją do hotelu i tam przemówić do rozsądku, a jeśli będzie trzeba, pomóc jej zejść z tej haniebnej drogi.

– Ależ, panie Julianie, ja nie proszę o jałmużnę, jestem warta swojej ceny. – Alicja robiła się coraz bardziej zdeterminowana. A im bardziej ją odpychał, tym ona robiła się nachalniejsza.

– Proszę przestać, panno Alicjo. Spotkajmy się za pół godziny w holu i pojedziemy do mojego pokoju. Nie zatrzymywałem się w żadnym luksusowym hotelu, więc będzie pani musiała przeżyć te drugorzędne warunki – powiedział Julian i oddalił się do stolika kompanów.

To, co Julian Chełmicki nazywał drugorzędnymi warunkami, Alicji wydawało się bardzo przyzwoite. Weszła nieco niepewnie do pokoju i zdjęła najpierw kapelusik, a potem lekką narzutkę. Rzuciła je na fotel i usiadła na łóżku, zakładając nogę na nogę. Wąska atlasowa sukienka pod wpływem tego ruchu podniosła się aż do ud, odsłaniając pończochy z siateczki, nazywane kabaretkami – od miejsca, gdzie rozpoczęły swój żywot.

Wodziła wzrokiem za Julianem, który kręcił się po pokoju hotelowym, nie bardzo wiedząc, jak się zachować. Był podchmielony trunkami wypitymi w Gastronomii i podniecony widokiem Alicji, ale byłby zdecydowanie szczęśliwszy, gdyby ona w tym momencie pragnęła jego, a nie zwitka banknotów.

– Dlaczego to robisz? – zapytał cicho, zmieniając ton na mniej oficjalny i nie zwracając się do niej jak zwykle „panno Alicjo”.

– Będziesz prawil mi morały i sprowadzał na drogę cnoty, czy będziemy się kochać? – zapytała

buńczucznie, bez problemu zmniejszając dystans.

– Chcę wiedzieć, jak to się stało? Nie wierzę, że pewnego dnia obudziłaś się i pomyślałaś: „Zostanę dziwką, a co tam”. Jeśli jesteś w potrzebie, pomogę ci. Mam znajomości, pieniądze, układy. Znajdę ci pracę, dobry adres, a dopóki tego nie uczynię, mogę wypłacać ci niewielką pensję, żebyś miała z czego żyć. Los prostytutki kończy się bardzo marnie, wyniszczy cię, a i jakieś choróbsko niechybnie złapiesz. Alicjo, błagam, pozwól sobie pomóc – mówił ciepło, serdecznie, jak przyjaciel.

– Chcesz, żebym była twoją utrzymanką? – zapytała niewinnie, chociaż wiedziała, że inne pobudki kierują Julianem. Nie sądziła, że jest mu aż tak bliska. Jednak niewystarczająco bliska, żeby jej pragnął.

Julian zakrył twarz rękoma i usiadł obok niej. Popatrzyła na niego i zaczęła odpinać pończochy. Ogarnął go gniew.

– Dobrze, chcesz się oddawać za pieniądze, twoja sprawa. Zobaczymy, co potrafisz za te swoje dwieście złotych! – krzyknął i popchnął ją na łóżko. Podwinął jedwabną sukienkę, zdarł figi i rozpiął spodnie.

Kochał się z nią brutalnie, łapczywie, nawet nie zdejmując do końca ubrania. Gryzł jej pełne usta, rozmazując po twarzy karminową szminek. Poczula się fatalnie. Nie tak wyobrażała sobie tę wspólną noc. W jej marzeniach Julian był delikatnym, czułym kochankiem, do którego nagle dociera, że ona jest kobietą jego życia. Niestety, ten zwierzęcy akt kopulacji nie miał nic wspólnego z czułością, ale z niepo- hamowaną złością. Była zdruzgotana. Łzy leciały jej z oczu, ostry makijaż spływał po twarzy, a jej wewnątrz pulsowało z bólu.

– Nie tak, Julianie, nie tak – łkała.

– A jak? Przecież jesteś tylko dziwką za dwieście złotych – warknął.

Odepchnęła go z całej siły i uderzyła w twarz.

– Przestań... – Rozplakała się.

Wstał z łóżka i podszedł do okna. Wpatrywał się w spokojną ulicę, niemal pustą o tej porze. Zaczął padać deszcz, stukając w brukowaną ulicę, która połyskiwała w świetle latarni. Wyciągnął z pugilaresu banknoty, odwrócił się i położył na stole. Alicja poprawiała sukienkę i usiłowała zdjąć porwane pończochy. Trzęsły jej się ręce, drżała cała, a między nogami czuła piekący ból. Podeszła do lustra i wytarła chusteczką rozmazany łzami i pocałunkami makijaż. Julian nawet nie patrzył na nią. Wzięła torebkę, schowała chustkę i podartą bieliznę, i zatrzasnęła ją z hukiem.

„Doigrałaś się” – pomyślała, upokorzona i nieszczęśliwa. Nie miała pojęcia, jak mogła wpaść na równie szalony pomysł. Chciała tylko, by był jej choć w tę krótką noc. I był, ale w sposób, w jaki nigdy tego nie chciała...

Odwróciła się i poszła w stronę drzwi.

– Zapomniałaś o swoim wynagrodzeniu – powiedział z pogardą Julian.

Spojrzała na niego oczami pełnymi łez.

– Przepraszam... – wyszeptala, cicho zamykając za sobą drzwi.

Alicja szła w strugach deszczu, a łzy zlewały się z padającymi kroplami. Stukot jej obcasów mącił ciszę ulicy. Alicja nigdy przedtem nie czuła się taka samotna...

Julian poczuł się paskudnie. Bez względu na to, kim naprawdę była Alicja Rosińska, nie miał prawa tak jej potraktować. Była wolną kobietą, jeśli chciała uprawiać taki zawód, nie powinien być zły. A jednak był... za to, że doszło do tego żenującego spektaklu. Bo zabołało go tak bardzo, że inni męż-

czyżni mogli ją mieć za dwieście złotych...

\*\*\*

Tymczasem w Gastronomii impreza trwała w najlepsze. Walter zdecydował, że tę noc spędzi z pulchną blondyną o dużym biuście i egzotycznym pseudonimie – Iguana. Łyskim natomiast wciąż się zastanawiał, czy wybrać tę, którą upatrzył sobie na początku, czy może wykorzystać fakt, że Julian opuścił towarzystwo i zabrać do hotelu jego wybrankę. Obie były dość ponętne albo mu się tak zdawało po wypiciu wielu kieliszków wódki. W końcu wpadł na szalony pomysł, że może zachowa się jak burżuj i weźmie obie. I gdy się tak zastanawiał, czy tym samym nie zdradza idei proletariatu, zobaczył ją, dziewczynę z Chełmic, Hankę Lewin. Byłby jej nie poznał w wytwornej sukni i lisiej etoli, gdyby nie twarz. Słyszał co nieco o niej, że stara się zrobić karierę w Warszawie, ale nie miał czasu, by śledzić jej losy po wyjeździe do stolicy.

Hanka szła w towarzystwie młodego mężczyzny, elegancko ubranego, od którego emanowała pewność siebie i niemałe pieniądze.

– Kim, u licha, jest ten facet? – zapytał siebie.

– To hrabia Niechowski – odezwała się jedna z prostytutek.

Igor ocknął się i odwrócił w stronę kobiety.

– Kto taki?

– Hrabia Niechowski. Stały bywalec salonów warszawskich, lubiący otaczać się gwiazdami teatru i kabaretu. To pewnie jego kolejna zdobycz. Zapewne niedługo będzie o niej głośno, jak ją weźmie pod swoje skrzydła – powiedziała.

– Nie wiadomo, czy będzie głośniejsze jako o artystce, czy o jego kochance – zaśmiała się druga i zapytała: – To zdecydował pan, którą z nas wybiera? Może obie...?

– Żadnej... – mruknął Igor i wstał od stolika.

– Jak to tak? – warknęła.

– Widzę, że obaj mi poległicie – zaśmiał się pijany Walter i chwając się, również wstał, położył pieniądze na stole, po czym wybełkotał: – Ale ja was, dziewczynki, nie zawiodę, biorę wszystkie trzy.

Roześmiane towarzystwo ruszyło w stronę wyjścia, a Łyskin przyglądał się tańczącej parze. Hanka wyglądała jak prawdziwa gwiazda i chociaż wolał ją w skromnej sukience i zdartych butach, wciąż wydawała mu się najpiękniejszą kobietą na ziemi. Gdy taniec dobiegł końca i hrabia Niechowski odprowadził swoją partnerkę do stolika, Igor niemal natychmiast pochwycił ją na parkiet, nie zważając, że wtargnął do zamkniętej części lokalu. Wszyscy byli jednak rozbawieni i podchmieleni, więc nikt na ten fakt nie zwrócił uwagi.

– Jestem niezmiernie szczęśliwy, że znowu się widzimy, Haniu – powiedział i ucałował jej dłoń.

– My się znamy? – Udawała, że nie rozpoznała Łyskina.

– Nie pamiętasz mnie? – zapytał, uśmiechając się czarująco.

– Ach, to pan – powiedziała znużonym głosem. – Teraz sobie przypominam, dżentelmen, który nie używa słowa „pani” i martwią go zdarte buty. Jak pan widzi, mam już nowe. I nie trzeba było do tego wywoływać rewolucji. Natomiast nie rozumiem, co taki ideowiec robi w miejscu, gdzie bawi się cała burżuazja Warszawy.

– Widzę, że nie możesz mi tego darować. No cóż, zasłużyłem sobie swoimi złośliwościami.

– Czyżby pan już nie miłował komunizmu i nawrócił się na drogę cnoty?

– Ależ skąd, ale niewłaściwe było przekonywanie ciebie do tej idei.

– A gdzie są pana urocze towarzyski? – zapytała słodko.  
– Teraz to ty jesteś złośliwa. – Roześmiał się.  
– A pan nie odpowiedział na moje pytanie. – Również się roześmiała.  
– Gdy zobaczyłem tutaj ciebie, pożegnałem się z nimi bez żalu.  
– Widzi pan mnie i co dalej? – Hanka wyraźnie bawiła się Łyszkinem.  
– Jeśli pozwolisz, odprowadzę cię do domu – powiedział hardo.  
– Już obiecałam to hrabiemu Niechowskiemu – odparowała.  
– Jestem zazdrosny. Porachuję mu kości.  
– Naoglądał się pan za dużo filmów. A długo pan zabawi w Warszawie? – zapytała, bo zaczęła jej się podobać jego bezpośredniość i brak zadęcia.

Nabrał ogłady i najwyraźniej nie zamierzał już naprowadzać jej na drogę komunizmu. Był inny niż ci wszyscy mężczyźni kręcący się wokół niej. Była prostą dziewczyną ze wsi i brakowało jej tego w kontaktach z ludźmi, a Igor Łyszkin mógł jej odrobinę takiej świeżości zaoferować.

– Jeśli tak, to w takim razie proszę przyjść na mój spektakl do Czarodziejskiego Fletu – dodała.

– Czuję się zaproszony – powiedział, uradowany, i dodał: – Gdybyś jednak zechciała nie nazywać mnie „panem”, byłbym bardzo szczęśliwy.

– A jednak wciąż bolszewik. – Zaśmiała się. – Nigdy bym nie pomyślała, że bolszewicy to tacy mili mężczyźni.

\*\*\*

Gdy Alicja dotarła do mieszkania, już nie płakała. Miała wrażenie, że wylała już wszystkie łzy podczas drogi. Czuliła się pusta w środku. Chytry plan, który opracowała, żeby usidlić Juliana, okazał się dramatyczny w skutkach. Co sobie myślała? Że Julian zapala miłością do dziwki? Czym mu chciała za imponować? Miłością za pieniądze? On próbował zawrócić ją z tej drogi, był nawet zły za taką propozycję, ale ona gdzieś w środku łudziła się, że ta noc zmieni się w coś niepowtarzalnego i tak pięknego, że pozostawi wspomnienie czulego dotyku, szeptanych wyznań i tęsknoty, która na powrót przywiedzie do niej kochanka. Tymczasem otrzymała zastrzyk pogardy i złości. Może dlatego, że naprawdę ją lubił i dobrze jej życzył? A ona, głupia, zamieniła to w grę. Stawka była wysoka, ryzyko ogromne i, niestety, przegrała.

Jej przyjaciółka w tym samym czasie miała doskonały humor. Występ Hanki spodobał się krytykom, zapewne jutro pojawią się wzmianki o jej oszałamiającym recitalu, a poza tym zyskała dwóch interesujących wielbicieli. Niechowski zaproponował jej dansing w Adrii następnego wieczoru, a Igor Łyszkin przyrzekł, że pojawi się na spektaklu. Nieco igrała z losem, umawiając się z dwoma fatygantami w jeden wieczór, ale Łyszkin co najwyżej mógł przesłać jej kwiaty po przedstawieniu i umówić się na kolejny dzień. Igorowi nieco brakowało światowych manier, zapewne dlatego, że zbyt długo przebywał wśród komsomolców wywodzących się z bardzo różnych warstw społecznych, natomiast Niechowskiemu nie ufała do końca. Słyszała, że jest kobieciarzem i każdą wschodzącą gwiazdę obdarza uczuciem, dopóki następna nie pojawi się na firmamencie.

\*\*\*

Następnego ranka dziwne uczucia targały każdym z uczestników libacji w Gastronomii. Walter von Lossow miał potwornego kaca i niewiele pamiętał z poprzedniej nocy. Wiedział, że przyszedł do hotelu z trzema fordanserkami, których imion nie pamiętał, a ich twarze zdawały się rozmazanymi plama-

mi.

Natomiast jego kompan od stolika, Igor Łyszkin, od południa szykował się na spektakl w Czarodziejskim Flecie. Nie wiedział, jak zaimponować takiej kobiecie, jaką stała się Hanka Lewin, jednocześnie czuł obrzydzenie na myśl, że miałby przed nią udawać kogoś, kim nie był. Lewinówna pięła się po szczeblach kariery, skupiała wokół siebie wszystkich mężczyzn, których nienawdził, i śmiała się z jego światopoglądu. A jednak poprzedniego wieczoru zdołał w niej odnaleźć prostą, swojską dziewczynę, która potrafiła mieć cięte riposty i głośny śmiech, nieprzystający do takiej diwy jak ona. Kogo zatem miał zagrać tego wieczoru, żeby ją uwieść? Po kilkugodzinnych przemyśleniach, wątpliwościach i miotaniu się niczym wygłodniałe zwierzę w klatce doszedł do wniosku, że będzie po prostu sobą, Igozem Łyszkinem. Jeśli go zechce, to takim, jakim był. Jeśli nie, niech idzie do diabła z którymś z tych wymuskanych paniczków.

Julian Chełmicki, gdy otworzył oczy, pomyślał, że jego największym pragnieniem jest wymazanie poprzedniego dnia z kalendarza. Dotychczas Adrianna była w jego sercu, niczym constans, piękna, zmysłowa i słodka. I nawet jeśli dopuszczał się rozpustnych czynów, nie miały one wpływu na jego uczucia. Ot, czasami wraz z kolegami korzystali z usług cór Koryntu, które nie pozostawiały najmniejszego śladu ani w sercach, ani w umysłach, i na ich szczęście również na przyrodzeniach. Tymczasem spotkanie z jedną z nich miało odwrotny skutek i kompletnie przewróciło mu w głowie. „Kim jesteś, Alicjo Ross?” – pytałeś się, używając jej scenicznego pseudonimu, jakby bał się nawet w myślach nazywać ją prawdziwym nazwiskiem. Julian tak bardzo nie chciał, żeby śliczna, zielonooka Alicja była tym, kim była. Warszawską cichodajką, którą mógł mieć każdy. Nawet jeśli nią była, dlaczego właśnie jego uparcie ciągnęła do łóżka, by potem zostawić zapłatę na stole i wyjść. Chciała go upokorzyć, to pewne, ale nie rozumiał po co i nie wiedział dlaczego. Gdyby była w nim zakochana albo odrobinę go lubiła, nie stawiała by go w takiej sytuacji. A jednak wciąż słyszał jej rozpaczliwy głos, żeby przestał, czuł odcisniętą na policzku jej drobną dłoń i jak napina ciało pod jego ciężarem. Była dziwką, a nie zachowywała się jak one. Te kobiety nie płakały, były znudzone albo wulgarne, ale na pewno nie przejęte obcowaniem z mężczyzną. A przede wszystkim nie pogardały zapłatą, nawet jeśli odczuwały przyjemność.

Hanka o poranku podśpiewywała, zastanawiając się, czy już będzie rozpoznawana na ulicy, co napiszą dzisiejsze gazety i czy Wojnicz wyprzeda wszystkie bilety na trzy miesiące naprzód. Coraz mocniej czuła, że powoli przestaje pasować do Czarodziejskiego Fletu. Ten mały teatrzyk, wciśnięty w oficynę pomiędzy cukiernią a księgarnią, okres świetności miał już za sobą. Nieremontowany od dwudziestu pięciu lat, sprawiał wrażenie podrzędnego wodewilowego teatrzyku dla biedoty. Krzesła się chwiały, ich pokrycie było mocno powycierane, nawet gdzieś przetarte, a na premiery wypożyczano fotele z innych miejsc, by co ważniejsi goście nie puciekali, zanim zacznie się spektakl. Wojnicz specjalnie ustawiał rampy tak, aby broń Boże światło nie padało na widownię. W przeciwnym razie widzowie ujrzeliby nie tylko sfatygowane krzesła, ale również szerniały parkiet, zdeptane chodniki i ściany pokryte sadzą, która pamiętała czasy, gdy teatrzyk nie miał jeszcze elektryczności. Kurtyna była spłowiała do tego stopnia, że nikt nie byłby w stanie odgadnąć jej pierwotnego koloru, a deski sceny łataną naprędce, gdy któraś pękała. Zaplecze nie prezentowało się lepiej. Garderoby były zbyt małe, by w jednej pomieścić szóstkę dorodnych dziewcząt, a krawca umieszczono w składziku na szcztoki, bo zabrakło pomieszczeń nadających się do użytku. Dyrektor Wojnicz zaś wolał inwestować w dobrych artystów niż w remont tego przybytku i wszystko, co zlecał do naprawy, nosiło znamiona prowizorki.

Hanka jednak wierzyła, że trafi się ktoś, kto wyzwoli ją z oków niezbyt uczciwej umowy i będzie mogła dostać angaż w bardziej wykwintnym teatrze. Hrabia Niechowski mógłby jej w tym pomóc,

a myśl, że zrobiłby to tylko wówczas, gdyby została jego kochanką, nie odstręczała jej. Dotychczas nie mogła się przemóc, by oddać komuś wianek, mimo że była starsza od Alicji, która mogła poszczycić się już niezłą kolekcją kochanków, i to w niedługim czasie. Fakt, że była wciąż dziewicą, mógłby tylko podnieść jej notowania na rynku panien i, co tu dużo mówić, wkraczała w wiek, gdy mówiono o starych pannach. Wiedziała, że jej młodzieńcza miłość do Jakuba Mosela była jedynie ułudą i czekała, aż pojawi się następna. Wielka, szalona i wzajemna. Tymczasem minęło pięć lat, a jej serce wciąż było zimne. Bardzo ekscytowała ją scena i nowe piosenki niż kolejni wielbiciele. Więc jeśli miała już spotkać się z czymś, co nieuniknione, to dobrze byłoby przy okazji ugrać coś dla swojej kariery. Dlatego tej nocy postanowiła, że hrabia Niechowski będzie musiał zapłacić bardzo wysoką cenę za jej cnotę. I albo to będzie prawdziwa trampolina do sukcesów scenicznych lub filmowych, albo małżeństwo.

Była tak pochłonięta swoim chytrym planem, że nawet nie zauważyła cichej rozpaczy swojej przyjaciółki. Zerkała co prawda na jej pobladłą twarz, ale nie ośmieliła się zadawać pytań. Czuła przez skórę, że nie tak powinno wyglądać oblicze kobiety, która spędziła noc z ukochanym. A może Alicja była zazdrosna albo bała się, że ich drogi kiedyś się rozejdą? Wolała porozmawiać z nią na ten drugi temat.

– Alicja, pamiętaj, jak uda mi się wyrwać z tej nory, zabiorę cię ze sobą – powiedziała ciepło.

– Uda ci się, jestem pewna. Ale nie myśl o mnie, poradzę sobie i nie będę miała ani krzty żalu, ani zawiści w sobie – odpowiedziała smutno.

– Ale ja będę się lepiej czuła, jeśli i tobie się uda. – Uśmiechnęła się.

Po chwili jej twarz stężała. Najwyraźniej dzisiaj jej przyjaciółce nie w głowie była praca i atrakcyjne gaże. Podeszła do niej i tylko przytuliła. Nie wiedziała, co zaszło i nie znalazła też słów, aby powiedzieć jej coś pokrzepiającego.

– Hanka, jestem taka nieszczęśliwa – powiedziała cicho Alicja. – Tak bardzo, że wolałabym jutra nie dożyć.

– Nie pleć. – Hanka pogłaskała ją po głowie. – Minie ci, jak i mi minęło. Dzisiaj już się z tego śmieję, jak szalałam za Moselem, a każde jego spojrzenie powodowało, że w głowie już za mąż wychodziłam. Nie warto rozpaczać za chłopami. Jest tyle pięknych rzeczy na świecie, miejsc, które warto zobaczyć, spektakli, które wywołują emocje, i tylu niesamowitych mężczyzn, że nie starczy czasu, żeby każdego poprobować. Sama mi kiedyś wyrzucałaś naiwność, namawiałaś na wyjazd, żebym poznała świat i życie. Tymczasem, gdy ja zrobiłam krok naprzód, ty kręcisz się jak bąk. Miałaś rację, moja droga przyjaciółko, i żałuję, żeś nie skorzystała z rad, których sama mi udzielałaś.

– Hanka, ale ja jestem jak opętana. Zaślepiąca. I cokolwiek robiłam, myślałam, że kiedyś... że za rok, za pięć... Czekałam jak dzieci na ten jeden dzień w roku, gdy pod choinką znajdują prezenty. I tylko wtedy życie było coś warte. A teraz już nie mam na co czekać... Rozumiesz?

– Rozumiem, rozumiem. – Hanka wciąż głaskała Alicję po głowie, ale, prawdę mówiąc, niewiele rozumiała, oprócz tego, że tej nocy jej przyjaciółkę musiały spotkać jakieś okropności.

\*\*\*

W czasie, gdy Hanka Lewin pocieszała przyjaciółkę, jej brat, Emil, sączył kawę w restauracji hotelu Europejskiego i przeglądał prasę. W pewnej chwili ujrzał zdjęcie swojej siostry, stojącej na scenie w długiej sukni. Obok widniał tytuł artykułu: *Objawienie w Czarodziejskim Flecie*. Zaciekawiony, zaczął czytać.

*W niewielkim stołecznym teatrze Czarodziejski Flet odbyła się wczoraj premiera spektaklu wode-*

wilowego w reżyserii Januarego Niemcowa – „Nocne motyle”. Niemcow kolejny raz udowodnił, że nadal jest w formie. Niewątpliwie przedstawienie w jego reżyserii będzie przebojem tego sezonu w Warszawie...

Dalej autor artykułu drobiazgowo opisywał występy poszczególnych artystów, które to akapity Emil ominął, by dotrzeć do wzmianki o swojej siostrze.

*Niewątpliwie gwiazdą wieczoru była Hanka Lewinówna. Zaprezentowała ona nowe piosenki, do których autorami słów są Marian Hemar, Julian Tuwim i Andrzej Włast. Krytycy okrzyknęli Hanke Lewinównę objawieniem, wróżąc jej karierę na miarę Toli Mankiewiczówny, Lucyny Messal, a nawet Hanksi Ordonówny. Jednak bywalec stołecznych kabaretów orzekł: „Hanki mogą być dwie, ale Ordonka jest tylko jedna.*

Emil dopił kawę i pogładził się po głowie, co zawsze oznaczało u niego, że wpadł na jakiś genialny pomysł. Lewin pomyślał, że teraz jego siostra będzie obracała się wśród elity, a on, jako jej brat, może na tym skorzystać. Śmietanka towarzyska stolicy oprócz dużych pieniędzy miała także tajemnice, które nie powinny ujrzeć światła dziennego. A cena za dyskrecję mogła być bardzo wysoka. Postanowił, że ten wieczór spędzi w Czarodziejskim Flecie, nędznym i śmierdzącym stęchlizną. Kiedyś tam nawet zaszedł, ale przyglądając się z bliska jego wnętrzu, doszedł do wniosku, że jego siostra zrobiła marną karierę. Nawet nie poczekał na początek spektaklu, tylko rozczarowany, opuścił to zapyziałe miejsce. Teraz jednak sytuacja wyglądała zupełnie inaczej. Hanka miała okazję wypłynąć na szerokie wody, związać się z wpływowymi ludźmi i pomóc bratu jeszcze bardziej się wzbogacić.

Już od dawna nie mieszkał na Powiślu, teraz zajmował elegancko urządzonej garsonierę w Alejach Jerozolimskich i nie poruszał się po mieście przepełnionymi tramwajami, ale taksówkami albo rikszami, jeśli nie były to znaczne odległości. Nie pracował ani nie robił interesów. Za swój zawód wybrał zajęcie szantażysty i żył z tego zupełnie dobrze. Doszedł do takiej wprawy w osaczaniu swoich ofiar, że z powodzeniem mógłby się ubiegać o licencję prywatnego detektywa. Jednak jego fach był daleko bardziej dochodowy i niespecjalnie czasochłonny. Niekiedy miał tak niebywałe szczęście, że w ciągu godziny mógł zarobić nawet kilka tysięcy złotych. Teraz polował na niejakiego hrabiego Niechowskiego, bogatego utracjusza, któremu pewnego dnia uszło na sucho, dzięki wpływom i pieniądзом, zabójstwo młodej tancerzki wodewilowej. Był umoczony po same uszy, ale zeznania świadków w czarodziejski sposób zniknęły z akt policyjnych. Krewni zabitej, biedna wiejska rodzina, jedyne, co mogła zrobić, to opłakiwać swoją piętnastoletnią córkę, która pojechała do stolicy robić karierę, a skończyła w podrzędny hotelu, uduszona eleganckim krawatem. Teraz akta sprawy miał w swych rękach Emil Lewin i gdyby poszedł z nimi do gazet, te rozszarpałyby i tak nadwątloną reputację Niechowskiego na strzępy.

Ale Emil Lewin nie chciał wywoływać skandalu, który przyniósłby mu niewielkie korzyści. Głupia gówniara, zapewne od pierwszego dnia pobytu w Warszawie puszczająca się ze starszymi mężczyznami w nadziei na lepsze życie, kompletnie go nie obchodziła. Jego zdaniem, sama była sobie winna, rzucając się w nieznany i brutalny świat, który był przesiąknięty moralnym brudem bardziej niż portki, które nosił w Chełmicach. Był przekonany, że hrabia będzie gotów dużo zapłacić, aby jego czyn nie został ujawniony, a on – pociągnięty do odpowiedzialności. Niechowski nie sprawiał wrażenia mordercy czy psychopaty, najpewniej po prostu zbyt ostro zabawiał się z tą małą, ale w świetle prawa powinien odpowiadać za morderstwo. Lewin nie chciał jednak zadowolić się byle czym, musiał przejrzeć tego fircyka i sprawdzić, na ile go stać. Te papiery były jego przepustką do elity i mogły go ustawić na wiele lat. Dlatego nie zrobił tego, co zazwyczaj, ale tropił swoją ofiarę niczym zwierzynę łowną. A ponieważ hrabia uwielbiał towarzystwo artystek, jego siostra mogła okazać się bardzo przydatna.

Emil Lewin nie czuł szczególnej więzi z Hanką. W końcu tylko matkę mieli jedną, zaś jej ojcem był ten nieokrzesany prymityw, Ignacy, który dał mu nazwisko, dach nad głową i wpoił nienawiść do świata. Emil do nikogo nie żywił głębszych uczuć, oprócz matki, której, niestety, nie było już wśród żywych. Czasami zastanawiał się, jak zareagowałyby na to, czym się parał, ale sądził, że nie widziałyby w tym nic złego. W końcu jeśli ktoś był uczciwy i miał czyste sumienie, nie musiał obawiać się Emila. Był tylko jeden człowiek, który bez względu na to, jaki byłby kryształowy, powinien się go bać. I był to jego brat, Julian Chełmicki. Wierzył, że pewnego dnia sprawiedliwości stanie się zadość i Julian zostanie z niczym. Żeby poczuł, jak to jest być wyszydzanym i pogardzanym. A wtedy straci również Adrianę Daleszyńską. Wyobrażał sobie niekiedy zatroskanego brata, któremu pozostały jedynie wspomnienia ze świata, który już nigdy nie zaprosi go do siebie. Żeby jednak to zrobić, Emil musiał stać się bogaty. A wówczas znajdzie sposób, by wciągnąć Juliana na samo dno.

Wyszedł z restauracji i udał się w kierunku placu Trzech Krzyży. Nie miał konkretnego celu, jedynie rozkoszował się przedpołudniowym jasnym słońcem i błękitnym niebem. Wyobrażał sobie, że oto wchodzi do najlepszych polskich restauracji, kin i teatrów, a wszyscy szepczą: „To brat Hanki Lewin, tej gwiazdy”. A gdy poznaje kogoś i przedstawia się, zamożni mężczyźni podlizują mu się w nadziei, że ułatwi im stosunki z siostrą. Rzecz jasna, Hanka będzie już wtedy bogata i zamężna, co jeszcze bardziej rozpali żądze absztyfikantów.

Idąc tak w zamyśleniu, usłyszał znany mu, śpiewny głos, którego jednak wolał nie pamiętać. Obejrzał się nerwowo i stanął oko w oko z Frankiem „Diamentowa Rączka”. Siedzieli razem w więzieniu, on po amatorskim i kompletnie nieudanym skoku na sklep monopolowy, a Franek wpadł przez nieudolnego kumpla. „Diamentowa Rączka” był mistrzem wśród kieszonkowców, ale zawsze musiał mieć zaplecze w postaci wspólnika, który szybko ucieknie z fantami.

Emil rzadko widywał dawnych kolegów, nie dla nich bowiem były warszawskie salony, a on nie zapuszczał się w podłe dzielnice. Czasami spotkał jakiegoś na ulicy, ale odwracał głowę, nie chcąc być rozpoznany.

– Patrę i patrę, i myślę sobie, kogo to moje piękne oczka widzą. Ale gancki pan w sztanach jak ta lala, sikor na dłoni jak cebula, a to stary przyjaciel! – wykrzyknął z entuzjazmem młody mężczyzna w lnianych spodniach i rozchełstanej koszuli, który przypomniał Emilowi o jego trudnych początkach w stolicy.

– My się znamy? – zapytał, udając zdziwienie.

– No nie strugaj jura – roześmiał się Franek. – Toż to ty, Emil Lewin we własnej osobie, tylko an-cug jak u galanta.

– Nie wiem... – Emil zaczął się jąkać, ale „Diamentowa Rączka” nie odpuszczał.

– No jak ja bym kolegi z ancla nie rozpoznał.

Emil wiedział już, że dalsze wypieranie się znajomego nie ma sensu. Dlatego roześmiał się sztucznie i poklepał po plecach Franka.

– Franek, druhu, nie poznałem cię.

– No i jak ci się wie, Lewin? – zapytał, po czym kolejny raz spojrzął na Emila. – E... no chyba galancie. Gajer spod igły, fryzurka cymes.

– Nie najgorzej. A ty co porabiasz? – bąknął Lewin.

– A znowu na pobycie byłem. Opowiem ci, jaki frajer ze mnie. Masz dyszkie, to zafunduj kole-dze piwko. – Rozejrzał się dookoła. – Nie u Lejby, bo tam same kiziorzy siedzą, tylko w bardziej aleganc-kim miejscu.



– Chodź. – Emil pociągnął kompana za ramię. – Na lornetę i meduzę.

– No, to ja rozumiem... – mruknął rozweselony Franek, bo ostatnio kiepsko mu się wiodło i wypicie wódki w knajpie z zagryzką w postaci nóżek w galarecie było szczytem luksusu.

– Ty, Emil, to już chyba z urywek nie żyjesz? – Franek był ciekawy, jak to się stało, że jego kompan z celi teraz tak wygląda. Elegancko, dostojnie, i wyraża się jak wielki pan.

– Nie. – Uśmiechnął się, – Moja siostra mi pomaga, karierę pieśniarki robi.

– To cymes mieć taką siostrunię. A ja wyszedłem z mamra i na grandę poszedłem w dublecie, bo hajsu potrzebowalem. Mój stary kumpel w szpitalu, bo mu cyferblat obili, to wzięłem nowego. Mówił, że stary jugacz jest i na robocie się zna, ale on całkiem amerykańan. Bałem się trochę, ale miał skubany bajerę, to się skusiłem. Tak spartolił robotę, że złapali nas na robocie, znaleźli całą klawiaturę i fanty, założyli bransoletki i znowu poszedłem garować. Nawet papuga nie pomógł. Już do ancla wracać nie chcę, to się zaczepiłem na Pekinie. Ale tam same sztajmesty. Już nie jestem doliniarzem, Emil, pod chajrem ci mówię. Czasem jakąś robotę podłapię, ale w sumie goły jestem jak święty turecki.

– Dam ci trochę pieniędzy – zaproponował Lewin.

– A nie, nie, ja nie jestem żebrakiem, Emil. Ale jakbyś coś dla mnie miał, to chętny jestem.

Lewin pomyślał, że Franek mógłby mu się kiedyś przydać.

– A gdybym miał coś dla ciebie, to jak cię znajdę? Na Pekince to cię szukać nie będę, bo mi jeszcze życie mile.

– Na Kercelaku o mnie zapytaj. W budzie, gdzie skórąmi handlują. A oni mi dadzą cynk. Pytaj o Franka „Diamentową Rączkę”. – Puścił oko.

– Będę o tobie pamiętał – zapewnił Emil.

Opuścili lokal i Lewin powrócił do swojej garsoniery, zmienić garnitur. Ten, który miał na sobie, był przesiąknięty zapachem tytoniu i barowego jedzenia. Pomyślał wtedy, jak bardzo jego życie się zmieniło, odkąd opuścił rodzinny dom. Kiedyś nawet nie czuł zapachu obory, potu i starego tłuszczu. Dzisiaj spędził zaledwie dwie godziny w marnym lokalu i już z niesmakiem wspominał jego zapach i swojego kumpla, Franka.

Im bardziej się bogacił, tym mniej myślał o zabójstwie swojego ojczyma. Podobało mu się jego obecne życie i za nic w świecie nie wróciłby do zapyziałej chałupy i diety, która składała się głównie z mleka, ziemniaków i żytnich twardych klusek okraszanych niekiedy skwarkami. Dlatego uważał, że postąpił słusznie, wyrывая się z rąk tego tyrana. Gdyby nie on, tak że Hanka marnie by skończyła. W końcu musiałyby ulec i wyjść za tego ochlaptusa i lenia, Stefana Koniuszkę. Ewentualnie zostałyby starą panną bez posagu, wzdychającą do pejsaka Mosela.

W drodze do teatru kupił w kwaciarni bukiet róż dla swojej sławnej siostry. Ich relacje były dość chłodne, ale Emil miał zamiar okłamać Hanke. Powie, że szukał jej po całej Warszawie i dopiero z gazety dowiedział się, gdzie może ją znaleźć. Miał zamiar udawać kochanego brata, któremu nie jest obojętny jej los.

Zajął miejsce w pierwszym rzędzie i gdy wyszła na scenę, powitał ją szerokim uśmiechem, skinięciem dłoni i całusem wysłanym w powietrze. Hanka, gdy zobaczyła brata, ucieszyła się i chociaż była na niego zła za tak chłodny i rzadki kontakt, był jednak jej jedyną rodziną i mimo że kochała Alicję niczym siostrę, to jednak więzy krwi były dla niej ważne. Rodziców już nie mieli ani domu, do którego przyjeżdża się na Wigilię albo święcone. Pozostały jakieś ciotki i dalsi krewni, którzy rozpierzchli się po świecie w poszukiwaniu lepszego życia.

Na sali była jednak osoba, której nie podobało się to, co widzi. Igor Łyszkin sądził, że to kolejny

wielbiciel, który stara się o względy Hanki. Nie umknęło jego uwagi, że ona także nie jest obojętna. Wściekły do granic możliwości, dotrwał do końca spektaklu, nie pamiętając ani występów tancerek, ani śpiewu Lewinówny. Hrabiego Niechowskiego tym razem nie dostrzegł, ale wcale nie poczuł ulgi z tego powodu.

Po przedstawieniu młody człowiek, który tak bardzo wzburzył krew Igorowi, ruszył za kulisy. Nikt go nie zatrzymywał ani nie podniósł rżetesu. Opętany zazdrością Igor również udał się w miejsce, gdzie zniknął jego konkurent. Przystanął w cieniu starej szafy, z której wystawały peruki i szale z piór, by obserwować korytarz. Mężczyzna zapukał do drzwi garderoby. Chwilę potem w drzwiach stanęła Hanka i z uśmiechem rzuciła się na szyję przybyszowi.

– Emilek, jak się cieszę, że przyszedłeś! – wykrzyknęła z radością i wraz z mężczyzną zniknęła za drzwiami.

Igor jeszcze przez chwilę stał w ciemnym załomie korytarza i był zdruzgotany. Hanka Lewinówna nie знаła umiaru. Wczoraj hrabia i on, dzisiaj kolejny. Ilu ich jeszcze było? Czy robiła przegląd partii, chcąc wybrać tę najlepszą? On także mógłby startować w konkury, wykorzystując majątek swojego ojca, ale nie był zainteresowany jej kupnem. Chciał ją zdobyć, jej uczucie i zainteresowanie, a nie brać udział w licytacji.

Gdy nieco ochłonął, wyszedł z cienia i rozejrzał się po korytarzu. Tyle pięknych kobiet przemikało obok niego. Brunetek, rudych i blondynek. Upatrzył sobie jedną z nich i wręczył jej kwiaty.

– To dla mnie? – Krygowała się i paplała. – Jakie piękne. Czy coś jeszcze chciałby pan powiedzieć? Mam wolny wieczór.

Igor uśmiechnął się smutno i nie zdążył odpowiedzieć, bo ujrzał Hankę idącą z Emilem.

– Igor! – krzyknęła.

Popatrzył na nią, po czym, nie mówiąc ani słowa, odwrócił się na pięcie i ruszył w stronę wyjścia.

– Zaczekaj, Igor. Wszystko ci wytłumaczę! – wołała za nim, ale zdawał się tego nie słyszeć.

Stała przez chwilę, nie wiedząc, co zrobić.

– Kto to? – zagadnął brat.

– A taki jeden miły komunista – powiedziała, zdezorientowana sytuacją.

Chciała pójść za nim, jednak Emil przytrzymał ją za rękę i powiedział:

– Hanka, stać cię na kogoś lepszego niż komunista. To motłoch, który uważa, że wszyscy powinni być biedni.

– On jest miły, a ja nie interesuję się polityką – bąknęła.

– Szkoda, bo im jak ktoś podpadnie, to go zakopują żywcem w lesie – odpowiedział Emil złośliwie.

– Co ty wygadujesz, braciszku? – zdziwiła się Hanka. – To wykształcony, mądry człowiek, nie spodziewam się, że zakopuje ludzi w lesie czy coś takiego.

– Hanka, ty już musisz pomyśleć o przyszłości, a przy nim żadna przyszłość cię nie czeka... – powiedział spokojnie Lewin.

– Masz rację... – wyszeptała i spuściła głowę.

Żał jej było tej znajomości. Ale cóż, jej brat miał rację. Igor Łyszkin był idealistą, piewcą idei równości i braterstwa, ślepo zapatrzonym w Stalina. Gardził majątkiem ojca, w chwilach złości nazywając go burżujem, i w ramach walki klas nie przyjmował od niego prawie żadnych pieniędzy. A gdy już zahulał za kieszonkowe, na które niekiedy dawał się skusić, przez następne tygodnie wyrzucał sobie ta-

kie zachowanie, niegodne prawdziwego komunisty, który powinien brodzić po kolana w błocie, by budować pomniki nowego ustroju.

Łyszkina w istocie miał dylematy. Z jednej strony wierzył w ideę nowego, socjalistycznego państwa, z drugiej, był młodym człowiekiem, który od czasu do czasu lubił się zabawić za pieniądze wyzyskiwacza, czyli swojego ojca. Ale takie wieczory, jak ten w Gastronomii i w teatrze wodewilowym, utwierdzały go w przekonaniu, że świat, w którym rządzi kapitał, jest zepsuty i cyniczny. Postanowił, że czas już spojrzeć prawdzie w oczy i zdecydować się. Hanka Lewinówna nie należała do jego świata, a on nie potrafiłby odnaleźć się w jej świecie.

Wrócił do hotelu, zrzucił elegancki wieczorowy strój i spakował się. Przeniósł się do dużo skromniejszego lokum, a garnitur oddał zdziwionemu żebrakowi.

Następnego popołudnia udał się na spotkanie z polskimi komunistami. Komunistyczna Partia Polski nie była organizacją działającą legalnie, odkąd poparła Rosję w wojnie polsko-bolszewickiej w 1920 roku, co uznano za zdradę ojczyzny. Z podzielonej partii wybrał obóz mniejszościowy, który był najbliższy jego sercu. Dogmatyczny, zapatrzony w Stalina i radykalny w swoich postanowieniach. Marzył im się kraj wzorowany na Związku Radzieckim i gotowi byli zapłacić za to wysoką cenę.

– Jest nas zbyt mało, żebyśmy mogli powtórzyć rewolucję październikową – odezwał się Rysiński, zacietrzewiony ideowcem.

– Przede wszystkim należy najpierw zająć się naszymi represjonowanymi towarzyszami i zapewnić im schronienie w Związku Radzieckim. Polski MSZ współpracuje nawet z gestapo, żeby nas zniszczyć – odezwał się Julian Leszczyński.

– A co na to towarzysze z Centralnego Biura Żydowskiego? – zapytał Łyszkina.

– Musimy być bardzo czujni. Wszędzie panoszą się szpiedzy, a współpraca z organem, który prześladowuje Żydów, jest policzkiem wymierzonym nie tylko w naszą ideę i organizację, ale w cały nasz naród – spokojnie powiedział Jakub Mosel.

– Towarzysze, ale to może oznaczać jedno: boją się nas. A jeśli się boją, to znaczy, że jesteśmy silni. I to powinno nas umacniać w walce o nasz system. – Łyszkina próbował dodawać otuchy przetrzebionym przez wrogów towarzyszom.

Zagrzewał ich do walki klas, pocieszał i snuł wizje, wznosząc populistyczne hasła rewolucji. Wtórował mu żydowski kolega. Rozmowy ciągnęły się do późnych godzin nocnych, a Igor Łyszkina nawet nie podejrzewał, że prowadzi je ze swoim prawdziwym konkurentem. Wielką, młodzieńczą miłością Hanka Lewin, Jakubem Moselem.

Gdy burzliwe obrady dobiegły końca, jeden z rosyjskich gości, Jurij Dumiejew, zwrócił się do Łyszkina:

– Towarzyszu, musimy porozmawiać – powiedział spokojnie.

Igor usiadł na krześle i przysunął się do rodaka.

– Słucham? – zapytał bez żadnych złych przeczuć.

– Jesteście dobrym mówcą, dobrym ideowcem, towarzyszu Łyszkina – powiedział oficjalnym tonem Dumiejew.

– Usłyszeć to z waszych ust, towarzyszu, to prawdziwe wyróżnienie – podziękował Igor.

– Tak... Ale nie wszystko jest tak, jak należy – bąknął Jurij.

– To znaczy? – Łyszkina ogarnęło zdenerwowanie. Czyżby ktoś go widział w towarzystwie von Lossowa i Chełmickiego?

– Twój ojciec to burżuj i zdrajca – spokojnie kontynuował Dumiejew.

- Nigdy tego nie ukrywałem, towarzyszu – stanowczym głosem zareagował Igor.
- Ale widujecie się z nim, prawda?
- To mój ojciec... – odpowiedział cicho Łyszkina.
- Ale burżuj i zdrajca – upierał się Jurij.
- Ale mój ojciec... – niczym mantrę powtarzał Igor.

– Posłuchajcie, towarzyszu. I zapamiętajcie. Twoją rodziną jest proletariatus, a ojcem Józef Stalin. Jeśli chcecie być z nami, towarzyszu, musicie zaprzestać kontaktów z tym zdrajcą i z tą burżujką, swoją matką. W przeciwnym razie nie będzie dla was miejsca w naszych szeregach. Rozumiem, to wasi rodzice, ale nigdy nie wiadomo, gdzie czai się wróg. A może on, towarzyszu Łyszkina, czai się w domu? Nie możemy sobie pozwolić na takie ryzyko. Do domu waszego ojca przychodzą różni ludzie, a czy towarzyszu wie, kim oni są? I spotykacie się z tymi ludźmi, a może oni towarzysza szpiegują i wysyłają umyślnych za wami? Pewnie nie pomyśleliście o tym. Bo ojciec, bo matka. Ale jeśli wykryją nasze miejsce spotkań i skończymy w Berezie Kartuskiej, kogo obwinia towarzysze? No jak myślicie? I dobrze myślicie: oni obwinia was. Bo ojciec wyzyskuje robotników, a matka kiedyś chłopów. Oni mają to we krwi, która jest zepsuta i skażona. Ich się nie da już sprowadzić na dobrą drogę, a wy, towarzyszu Łyszkina, macie szansę, dla was jest nadzieja. Przemyślcie to. Jutro po południu mam pociąg do Moskwy i gdy tam dojadę, będę musiał coś powiedzieć Wołodkowskemu. I chciałbym móc powiedzieć: „Igor Łyszkina to nasz zaufany człowiek. Zerwał kontakty z naszymi wrogami”. I tak będzie dla was lepiej. Więc wóz albo przewóz – zakończył Jurij.

Igor zamyślił się. Przeczuwał, że pewnego dnia ktoś upomni się o niego. Jego ojciec mógł stanowić dla wszystkich komsomolców przykład, jakich ludzi należy wieszac w pierwszej kolejności. On jednak nie potrafił go znienawidzić. Pamiętał szczęśliwe dzieciństwo, a przede wszystkim to, że nie odwrócił się od niego, gdy wybrał inną drogę życiową. Była jeszcze matka, ciepła kobieta i prawdziwa dama, która z godnością znosiła szykany, że wyszła za „zaborcę”. Rodzina matki, patriotyczna i nieco zubożała szlachta, wyrzekła się jej na dobre. Matka jednak kochała ojca tak bardzo, że nic nie było w stanie zawrócić jej z wcześniej obranej drogi. Gdyby jeszcze i on odsunął się od niej, zapewne pękłoby jej serce. Ale co będzie, jeśli swoją działalnością, a za nic w świecie nie chciał z niej zrezygnować, narazi ją i ojca na problemy? To były dylematy i sprzeczności, które w sobie nosił. Wierzył, że walka klas to rzecz nieunikniona, a przede wszystkim potrzebna. Jego rodzice także przywykli do życia w sposób, w jaki żyją robotnicy i chłopci. Uważał, że dziesięciopokojowa willa i czarny mercedes, który przed nią parkował, to kompletny zbytek.

Po kilku godzinach walki ze sobą postanowił, że ograniczy kontakty z rodzicami do minimum.

\*\*\*

Emil Lewin obdarowywał komplementami swoją siostrę niemal przez cały wieczór. Udawał również, że to dzięki jej fenomenalnemu występowi w końcu ją odnalazł.

– No dobrze, wierzę ci. – Uśmiechnęła się. – Ja też nie mogłam cię odnaleźć, odkąd wyprowadziłeś się od tej strasznej kobiety...

– Tak, Helena była okropna, ale uwierz, bardzo mi pomogła – spokojnie powiedział Emil.

– Za jaką cenę... – westchnęła Hanka.

Nie miała zamiaru krytykować brata za to, że został kochankiem i utrzymankiem dużo starszej od siebie kobiety. Podobnie jak ona marzył o lepszym życiu i większym świecie. Gdy młode dziewczyny wiązały się ze starymi, bruchatymi mężczyznami o nalanych, czerwonych twarzach, nikt specjalnie nie

bywał zdziwiony. Sytuacja odwrotna powodowała komentarze, uśmieшки na twarzach i docinki. Tymczasem, co by nie mówić, Helena Ducret była zadbaną i piękną, choć nieco przywiędłą kobietą.

– No a ty, Hanka? Przyznaj się, masz kogoś? Bo chyba ten pejsak, Mosel, już wywietrzył ci z głowy? – zagadnął Emil.

– Nie lubię, jak mówisz o nim „pejsak”. – Uśmiechnęła się, po czym spoważniała. – Tak, oczywiście, stare dzieje, chociaż „porażka” czy „przegrana” to nie są moje ulubione słowa.

– Patrząc na ciebie, te słowa są ostatnimi, jakimi można by cię określić – spokojnie odpowiedział brat, schlebując coraz bardziej Hance.

Chciał, żeby w końcu zaczęła mówić o sobie, swoich planach i towarzystwie, w którym się obracała.

Siedzieli w Oazie, wspominając stare czasy, gdy szczytem marzeń była nowa sukienka albo spodnie, a święto było wtedy, gdy w chałupie roznosił się zapach skwarków. Lokal, jak zazwyczaj, był wypełniony ludźmi, którzy śmiali się, rozmawiali i spożywali wykwintne potrawy.

Nagle jej wzrok przeniósł się na drzwi wejściowe, w których stanął hrabia Niechowski. Niemal natychmiast zjawił się kelner i zaprowadził gościa do jego stolika. Idąc, spostrzegł Hankę, uśmiechnął się szeroko, po czym jego mina nieco zrzędnęła, gdy zobaczył przy niej mężczyznę. Skinął głową, a Lewinówna pomachała do niego.

– Panie Tomaszu – powiedziała dość głośno.

Hrabia zmieszany się, ale podszedł do stolika.

– Panie Tomaszu, przepraszam, zapewne jest pan z kimś umówiony, ale chciałam, żeby poznał pan mojego brata – powiedziała ze śmiechem.

Twarz hrabiego pojaśniała na wieść, że partner Hanki nie jest jej adoratorem. Emil wstał z krzesła i panowie uścisnęli sobie dłonie, dorzucając kilka kurtuazyjnych sloganów.

– Rozumiem, że nasze dzisiejsze spotkanie jest nadal aktualne? – zwrócił się do Lewinówny hrabia.

– Jak najbardziej, ale tak dawno nie widziałam brata, że chcę spędzić z nim każdą wolną minutę.

– Cóż zatem stoi na przeszkodzie, żeby poszedł do Adrii z nami? – zaproponował hrabia.

– Wolałbym nie przeszkadzać dwóm gołąbkom – wtrącił Emil w nadziei, że bardziej stanowczo będą nalegać na jego obecność.

– Nie wygłupiaj się, Emil – zrugła go Hanka. – Idziesz z nami i koniec.

– Dzisiaj, siostrzyczko, nie byłbym w stanie niczego ci odmówić – obłudnie powiedział Emil.

– Zatem proszę nie odmawiać – kulturalnie wtrącił się Niechowski.

Co prawda wolałby spędzić ten wieczór tylko z Hanką, by móc rozpocząć swój rytuał uwodzenia, ale doszedł do wniosku, że jeśli wkupi się w łaski jej brata, Lewinówna szybciej mu ulegnie.

– Cóż to za elegancki człowiek, ten hrabia Niechowski – zagadnął Emil.

– O tak, w istocie. Od wczorajszego wieczoru nie przestaje mnie adorować. Na przyjęciu po premierze niemal nie odstępował mnie na krok, a dzisiaj przesłał bukiet róż do mojej garderoby.

– Chyba dobra partia z tego Niechowskiego? – Próbował odgadnąć uczucia siostry.

– Może i dobra, ale niepoprawny z niego kobieciarz. Wciąż pokazuje się z inną artystką. Nawet gazety piszą o jego podbojach miłosnych – westchnęła Hanka.

– A może ty będziesz tą jedyną i ożeni się z tobą? – pocieszająco powiedział Emil.

– Dlaczego to miałabym być ja, braciszku? – zaczęła się przekomarzać.

– Bo jesteś wyjątkowa. – Uśmiechnął się.

– Nie poznaję cię, Emil. Nigdy nie mówiłeś mi takich rzeczy. Czy to ma związek z moim sukcesem na scenie? – Jej spojrzenie zrobiło się czujne.

– Hanka, kiedyś byłem głupim wiejskim chłopakiem, który nie miał pojęcia o prawieniu komplementów. Byłem nieokrzesany i zły na cały świat, że mam takie podłe życie. Dzisiaj wiem, że nasze życie leży w naszych rękach i to od nas zależy, co z tego ulepimy.

Lewin zdawał sobie sprawę, że mówi frazesy, oklepane slogany, którymi pocieszano nieudaczników. Ale bez względu na to, jak banalnie i górnolotnie to brzmiało, było prawdą. Emil zawsze chciał się wyrwać z domu, ze wsi i z biedy. Robił wszystko, żeby mu się udało. Dokonywał ryzykownych wyborów, siedział w mamrze i już będąc w Warszawie, niejednokrotnie niedojadał i mieszkał w zapyziałych norach. Nie był z nikim związany emocjonalnie, dlatego nie musiał się z nikim liczyć. Upadał, ale podnosił się i szedł naprzód. Miał w życiu dwa cele i chciał je osiągnąć za wszelką cenę: jednym z nich było życie na wysokim poziomie, drugim – zniszczenie przyrodniego brata. Był przekonany w swojej nienawiści, że gdyby Julian Chełmicki nie istniał, to on byłby oczkiem w głowie starego Antoniego i Adrianna Daleszyńska szalałaby za nim. I nie chodziło tylko o majątek, ale również o sposób wysławiania się, dystynkcję i to, co nazywa się *savoir-vivre*. Od dzieciństwa uczono Juliana zachowywać się stosownie, prawie komplementy, wpajano mu pewność siebie. Emil mógł liczyć na wyzwiska i chłostę, gdy nie spełniał oczekiwań ojczyma. Mógłby mu nawet wybaczyć te razy, których wspomnienie wciąż go prześladowało, gdyby ojciec oczekiwał od niego ambicji, stawiania sobie celów i znalezienia się w miejscu, w którym on, Ignacy, być nie mógł, chociażby z powodu swojego kalectwa. Ale stary Lewin oczekiwał od niego, że będzie taki jak on. Uczciwy do granic absurdu, pracowity niczym mrówka robotnica i chcący od życia jedynie stawy i miejsca do spania. Tak jakby miał poczucie, że nie zasłużył sobie na lepszy los. Ale w Emilu płynęła krew bogacza, przedsiębiorczego człowieka, który pomnażał swój majątek, za co mógł kupić nie tylko dobra materialne, ale także szacunek, sympatię, a nawet uczucie.

Nie było jednak powodu, żeby się długo nad tym zastanawiać. W tej chwili był zupełnie w innym miejscu, a wizja wegetowania w walącej się chałupie była jedynie nieprzyjemnym wspomnieniem. Jego siostra, mimo ogromnego sukcesu, była podobna do ojca. Siedziała w jakimś podrzędnym teatrze za marną gażę, nie korzystała z hojności swoich wielbicieli i Emilowi zdawało się, że jego siostra przeprasza, że odwraca twarz do słońca, wdycha powietrze i że w ogóle żyje. Nie obchodziło go to. Ona była Lewinówną, a on Chełmickim, co powtarzał sobie niekiedy w myślach. Ale postanowił, że wyda ją dobrze za męża i sam będzie brylował na salonach warszawskiej śmietanki. Już nie będzie musiał się trapić swoim zajęciem szantażysty, które nie było bezpieczne, ani tym, że spadnie na dno, bo oprócz manipulowania ludźmi niczego innego nie potrafił.

Hrabia Niechowski świetnie wpasował się w jego plan. Nie dość, że był zafascynowany Hanką, to jeszcze bogaty. Postanowił, że skojarzy tę parę, a potem będzie czerpał zyski z posiadania zarówno utalentowanej siostry, jak i jej bogatego małżonka. Lepiej nie mógł sobie tego wymarzyć. Miał świadomość, że jest to skok na głęboką wodę, ale jeśli się uda, już nigdy więcej nie będzie się pocił ze strachu, gdy ktoś zapuka do drzwi.

Wieczór w Adrii był krokiem milowym. Przyjaźń między hrabią Niechowskim a Emilem Lewinem wybuchła niczym gejzer. Wspólne partyjki brydża w doborowym towarzystwie, wizyty w kasynach czy na wyścigach były częstsze niż spotkania hrabiego z Hanką. Lewinówna była zajęta uczestnictwem w przedstawieniach i recitalach, i wciąż nieufna w stosunku do swojego fatyganta. Wiedziała jednak, że jej dziewictwo rozpała Tomasza do białości. Rzadko kiedy osoba z niemal pierwszych stron gazet była

jednocześnie czysta i niewinna. Cudowne połączenie skromności i sławy było dla niego niczym mieszanka wybuchowa.

Ku rozpaczy Emila i rozczarowaniu Hanki Tomasz Niechowski nie palił się do oświadczeń. Za to bardzo zależało mu na zaciągnięciu jej do łóżka.

– Kochasz moją siostrę? – wybełkotał Emil, udając pijanego podczas jednej z zakrapianych imprez.

– Do szaleństwa. Wszyscy mężczyźni za nią wariują, kupują pocztówki z jej podobizną i wieszają nad łóżkiem, niczym obraz święty, a ja mogę mieć ją przy swoim boku. – Niechowski uśmiechnął się tryumfalnie.

– To dlaczego się z nią nie żenisz? Nie boisz się, że znajdzie się taki, co ci ją odbierze?

– Nie mogę, mój przyjacielu, chociaż Bóg mi świadkiem, chciałbym mieć takiego szwagra, no i oczywiście taką żonę – odpowiedział hrabia.

– A cóż stoi na przeszkodzie? – Lewin zmarszczył brwi.

– Mój ojciec ma bzika na punkcie swojego herbu, błękitnej krwi i takich tam dyrdymałów. Jeśli nie ożenię się z panną właściwego pochodzenia, wydziedziczy mnie i pozbawi wszystkiego. Ale cóż robić, jeśli kandydatki są mało pociągające. Więc zwlekam jak mogę, żeby jak najdłużej wytrwać w stanie kawalerskim. Mam nadzieję, że doczekam dnia, aż mój szanowny ojczulek wyciągnie kopyta i już nikt nie będzie mówił, co mam robić – z westchnieniem powiedział Niechowski.

To była fatalna informacja dla Lewina. Cały czas sądził, że hrabia jest tylko mężczyzną ceniącym sobie rozwiązłe życie i wystarczy szantaż, żeby poszedł z Hanką do ołtarza. Ale co mu z tego przyjdzie, jeśli rodowa fortuna przepadnie na rzecz bardziej ustosunkowanego brata Niechowskiego, Piotra?

– No a gdyby poznał Hankę? Moja siostra to teraz nie byle kto... – Lewin desperacko próbował zmienić bieg zdarzeń.

– Druhu mój, nie takie damy podsuwałem mu pod nos, żeby zmienił zdanie. I wiesz co, za każdym razem zaczynał swoją gadkę: „Synu, ród Niechowskich nie splamił się kroplą krwi nieczystej od siedemnastego wieku”. – Tomasz roześmiał się i dodał: – Hipokryzja, bo pewnie niejedyn syn albo córka w tym rodzie podobni byli do kamerdynera czy koniuszego.

– Twój ojciec nie widzi, że żyjemy w nowoczesnym państwie i to przywiązanie do tradycji jest po prostu groteskowe? Ludzie się bawią, piją szampana, rozwijają interesy i są wolni od tego typu uprzedzeń – warknął Lewin.

– Mój ojciec siedzi w majątku w Niechowie, otoczony rodzinnymi pamiątkami, niczym kustosz w muzeum. Żyje tym, a że już odtworzył drzewo genealogiczne od pradawnych czasów, teraz tworzy na dwa pokolenia naprzód. Myślę, że jest starym świrem, ale co ja mogę na to poradzić? – odpowiedział Tomasz.

Sytuacja wyglądała na beznadziejną, gdy pojawiła się isierka nadziei.

– Zresztą możesz sam się przekonać i pojechać ze mną w sobotę. Matka ma urodziny i szykuje się spędzić rodzinny. Tylko przygotuj sobie jakąś historię swojego rodu, bo inaczej mój ojciec cię nie polubi. Hanki zabrać nie mogę, bo musiałbym ojca solami trzeźwiącymi cucić, gdybym mu artystkę do domu przywiózł. – Roześmiał się.

– Pewnie, mogę ci potowarzyszyć, żebyś nie czuł się osamotniony z tymi wszystkimi szlachetnie urodzonymi osobnikami. – Lewin poklepał Niechowskiego po ramieniu.

Dworek w Niechowie prezentował się jeszcze okazalej niż dom Chełmickiego. Emil nie wiedział, czy sprawiła to kolumnada na kolistym wejściu, czy fakt, że w przeciwieństwie do dworku w Cheł-

micach ten posiadał aż dwie kondygnacje i wysoki strych. Lewin nazwałby go raczej okazałym pałacem, otoczonym wiekowymi dębami i wypielęgowanym parkiem poprzecinanym kamiennymi ścieżkami, przy których gdzieś stały żeliwne ławki z drewnianymi siedziskami. Gdyby nie kilka luksusowych aut zaparkowanych na okazałym podjeździe okalającym niewielką fontannę, Emil miałby wrażenie, że cofnął się do XIX wieku.

Przywitała ich matka Tomasza, szczupła, wysoka kobieta o wyglądzie modliszki.

– Nareszcie jesteście – wykrzyknęła z umiarkowanym entuzjazmem. – A więc to jest ten twój wileński przyjaciel, hrabia Lewin.

Emil szarmancko ucałował dłoń Niechowskiej i dodał:

– Ależ po co te tytuły, my szlachetnie urodzeni nie musimy się tym chełpić. Wyczuwamy na kilometr dobrą krew.

– To prawda. – Uśmiechnęła się. – Pewnych rzeczy nie da się udawać, panie Lewin.

Emil również uśmiechnął się pod nosem i pomyślał: „Nadęte babsko! Gdyby wiedziała, że przewiązywałem koszulę powrozem, a kartofle jadłem drewnianą łyżką albo paluchami, to dopiero by się zdziwiła”.

Gdy rozlokował się w pokoju gościnnym, którego okna wychodziły na niewielki staw, i zszedł do salonu, poznał także największą przeszkodę w realizacji swoich planów, hrabiego Jana Niechowskiego. Rzeczywiście ten zachowywał się, jakby wciąż był panem feudalnym, a konstytucja marcowa z 1921 roku go nie obowiązywała. „Te tytuły chyba sam nadał swoim synom” – z niechęcią pomyślał Lewin.

Uroczysta kolacja była zupełnie inna niż ta, w której uczestniczyła kiedyś Hanka w domu Chełmickich. Nie było żartów, śmiechów i słuchania współczesnych piosenek. Nie gościły na niej również tak barwne postaci, jak chociażby Helena Ducret czy zagraniczni goście. Wszyscy stanowili zbiorowisko większej lub mniejszej szlachty tytułującej się przy każdej okazji. W rodzinie patriotów i prawdziwych Polaków o innych nacjach wypowiedziano się z pogardą i obrzydzeniem. No chyba że padało nazwisko znanego arystokraty. Wówczas pochodzenie nie miało już tak wielkiego znaczenia.

W przeciwieństwie do towarzyskich spotkań w Chełmicach tutaj rozmawiało się głównie o polityce. A ponieważ kobiety nie znały się na niej zbyt dobrze, przeważnie milczały, uśmiechając się głupkowato i kiwając głowami, jakby wiedziały, o czym dyskutują mężczyźni.

Emil nie pamiętał, kiedy był bardziej znudzony. Zrozumiał Tomasza, który siedział w Warszawie, prowadził rozwiązły tryb życia i zaglądał do domu jedynie wtedy, gdy otrzymywał alarmujący telefon z Niechowa, lub z okazji takich uroczystości jak ta, której uczestnikiem był Lewin. Oficjalnie Tomasz doglądał nieruchomości w stolicy, będących własnością rodziny Niechowskich, zaś nieoficjalnie bawił się i korzystał z uroków życia w Warszawie.

Lewin sądził, że znajdzie jakiś słaby punkt Jana Niechowskiego, ale spostrzegł po pewnym czasie, że wiekowy ojciec Tomasza żyje we własnym świecie wspomnień i ma kiepski kontakt z rzeczywistością. Gdyby nie jego matka, dużo młodsza i bardziej przedsiębiorcza od małżonka, ogromny niegdyś majątek Niechowskich byłby jedynie konsumowany, a nie pomnażany.

Gdy wszyscy goście rozeszli się do pokoi na nocny wypoczynek, Lewin zapukał cicho do drzwi Tomasza. Pogawędzili beztrudno, pośmiali się z nadętego towarzystwa i Emil wrócił do siebie, bogatszy o kilka bezcennych informacji.

Kiedy zapadła głęboka noc i słychać było jedynie tykanie zegara stojącego na bogato rzeźbionej komodzie, Lewin cicho otworzył drzwi swojej sypialni. Niemal na palcach przeszedł w drugi koniec



korytarza, gdzie według informacji otrzymanych od Tomasza znajdowała się sypialnia ojca, i nacisnął klamkę drzwi prowadzących do pokoju Jana Niechowskiego. Zobaczył ogromne łóże z baldachimem, a obok dużą szafkę, na której poustawiane były liczne buteleczki i fiołki z medykamentami. Jak przystało na prawdziwego arystokratę, nie dzielił on sypialni z żoną, zapewne ku jej uciesze, bowiem w szlafmocy i z otwartymi ustami, pozbawionymi sztucznej szczęki, wyglądał niczym żywy trup. O tym, że wciąż żyje, świadczyło świszczące pochrapywanie hrabiego. Emil wszedł do środka i zamknął za sobą drzwi. Przyzwyczaił wzrok do panującej wokół ciemności i w świetle księżycy, przenikającego przez szparę w zasłonach, rozpoznawał kontury łóżka, komód i innych sprzętów znajdujących się w pokoju. Wyciągnął swoją luksusową zapalniczkę Zippo i pstryknął krzemieniem. Dźwięk wydał mu się głośny i nawet przez chwilę miał obawy, czy nie obudzi śpiącego hrabiego. Lewin był zdenerwowany, a serce waliło mu jak młotem. Nie myślał o tym, że za chwilę popełni zbrodnię, ale zastanawiał się, czy uda się jego zamiar i czy wracając do siebie, nie natknie się na któregoś z domowników lub gości.

Podszedł do łóżka Niechowskiego i wyciągnął spod jego głowy jedną z poduszek. Położył ją na twarzy starszego mężczyzny i mocno przycisnął. Przez chwilę Lewinowi wydawało się, że sprawa będzie prosta, ale hrabia ocknął się i zaczął szarpać dłońmi poduszkę, wierzgać nogami i głośno charczeć. Lewin mógłby bez trudu sięgnąć po ozdobny świecznik stojący nieopodal, ale to morderstwo miało wyglądać jak normalny zgon we śnie. W akcie desperacji usiadł na starcu i coraz silniej zaciskał na jego twarzy poduszkę, nie zważając na wbijające się w jego dłonie paznokcie Niechowskiego. Po około minucie, która Emilowi wydawała się bardzo długa, uścisk starego Niechowskiego zelżał, a ciało zdawało się wiotczeć pod ciężarem Lewina. Emil odczekał jeszcze chwilę i odsunął poduszkę. Wydawało mu się, że zakończył swoje dzieło, i otarł pot z czoła. Ale nagle Jan zacharczał i zaczął łapczywie łapać powietrze. Kolejny raz poduszka znalazła się na jego twarzy. Tym razem jednak stary człowiek nie szamotał się, a jego dłonie spoczywały na prześcieradle. Niedługo po tym ofiara Lewina przestała się ruszać. Ten odczekał jeszcze chwilę i podniósł poduszkę. Tym razem nie miał wątpliwości, gdy poświecił zapalniczką. Wpatrywały się w niego wytrzeszczone oczy Jana Niechowskiego. Z obrzydzeniem dotknął powiek hrabiego i zamknął je. Następnie podłożył poduszkę pod jego głowę, poprawił i wygładził pościel, po czym wyszedł cicho na korytarz i powrócił do swojego pokoju. Zrobiło mu się niedobrze. Podbiegł do doniczki z ogromnym fikusem i zwymiotował. Po kilku minutach jednak powrócił do równowagi. Podszedł powoli do ogromnego lustra, spojrzął na swoje odbicie i uśmiechnął się triumfalnie.

Następnego dnia Emil Lewin opuścił majątek Niechowskich bez swojego przyjaciela. Tomasz musiał pozostać w domu z powodu smutnych okoliczności rodzinnych, gdyż tej nocy zmarł jego ojciec. Najprawdopodobniej przyczyną była niewydolność oddechowa, tak orzekł przybyły lekarz. Emil, gdy usłyszał te przygnębiające wieści, uścisnął przyjaciela, sam zaś odetchnął z ulgą, że nikt nie ma żadnych podejrzeń dotyczących śmierci hrabiego Niechowskiego.

Wracając pociągami do Warszawy, nie myślał o swojej ofierze. Starał się także nie przypominać sobie nieruchomych oczu Niechowskiego. Jedyne, co czuł, to złość na starca, że podrapał mu dłonie, zostawiając krwawe pręgi. Był jednak zadowolony, teraz mógł już wcielić w życie swój szatański plan. Już niedługo hrabia Tomasz Niechowski zrozumie, że musi ożenić się z Hanką Lewin. A pomoże mu w tym dawny kompan Emila, Franek „Diamentowa Rączka”.

\*\*\*

Hanka i Alicja siedziały w wytwornej cukierni u Lourse'a, mieszczącej się w gmachu hotelu Europejskiego, i rozkoszowały się smakiem ciastek, na które rzadko sobie pozwalały z uwagi na dbałość

o sylwetkę. Alicja trochę nieswojo czuła się w tym pełnym przepychu miejscu, ale jej przyjaciółka zdawała się już przywyknąć do eleganckich lokali, które odwiedzała wraz ze swoim adoratorem, Tomaszem Niechowskim.

– Opowiadaj, jestem strasznie ciekawa. Nie byłam w Chełmicach, odkąd zmarli rodzice, a i ty rzadko tam bywasz... – nalegała podekscytowana Hanka.

– Nic się nie zmieniło. Jakby czas zatrzymał się w miejscu. Mój dziadek nadal sżyje, babka wciąż robi ludziom dowcipy, a Antoni Chełmicki ciągle jeździ bryczkami. Goldblumowie odnowili sklep i nazwali Delikatesami, żeby brzmiało bardziej światowo, ale tylko ceny podnieśli na światowe i klientela się przerzedziła. Umarł nasz stary proboszcz, Bączek, i mamy nowego. Nazywa się Osiński i śmieją się w Chełmicach, że niewiele się zmieniło, tylko teraz zamiast bąka, mamy osę. Wymienili ławki nad stawami... No co tam jeszcze... – Alicja zawahała się. – Jakub Mosel wyjechał...

– Tak? A dokąd? Ożenił się? – wypytywała Hanka o swoją dawną miłość.

– Nie przeszło ci jeszcze? – zapytała ciekawie Alicja, czujnie zerkając na przyjaciółkę.

– Nie żartuj, oczywiście, że już o nim nie myślę, ale ciekawi mnie, co u niego słyhać – burknęła Hanka.

– Nie ożenił się, tyle ci powiem. Za to Stefek Koniuszko tak. Z Kawecką Zośką. Krzyż pański ma z nim ta dziewczyna, bo jak pijus był, to nadal jest. Ludzie często ją widzą, jak chodzi do Biernata i go z knajpy wyciąga – odpowiedziała Alicja.

– A Jakub gdzie się podziewa? – nie dawała za wygraną Hanka.

– Jest w Warszawie. Studiuje na wydziale medycznym, na uniwersytecie – powiedziała cicho Alicja.

Hanka skwitowała to wzruszeniem ramion i zaczęła wodzić oczami po sali pełnej gości, jakby chciała wśród nich dostrzec swoją dawną miłość. Ciekawiło ją, jak teraz wygląda, gdzie mieszka i co robi, gdy kończy wykłady. Było to oczywiście mało racjonalne, ponieważ nie był to lokal, który odwiedzali studenci.

Chyba że pokroju Juliana Chełmickiego, który kilka stolików dalej właśnie nachylał się nad Adrianną Daleszyńską, ubraną w elegancki kostium i mały kapelusik ozdobiony filcową różą. Hanka szybko odwróciła wzrok w stronę Alicji, aby ta przypadkiem nie dostrzegła gruchającej parki. Ale Alicja nazbyt dobrze знаła swoją przyjaciółkę, żeby nie zauważyć jej zmieszania. Odwróciła głowę i ujrzała coś, czego nigdy nie chciałyby zobaczyć. Zbladła i odłożyła na talerzyk łyżeczkę z resztką ciasta. Chciała zapaść się pod ziemię, byle nie widzieć tej szczęśliwej, zakochanej pary i nie myśleć, jak piękne rzeczy opowiada Adriannie Julian.

– Chodźmy stąd – wyszeptala błagalnie Alicja.

– Będziemy musiały przejść obok ich stolika – równie cicho odpowiedziała Hanka.

– Nieważne i tak nas to nie ominie, w przeciwnym razie spóźnimy się na spektakl – bąknęła niewyraźnie, wciąż błada, mimo ciemnej karnacji, ze wzrokiem zagubionym i przerażonym.

Zapłaciły za ciastka i kawę, po czym ruszyły w stronę wyjścia. Julian powiódł wzrokiem po wychodzących kobietach i jego oczy utkwiły w smutnym spojrzeniu Alicji. Poczul, że z trudem przełyka ślinę, a jego serce zaczyna głośno bić. Znał ją od dziecka, figlarną chłopczycę, którą później zobaczył na deskach teatryku zupełnie w innej odsłonie. Kobięcą, pełną wdzięku i nienachalnego seksapilu. A potem w ten okropny wieczór dowiedział się, że to wszystko każdy może dostać za odpowiednią opłatą. Teraz uklonił się kobietom, wykrzesał z siebie coś na kształt uśmiechu i powrócił do rozmowy z Adrianną. Ta na szczęście była tak podekscytowana Warszawą, że nie zwróciła uwagi na tę wymianę spojrzeń

między Julianem i jedną z kobiet.

– Czy to Hanka Lewinówna? – zapytała. – Znasz ją?

– Nie pamiętasz? Śpiewała kilka lat temu na urodzinach ojca, a Helena Ducret jej przygrywała. A potem wstawiony Walter usiłował nam zaprezentować swoje umiejętności domorosłego pianisty – zaczął szybko odpowiadać Julian, ciesząc się, że Adrianna nie zwróciła uwagi na Alicję. Poza tym sam chciał zająć myśli czymś innym i historia niebywałej kariery wiejskiej dziewczyny z Chełmic była ku temu świetną okazją. – Helena zabrała ją do Warszawy, ale nie bardzo jej pomogła i Hanka skończyła w podrzędnym wodewilu. Za to jej ostatni spektakl, do którego zdesperowany dyrektor zatrudnił znanego reżysera, zdobył świetne recenzje...

– Skąd ty to wiesz? Widujesz się z nią? – Zmarszczyła czoło i wyduła usta w charakterystyczny sposób.

– Nie... – odpowiedział, nieco zmieszany, bo informacje o życiu Hanki posiadał od Alicji. – Czytam gazety...

Julian z trudem dobrnął do końca spotkania z Adrianną. Chyba pierwszy raz w życiu zdarzyło mu się, że chciał ją jak najszybciej pożegnać i przemyśleć pewne sprawy. Wciąż był w niej zadurzony, lubił na nią patrzeć i obdarzać czułymi pieściami, które stawały się coraz śmielsze, im robili się starsi. Właściwie ich wspólne życie było już zaplanowane i Julian nie miał wątpliwości, że Adrianna jest tą kobietą, z którą chciałby spędzić resztę życia, mimo że miał kilka grzeszków na sumieniu, w tym jeden, którego bardzo się wstydził – krótkiej nocy spędzonej z Alicją Rosińską.

Tak było aż do tego dnia. Pierwszy raz od tego feralnego wydarzenia zobaczył Alicję. Sam fakt nie był może zbyt istotny, w końcu mieszkała w Warszawie, a on często tu bywał. Mógł się na nią natknąć w sklepie czy na ulicy. Ale widział jej oczy, gdy na niego patrzyła. To nie były oczy dziwki, ale kobiety, którą spotkało coś złego. Pełne wyrzutu i jednocześnie niewymownie smutne. Nie miał pojęcia, co naprawdę wydarzyło się w życiu Alicji, ale nie mógł przestać myśleć o tym, jak jej pomóc. Było coś jeszcze... Tęsknił za jej śmiechem, sarkazmem i nawet łapał się na tym, że chciałby popatrzeć, jak poprawia włosy, dotyka dłońmi ust w chwilach zakłopotania i marszczy nos, gdy jest czymś poruszona. Starał się nie myśleć o tym, co robiła z innymi mężczyznami, bez względu na to, dlaczego to robiła. A może jego chęć pomocy wynikała z zazdrości o te noce, które spędzała w ramionach kochanków. Nie miał jednak odwagi kolejny raz podjąć próby zawrócenia jej z tej drogi. Nie zniósłby następnego policzka, gdyby bezpardonowo nazywała się prostytutką.

Na dworcu pożegnał się czule z Adrianną i usadowił ją w pociągu zmierzającym w kierunku Grójca, gdzie mieszkała wraz z rodzicami w nieco zaniedbanym dworku. Panna Daleszyńska nie zwróciła uwagi na rozbiegany wzrok przyszelego narzeczonego ani na jego zdawkowe odpowiedzi. Przeżywała swój dzień w stolicy, jak zawsze zauroczona tym miastem. Sklepami, restauracjami i parkami. Wierzyła, że małżeństwo z zamożnym Chełmickim sprawi, że będzie ją stać na częstsze korzystanie z uroków Warszawy, a kto wie, może zdecydują się po ślubie nawet w niej zamieszkać. Julian chciał robić karierę wojskową, niebawem miał otrzymać stopień rotmistrza, być może będzie szansa na zamieszkanie w tym cudownym mieście, a pieniądze jego ojca sprawią, że będzie mogła do woli kupować eleganckie suknie, jadać w najlepszych restauracjach i obracać się w doborowym towarzystwie. Nie zastanawiała się specjalnie nad swoimi uczuciami do Juliana ani do jakiegokolwiek innego mężczyzny. Dla niej sprawa była przesądzona, a majątek Chełmickich stanowił wystarczający powód, żeby cieszyć się z takiego rozwiązania.

Adrianna Daleszyńska dorastała w dostatku i z pogardą patrzyła na tych, którzy nie mieli takiego

szczęścia jak ona. Przyzwyczajona była do ładnych strojów, wyjazdów do znanych kurortów i słodkiego nieróbstwa, gdy jedyny dylemat to czy pójść na spacer, czy poczytać książkę w ogrodzie. I nadszedł dzień, gdy na horyzoncie pojawiło się widmo utraty tego sielankowego życia, a ona może podzielić los tych, którym się nie powiodło. Jedynym sposobem, by nie utracić tego dostatniego życia, był bogaty mąż. Odkąd skończyła szesnaście lat, jej rodzice wiedzieli, że należy kuć żelazo póki gorące i rozejrzeć się za odpowiednim kandydatem, ponieważ jedynym wianem, jakie mogła wnieść ich córka, było stare szlacheckie nazwisko i nieprzeciętna uroda.

Julian Chełmicki wydawał się idealny pod każdym względem. Jednak zarówno Adrianna, jak i jej matka nie spodziewały się aż tak długiego czasu oczekiwania na oświadczeniu. W przeciwieństwie do Adrianny Julian miał głowę pełną pomysłów innych niż tylko ożenek. Łudziła się co prawda, że jej dziewictwo i powściągliwość w cielesnym obcowaniu będą wystarczającą pokusą, by wziąć ślub, ale Julian swoje młodzieńcze popędy rozładowywał w inny sposób. Adrianna domyślała się, że jej przyszły narzeczony i mąż mógł spotykać się z nieco bardziej postępowymi dziewczynami, a nawet nierządnicami, ale nie przejmowała się tym zbytnio. Gorzej przyjęłaby fakt, gdyby pojawiła się konkurencja w postaci jakiejś zamożnej i pięknej panny, która zawróciłaby mu w głowie. A dopóki korzystał z męskich uciech, o których zapominał następnego dnia, nie miała obaw i wątpliwości. Celem był ślub i gotowa była na każde ustępstwo, byle tylko nie słuchać o długach, wekslach i zwalnianiu służby. Żyła jeszcze w innym świecie, w klimacie starych rozwiązań, w którym kobieta istniała jedynie dzięki mężczyźnie. Nawet kariery sławnych aktorek czy śpiewaczek, którym zazdrościła powodzenia, uznawała za punkt wyjścia do dobrego zamążpójścia. To był cel, a wszystko inne po drodze było jedynie środkiem do jego realizacji.

\*\*\*

Bazar, popularnie nazywany Kercelakiem, zajmował niemal pół hektara i ciągnął się ulicą Okopowa do skrzyżowania z Wolską. Było to miejsce, gdzie sprzedawano niemal wszystko. Tutaj również królowały nielegalne interesy i kręciło się szemrane towarzystwo. Klientela bywała przeróżna, począwszy od ludzi ze wsi, którzy po sprzedaży swoich płodów nabywali ubrania, rowery i sprzęty gospodarstwa domowego, a skończywszy na zamożnych urzędnikach szukających okazji nabycia złotych ozdób w cenie daleko atrakcyjniejszej niż w sklepach jubilerskich. Najczęściej były to towary kradzione i stąd wynikała ich konkurencyjna cena. Jednak większość osób odwiedzających Kercelak to byli niezamożni ludzie, których nie stać było na dobra kupowane w sklepach. Rynek, oprócz handlu, oferował także możliwość posilenia się i rozrywkę. W niektórych punktach zwabiano klientów muzyką z gramofonu, gdzie indziej grali na bałajkach uliczni grajkowie, którym niekiedy ktoś wrzucił do czapki kilka moniaków. Atrakcją były przenośne szulernie oferujące gry w trzy karty czy para–nie para. Mamiły żądnych łatwego zarobku ludzi, którzy nawet nie myśleli, jak bardzo są naciągani i oszukiwani.

Głodnym oferowano pierogi wprost z brytfanki albo zupę z kociołka, spożywaną w przechodnich miskach, które płukano w mętnej wodzie i wycierano ścierką wątpliwej czystości. Wzdłuż betonowych ścieżek poustawiane były drewniane budki, a w nich wszystko, co potrzebne do życia. W jednej części można było nabyć wyroby z metalu, w innej odzież i jedzenie. Mięso, nabiał czy warzywa, a niekiedy i żywy inwentarz. Był też rewir, gdzie sprzedawano towary z walizek, koców i małych stolików. W tym miejscu nie było podziałów branżowych i każdy handlował, czym mógł, począwszy od nadgryzionych przez mole futer, a na tandetnej biżuterii kończąc.

Emil Lewin bywał na Kercelaku i właśnie to miejsce sobie upodobał. Ludzie niekiedy nie mieli

pojęcia, co sprzedają i można było nabyć na przykład antyczne srebrne lichtarze w cenie leżących obok kombinerek. Korzystał też z zacisznych budek, gdzie paserzy oferowali zegarki, srebrne papierośnice i inne gadzety będące na wyposażeniu każdego eleganckiego dżentelmena.

Tego dnia Emil Lewin nie przyszedł, by zaopatrzyć się w kolejne spinki do mankietów czy srebrną zapalniczkę, ale wodził wzrokiem w poszukiwaniu straganów z wyrobami skórzanymi. Być może życie, jakie wiódł w stolicy, zanim zaczął mieszkać u Heleny Ducret, sprawiło, że od razu podszedł do właściwej budy, rozpoznając w handlującym cwaniaka i kombinatora. Mężczyzna rozglądał się czujnie, jakby stał na świecy, i dłubał w zębach zapalką. Lewin podszedł do niego i powiedział, że szuka Franka „Diamentowej Rączki”. Handlarz skinął głową i odparł krótko:

– Jutro o jedenastej przy kapeluszach i rękawiczkach.

Lewin także pokiwał głową i wyszedł z bazaru. Następnego dnia zjawił się punktualnie i bez trudu znalazł swojego kompana.

– Mam coś dla ciebie – powiedział cicho Lewin.

– Kupujemy, sprzedajemy trefny towar? – zapytał Franek.

– Nie, nic z tych rzeczy. Musimy pogadać w spokojnym miejscu – mruknął Lewin i zaczął nerwowo się rozglądać.

Nie chciał, żeby ktokolwiek widział ich razem. Nie spodziewał się tutaj spotkać nikogo z towarzysztwa, ale zdarzało się, że jakiś oszczędny jegomość nabywał na Kercelaku luksusowy towar w atrakcyjnej cenie.

Gdy znaleźli się na zapleczu jednej z budek i usiedli na małych zydelkach, pierwszy odezwał się Franek:

– Kolego, ale ja się mokrej roboty nie tykam. Za to krawat można dostać.

– O czym ty mówisz, Franek? Jaka mokra robota? – obruszył się Lewin.

– Pamiętam, jak w starej kapocie i dziurawych fernerfiksach chodziłeś. A teraz glancuś się z ciebie zrobił. Może i marmuzela wyprowadziła cię na ludzi, ale widzi mi się jakiś grubszy interes. Więc jak prosisz kumpla z mamra, to znaczy ktoś ci do mokrej roboty potrzebny.

Wciąż podejrzliwie patrzył na Emila. Mógł z nim wódki się napić albo sprzedać mu jakieś fanty, ale jeśli ktoś taki proponował interes, musiało chodzić o coś ryzykownego. Wysłuchać kolegi z celi jednak mógł.

– Najpierw potrzebny będzie dobry, zaufany fotograf. Musi zrobić udane kopie dokumentów i być dyskretny. A potem trzeba te zdjęcia takiemu jednemu pokazać. Ma za nie dać dziesięć tysięcy. Połowa dla ciebie – powiedział Lewin.

– Fiu, fiu, duża forsa. A co jest w tym białku? – zapytał.

– Coś takiego, że opłaci mu się zapłacić – mruknął zniecierpliwiony Emil.

– Kapuję, że to jakiś lepszy cylinder i mamonę ma?

– Jak by nie miał, tobym cię do niego nie wysyłał – odburknął Lewin.

– Dobra, znam jednego. Kuracjuszkom foty robi, pary z gęby nie puści. A tego absztyfikanta to trzeba majchrem nastraszyć? – dopytywał Franek.

– Nie, dasz mu fotografie i powiesz, że ma przynieść ci forszę – tłumaczył.

– A jak zakapuje? Albo naśle kogoś i w drewnianej jesionce skończy? – pytał Franek. Był złodziejem, szantaż to była dla niego nowość.

– Nie zakapuje, boby sam musiał wpaść, rozumiesz? – odpowiedział Lewin.

– A czemu sam do niego z tym białkiem nie pójdziesz? – zapytał podejrzliwie Franek. Nikt za

taką łatwą robotę nie oddawał pięciu tysięcy.

– To znajomy, gram z nim w brydża, chodzę na wyścigi, po prostu nie mogę. A pieniądź jest pieniądź, też muszę zarabiać – tłumaczył się Lewin.

– Niech będzie – powiedział Franek i uściśnął dłoń Emilowi.

Dla niego to było bardzo dużo pieniędzy, a prawdopodobieństwo, że wpadnie, znikome. Nie wiedział, co było w dokumentach, ale najwyraźniej ten człowiek musiał mieć wiele na sumieniu.

Następnego dnia „Diamentowa Rączka” załatwił z kumplem odbitki, a potem spotkał się z Lewinem w tym samym miejscu, co poprzednio. Emil podał mu pakunek.

– Przebierz się – nakazał.

Franek rozdarł dłonią papier i wyciągnął ciemny garnitur, koszulę i nowe pantofle. Potem zagwizdał cicho i powiedział:

– Nowy ancug? Teraz będę galant jak ta lala, chyba się do razura przejdę.

– Przydałoby się – mruknął Lewin. – A teraz posłuchaj, jak masz zagadać.

\*\*\*

Hrabia Tomasz Niechowski uwielbiał, jak większość warszawiaków, oglądać wyścigi konne. Miał na trybunach swoje stałe miejsce i ekscytował się występami swoich faworytów. Nie zwrócił szczególnej uwagi na elegancko ubranego mężczyznę, który usiadł obok. Zaraz rozpoczynała się gonitwa i w skupieniu wpatrywał się w tor.

– Mam przyjemność z hrabią Niechowskim? – zapytał Franek.

– Tak, a o co chodzi? – zapytał bezwiednie. Był znany w Warszawie, więc nie zdziwiło go specjalnie, że ktoś o to zapytał.

– Znał pan Matyldę Rupecką?

– Kogo...? – Twarz Tomasza Niechowskiego stężała.

Pewnie, że ją pamiętał. Przez kilka lat wręcz spędzała mu sen z powiek. Zastanawiał się jednak, kto próbuje grzebać w tej sprawie. Wydawało mu się, że to temat zamknięty i jedyne, co się odzywało, to sumienie. Chciał się trochę ostrzej zabawić i nagle sytuacja wymknęła się spod kontroli. Zbyt mocno zacisnął tej małej krawat na szyi i skończyło się tragicznie. Bardziej jednak niż wyrzutów sumienia bał się skandalu i ostracyzmu społecznego, nie wspominając już, jak zareagowałby, gdyby jeszcze żył, ojciec na wieść, że jego syn lubuje się w ostrych figlach z nastoletnimi dziewczynami z nizin, którym za to płaci niemałe pieniądze. Kiedy jednak wydał fortunę, żeby zatuszować sprawę, poczuł się bezpieczniej. A teraz, nagle, ktoś mu o tym przypomina. Czyżby śledczy nie dotrzymał słowa, mimo sowitej zapłaty?

Franek już niczego nie tłumaczył. Poznał po spanikowanej minie hrabiego, że ten doskonale wiedział, o kogo chodzi. Położył mu na kolanach złożoną na pół gazetę i szepnął:

– W niedzielę, w tym samym miejscu. Dziesięć tysięcy. Albo w poniedziałek zobaczy to pan w gazecie.

Wstał z miejsca i pospiesznie opuścił Pole Mokotowskie. Niechowski dyskretnie zajrzał do gazety i zobaczył zdjęcia akt policyjnych. Jego czoło pokryły krople potu. Zdał sobie sprawę, że szantażysta może nie poprzestać na dziesięciu tysiącach. Wyrwał do końca gonitwy, nie mając pojęcia, kto wygrał, a kto przybiegł ostatni. Kompletnie przerażony, opuścił teren wyścigów. Wiedział, że musi zapłacić.

W kolejną niedzielę Niechowski przybył grubo przed rozpoczęciem gonitwy. Nie rozglądał się, tylko błady wpatrywał się w jeden punkt po przeciwnej stronie toru. Czekał na szantażystę. Banknoty włożył do papierowej torebki po ciastkach. Znajomych witał zdawkowym skinieniem głowy, a gdy

któryś przysiadł się, żeby nawiązać krótką pogawędkę, zbywał informacją, że czeka na bardzo ważnego znajomego. Każdy wiedział, że na wyścigach dobijano wiele interesów, więc bez słowa odchodzili, zegnając się pośpiesznie. Tuż przed rozpoczęciem gonitwy, gdy trybuny były wypełnione niemal do ostatniego miejsca, przyszedł znany mu człowiek i nie witając się, usiadł obok. Niechowski drżącymi rękami podał mu torebkę. Franek zajrzał do środka i mruknął:

– Tylko niech cię ręka boska broni, żeby mnie oszukać. Zabraknie setki i po tobie – szepnął zło-wróźbnie.

– Proszę się nie obawiać, liczyłem kilka razy – powiedział spanikowanym głosem Tomasz.

– Szafa gra, panie hrabio. To teraz popatrzmy, jak sobie poradzą dzisiaj nasi faworyci – bąknął Franek i zaczął wpatrywać się w tor.

Niechowski siedział obok, jak na szpilkach. Ocierał spocone czoło i modlił się w duchu, żeby szantażysta już sobie poszedł. Ku jego ogromnej uldze mężczyzna po pierwszej gonitwie opuścił trybuny.

Gdy akcja Franka dobiegła końca, Lewin ponownie się z nim spotkał na Kercelaku. „Diamentowa Rączka” nie kombinował i tak jak ustalili, podzielili się po połowie. Franek nie miał pojęcia, że stawka w tej grze jest dużo wyższa i na dłuższy czas zapewnił byt Lewinowi.

Emil obserwował bacznie zachowanie Niechowskiego po tym incydencie. I wyczuł, że mimo danego okupu Tomasz wręcz śmierdzi strachem.

– Co taki smutny jesteś, przyjacielu? Wiem, że to przygnębiające uczucie pochować ojca, sam tego doświadczyłem, ale pomyśl, jesteś teraz bajecznie bogaty – zaczął spokojnie Lewin. Dobrze wiedział, że pobladła twarz Niechowskiego i brak uśmiechu były spowodowane zupełnie czymś innym. Po chwili dodał: – Chodźmy do Gastronomii. Jak to mówią, na fraszunek – dobry trunek.

Niechowski zgodził się bez wahania. Od czasu spotkania człowieka, który znał jego tajemnicę, chodził na rauszu niemal bez przerwy. Unikał nawet spotkań z Hanką, które dotychczas sprawiały mu wielką przyjemność.

Gdy spędzili w lokalu jakiś czas i Tomasz był lekko pijany, Lewin nie przestawał go obserwować. W końcu zaczął na nowo go wypytywać.

– Może to nie śmierć ojca jest powodem twojego podłego nastroju?

Niechowski popatrzył na niego zamglonym wzrokiem.

– W rzeczy samej. Ojciec był już stary i zdziwaczały. Nasze relacje ostatnimi czasy nie były najlepsze. Docierały do niego czasami plotki, że lubię pohulać, i strasznie się tym denerwował. Poza tym uważał, że czas najwyższy, żebym się ożenił. Najlepiej z panną Olszańską, której głupota dorównywała jedynie jej brzydocie. – Tomasz machnął ręką.

– Więc jakie masz kłopoty? Hanka odmówiła ci swojej ręki? – zażartował.

– Nie prosiłem jej o rękę – zachnął się i po chwili zreflektował, że przecież Emil jest jej rodzonym bratem. – Nie miałem głowy do tego, wiesz, śmierć ojca i inne problemy.

– Może mógłbym ci pomóc? – zaferował się obłudnie Lewin.

– Nie... Nie mogę o tym mówić – z uporem stwierdził Niechowski.

Lewin nalał mu kolejny kieliszek i powiedział urażonym tonem:

– Sądziłem, że jesteśmy przyjaciółmi. Więc jeśli masz kłopoty, to do kogo z tym pójdziesz, jak nie do starego kamrata?

Niechowski westchnął, odwrócił głowę, a potem zaczął łkać. Lewin rozejrzał się dyskretnie po sali i poklepał Tomasza po ramieniu. Wiedział, że hrabia za chwilę pęknie i opowie mu o wszystkim,

a on wtedy wcieli w życie swój chytry plan. Nie mylił się. Tomasz zaczął opowiadać historię, którą Lewin doskonale znał i musiał włożyć nieco wysiłku, aby wysłuchiwać Niechowskiego ze zdziwieniem. Gdy hrabia doznał końca swojej opowieści, nie omijając incydentu na wyścigach, Emil najpierw westchnął, a potem powiedział spokojnie:

– To rzeczywiście tragiczna historia. Rozumiem, że człowiek popełni błąd, a potem musi cierpieć przez całe życie. Nie chciałbym cię straszyć, przyjacielu, ale obawiam się, że ten rzeźmieszek nie poprzestanie na tym jednym razie. Ma pewnie inne kopie i zapewne będzie je wyciągać za każdym razem, gdy zabraknie mu pieniędzy.

– To co mam teraz zrobić? – rozpaczliwie zapytał Niechowski.

Emil przez chwilę myślał, jakby się zastanawiał nad rozwiązaniem.

– Myślę, że mógłbym ci pomóc... Ryzyko jest duże i zostanę niejako twoim współnikiem, ale znam kogoś, kto uciszy tego człowieka na zawsze.

– Myślisz, żeby go...? – Nie dokończył zdania.

– Jeśli zaszłaby taka konieczność. Ale pomyśl, jak będzie wyglądało twoje życie, jeśli ta łajza będzie cię ciągle nachodzić i szantażować. A jeśli odmówisz, możesz następnego dnia znaleźć się we wszystkich stołecznych dziennikach. Wznowią proces, a za takie coś to nawet możesz dostać karę śmierci. Więc musisz się zastanowić, czyje życie wybierasz. Swoje czy jakiegoś obrzydliwego śmiecia, który chce zbić majątek na twojej tragedii? – przekonywał Emil.

– Masz rację, to byłoby rozwiązanie, ale sam nie byłbym w stanie tego zrobić. Wtedy, z tą Matyldą, to był wypadek, a i tak śni mi się po nocach – jęknął Tomasz.

Lewin nie wątpił w to ani przez moment. Dla niego hrabia był rozpuszczonym przez życie magajem, dla którego jedynym sposobem na pokazanie władzy były ostre zabawy z młodymi, przestraszonymi dziewczętami.

– Wiesz, że dużo bym ryzykował, pomagając w ten sposób przyjacielowi. Nie... Nie, Tomasz, teraz to do mnie dotarło, że przecież położyłbym na szali całe swoje życie. – Lewin wiedział, kiedy należy pokazać przynętę, by chwilę potem zabrać ją sprzed oczu. Zdawał sobie sprawę, że wizja pozbycia się szantażysty jest w tej chwili dla Niechowskiego niczym kropla wody na rozgrzanej pustyni i będzie w stanie dużo zaoferować, żeby poczuć jej smak w ustach.

– To już po mnie, jeśli nawet przyjaciel odmawia pomocy. Ale nie mam do ciebie żalu, rozumiem, że nie chcesz dla mordercy nastawiać karku – westchnął Tomasz.

– Nie mów tak, nie jesteś mordercą. To był wypadek. W istocie, dla przyjaciela bym tego nie zrobił, ale dla szwagra... Tak, dla szwagra bym to zrobił – powiedział Emil z pewnością w głosie.

\*\*\*

Hanka Lewin była oszołomiona wizją wyjścia za mąż za jednego z najbardziej zamożnych mężczyzn, jakich poznała. A fakt, że dotychczas hrabia był kobieciarzem i żadnej się nie oświadczył, tylko potęgował jej podekscytowanie. Nie zastanawiała się nad stanem swoich uczuć do Tomasz, wciąż jej serce było zawiedzione pierwszym zauroczeniem, ale myśl, jak daleko zaszła, dawała jej niesamowitą satysfakcję. Niech teraz powiedzą w Chełmicach, że nie powinna myśleć o Jakubie. Co z tego, że Żyd, gdyby teraz ją zobaczyli Moselowie, to od razu przestaliby widzieć w niej gojkę. A uroczy Igor Łyszkin niech dalej sobie wierzy w swoje komunistyczne manifesty. Bycie sławnym i bogatym było daleko bardziej podniecające niż dysputy o ucisku ludu pracującego. Ona kiedyś mieszkała w wałacej się chałupie, a szczytem marzeń była nowa sukienka uszyta przez Rosińskiego. Teraz będzie pławiła się w luksusie,



a na swoje suknie będzie musiała mieć osobną garderobę. Warto było dotrwać w dziewictwie, by oddać je temu najwięcej oferującemu.

Myślała też o swojej przyjaciółce, Alicji. Miała wielu kochanków, była niczym wamp, uwodziła każdego, kto wpadł jej w oko, a jednak wciąż nie mogła zapomnieć o Chełmickim. Ona, dla odmiany, przestała już rozpamiętywać ciemnookiego Jakuba, jej serce zdawało się zupełnie wystygnać, a jednak nie poszła z nikim do łóżka aż do ślubu, który miał niebawem się odbyć.

Tego dnia, w dniu swojego ślubu, siostra Emila Lewina wyglądała niczym anioł, który zstąpił z niebios, by zachwycać grzesznych ludzi swoim pięknem. Jej biała suknia miała długi tren, który niosły śliczne, małe dziewczynki ubrane w fikuśne sukienki. Cały kościół tonął w kwiatkach i z trudem mieścił wszystkich gości. Hanka żałowała, że ceremonia nie odbywa się w Warszawie, tylko w Niechowie, ale odzyskała humor, widząc tłum fotoreporterów. W końcu było to wydarzenie sezonu. Wśród gości nie zabrakło gwiazd sceny, polityków i rodzin z herbarzami. Była także jej przyjaciółka, Alicja Rosińska, i Julian Chełmicki. Tym razem jednak nie towarzyszyła mu narzeczona, którą zmogła grypa.

Alicja wiedziała, że kolejny raz będzie musiała zmierzyć się z obrazkiem, którego nie chciała oglądać, ale tym razem postanowiła, że nie będzie już przerażona i spłoszona. Przybyła na ślub ze swoim najnowszym kochankiem, niesamowicie przystojnym synem pułkownika Leśniewskiego. Ludwik Leśniewski nie był tylko kochankiem, pałał do Alicji uczuciem płomiennym i niejednokrotnie deklarował, że się z nią ożeni. Kwitowała to uśmiechem i nie odpowiadała, żeby nie spłoszyć tak interesującego towarzysza. Lubiła go i podobał jej się, ale serce wciąż było wypełnione uczuciem do Juliana i nie wyobrażała sobie, że mogłaby znaleźć w sobie tyle odwagi, by innemu mężczyźnie przysięgać przed ołtarzem, że będzie z nim do końca życia. Czułaby, że oszukuje swojego wybranka, i byłoby to bardzo okrutne w stosunku do niego. Doszła więc do wniosku, że albo te słowa wypowie z pełnym przekonaniem, albo nie wypowie ich wcale.

Podziwiała swoją przyjaciółkę, Hankę, że okazała się bardziej praktyczna i swoje romantyczne dziewictwo zamieniła na rozsądne małżeństwo, które co prawda nie gwarantowało jej miłosnych fajerwerków ani wierności wybranka, ale dawało poczucie bezpieczeństwa materialnego. Może gdyby ona wychowała się w domu tak ubogim, jak Lewinów i doznawała rodzicielskich uczuć tylko wówczas, gdyby dostawała razy, może byłaby taka jak ona. Ale Alicja, mimo braku ojca, otoczona była miłością i akceptacją, a lanie dostała raz w życiu, gdy ze źłóbka w bożonarodzeniowej szopce wyjęła figurkę Jezusa i sama położyła się na posłaniu. Oczywiście była wtedy mała i ten niewinny klaps oberwała raczej na pokaz chełmickiemu społeczeństwu. Zwłaszcza że figurę małego Jezuska potraktowała wyjątkowo obcesowo, wyrzucając ją z hukiem tuż przed ołtarz. Figurka potłukła się w drobny mak, a po kościele rozległy się spanikowane jęki zgrozy.

Teraz, gdy była na ślubie Hanki i trzymała pod rękę uroczego kawalerzystę, myślała tylko o tym, jak uniknąć spotkania z zakochaną parą. Na przyjęciu wciskała się w najciemniejsze kąty, zasłaniała się ramieniem Ludwika i odmawiała wszystkie modły, czego nie robiła od dawna, łącznie z przepraszaniem Boga za owego nieszczęsnego Jezuska. Bóg jednak najwyraźniej miał inne plany albo w istocie postanowił ukarać swoją krnąbrną owieczkę, bo usłyszała za plecami głos Juliana.

– Ludwik? Jesteś spokrewniony z Hanką czy z Niechowskimi?

Ludwik odwrócił się i wtedy dopiero Chełmicki dostrzegł jego towarzyszkę. Uśmiech momentalnie zniknął mu z twarzy. Wpatrywał się w elegancko ubraną Alicję i stał niczym słup soli, nie mówiąc ani słowa.

– Co tak oniemiałeś, Julianie? – roześmiał się Ludwik. – Zapewne oczarowała cię moja partner-

ka. Poznaj pannę Alicję Rosińską.

– My się znamy, oboje pochodzimy z Chełmic. Dzień dobry, Julianie. – Alicja wyciągnęła drobną dłoń w kierunku Chełmickiego, ostatnim wysiłkiem wykrzesując z siebie uśmiech.

Julian pocałował dłoń Alicji i uśmiechnął się sztucznie. Tysiące myśli przebiegały przez jego głowę, łącznie z tą najważniejszą. Co łączy jego kolegę ze szkoły podchorążych z Alicją? A potem przyszła następna: czy Ludwik wie, czym naprawdę para się jego partnerka. A może Alicja zakochała się i jego kolega zdołał uczynić to, czego on nie potrafił, czyli wyrwać Alicję z tego bagna?

Te rozważania przerwała jedna ze znajomych, najwyraźniej zauroczona Chełmickim, podchodząc do milczącej trójki, udającej, że przygląda się tańczącym parom.

– Cóż tak milczycie? – zapytała, rozbawiona.

– Podziwiamy suknię Hanki Lewinówny – wycedziła Alicja, ratując nieco niezręczną sytuację.

– Jak będę wychodziła za mąż, uszyję sobie podobną, bo w istocie jest bardzo piękna – powiedziała słodko kobieta, dotykając delikatnie ramienia Chełmickiego.

– A ja bym chciał mieć szpaler kawalerzystów z szablami, o ile panna Alicja zechce zostać moją żoną – powiedział roześmiany Ludwik.

Julian popatrzył spanikowany na Alicję. Jego serce zamarło na jedną krótką chwilę. Ta również popatrzyła na niego i zmrużyła oczy.

– To nie jest dobre miejsce na oświadczyzny, ale nie powiedziałabym „nie” – dyplomatycznie stwierdziła Alicja, wciąż wbijając wzrok w Juliana, zamiast w swojego wielbiciela.

I wtedy zobaczyła w jego oczach coś, co ją zdziwiło. W jego spojrzeniu ujrziała zawód.

Emil Lewin przez całą uroczystość chodził między gośćmi, niczym udzielny książę między poddanymi. Ubrany w elegancki frak, wyglądał jak prawdziwy arystokrata. Wiejski akcent już zniknął bez śladu, nauczył się dobrych manier i wyszukanej konwersacji, a na przegubie jego dłoni połyskiwał złoty szwajcarski zegarek. Zaś jego siostra została panią Niechowską i właśnie dyskutowała o nowej willi, jaką zamierzali z mężem wybudować w Konstancinie. Nawet matka Tomasza zdawała się zadowolona, gdy brylowała między sławami, które знаła jedynie z gazet. Jego szwagier natomiast postanowił, że Emil, jako rodzina, nie może mieszkać w garsonierze i udostępnił mu jedno z luksusowych mieszkań, niemal w centrum Warszawy. Gdy Lewin po raz pierwszy przekroczył próg tego lokalu, otwierając z rozmachem dwuskrzydłowe drzwi, poczuł się, jakby w końcu znalazł się we właściwym miejscu, a jego ponure dzieciństwo i młodość były jedynie złym snem. Wdzięczność Tomasza nie znała granic. Nie wnikał, w jaki sposób Emil załatwił sprawę, ale gdy ten położył mu przed nosem oryginały dokumentów, jego radość nie miała końca i był gotów rzucić swojemu szwagrowi świat do stóp. Lewin próbował od czasu do czasu wnieść w jego życie chwile niepokoju, strasząc możliwością istnienia kopii, ale jednocześnie podkreślał, że w razie problemów pomoże mu i tym razem. W końcu byli już rodziną.

\*\*\*

Małżeńska sielanka Niechowskich nie trwała długo. Po powrocie z romantycznej podróży poślubnej na południu Francji w ich życie wtargnęła nuda. Seks wydawał się Hance mało interesującym zajęciem, a Tomasz zaczął się rozglądać za bardziej frywolnymi i lubiącymi nocne igraszki pannami. Często zresztą w łowach towarzyszył mu szwagier, korzystając z zasobności portfela hrabiego i czerpiąc radość z uroków dostatniego i hulaszczego życia. Hanka zajęta była swoją karierą, a donosy plotkarskich gazet po prostu ignorowała. Dla niej ważniejsze były wyjazdy na solowe występy do Paryża, Berlina czy Amsterdamu.

Tak jak przyrzekła, ułatwiła Alicji przeniesienie do bardziej renomowanego kabaretu, gdzie występowała obok prawdziwych gwiazd i zarabiała na tyle dobrze, by wynieść się na dobre z ich starej nory do przytulnego mieszkanca na Żoliborzu. Wbrew pozorom obie żałowały, że nie będą już mieszkać razem i z lekką nutką nostalgii wspominały czasy, gdy musiały zadowolić się ćwiartką suchego chleba i butelką mleka, bo były splukane do zera. A gdy wieczorem leżały już w łóżkach, głodne aż im kiszki marsza grały, opowiadały sobie, co zjedzą, gdy otrzymają następną gażę. A były to tłuste kurczaki, ziemniaki z masłem, plastry soczystej szynki i mięsa pieczone w rozmarynie. W swoich marzeniach dochodziły do granic absurdu, śmiejąc się przy tym bardziej niż na niejednej komedii.

\*\*\*

Alicja po kilku miesiącach porzuciła Ludwika, cały czas szukając stosownego pretekstu. I gdy się taki trafił, po prostu skorzystała z okazji. Ludwik Leśniewski okazał się bardzo zaborczym narzeczonym, przytłaczając Alicję swoją obecnością, scenami zazdrości, a wreszcie głośnym komentowaniem jej zawodu tancerki. Orzekł kategorycznie, że po ślubie będzie musiała zrezygnować z pracy i zająć się wiciem wspólnego gniazdka i rodzeniem dzieci. Nie była to dla niej myśl odpychająca, ale istniał jeden warunek: musiałyby bardzo kochać męża, aby nagiąć się do jego życzeń, zwłaszcza że kariera w tym fachu nie była zbyt długa. Ale Alicja zaledwie lubiła Ludwika, i to do czasu, bo potem nawet sympatia do zazdrośnika i tyrana zniknęła. Dlatego postanowiła odprawić narzeczonego i znowu żyć niczym motyl wypuszczony na łąkę z miłością do mężczyzny, którego nie mogła mieć. Czuła się z tym lepiej, bo tak było uczciwiej wobec wielbicieli i siebie samej.

## 4. Warszawa, 1939

Informacja o powszechnej mobilizacji ogłoszona 30 sierpnia 1939 roku, co oznaczało rychły wybuch wojny, każdego zastała w innym punkcie jego życia. Nagle czas zatrzymał się w miejscu, wszyscy wstrzymali oddech i zastanawiali się, co będzie dalej.

Hanka Lewinówna stała na scenie i śpiewała na próbie, gdy dyrektor teatru powiadomił ją, że w związku z ostatnimi wydarzeniami spektakl zostaje zawieszony, a teatr zamknięty do odwołania.

Alicja natychmiast spakowała walizkę i udała się do najbliższych, by zastanowić się, jak ochronić siebie i rodzinę. Popijała mleko w kuchni i słuchała opowieści o tym, co będzie. Dziadek uważał, że sprzymierzeńcy rozprawią się szybko z Hitlerem i ten nie odważy się zaatakować Polski, a babka Alutka prorokowała, że zaraz i Stalin się do nas dobierze i będzie koniec wolności. Zastanawiała się tylko, czy podzieli Polskę jak za zaborów i komu przypadną w udziale Chełmice. Zaś Michalina dumiała nad tym, kto gorszy – Niemiec czy Rosjanin.

Alicja błędziła myślami przy Julianie, który był kapitanem Wojska Polskiego i jeśli dojdzie do najgorszego, wyruszy na front. Był tak blisko, w rodzinnym domu, by pożegnać schorowanego ojca i zrozpaczoną matkę. Za dwa tygodnie miał odbyć się jego ślub z Adrianną Daleszyńską, ale było prawie pewne, że z uwagi na ryzyko wybuchu wojny przesuną tę doniosłą uroczystość. Alicja zastanawiała się, dlaczego Julian tak długo zwlekał z ożenkiem, a gdy w końcu się zdecydował, wydarzenia w kraju zniweczyły jego plany. Nie były to jednak myśli w tej chwili najważniejsze, większy strach towarzyszył Alicji, gdy docierało do niej, że Julian może zginąć, jeśli dojdzie do działań wojennych.

Emil Lewin także był przerażony nową sytuacją. Jego los był niepewny, tak jak wszystkich rodaków, a on został kompletnie sam, z siostrą na grzbiecie, która teraz zawiesiła występy. Natomiast jego uroczy kompan i szwagier przebywał w tymczasie za granicą i ani myślał w tej sytuacji wracać do kraju. Emil zgromadził trochę oszczędności, przez ostatnie trzy lata korzystając z hojności Tomasza, który jednak swoją szczodrość okazywał bardziej poprzez drogie imprezy i prezenty aniżeli to, co się teraz najbardziej liczyło – gotówkę.

Kompletnie oszołomiona i wystraszona Hanka opuściła Konstancin i przeniosła się do niewielkiego mieszkania na Nowym Świecie, w kamienicy należącej do Niechowskich, które w panice zostawili lokatorzy. Willa w Konstancinie także opustoszała, pomoc domowa wróciła do rodziny na południe kraju, a ogrodnik został zmobilizowany. Na domiar złego kilka dni wcześniej sprawdziły się jej przypuszczenia i nabrała pewności, że jest w ciąży.

Warszawa czekała na rozwój wypadków, wsłuchując się w obwieszczenia, przemówienia i słowa otuchy, które płynęły z odbiorników radiowych. Mieszkańcy z przerażeniem słuchali doniesień o akcjach sabotażu niemieckiego wojska i przesyłania nie wnioskujących not przez polityków europejskich. Powoli tracili nadzieję, że nie dojdzie do najgorszego. Ludzie, mimo resztek złudzeń, masowo wykupywali jedzenie ze sklepów, targając worki ziemniaków, mąki i stopy chleba. Hanka i Emil zeszli z obłoków na ziemię i podobnie jak zwykli mieszkańcy ustawiali się w kolejkach i taszczyli zapasy do swoich spiżarni. Lewin żałował, że nie wyjechali za granicę, póki jeszcze był czas, teraz było już za późno, aby coś zorganizować, bo wszyscy byli skupieni na nadciągającej wojnie.

\*\*\*

Alicja wracała ze sklepu w Chełmicach, gdy doszła do wniosku, że musi spotkać się z Julianem i powiedzieć mu wszystko o tej dramatycznej nocy, która podzieliła ich i zniszczyła kielkującą przyjaźń.

Nie mogła go winić za to, że jej nie kochał. Nie chciała także, aby pozostała w jego świadomości jako dziwka oddająca swoje wdzięki każdemu, kto wyasygnował odpowiednią kwotę pieniędzy.

Przemierzając jak niegdyś tę samą drogę wzdłuż powyginanych wierzb, wróżyła z liści akcji. Tym razem: czy jest w domu sam, czy towarzyszy mu narzeczona, ale bez względu na to, co będzie, postanowiła poprosić go o krótką rozmowę w cztery oczy.

W domu Chełmickich nie było jednak żadnych gości. Panowała nienaturalna cisza, nie grał gramofon, nie słychać było silników samochodów ani stukotu końskich kopyt czy śmiechu gości. Jakby ten urokliwy dworek nagle zamarł w bezruchu, opuszczony przez wszystkich. Dostrzegła Juliana w ogrodzie, stojącego samotnie i wpatzonego w brzozowy las, który zdawał się jako jedyny wydawać ciche dźwięki, szeleszcząc drobnymi listkami pod wpływem wiatru. Podeszła do niego i powiedziała cicho:

– Dzień dobry, Julianie...

Odwrócił się gwałtownie, jakby ten szept wyrwał go z głębokiego zamyślenia.

– Alicja... – powiedział równie cicho.

– Co teraz będzie? – zapytała rozpaczliwie.

– Nie wiem. Na razie rząd próbuje rozwikłać ten węzeł gordyjski. Beck wciąż liczy na zawarte sojusze i czeka na wypełnienie danych obietnic, ale jak będzie, nie wiadomo. Dla mnie Beck jest nieudolnym politykiem i po śmierci Piłsudskiego nie zrobił nic, żeby dogadać się z sąsiadami. Tymczasem jeszcze dzisiaj muszę stawić się w Cytadeli w Warszawie i czekać na dalsze rozkazy. Myślę jednak, że już niczego nie da się cofnąć i lada dzień wybuchnie wojna.

– A twój ślub?

– Musi poczekać, wszystko musi poczekać, Alicjo – ze smutkiem wyszeptał Julian.

– Tak, wiele spraw musi poczekać, ale jedna nie może. Muszę ci o czymś powiedzieć, bo nie wiem, co będzie i czy kiedykolwiek się spotkamy. – Alicja spuściła głowę, nie chcąc patrzeć mu w oczy. Stał, milcząc i czekając na to, co powie.

– Tamta straszna noc... Pamiętasz ją? – zapytała.

– Niestety, pamiętam, Alicjo. I z całego serca cię za nią przepraszam. Zachowałem się jak bydlak, nic mnie nie usprawiedliwia, nawet twoje... – Nie chciał dokończyć zdania.

– To ja cię przepraszam. Że udawałam, bo chciałam z tobą spędzić tę noc i kochać się z tobą. Tylko jedną, jedyną. Wiem, że kochasz Adriannę i zawsze kochałeś, a mnie zaledwie lubiłeś, ale ja nie umiałam z siebie zrezygnować. W tym swoim egoizmie, nawet nie wiem, co sobie wtedy myślałam, chciałam, żebyś kochał mnie, a nie ją. Przez jedną, krótką noc. Ale gdy to się stało, zrozumiałam, jak naiwna i podła byłam. Nigdy nie powinnam stawiać cię w takiej sytuacji i udawać, kim nie byłam, tylko po to, żeby cię zdobyć...

Zbliżył się do niej i powiedział:

– Popatrz na mnie...

Podniosła głowę. Nie płakała, ale zobaczył w jej oczach ten sam ból, który widział, gdy wychodziła z podłego pokoju hotelowego i później, gdy spotkał ją w cukierni.

– Dlaczego nigdy mi tego nie powiedziałaś? – zapytał, trochę zły, trochę rozżalony.

– Nie wiem... Może się bałam usłyszeć, że i tak kochasz Adriannę, może palił mnie wstyd, a może nie chciałam, żebyś wiedział, co czuję – odpowiedziała i dodała szybko: – Ale dzisiaj, gdy pomyślałam, że mogę nigdy więcej cię nie zobaczyć, pragnę, żebyś to wiedział. Nie chcę, żebyś był gdzieś daleko i miał poczucie winy albo złe zdanie o mnie. Nie jestem tak święta, jak Adrianna ani tak rozwią-

zła, jak Helena Ducret, ale jestem zwykłą dziewczyną, która zakochała się w niewłaściwym mężczyźnie i nie może sobie tego poukładać w sercu.

Julian przez chwilę wodził wzrokiem po jej twarzy i zaczął do niego docierać sens słów, które wypowiadała. Alicja go kochała. A on przez trzy lata walczył ze sobą i ze swoim uczuciem, którego nie rozumiał. Przypisany do Adrianny, niczym ławka kościelna do rodziny, tkwił w związku, który był stabilny i spokojny, gdy tymczasem ta niesforna dziewczyna z poobijanymi kolanami nagle wtargnęła w jego życie, burząc ten spokój i siejąc wątpliwości nawet wtedy, gdy była już ustalona data ślubu z Adrianną. Nie rozumiał, co czuje do Alicji i nie mógł pozbierać myśli, ale nie chciał, żeby zniknęła z jego życia. I z niewiadomych sobie powodów chciał, żeby go kochała. Właśnie w taki sposób. Gotowa na wszystko, byle zdobyć jego miłość. W sposób szalony, zadziorny tak, jak to tylko potrafiła Alicja Rosińska. Jednak gdzieś w oddali majaczył się obraz Adrianny, pięknej kobiety, która była częścią jego życia i której nie mógł odepchnąć, by sprawdzić, dokąd zaprowadzi go to dziwne uczucie, jakim darzył Alicję. Wiedział, że jeśli wypowie to, co niewypowiedziane, jeśli użyje słów, które wisiały w powietrzu niczym chmura zapowiadająca deszcz, niczego już się nie da cofnąć i popłynie do miejsca, gdzie będzie tylko Alicja, a wszystko inne zniknie i rozplynie się w tym nurcie.

Podszedł do Alicji i pocałował w usta. Rozchyliła je w niemej prośbie o wybaczenie i nadzieję. Tego drugiego nie mógł jej dać, chociaż tak bardzo chciał.

– Idź już, Alicjo, i uważaj na siebie...

– Ty też, Julianie. – Teraz ona wspięła się na palce i ucałowała Juliana.

Odwróciła się i ruszyła w stronę bramy. Nie zostawił jej nadziei, ale wciąż nie chciała i nie potrafiła z niego zrezygnować. Postanowiła, że podąży za nim bez względu na to, dokąd się uda. Ta rozmowa wiele jej dała i mimo że Julian nie określił swoich uczuć do niej, widziała w jego oczach tęsknotę. Teraz już była pewna, że nie jest mu obojętna.

\*\*\*

Hanka Lewinówna martwiła się coraz bardziej. Właściwie przywykła już do myśli, że będzie wojna, i starała się jedynie zabezpieczyć porządek na tę okoliczność. Na małżonka nie mogła liczyć, bo ten oszpecał przez telefon, że dopóki sytuacja się nie wyklaruje, on do Polski nie powróci. Chciał, żeby przyjechała wraz z bratem do Londynu, ale odmówiła. Czuła się paskudnie, torsje nękały jej trzewia, zapachy doprowadzały ją do szału, a na dodatek lekarz zauważył coś niepokojącego i nakazał Hance oszczędzać się, w przeciwnym razie może poronić. Dla niej wyprawa do sklepów i stanie w kolejkach było wyzwaniem, więc nie wyobrażała sobie wyruszenia w drogę zatłoczonymi pociągami, pełnymi zmobilizowanych żołnierzy i w panice uciekających ludzi, czy statkiem, którego kołysanie nawet w wyobraźni Hanki było niczym zwariowana karuzela.

Emil był zły, ale pozostał blisko siostry. Nie kierował się sentymentem, ale obawiał się, że jest już za późno na ucieczkę za granicę, bo powszechna mobilizacja świadczyła, że sprawy zaszły za daleko. Poza tym był w wieku poborowym i mógł zostać uznany za dezertera, a w Warszawie, gdzie panował totalny chaos, mógł spokojnie ukryć się przed wstąpieniem w szeregi wojska. Hanka trochę mu to wyrzucała, ale wykrzyczał jej, że zrobił to tylko dlatego, żeby się nią zająć.

– Emil – powiedziała Hanka – wszędzie kolejki, a my mamy tak mało zapasów. Trzeba na wieś jechać po jakieś jaja, słoninę, mąkę. Bierz pieniądze i jedź do Chełmic. Tam nas ludzie znają, nie odmówią pomocy. Podobno Alicja wróciła do domu, zajdź do Rosińskich. Sama bym pojechała, ale fatalnie się czuję.

– Pojadę – mruknął Lewin, niezbyt zadowolony z perspektywy tłoczenia się w pociągu i spędzenia w nim połowy dnia zamiast dwóch godzin.

Następnego dnia wsiadł do pociągu zmierzającego w kierunku Chełmic. Z trudem przecisnął się do jakiegoś przedziału, gdzie lamentujące kobiety trzymały na rękach płaczące i usmarkane dzieci, a między ich nogami tkwiły pakunki wypełnione odzieżą, jakimiś pamiątkami i drobnymi elementami wyposażenia. Jakaś kobieta trzymała w dłoni klatkę z kanarkiem, ktoś inny posadził na kolanach psa, który, chociaż niewielki, z jazgotem szczekał na ptaka. Ktoś inny wyjął kawał chleba i zagryzając słoniną, wypełnił przedział zapachem jedzenia. Byli to ci sami ludzie, którzy kilka lat wcześniej opuszczali swoje chałupy i niewielkie spłachetka pól, by jechać do stolicy po dostatniejsze życie. I teraz, gdy widmo wojny zaczęło być realne, spakowali swój niewielki dobytek i ruszyli z powrotem do miejsca, skąd przybyli. Większość tę wędrowkę odbywała pieszo albo jadąc wozami, niczym bohaterowie westernów. Inni tłoczyli się w pociągach z nadzieją, że uda im się dojechać do celu, zanim zacznie się wojna.

Gdy dotarł do Chełmic, poczuł się dziwnie. Nie był w tym miejscu, odkąd sprzedał rodzinne włości i wyruszył do Warszawy w poszukiwaniu lepszego życia. Powinien patrzeć na miasteczko z nostalgią i rozrzewnieniem, ale jego wspomnienia z tego miejsca były gorzkie i ponure. Wysiadł z pociągu i czuł satysfakcję. Wyglądał teraz jak prawdziwy pan na tle ubogo odzianych ludzi kręcących się po peronie.

Całości dopełniała szarość budynków stacji, dżdżysta pogoda i para z lokomotywy, otulająca chmurą sadzy peron. Gdy nieco opadła, ujrzał kilka metrów dalej kobietę. Szamotała się z parasolką, a obok niej stała duża walizka. Nagle czas się cofnął i przypomniał sobie niemal identyczny widok sprzed dziewięciu laty, gdy po raz pierwszy ujrzał Adriannę Daleszyńską. Niewiele zmieniła się od tego czasu, wciąż była piękna, ale to już nie była dziewczyna, ale zmysłowa kobieta. Podszedł bliżej, żeby sprawdzić, czy wciąż pachnie landrynkami, ale tym razem nie poczuł niczego szczególnego.

– Pomogę pani – powiedział i wyciągnął rękę po niesforną parasolkę.

Popatrzyła na niego, zmierzyła wzrokiem i uśmiechnęła się. Był pewien, że nie rozpoznała w nim obdartego chłopaka, który wodził za nią oczami i błagał o jedno spojrzenie.

– Bardzo pan łaskawy – zaszczebiotała. – Pan chyba nietutejszy?

– Nie, przyjechałem z Warszawy. Po prowiant. – Roześmiał się sztucznie.

– Ja odwiedzam rodzinę narzeczonego – odpowiedziała życzliwie i zupełnie innym tonem niż kiedyś.

– A narzeczonego? – zapytał Emil.

– Został zmobilizowany. Pożegnałam go wczoraj w Warszawie – odpowiedziała.

– Ach, cóż za przykry wypadek. Ja... – Nie dokończył zdania, nie chcąc tłumaczyć się, dlaczego nie dzieli losu mężczyzn w podobnym wieku. – Muszę opiekować się chorą siostrą.

– To dobrze, że panu pozwolono. – Kolejny raz uśmiechnęła się promiennie.

– Wyjedzie ktoś po panią? – zapytał ciekawie, ucinając temat.

– Niestety, nie. Nie miałam jak ich powiadomić. Muszę iść piechotą – zatroskała się.

To było coś nowego. Panna Adrianna idąca sześć kilometrów z ciężką walizką. I w dodatku nie stać jej było na dorożkę? A bogaty narzeczonego bawił się w wojnę. Uśmiechnął się w duchu na myśl, jak los potrafi być przewrotny. On wiedział, że poradzi sobie w życiu, a kto wie, może wojna była kolejnym sposobem na dorobienie się. Był młodym człowiekiem, ale poznał już wszystkie smaki, jakie niesie ze sobą bogactwo i luksus. Dzięki swojemu sprytowi zaszedł tak daleko i dalej podąży tą drogą, nie zastanawiając się nad czymś, co się nazywa moralnością. Jego też nikt nie żałował, gdy opłuł go ojciec i ko-

bieta, która teraz wdzięczyła się do niego, bo był elegancko ubrany i połyskiwał drogim zegarkiem. Wszystko miało swoją cenę, Adrianna Daleszyńska również.

– Jeśli pani pozwoli, podwiozę panią dorożką, bo w tej dziurze taksówki raczej nie znajdziemy. Nie wyobrażam sobie, żeby tak urocza kobieta niosła taką ciężką walizkę – dodał szarmancko.

Nie odmówiła. Ochocho wsiadła do nieco zdezelowanej dorożki, a on obok. Bez kompleksów i obaw, że niegodny jest takiej kobiety. Kiedy się przedstawił, jej oczy jeszcze bardziej roz błysły i była oczarowana faktem, że mogła poznać brata wielkiej warszawskiej gwiazdy.

Podjechali przed dworek Chełmickich, Lewin pożegnał się z Adrianną i powiedział, że nigdy w życiu o niej nie zapomni.

– Jedno spotkanie zrobiło na panu takie wrażenie? – zapytała słodko.

– Tak... panno Adrianno. Jedno spotkanie może zostawić w człowieku niezapomniane uczucie. To takie przeżycie, które odciska po sobie ślad na wiele lat, jeśli nie na całe życie... – Uśmiechnął się obłudnie.

– W takim razie mam nadzieję, że nie będzie ostatnie – dodała kokieteryjnie.

„Głupia dziwka” – pomyślał z pogardą Lewin, gdy zniknęła za bramą, a on wracał do miasteczka, by odwiedzić inną głupią dziwkę, Alicję Rosińską, przyjaciółkę jego siostry.

Już nie mógł się doczekać kolejnego spotkania z Adrianną, rozważał, jak mógłby rozpalić jej uczucie do niego, by potem potraktować, jak ona jego pewnego słonecznego dnia. Targały nim dziwne uczucia. Z jednej strony tęsknota za świeżością pierwszego zauroczenia, gdy wybranka zdaje się idealna, a miłość fascynująca, z drugiej – wyrzucał sobie chłopięcą naiwność, bo to piękne uczucie było jedynie wytworem ludzkich marzeń i pragnień o byciu kochanym bez względu na to, kim się jest i jakim majątkiem się dysponuje. Tymczasem ta krystalicznie czysta miłość okazała się zwykłą dziwką, która przychodzi tylko wtedy, gdy jej dobrze zapłacisz.

Nawet jego ukochana matka oddała swoje wdzięki grubo starszemu Chełmickiemu, bo miał pozycję i był bogaty. I co z tego, że Ignacy Lewin, zanim stracił nogi w wojennej zawierusze, był najprzystojniejszym mężczyzną w Chełmicach, kiedy to pieniądze i pozycja okazały się większym afrodyzjakiem dla Anny Lewin. Emil był przekonany, że stary Antoni nie musiał do niczego zmuszać matki, wystarczyło kilka gładkich słów, parę tandetnych prezentów, a ona poszła niczym mucha do lepu. Świat kręcił się wokół pieniądza, to on był bożkiem napędzającym życie i zakładał ludziom na nos różowe okulary, aby mogli udawać, że coś takiego jak romantyczna miłość istnieje. I każda inna.

Alicja ucieszyła się z wizyty Lewina, bo była bardzo ciekawa, jak sobie radzi Hanka.

– Podwoziłem Adriannę Daleszyńską do dworku – powiedział Emil, pakując do walizki wiktuały.

– Julian jeszcze nie wyjechał? – zapytała Alicja z nadzieją w głosie.

– Nie, wczoraj wyjechał do Warszawy. Narzeczona chyba jeszcze zabawi trochę w Chełmicach – dodał, chociaż Alicja nie pytała o Adriannę.

Nie zastanawiała się zbyt długo. Wyciągnęła z szafy w przedpokoju swoją dużą walizkę i zaczęła w pośpiechu pakować rzeczy.

– Wyjeżdżam z Emilem do Warszawy! – krzyknęła.

Jej rodzina zamarała w bezruchu, jedynie Lewin nie przestał upychać jedzenia do swojej walizki.

– Dokąd? Zaraz wybuchnie wojna – zapytała zatrwożona matka.

– Muszę, mam. Muszę tam wrócić – odpowiedziała Alicja.

– Tu będziesz bezpieczniejsza – mruknęła niezadowolona matka.



– Mamo... Tam jest Hanka, tam jest moje życie... – odpowiedziała.

Z trudem wcisnęli swoje wypchane jedzeniem bagaże do pociągu i stojąc na korytarzu niemal na jednej nodze, późnym popołudniem 31 sierpnia dotarli do Warszawy. Alicja postanowiła zostać w mieszkaniu Hanki, które wieczorem opuścił Emil, z ulgą wracając do siebie i z radością przyjmując pomoc jej przyjaciółki. Siostra stanowiła w tej chwili zbędny balast, a on musiał zastanowić się, jak przetrwać to, co niebawem nastąpi, albo jak przed tym uciec.

Następnego poranka zniknęły ostatnie złudzenia. 1 września 1939 roku wojna stała się faktem. Z megafonów i głośników radia wciąż docierały informacje, przemówienia i apele. Warszawiacy jeszcze z pewnym niedowierzaniem i rezerwą podchodzili do całej sprawy, ale gdy kolejne wiadomości donosiły o walkach toczących się na granicy, ofiarach i bombardowaniach, docierało do nich, że dyskusje polityków i barwne przemówienia w tej chwili już nie mają znaczenia, bo tam, na granicach, giną polscy żołnierze, rodacy rzucający na pastwę ogromnej potęgi militarnej Rzeszy.

Hanka i Alicja wyszły na ulicę, patrząc na lamentujące kobiety, skupionych albo rozkrzyczanych mężczyzn i ogarniającą miasto panikę. Lewinówna, okryta szalem, stała błada pod jednym z megafonów i łkała. Alicja przytulała ją do siebie i starając się przekrzyczeć głosy megafonów i ludzi, mówiła głośno:

– Hanka, przestań, musisz być silna i wytrzymać. Słyszałaś, na pewno za kilka dni Wielka Brytania i Francja wypowiedzą wojnę Niemcom i pogonią z Polski tych drani, a wtedy przyjedzie Tomasz i życie wróci do normy.

– Nie wierzę, nie wierzę... – mamrotała Hanka.

Alicja nie wiedziała, czy Hanka nie wierzy w rychłe zakończenie wojny, czy w pomoc aliantów. Ona myślała w tej chwili o Julianie. Podobno już od marca szykowano się do wojny i on w tym czasie, jako oficer kawalerii, był zmobilizowany i przydzielony do armii Modlin. Tyle wiedziała, że w tym dniu jest w okolicach Mławy i będzie walczył. To już nie były manewry i dyskusje, czy wojna będzie, czy Beck, minister spraw zagranicznych, zażegna konflikt. To, czego najbardziej się bała, nadeszło. Nawet jeśli dotrą posiłki od Anglików czy Francuzów, on będzie wciąż walczył. Mógł zostać ranny albo zginąć. Nieważne było, że przez to nie zdążył się ożenić, niechby nawet, byle żył.

Kolejne dni były mieszaniną nadziei i niepewności. Do Warszawy przybył brytyjski minister i obiecywał pomoc, ludzie wylegli na ulice, by obłaskawić tego człowieka gorącym przyjęciem, aby ten w końcu sprawił, że Polska nie będzie samotna i opuszczona przez sojuszników. Ale jakkolwiek dyplomaci działali zdecydowanie za wolno, tak Niemcy nie próżnowali. Oprócz działań wojennych robili naloty na obiekty cywilne i przeprowadzali masowe egzekucje starców, kobiet i dzieci.

Zagrożeni ludzie zaczęli przybywać do Warszawy, często bez niczego, pozostawiając dorobek życia, by schronić się w mieście, gdzie był rząd i sztab wojska. Warszawiacy natomiast zamykali sklepy, restauracje i inne biznesy i obładowani swoimi dobrami, niekiedy pieszo albo konnymi wozami uciekali z miasta na prowincję, by znaleźć względny spokój. W radiu pojawiła się informacja o formowaniu na obrzeżach stolicy armii ochotników, wzywano wszystkich niezmobilizowanych mężczyzn, aby wyruszyli do walki, a ci, którzy nie byli dość sprawni, do Obrony Cywilnej. Na drogach wyjazdowych panował chaos i zamieszanie, prawdziwa wędrówka ludu, który nie wiedział, co ma robić i gdzie się ukryć. Ci, którzy przybyli, głodni, zmęczeni i brudni, siedzieli w bramach i na parkowych ławkach, rozglądając się niepewnie. Hanka z Alicją przynosiły tym koczującym ludziom koce, herbatę, a najbardziej potrzebującym również jedzenie, którego było coraz mniej w mieście. Ochotnicy wraz z władzami naprędce organizowali pomoc w postaci tymczasowych jadłodajni, budowano barykady i powoli to tętniące jeszcze niedawno życiem miasto zaczęło przypominać miejsce, gdzie czuć było bliskość wojny. A gdy spa-

dała bomba, niezatrzymana przez obronę powietrzną, zamieniając domy w gruzowiska, wojna zaczynała być namacalna.

Szóstego dnia, gdy Polacy wciąż nie mogli doczekać się sojuszników, a wszystko skończyło się na wypowiedzeniu wojny bez konkretnych działań, rząd polski wraz z dowódcami ze sztabu generalnego podjął decyzję o ewakuacji i przeniesieniu się na południe kraju. Ludzie zamarli w dziwnym bezruchu, gdy ogłoszono ten komunikat, bijąc brawo jedynie prezydentowi Warszawy, który oznajmił, że zostanie „na gospodarstwie”. Opuszczeni, osamotnieni, niczym sieroty pogrążone w chaosie, zaczęli oswajać się z tym, co jeszcze niedawno było abstrakcją. Pozostawieni sami sobie, przygotowywali się do walki.

– Uciekaj do Chełmic, Alicja – powiedziała Hanka, gdy kolejna bomba spadła nieopodal kamienicy, w której mieszkały. – Tu będzie istne piekło. Pojechałabym z tobą, ale nie dam rady i boję się, że dziecko tego nie przetrzyma. Tam może te szwabskie nasienia nie dotrą tak szybko, ale na stolicę pewnie już ostrzą pazury.

– Nawet tak nie mów, Hanka. Zostanę z tobą, dopóki sytuacja się nie wyklaruje, a potem... mój Boże, kto wie, co będzie. A teraz ty się połóż, a ja idę kobietom pomóc przy garach – odpowiedziała Alicja i wyszła z domu.

Jeszcze nie tak dawno zapewne zrobiłaby makijaż i wycisnęła fale, włożyła elegancką sukienkę i buty na obcasie, ale teraz liczyła się jedynie wygoda. Mieszając w kotle zupę, podrygiwała lekko, jakby jej nogi nie dawały spokoju, spragnione tego, co robiła przez ostatnie osiem lat – tańca.

Dwudziestego trzeciego września stolica została pozbawiona elektryczności, wody i łączności telefonicznej. Niektórym mieszkańcom zdawało się, że gorzej już być nie może i zapanuje chaos, jakiego nigdy nie widziano.

Alicja, chcąc sobie nieco ułatwić życie, do wożenia wiader z wodą używała zdezelowanego wózka, który nikomu niepotrzebny, zalegał w piwnicy. Brakowało mu jednego kółka, ale Alicja z pomocą sąsiada zamontowała inne, nieco mniejszej średnicy, które przechylało wózek, wylewając z wiader wodę, ale przynajmniej nie musiała ich nosić w rękach i cieszyła się z tego małego rozwiązania racjonalizatorskiego. Nigdy nie sądziła, że takie drobne rzeczy będą tak bardzo cieszyć. Tak samo, jak to, że po każdym nalocie dom wciąż był cały, a one z Hanką miały gdzie mieszkać. Zmieniły się priorytety, nagle życie okazywało się najcenniejsze. Każdy następny dzień był niczym dar od losu, dla wybrańców i szczęściarzy. Nie był czymś oczywistym, gdy doceniamy go tylko w chwilach życiowych tragedii i utraty bliskich. Tutaj codziennie i niemal na każdym rogu dotykało się cierpienia. Może dlatego niektórzy już przywykli i przestali się bać, bo i tak ich życiem kierował ślepy los, a raczej spadająca bomba.

Alicja pchała wózek, gdy dostrzegła koleżankę z zespołu, w jakimś przedziwnym peniarze stojącą w kolejce po darmową zupę.

– Jaśka! – krzyknęła z radością i przywitała się serdecznie.

– Cześć, Alka, nie widziałas tu gdzieś mojej matki? Wyszła z kolejki pogadać ze znajomą i zniknęła mi z oczu.

– Nie... – odpowiedziała Alicja. – Tu się kręci tyle ludzi. A co u ciebie?

Jaśka machnęła ręką.

– No co ma być? Rozpierducha taka w tamtą noc była, żeśmy pół mieszkania straciły i zostały nam jedynie koszuliny nocne i szlafroki. Jak wróciłyśmy z piwnicy, to niby nic się nie stało. Matka drzwi do kuchni otworzyła, a tam kuchni nie ma i tego pokoju, co ta wielka szafa z ciuchami stała. Rozumiesz, możesz do kuchni wejść, ale nogami do przodu. – Zachichotała i dodała: – Żeśmy z matką kredens na drzwi przesunęły, żeby nikt nie wlaźł, ale nawet herbaty nie ma jak ugotować, no i wszystkie szmaty

przepadły, po ulicy chodzę jak marmuzela z burdelu.

– Jeśli jutro tu będziesz, to przyniosę ci trochę ubrań. – Alicja poklepała po ramieniu Jaśkę i pożegnała się.

Tak, już nikt nie rozpaczał po utracie ubrań, a nawet kuchni. Ważniejsze było życie, jakie by ono nie było.

Alicja wracała do domu i myślała o tym mieście, które stało się jej domem. Naloty nasilały się coraz bardziej, niszcząc najpiękniejsze kamienice, uliczki pełne wspomnień i kawiarnie, gdzie spotykała się ze swoimi kochankami. Tęskniła za tym czasem, gdy muzyka, śmiech i barwy świateł wypełniały jej świat. Dzisiaj całe miasto było jakby wymarłe, ciche i skupione, a jedyne dźwięki, jakie się rozlegały, to huk bomb, tak przerażający, jakby świat się kończył, serie wystrzałów, po których myśli płynęły do tych, co zginęli, i komunikaty z megafonów mające dać nadzieję i otuchę, a przynoszące coraz gorsze wieści.

„Gdzie się podziewasz, Julianie?” – pytała w duchu Alicja i zastanawiała się, czy nie leży gdzieś ranny, cierpiący albo martwy. Czasami mówiła do niego, jakby w modlitwie, prosząc go, by nie dał się zabić: „Julianku, najdroższy, niech cię nie sięgnie żadna kula ani granat, ty musisz żyć, bo jesteś jak mój oddech, jak kropla wody, jak balsam niosący ukojenie. Wiem, że należysz do innej i twoje serce także, ale żyj, bo ja tak bardzo potrzebuję, żeby cię kochać”.

I tak jak niegdyś, idąc wierzbową alejką i wróżąc z akacji, tak teraz angażowała się we wszystko, co mogła, chcąc tymi dobrymi uczynkami zaskarbić sobie łaskę losu, by jej najbliżsi ocalili z tej wojny. Obie z Hanką wyznaczały sobie codzienne racje jedzenia, by zapasów starczyło na jak najdłużej, ale Alicja brała, co jej, i niosła jakiejś wygłodniałej kobiecie śpiącej w bramie albo małemu dziecku, które płakało z głodu, nie rozumiejąc, że może go dostać tylko tyle, żeby nie umrzeć.

Widziała kiedyś martwego konia. Leżał na ulicy, zboczony krwią. Jacyś mężczyźni podeszli do niego i zaczęli ćwiartować niczym prosiaka. Zawijali mięso, niosąc na strawę dla bliskich. Nikogo taki widok nie oburzył ani specjalnie nie zdziwił, ale był namacalnym dowodem, że w Warszawie dzieje się bardzo źle.

\*\*\*

Gdy wojska niemieckie podchodziły coraz bliżej oblężonej Warszawy, a opór wobec uzbrojonych najeźdźców malał, naloty zrobiły się coraz częstsze. Schodziły wtedy z Hanką do piwnicy i czekały na koniec huków i warkotu krążących samolotów. A gdy nastawała cisza, z trwogą otwierały drzwi na klatkę schodową, z niepewnością i przerażeniem spoglądając w górę, czy ich mieszkanie jeszcze istnieje. Wchodziły powoli po schodach, jakby badając, czy nie runą pod nimi, sprawdzały pęknięcia na ścianach i szyby w oknach, które coraz częściej zamieniały się na kartony, przybijane przez sąsiada drzwi od szafy czy grube koce, które po każdej ulewie nasiąkały wilgocią. Wodę przynosiły ze specjalnych ujęć, które znajdowały się kilkaset metrów od domu, a elektryczność zdawała się zbędnym luksusem, cofając czas do okresu świec i naftowych lamp.

Hanka źle znosiła ciężę, zapewne stan napięcia i lęku nie pomagał w ukojeniu wręcz permanentnych mdłości. Obie robiły się coraz szczuplejsze, jedna z braku jedzenia, druga z powodu zbyt częstego jego wydalania.

– Martwię się o Emila – powiedziała złowroźbnie któregoś chłodnego wieczoru Hanka, otulona kocem i w wełnianych skarpetach na nogach.

Alicja nigdy specjalnie nie przepadała za bratem Hanki, który w przeciwieństwie do siostry sprawiał wrażenie człowieka zakochanego jedynie w sobie. Minęło kilkanaście dni, odkąd wybuchła

wojna, a on nawet nie zajął się sprawdzić, co dzieje się z jego ciężarną siostrą. Hanka jednak kochała brata i Alicja nie chciała jej ranić.

– Da sobie radę, moja droga. Do wojska się nie zaciągnął, bo on nie z tych, co by karku za ojczyznę nadstawiali. Jak się trochę uspokoi sytuacja, na pewno przyjdzie.

Hanka pokiwała głową i popadła w zamyślenie. Alicja nie ciągnęła tematu, próbując ogarnąć ich małe gospodarstwo.

Tymczasem Emil czekał z niecierpliwością, aż w końcu Warszawa się podda. Od początku było jasne, że ten moment nastanie, i nie rozumiał tych romantycznych zrywów z góry skazanych na porażkę wobec potęgi militarnej Niemiec. Uważał, że poddanie się wrogowi i życie według jego norm byłoby dużo bezpieczniejszym rozwiązaniem niż narażanie tego pięknego miasta na zniszczenie, a jego mieszkańców na śmierć. Nie widział różnicy, jaki kraj i jaka władza będzie tutaj, byle żyć wygodnie i dostatnio. Polska nic mu nie dała, oprócz biedy, o wszystko musiał walczyć, więc było mu kompletnie obojętne, czy będzie musiał walczyć pod władzą polską czy niemiecką.

Myślał, jak sobie radzi Hanka, ale nie miał zamiaru narażać się, łąząc po Warszawie między świszczącymi kulami i spadającymi bombami. Głównie siedział w domu przy włączonym radiu i opuszczał je tylko wówczas, gdy sygnał w głośniku zaniknął, a megafony były jedynym źródłem wiadomości.

I w końcu nadszedł dzień, który jako jeden z nielicznych przyjął z ogromną ulgą. Warszawa skapitulowała, a czołgi i samochody niemieckie dumnie wjechały na ulice stolicy. Ludzie płakali albo wściekli ciskali, czym popadnie, ale Emil poczuł radość. Miał nadzieję, że teraz umilkną bomby i strzały, a zamiast worków z piaskiem i barykad na ulice wrócą eleganckie samochody, a do restauracji pięknie ubrane kobiety. Nie życzył źle Polsce i dobrze było mieć miejsce, gdzie człowiek się czuje jak u siebie, ale uważał, że romantyczne zrywy niepodległościowe, jak chociażby powstanie styczniowe, były bezsensownym przelewaniem krwi. Teraz również młodzi chłopcy poszli niczym prosięta na rzeź przeciwko dwóm mocarstwom. I albo nie powrócą wcale, albo skończą jako zgorzkniali inwalidzi bez szans na normalne życie, ale za to dumni, że walczyli o Polskę. Póki jeszcze była nadzieja w Brytyjczykach albo nawet gdy Stalin nie wyciągnął swoich lepkich łap, była szansa, ale potem należało jak najprędzej oddać się pod władanie zaborcy, zanim padły pierwsze radzieckie strzały. Oczywiście nie witał z uśmiechem okupanta, bo mieszkańcy by go złinczowali, ale w duchu powtarzał sobie: „nareszcie spokój”.

Podobne zdanie miał jego prawdziwy ojciec, Antoni Chełmicki, który dogorywał w Chełmicach, truchlejąc z troski o swojego Juliana i interesy, który obracały się w perzynę w czasie działań bojowych. Antoni pamiętał dobrze czasy zaborów i przywykł do myśli, że niepodległość Polski jest dana jedynie na chwilę. Nie mógł jednak przekonać do swoich poglądów Juliana, który pasjonował się wojском, wstąpił do kawalerii i nagle to obróciło się przeciwko niemu. Póki trwał pokój, Antoni nazywał to gramami wojennymi, gdzie obmyśla się strategie, uczy posługiwać bronią i taplać w błocie, hartując ciało i duszę. Tymczasem jego syn nagle musiał stanąć twarzą w twarz z prawdziwą wojną i walką na śmierć i życie. Chociaż pewnie i tak nie uchroniłby go przed pójściem na pole bitwy, cokolwiek by robił, bo młody chłopak był zbyt dumny, aby wykić się pieniędzmi ojca. Chełmicki jednak znał Juliana i wiedział, że gdy nadeszło najgorsze, jego syn najchętniej zamieniłby saperki na wygodne kapcie.

Antoni Chełmicki nie mylił się, ale pewnie dlatego, że nie miał pojęcia, co się naprawdę dzieje na froncie. Julian był wyczerpany, głodny i chwilami zdawało mu się, że już dłużej nie da rady i pozwoli się zabić. Gdy udało im się rozgromić jakiś batalion albo wysadzić most, niczym grzyby po deszczu pojawiali się następni żołnierze wroga, coraz lepiej uzbrojeni i coraz liczniejsi. Oni sypiali w stodołach lub

nie sypiali wcale. Jadali paskudną, wodnistą kaszę, suchary albo nie jadali w ogóle. Brudni, niekiedy przemoczeni do suchej nitki, modlili się o rychłe zakończenie działań wojennych, ale zdawało się, że nigdy to nie nastąpi.

Pewnego dnia, gdy Julianowi udało się po kilku dniach dopaść menażkę rozgotowanej kaszy, postanowił zrobić sobie prawdziwą ucztę. Oddalił się nieco od kompanów, wybrał okazały pień i rozłożył chustkę do nosa z wyszytym monogramem. Postawił menażkę i wyciągnął z oficerki niezbędnik wojskowy, otulony szarym, grubym płótnem. Właśnie miał włożyć do ust pierwszą łyżkę swojego wytwornego posiłku, gdy podniósł głowę i ujrzał dwie małe dziewczynki, wpatrzone w jego menażkę jak wyposzczeni żołdacy w kobiecy dekolt. Obie miały zaplecione warkocze, umorusane buzie i brudne, bose stopy. Popatrzył na nie i łyżka mimowolnie zatrzymała się w połowie drogi do jego ust. Przełknął ślinę i zapytał:

– Jesteście głodne?

Dziewczynki spojrzały najpierw na siebie, potem na pełną menażkę i potaknęły głowami. Julian westchnął i powiedział do nich z uśmiechem:

– W takim razie zapraszam panie do stołu.

Usiadły po drugiej stronie pniaka i wymieniając się łyżką, pałaszowały kaszę.

– A pan nie je? – zapytała starsza.

– Hm... – mruknął. – Właściwie to nie jestem głodny. Zjedzcie wszystko.

Dzieci popatrzyły na niego jak na wariata i wyjadły wszystko, nie omijając najmniejszej drobin-ki. Gdy skończyły, dygnęły niczym pensjonarki i bez słowa uciekły w leśny dukt, zapewne wiodący do ich domostwa. Julian wrócił do swojego oddziału i szybko podszedł do polowej kuchni w nadziei na jakieś resztki jedzenia, ale kotły były kompletnie puste. Tego dnia już nic nie zjadł, myśląc o tym, co Ludmiła przygotuje dla niego, gdy powróci z wojny. Jeśli powróci. Jego rozważania przerwało skrzypienie wierzei od stodoły i krzyk zwiadowcy:

– Niemcy zbliżają się do wsi. Są pięć kilometrów stąd. Osiem wozów opancerzonych, cztery czołgi i ciężarówki z wojskiem.

Julian momentalnie przestał odczuwać głód. Adrenalina pozwalała o nim zapomnieć. Czekala go kolejna potyczka, która mogła zakończyć się różnie. To był już piętnasty dzień walki o północną granicę. Niestety, cofali się, a wojska niemieckie napierały coraz brutalniej i z coraz większą siłą. I ta potyczka nie skończyła się dobrze. Seria z karabinu maszynowego zabiła jednego z nich i trafiła w brzuch jego najwierniejszego przyjaciela, konia Karmazyna. Jeszcze przez chwilę jechał i miał nadzieję, że nie oberwali, ale po kilkunastu metrach Karmazyn padł na ziemię, zrzucając Juliana z grzbietu. Gdy umilkły strzały, Julian wstał i pędem rzucił się w pobliskie krzewy. Nieopodal nich zaczynał się las, którym mógł dotrzeć do kolejnego postoju wojsk. Pod wieczór, gdy oddziały niemieckie wycofały się kilka kilometrów na północ, Julian wraz z kolegami wrócili po zastrzelonego kolegę, Władka. Gdy położyli go na nosze, aby przenieść w miejsce prowizorycznego pochówku, Julian podszedł do Karmazyna. Żył, dysząc ciężko, i Julian miał wrażenie, że zwierzę płacze. Nie mógł wstać, podnosząc jedynie głowę w niemej prośbie o pomoc. Julian popatrzył na brzuch konia i wiedział, że nie ma dla niego ratunku, a jedynym miłosiernym rozwiązaniem jest dobić go. Ukląkł przy koniu i zaczął płakać razem z nim. Nie robił tego, gdy ginęli jego kompani, ale teraz po prostu się rozkleił. Karmazyn był jego częścią, wszędzie mu towarzyszył i był z nim zżyty bardziej niż z niejednym towarzyszem broni. Od pięciu lat byli niemal nierozłączni, na manewrach, paradach i teraz w boju.

– Trzeba go dobić – powiedział major Niemczycki, pochylając się nad koniem.

– Proszę to zrobić, ja nie dam rady – wyjąkał Julian.

– Ja też nie – ze smutkiem powiedział major.

– Ale trzeba... – wydukał Chełmicki.

– Poproszę kogoś ze wsi, z naszych chłopaków nikt nie strzeli do konia. – Major podniósł się z klęczek.

Wkrótce przyprowadził jednego z miejscowych, który przyłożył drżącą ręką pistolet do końskiego łba. Karmazyn zaczął rzeźnić, jakby przeczuwał swój los, i patrzył przeraźliwie smutnymi oczami na Juliana.

– Żegnaj, Karmazyn – powiedział Chełmicki i wtedy padł strzał, a po nim kolejny.

Julian zacisnął zęby, żeby kolejny raz się nie rozplakać, i powrócił do bazy.

\*\*\*

Gdy oblężona Warszawa wydała ostatnie tchnienie, a niemieckie służby okupacyjne triumfalnie zajęły miasto, w jednej z kawiarni siedział Walter von Lossow i sączył kawę.

– To było kiedyś takie cudowne miasto – westchnął. – A teraz co i rusz zamiast na kawiarnię albo cichy burdelik natykam się na sterty cegieł.

– Polacy sami zniszczyli swoje miasto. Gdyby od razu się poddali, nadal byłoby piękne i rozrywkowe – stwierdził jego kompan.

Walter nie odpowiedział. Wciąż żywił pogląd, że wojna to kompletnie niepotrzebna strata ludzi, pieniędzy i chociażby pięknych kamienic warszawskich. Wstąpił do SS, bo nie mógł sobie pozwolić, jak jego ojciec, na ignorowanie panującego systemu. Po prostu tak było bezpieczniej i wygodniej. Przykro mu było, że teraz on i jego dobry kumpel, a nawet przyjaciel, stanęli po dwóch stronach barykady. On i Julian rozumieli się doskonale, razem grywali w karty i od czasu do czasu chodzili na dziwki. I co? Miałby teraz wyjąć walthera i strzelić do niego? Było to idiotyczne i kompletnie irracjonalne. Dużo chętniej zrobiłby to w stosunku do niektórych głupich, nadętych kompanów z SS, którzy zdawali się mieć jakieś kompleksy i leczyli je, strzelając do niewinnych kobiet, a nawet dzieci. Barbarzyństwo, z którego oni zrobili dobrą zabawę. Oczywiście, była wojna, ginęli żołnierze, pod Mławą, nad Bzurą czy w Gdańsku. Ale te egzekucje były, jego zdaniem, zupełnie zbędne. Aryjski mit wyższości dawał tym prostakom przepustkę do okrucieństwa. On skończył studia w Paryżu, dzieciństwo i wczesną młodość spędził w Polsce lub na terenach, które polskie być powinny, i uważał, że ludzie są różni, niezależnie od nacji. Poznał wielu inteligentnych i zabawnych Francuzów czy Polaków, jak również takich, jakich nigdy więcej nie chciałby spotkać. A nawet Żydów.

Tak, Walter kompletnie nie rozumiał tego świata ani sytuacji, w której wybiera się wojnę, zamiast spokoju i dobrej zabawy. Był hedonistą. Lubił koncerty symfoniczne, nadmorskie plaże i piękne, chętne dziewczyny, które dostarczały mu doznań cielesnych. Cudownie było jeździć konno po bezdrożach, odwiedzać wystawy malarstwa, zamiast oglądać się za siebie, czy jakiś wkurzony Polak nie strzeli mu w plecy. Polaków też do końca nie rozumiał. Byli na straconej pozycji od samego początku. Każdy, kto miał trochę oleju w głowie, wiedział, że ani Wielka Brytania, ani Francja nie kiwną palcem w sprawie Polski, zwłaszcza po tym, jak podpisano pakt Ribbentrop–Mołotow. A oni rzucali się na wroga niczym Dawid na Goliata, sądząc, że mit zamieni się w prawdę. Trup polskich żołnierzy ścielił się gęsto, piękna Warszawa poniosła ogromne straty w architekturze i kulturze, a oni dalej swoje, jakby nie rozumieli, że jedynie pogarszają swoją sytuację. „Dumni i wściekli” – z sarkazmem myślał o nich Walter i wciąż czuł się niepewnie w roli okupanta. Dużo bezpieczniejszy był, przyjeżdżając przed wojną w to

miejsce jako gość.

– Nie wiesz, Hans, gdzie tu można się zabawić z panienkami? – zapytał z westchnieniem i nadzieją, że jednak znajdą się jakieś chętne Polki, którym nie będzie przeszkadzał niemiecki mundur.

– A ty wiesz, że nie wiem. – Roześmiał się. – Kilka dni temu zaczęłam jedną, to powiedziała, że wolałaby kiziorowi dać za darmo niż mi za pieniądze. Nie mam pojęcia, co oznacza słowo „kizior”. A ty?

– Nie wiem, ale obawiam się, że to nikt przyjemny. Poczekamy, zobaczymy, zmiękną i one, bo niebawem tylko Niemców będzie na nie stać. Byle tylko dowództwo się nie dowiedziało.

– Mam taką nadzieję, bo już dawno sobie nie używałam, a dowództwo, jeśli tak o nas dba, niech zapewni nam stały dostęp do czystych cipek – zarechotał Hans.

Wyszli z kawiarni i powrócili do swoich kwater. Jedyne, co ich frapowało, to w jaki sposób dobrze się zabawić i specjalnie nie napracować. I za to Walter lubił Hansa.

## 5. Moskwa, 1939

Tymczasem Józef Stalin rozgrywał swoją grę. Jako sojusznik Hitlera osaczył Polaków od wschodu i miał zamiar zagrabić tę połowę Polski. Życzył sobie także, aby w tym krnąbrnym kraju kochano go i czczono, jak jego lud w Związku Radzieckim.

Igor Łyszkin zmierzał właśnie w kierunku swojego moskiewskiego mieszkania, gdy czarny, wypolerowany do połysku samochód zatrzymał się przy krawężniku i wysiadło z niego dwóch mężczyzn w ciemnych płaszczach. Przestraszył się. Od dwóch lat czuł dziwny lęk, bo od tego mniej więcej czasu Stalin robił czystki, usuwając rzekomych zdrajców i podżegaczy. Niemal wszyscy jego towarzysze z Komunistycznej Partii Polski zostali straceni albo zniknęli bez wieści. Igor ufał władzy, ale zdarzały się pomyłki i to było ryzyko, które od niemal dwóch lat brał pod uwagę.

– Pojedziecie z nami – powiedział ostro jeden z mężczyzn i otworzył tylne drzwi samochodu.

Łyszkin bez słowa wszedł do samochodu i gorączkowo zastanawiał się, co go czeka. Właściwie dziwił się, że podejrzenia padły tak późno. W końcu był synem carskiego pułkownika, a więc zdrajcy, i polskiej szlachcianki. Tak jak obiecał, zerwał z nimi kontakty, a w Polsce ostatni raz był ponad rok temu. Kilkanaście minut później jego obawy pogłębiły się, gdy zorientował się, że samochód skręcił w kierunku placu Łubiańskiego, a tam siedzibę miał moskiewski oddział NKWD. Igor głośno przełknął ślinę. Był przekonany, że czeka go najgorsze. Należał do Wszechzwiązkowej Komunistycznej Partii i odpowiadał za kontakty z zagranicznymi jednostkami związku. Jak wszędzie, tak i tam panowała rywalizacja o stanowiska, apanaże i bycie lojalnym wyznawcą Stalina. „Kto wie, może komuś się nie podobalem?” – pomyślał Igor. Jakaś plotka, spreparowane dokumenty czy nawet cień podejrzenia rzucony na niego mogły zniweczyć nie tylko jego karierę polityczną w WKP, ale również sprawić, że skończy w łagrze albo zostanie zastrzelony jako wróg ludu.

Mężczyźni prowadzili Łyszkiną długim korytarzem, nie mówiąc ani słowa. W końcu zatrzymali się przed drzwiami zastępcy szefa moskiewskiego okręgu NKWD, Aleksieja Maksymowa. Wprowadzili go do środka i zostawili z Maksymowem. Ten nawet nie spojrzał na Igora, tylko wpatrywał się w papierową teczkę wypełnioną dokumentami.

– Siadajcie, towarzyszu – powiedział Maksymow i wskazał dłonią krzesło, wciąż nie odrywając wzroku od papierów.

Łyszkin usiadł niepewnie i rozejrzał się po surowo urządzonej gabinecie, gdzie jedynym żywym akcentem był kolorowy portret Józefa Stalina i niewielka flaga Związku Radzieckiego, przymocowana do ramy obrazu wodza.

– Towarzyszu Łyszkin – po chwili odezwał się Maksymow – zapalicie papierosa?

Wyciągnął w kierunku Igora papierosnicę. Łyszkin wyciągnął dłoń i chociaż palił niewiele, postanowił nie odmawiać tak ważnej osobistości.

– Mamy tu wasze papiery. Dzieciństwo, szkoły, młodość, rodzina bliższa i dalsza... – mruknął jakby od niechcenia.

Igor zmruczył oczy. Pełne dossier na biurku zastępcy okręgu NKWD nie wróżyło niczego dobrego.

– Jesteście synem pułkownika Łyszkiną i Polki... Wielokrotnie też przebywaliście na terenie Rzeczypospolitej...

– Tak, towarzyszu Maksymow. – Igor znowu przełknął ślinę.



– Zatem dobrze znacie ten kraj i ten język – bardziej stwierdził, niż zapytał.

– Tak – przytaknęła Łyszkin.

– Wykształceni, inteligentni, z kontaktami w Polsce. – Maksymow wciąż mruzczał, jakby do siebie, wprowadzając aurę niepewności i lęku.

Igor milczał, zastanawiając się, jak długo potrwa to studiowanie jego życiorysu.

– I jesteście lojalnym członkiem naszej partii...

– Tak, towarzyszu, jestem lojalnym członkiem partii – odpowiedział zdecydowanym głosem Łyszkin.

– Zabiliście kogoś kiedyś? – zapytał spokojnie.

– Nie, nie zabiłem. Miałem inne zadania do wykonania.

– Ale potrafilibyście zabić wroga?

– To zrozumiałe, towarzyszu Maksymow, dostałem przydział do wojsk lądowych w Moskwie, do jednostki obrony granic.

– Nie pojedziecie do jednostki, Łyszkin. Mamy dla was inne zadania.

Łyszkin odetchnął z ulgą. A więc nie brutalne przesłuchania i śmierć, ale najpewniej poważne zadania do wykonania, jeśli tak wysoko postawiony funkcjonariusz osobiście się tym zajmuje.

– Gdy ma się tak wielu wrogów, jak my, trzeba być nie tylko czujnym, ale też znać plany przeciwnika. A oni czają się wszędzie. Polacy to krnąbrny naród. I nie brakuje tam wyzyskiwaczy, kułaków i burżujów. Oni tak łatwo nie zrezygnują ze swojego życia, tak jak twoi rodzice – powiedział Maksymow.

– Zerwałem kontakty z rodziną w Polsce. Nie widziałem rodziców od trzech lat. Jurij Dumiejew... – Nie dokończył, bo Maksymow mu przerwał.

– Dumiejew to był zdrajca i poniósł za to właściwą karę. Nie przyszło wam do głowy, dlaczego zakazał wam kontaktów z rodziną?

– Bo ojciec był carskim pułkownikiem, a matka szlachcianką – hardo odpowiedział Łyszkin.

– Otóż nie, Łyszkin. Mylicie się. On nie chciał, żebyście za dużo wiedzieli. A ojca na pewno odwiedzali ludzie, którzy najchętniej spaliliby nas na stosie. Wroga należy najpierw poznać, a potem zniszczyć. A Dumiejew nie pozwolił wam tego wroga poznać. A dlaczego? Bo nie chciał, żeby wróg został unicestwiony. Czy widzicie tutaj przebiegłość Dumiejewa? Bo ja tak, i to w pełnej krasie. On szpiegował dla naszych wrogów i nie chciał, żebyście wpadli na jego trop, kontaktując się ze znajomymi ojca i matki. On nie chciał, żebyście wyjeżdżali do Berlina czy Wiednia i poznali plany zniszczenia naszych ideałów, naszego kraju i towarzysza Stalina – przemawiał Maksymow.

– Był moim przełożonym. Cóż miałem robić? – westchnął Igor.

– Wy, towarzyszu, postąpiliście słusznie. Posłuchaliście przełożonego, to się chwali. Nie wasza to wina, że przełożony okazał się zdrajcą. Ale sami widzicie, że nawet najbliżsi towarzysze mogą połazczyć się na wygodniejsze życie, nawet kosztem zdrady.

Łyszkin milczał. Po kilku minutach tyrady o zdrajcach, farbowanych lisach w kurniku i wrogach czających się wszędzie Maksymow przeszedł do celu, w jakim wezwał Łyszkiną do siebie.

– Pojedziecie na kilkumiesięczny kurs. Miejsce pobytu objęte jest tajemnicą państwową, dowiecie się dopiero, gdy przyjdzie rozkaz. A potem pojedziecie do Warszawy, do naszych polskich towarzyszy, tym razem lojalnych. Możecie spotkać się z rodziną, ale musicie mieć uszy i oczy otwarte. Nikt nie może dowiedzieć się, jaki jest cel waszego pobytu w Polsce. Musicie poznać plany dywersantów i plany Niemców. Dostaniecie też swój kontakt w Warszawie i to jemu będziecie przekazywać infor-

macje. A teraz wracajcie do domu i czekajcie na dalsze instrukcje.

Łyszkin z ulgą opuścił gabinet Maksymowa. Więc nie chodziło o zdradę, on był im po prostu potrzebny. Obyty w świecie, świetnie mówiący po polsku i bardzo dobrze po niemiecku. „I być może to uratowało mi dupę” – pomyślał z przekąsem Łyszkin i udał się do swojego domu. Nie dotarł jednak do niego, bo wprost spod drzwi Łubianki został przewieziony do tajnego ośrodka pod Moskwą. A dla swoich towarzyszy i wszystkich znajomych od tego dnia był martwy.

## 6. Warszawa, 1939

Gdy Polska skapitulowała po wielu dniach nierównej walki i okupant zaczął zadomawiać się w kraju, ludzie zaczęli godzić się z myślą, że wolność się skończyła. Życie dla jednych stało się walką o prozaiczne sprawy, inni wciąż czekali na podjęcie kolejnej walki z wrogiem. Żołnierze walczący w kampanii wrześniowej albo zniknęli w obozach jenieckich, albo zginęli. Nieliczni, którym udało się uciec, wracali do stolicy, schodzili do podziemia i organizowali się w grupy dywersyjne. Jeszcze inni leżeli ranni w lazaretach, czekając na wyzdrowienie, niczym na wyrok, bo nie wiedzieli, co ich czeka, gdy opuszczą szpitale. Tylko niewielu, którym udało się umknąć, zdecydowało się na ucieczkę za granicę, by tam dołączyć do sił rządowych i zastanowić się co dalej.

Alicja umierała z niepokojem. Nie miała żadnych wieści na temat Juliana. W Chełmicach, gdzie wciąż przebywali Rosińscy, cali i zdrowi, nikt nic nie wiedział. Stary Chełmicki był umierający, a brak wieści o synu sprawiał, że nawet nie chciało mu się walczyć o zdrowie, jedynie modlił się o rychłą śmierć. Zaś Izabela Chełmicka snuła się niczym lunatyczka po domu, co chwilę spoglądając w okno i szepcząc: „Zaraz tu przyjdą, zaraz tu będą i nas pozabiją”. Dworek w Chełmicach już w niczym nie przypominał gwarne go domu pełnego gości. Nawet konie zniknęły, zarekwirowane przez polskie wojsko idące na Warszawę. Ze służby pozostała jedynie wiekowa Ludmiła, która przeżyła niejedno i kolejną wojnę nie była dla niej ani zaskoczeniem, ani specjalnym obciążeniem psychicznym. I tak niezmiennie od lat miała zły nastrój, który nie był zależny od sytuacji politycznej. Przygotowywała jak zwykle posiłki, tylko nieco skromniejsze i w mniejszych ilościach, nad czym specjalnie nie ubolewała. Codziennie zanosila potrawy swojemu panu, bezustannie go okłamując, że ukochane konie Antoniego nadal są w stajniach i mają się dobrze. Na swoją panią starała się nie zwracać uwagi, ponieważ od dzieciństwa bała się ludzi szalonych, a doszła do wniosku, że Izabela Chełmicka postradała zmysły. Całe dni chodziła po domu i rozmawiała ze sobą, snując przy tym katastroficzne wizje dotyczące tego, co spotkało jej syna i co może przydarzyć się im.

Nawet Adrianna Daleszyńska wyjechała w popłochu, widząc, jak się sprawy mają z jej przyszłymi teściami. Nie mogła nawet liczyć na ich wsparcie finansowe, ponieważ Antoni zajęty był swoją rozpaczą i zbliżającą się śmiercią, a Izabela każdego ranka pytała Adriannę, kim jest, co robi w jej domu i kiedy go opuści. Panna Daleszyńska była tym zdruzgotana i opuściła Chełmice. Z trudem dotarła do Grójca, przemierzając drogę to pieszo, to z jakimś litościwym ludźmi, którzy użyczyli jej miejsca na wozie. Niekiedy z głośnym szlochem rzucała się w rozpadliny, jak inni, gdy nadciągające samoloty wypluwały bomby na drogę, którą kroczyli ludzie. Każdy uciekał, trochę bez celu, a niektórzy nawet nie wiedzieli dokąd. Odetchnęła nieco w rodzinnym domu, którego nie dosięgła żadna bomba.

Rodzice Adrianny byli bardziej zdegustowani tym, że Chełmicki nie zdążył ożenić się z ich córką, a teściowie nie wsparli przyszłej synowej finansowo, niż faktem, że Niemcy wkroczyli do miasteczka albo że ich przyszły zięć być może dogorywa na jakimś polu bitewnym. Mieli jedzenie, trochę nafty, ale ich finanse były w opłakanym stanie.

– No i co teraz zrobimy? – warknęła rozszoszczona Zenobia Daleszyńska, matka Adrianny.

– Mamy co jeść i dach nad głową – mruknął jej mąż. – Inni nie mieli takiego szczęścia.

– Tak... jedzenia mamy dużo... Ale pieniądze też jakieś mieć musimy. Ci Chełmiccy to zupełnie skąpcy, tak bez niczego Adusię wypuścili.

– Mamo! – jęknęła Adrianna. – Antoni ledwo żyje, a Izabela postradała zmysły. Gdzie oni głowę mieli, żeby się mną przejmować.

– No tak, no tak. – Zenobia pokiwała głową, ale nie wyglądała na przekonaną. – Ale teraz to już w ogóle czarna godzina. Julian pewnie ziemię gryzie, jak większość. Gdzie ty teraz męża znajdziesz?

Zenobia Daleszyńska była otyłą kobietą o nalanej twarzy, głosie przekupki i fryzurze przypominającej watę cukrową. Chodziła po pokoju, od okna do drzwi, z papierosem w dłoni, intensywnie zastanawiając się nad tym, co zrobić. Jej największa nadzieja, urodziwa córka, siedząc w Grójcu, nie miała szans na dobre zamążpójście, a tym samym na wyciągnięcie rodziny z kłopotów finansowych. Nie obawiali się już co prawda wierzycieli, bo ci zapewne mieli inne problemy na głowie, a może nawet litościwy Bóg dłońmi Niemców pozbawił ich życia, ale brakowało im pieniędzy na podstawowe potrzeby. Opał, środki czystości czy ubrania to były rzeczy niezbędne, a ich dzbanek z gotówką świecił pustkami.

– Przyjezdni mó wili, że w Warszawie jedzenia brakuje. Trzeba trochę zapasów spieniężyć, bo jesień już, a w piecach nie ma czym palić – zaordynowała Zenobia.

– Jutro pojedę... – z rezygnacją powiedział jej mąż.

– Ty to już wyprowadziłeś nas na manowce, same z Adusią pojedziemy na Kercelak. Mięsa weźmiemy, śmietanę, trochę kiełbasy. Ty przynies walizkę ze strychu, trzeba przecież to jakoś zapakować – zarządziła stara Daleszyńska.

– Boże... – jęknęła jej córka. – Z salonów Warszawy na bazar...

Adrianna płakała niemal całą noc nad swoim marnym losem. Miała być wielką panią, jeździć samochodem, odwiedzać teatry, a tymczasem czekało ją stanie na bazarze z walizką wypełnioną kiełbasą i słoniną. Pociągi jakież jeździły do Warszawy, ale stały niekiedy godzinami z powodu uszkodzonych torów. Wszędzie panował chaos, bo nie wiadomo było, kto ma tym wszystkim zarządzać po kapitulacji, a przed zadomowieniem się Niemców.

Następnego dnia dotarły na targ i ustawiły się w jednym z rzędów. Otworzyły walizkę i czekały na klientów. A tych było mnóstwo, bo w sklepach trudno było coś dostać. Ceny momentalnie urosły do monstrualnych rozmiarów ku uciesze sprzedających i smutku nabywców. Zbliżał się koniec września i aura bywała kapryśna. Tego dnia wiał porywisty wiatr i od czasu do czasu zacinął nieprzyjemny deszcz. Adrianna była w płaszczu i kapeluszu, ale po jakimś czasie matka wyciągnęła z dna walizki gruby pled i owinęła nim córkę. Stały tak już kilka godzin, sprzedając wiktuały, gdy Adrianna ujrzała mężczyznę, który kiedyś podwoził ją dorożką do Chełmic. Wciąż przystojny, elegancki i z miną, jakby wojna go nie dotyczyła. Dostrzegła nawet na jego twarzy uśmiech, co wśród kręcących się wokół ludzi było rzadkością. Szybko odwróciła się w inną stronę, aby ten człowiek nie zobaczył jej w tej krępującej sytuacji.

– Znasz go? – zagadnęła matka. – Przystojny i dobrze ubrany...

– Spotkałam go w Chełmicach, to brat tej śpiewaczki, Hanki Lewinówny. Pamiętasz, śpiewała kiedyś na urodzinach Antoniego, a potem wyjechała do Warszawy i zrobiła wielką karierę – zaczęła tłumaczyć się Adrianna.

– Czego się wstydzisz? Teraz jest wojna, ludzie muszą sobie radzić. Odwróć się i wypnij pierś do przodu, stoisz taka zgarbiona, jakbyś co najmniej chrust do paleniska niosła. Pokaż się. Fryzurę ci trochę wiatr rozwał i nos masz czerwony, ale nadal dobrze wyglądasz – powiedziała ostro Zenobia i niemal siłą odwróciła córkę w stronę idącego młodzieńca, jak gdyby ta była częścią towaru, który miała do zaoferowania.

Emil dostrzegł Adriannę, bo była kobietą, którą wyluskałby wzrokiem na wet pośród tłumu. Stała, nieco zawstydzona, z rozbieganymi oczami, jakby chciała zapaść się pod ziemię ze wstydu, że musi handlować na rynku. Ona, wielka dama, która kiedyś wyśmiała jego zaloty, była teraz zagubiona i nie-

szczęśliwa. „Lekcja pokory numer jeden” – pomyślał ze złością Emil i z szerokim uśmiechem zbliżył się do kobiet.

– Dzień dobry pięknym paniom. – Ukłonił się nisko i ucałował najpierw dłoń Zenobii, a potem Adrianny.

– Widzi pan, jaki los nas spotkał, wszystko nam wojna zabrała – ze smutkiem powiedziała stara Daleszyńska.

Emil kolejny raz uśmiechnął się pod nosem.

– Wszystkich nas dotyka ta okropna wojna. A panie często tu bywają? Ja dzisiaj przyszedłem, żeby zobaczyć, jak to wygląda po nalotach. Czasami kupuję jakiś piękny drobiazg... – powiedział, patrząc badawczo na Adriannę.

– Ja to nie. – Zenobia machnęła ręką. – Ale moja córka to często. Taki to los ją spotkał. Zamiast się bawić, kiedy młoda, ona musi słoninę sprzedawać.

Matka postanowiła przejąć inicjatywę, bo jej córka wciąż stała jak słup soli, zawstydzona zajęciem, którym dotychczas pogardzała.

– Wojna nie wojna, trzeba jakoś żyć – westchnął Emil. – Jeśli panna Adrianna zechce, chętnie zaproszę ją na jakąś pyszną czekoladę i serniczek.

Adrianna podniosła głowę. I cały wstyd gdzieś się ulotnił. Jak widać, zrobiła na tym młodym elegancie wrażenie tak silne, że nawet czerwony nosk i potargana fryzura go nie zniechęciły, nie mówiąc już o tak mało romantycznej scenerii, jaką była stara walizka i roznoszące się wokół zapachy kiełbasy i słoniny. Spojrzała na matkę.

– Już niewiele zostało i wracam do Grójca, ale ty, dziecko, idź ze znajomym, rozerwij się trochę, coś ci się od życia należy. – Zenobia delikatnie popchnęła córkę w stronę Emila.

Adrianna była zadowolona z takiego obrotu sprawy. Wszystko było lepsze niż koczowanie w tym obrzydliwym miejscu, a poza tym ten człowiek zrobił na niej wrażenie. Był taki pewny siebie, spokojny i szarmancki.

Gdy opuścili Kercelak i szli zdezastowanymi ulicami, Emil stwierdził, że znalezienie jakiejś ładnej cukierni jest niemożliwe. Większość była zamknięta na glucho albo zrujnowana. Wiedział o tym, ale chciał jak najszybciej zabrać dziewczynę spod kurateli jej matki. Zaproponował gościnę u siebie. W normalnych warunkach Adrianna odmówiłaby, zdegustowana, ale teraz było inaczej. Panna Daleszyńska była zdesperowana.

Weszli na pierwsze piętro kamienicy, w której mieszkał, i Emil wpuścił Adriannę do swojego mieszkania. Rozglądała się, oszołomiona pięknymi meblami, srebrnymi paterami na kredensie i mięsistymi dywanami na podłodze. Potem usiadła w fotelu i zaczęła promiennie uśmiechać się do Lewina. Tymczasem Emil wyciągnął portfel, a z niego plik banknotów. Położył jej na kolanach i patrzył na nią, czekając na reakcję.

– Co pan robi? – zapytała niepewnie.

– Potrebujecie pieniędzy, a ja je pani daję. To proste – odpowiedział dość ostro.

– Myśli pan, że jestem dziwką? – wydukała.

– Ależ skąd. – Uśmiechnął się szyderczo. – Może pani jednak okazać wdzięczność... albo nie.

Wybór należy do pani. Tak, to będzie taka gra. Proszę policzyć pieniądze i zaproponować, w jaki sposób się pani odwdzięczy.

Popatrzyła na niego, potem na pieniądze. Nie była to mała kwota jak na wojenne warunki. Musiał być bardzo zamożny, jeśli tak po prostu dał jej pieniądze, nie chcąc nic w zamian.

– Mogę pana pocałować – wyjąkała niepewnie.

„Wysoko się ceni” – pomyślał Emil.

– A skąd pani wie, że chciałbym tego? Może chodziło mi o pomoc w gospodarstwie, no nie wiem, albo w pisaniu listów? – Wyraźnie się z nią bawił.

– Sądziłam, że się panu podobam – bąknęła.

– Podoba mi się pani. Bardzo. Tak bardzo, że nie mam zamiaru płacić za pocałunki. Zrobi to pani za darmo? – Emil wyciągnął rękę po pieniądze.

– Potrzebuję pieniędzy – mruknęła.

– To niech je pani weźmie i już idzie – powiedział ostro. – I nie zachowuje się jak dziwka. Za takie pieniądze miałbym trzy najlepsze prostytutki z tego miasta, które potrafią robić rzeczy, o których pani nie ma pojęcia.

Adrianna schowała pieniądze i nieco zdziwiona, opuściła mieszkanie Lewina. Pomyślała, że źle to rozegrała.

A Emil powiedział do siebie, gdy wyszła: „Lekcja numer dwa, panno Adrianno. To ja teraz rozdaję karty, a ty będziesz słać się u moich nóg, żebyś zechciał pokazać ci kilka sztuczek, które rozpalą cię do żywego”.

\*\*\*

Julian Chełmicki otworzył oczy i zaczął rozglądać się po pomieszczeniu. Leżał na twardym, czystym łóżku, obok stała mała szafka, na ścianach nie wisiał żaden obrazek ani makatka, jedynie nad białymi drzwiami – prosty drewniany krzyżyk. Wokół panowała kompletna cisza, nie słychać było nawet brzęczenia much. Julian poczuł w ustach smak przetrawionego alkoholu. Ostatnie, co pamiętał, to głośny dźwięk serii z karabinu maszynowego, silny ból w ramieniu i ostre gałęzie drapiące mu twarz. Potem zapadł w nicość. Wydawało mu się, że umiera, i pomyślał, że jednak tam, po drugiej stronie, nic nie ma.

Białe drzwi zaskrzypiały i ukazała się w nich starsza, otyła kobieta. Trzymała w rękach tacę, na której stał talerz z parującą zupą. Chełmicki poczuł zapach rosołu, ale nie miał ochoty jeść. Tuż za kobietą wkroczył siwy mężczyzna w białym kitlu i okularach w rogowej oprawie.

– Dzień dobry – powiedział. – Jestem tutejszym felczerem i musiałem pana upić, bo Niemcy zabrali mi eter, morfinę i właściwie to większość lekarstw. Kulę jednak udało się wyjąć i mam nadzieję, że niebawem pana ręka powróci do pełnej sprawności.

Julian z trudem usiadł na łóżku.

– Muszę zawiadomić dowódcę – wyjęczał.

– Proszę nie wstawać. Nie jest z panem źle, ale kilka dni musi pan poleżeć – stanowczo powiedział felczer.

– A nie wie pan, czy mój oddział nadal jest we wsi? – zapytał Julian.

Felczer chrząknął i spojrzał na kobietę. Ta odstawiła tacę na szafkę przy łóżku i wyszła z pokoju.

– Wczoraj Polska podpisała akt kapitulacji, oficerowie mają dobrowolnie oddać się w ręce niemieckie, a wszyscy inni złożyć broń. Młody człowieku, pana oddziału już nie ma. Polski już nie ma...

– Felczerowi drżał głos i trzęsła się broda, gdy to mówił.

Julian spostrzegł załzawione oczy starszego człowieka. Do Chełmickiego ta informacja docierała jakby w zwolnionym tempie. W pierwszej chwili nawet w nią nie uwierzył. Przecież jeszcze niedawno wciąż się bili. Pełni nadziei, że za chwilę alianci przyjdą im z pomocą. Potem dostał kulkę, a kiedy się ocknął, nie miał już ojczyzny. Położył się z powrotem na łóżku i załkał jak małe dziecko, które jest

bezradne i bezsilne. Musiał pomyśleć, co dalej. Oddać się w ręce wroga? Strzelić sobie w łeb? Dla niego ta wojna nie mogła tak się skończyć. Nie chciał wierzyć, że polski rząd po prostu będzie z założonymi rękami siedział za granicą.

– Czy ktoś wie, że tutaj jestem? – zapytał Chełmicki.

– Nie sędzę. Była taka jatka, że każdy był zajęty sobą. A potem dotarły wieści o kapitulacji, więc nawet nikogo nie informowałem, że leśnicy przynieśli do mnie rannego. Uratowali pana, boby się pan kapitan na śmierć wykrwawił – powiedział felczer.

– To niech pan dalej nie mówi nikomu, że tutaj jestem. Nie będę jeńcem tych bydłaków – powiedział Julian ze złością i chwilę potem wykrzywił twarz w grymasie bólu.

Po kilku dniach odzyskał siły, chociaż bark wciąż uporczywie bolał. Rana na szczęście nie paprała się i to dawało Chełmickiemu nadzieję, że niebawem opuści sterylny pokój miejscowego felczera.

Po dziesięciu dniach kobieta przyniosła Julianowi cywilne ubrania i Chełmicki mógł swobodnie się poruszać. Nie musiał już martwić się o swojego konia, bo odkąd zabito Karmazyna, poruszał się niemieckim motocyklem zabranym jednemu z poległych niemieckich żołnierzy. Jedyne, co mu teraz przyświecało, to chęć dotarcia na Węgry, a stamtąd do Francji. Nie miał pojęcia, jak tego dokonać, szlak przez Rumunię był spalony, a cała wschodnia część zajęta przez Sowieców. Gdyby dostał się w góry, mógłby przedrzeć się przez Tatry, ale Słowacy wydaliby go Niemcom przy pierwszej nadarzącej się okazji. Musiałby znaleźć przewodnika, który przeprowadziłby go przez góry, a potem dotrzeć do Kossyc, które od roku były zajęte przez Węgrów. Myślał też o tym, jak powiadomić rodziców, że żyje, Adrianę i... Alicję. Uznał jednak, że zorganizuje to jakoś, gdy już jedną nogą będzie po słowackiej stronie.

Następnego dnia, ubrany w strój wiejskiego młodzieńca, zaopatrzony przez felczera i jego żonę w węzełek z jedzeniem, kilkaset złotych i tysiąc dobrych rad, ruszył na południe kraju.

Na drogach wciąż krążyło wielu ludzi, jedni uciekali w stronę stolicy, inni w przeciwnym kierunku. Obładowani byle jak zapakowanymi bagażami, z dziećmi na rękach, podążali do miejsc im tylko znanych, z nadzieją na spokój i szansę przetrwania wojny. Także niektórzy Żydzi opuszczali stolicę, drżąc ze strachu przed niemieckim oprawcą. Większość witała Niemców z otwartymi ramionami, wierząc, że podarują im autonomię, pozostali nie mieli złudzeń. Nigdy nie byli specjalnie lubiani i mieli świadomość swojej odrębności, ale to, co zrobiono z ich współbraćmi w Rzeszy, niektórych napawało zgrozą i po prostu nie wierzyli w dobre intencje okupanta. Wschód kraju wydawał się bardziej przyjaznym dla nich miejscem.

Julian unikał pociągów i większych miejscowości, bo tam już na dobre rozpanoszyli się Niemcy. Może nie rozpoznaliby w nim polskiego kawalerzysty, przy sobie miał jedynie dowód osobisty, ale gdyby zorientowano się, że jest ranny, mógłby mieć kłopoty. Nie wiedział także, jak zachowa się okupant i w jaki sposób będzie traktował cywilów, ale raczej nie miał złudzeń. Gdy wracali w kierunku Warszawy, by bronić do ostatniego tchnienia bastionu wolności kraju, mijali wsie i miasteczka, które niedawno najechali Niemcy. Rozstrzelane kobiety i dzieci, spalone na popiół zagrody i jeszcze dymiące się stodoły.

Julian nie był przyzwyczajony do długiego marszu, nawet w wojsku poruszał się głównie konno, a buty, które dostał od felczera, były ciasne i niewygodne. Od czasu do czasu zatrzymywał furmanki, trafiały się nawet ciężarówki i podróż wydawała się znośna. Przywykł już nieco do połowych warunków, dlatego noc w stodole nie była dla niego niczym dramatycznym. Gdy skończyło mu się jedzenie, kupował od chłopów chleb, kiełbasę, a czasami nawet dostał miskę ciepłej zupy. Te posiłki, chociaż proste

i mało wykwintne, były o niebo lepsze od żołnierskiego wikt.

Do Zakopanego dotarł na trzeci dzień i swoje pierwsze kroki skierował do willi Pod Giewontem, gdzie zawsze zatrzymywali się z ojcem, gdy przybywali w góry, poszusować na nartach.

– Wszelki duch pana Boga chwali, wyście som syn Antoniego. – Gaździna złożyła dłonie jak do modlitwy. – Włyż że do chałpy, dychniesz trochę.

– Dzień dobry, pani Halembowa. – Julian wszedł do środka i uściskał starszą kobietę.

Jej willa, skromna, ale okazała, świeciła pustkami. Nie był to sezon ani na narty, ani na piesze wędrówki, poza tym wojna nie sprzyjała urlopom, chyba że oficerom SS.

– Stary chybnął się kasik, ale jak flasecke zwącha, to psyjdzie. A ja grule zrobie, dyć Julian głodny, a juści.

– Pani Halembowa, Niemcy już tu są?

– A dyć som. Skoda godać. Wojna, zebyk ich... – Halembowa wygrażała pięścią. – A i te Słowaki tyż pieklarze jedne.

– Pani Halembowa, sprawę mam, ale taką delikatną i dyskretną... – zaczął nieśmiało.

– A dyć godaj, ukwalujemy co, a co ja, bajcorka jaka? – obruszyła się Halembowa.

– Muszę za granicę się dostać, na Węgry. Jak by to powiedzieć, górami, no wie, Halembowa, nie tak normalnie... – wyjąkał Julian.

– No głuptok z Juliana! Goda kaj zamračkany. Toć ja wim, przewodnika ci trza. Abo ty jeden ceper, co na raty kce na Węgry. Tera na skijach nijak, iść trza. – Halembowa poczuła się urażona, że Julian rozmawia z nią jak z głupią babą.

– Wiem, pani Halembowa. Ale młody, zdrowy jestem, dam radę – przeprasząco powiedział Chełmicki.

Staruszka zmierzyła go wzrokiem od stóp do głów.

– Trza ci nowe gacie dać, z parzenicami. Serdok, kłabuk. Wsyndy Miemcy, trza iść gościńcem, kie się zaćmi – niemal rozkazującym tonem powiedziała kobieta.

Potem wyszła z kuchni, gdzie siedzieli i jedli, by wrócić z naręczem ubrań. Chełmicki przebrał się i dokonał prezentacji.

– Piknie, tyko nie godaj za wiela, bo zrazu cię Miemcy capną.

Gdy nastał zmierzch, piechotą udali się na skraj miasta, do jednej z chat. Niewiele różniła się od innych, była okazała i zapraszała turystów na noclegi. Halembowa porozmawiała chwilę ze starszym mężczyzną siedzącym na ławce przed domem i ten po kilku minutach dał znać Julianowi, żeby wszedł do środka.

Wewnątrz kilku młodych mężczyzn siedziało przy stole i grało w karty. Jeden z nich wstał od stołu, podszedł do Juliana i uściskał mu dłoń.

– Z wieczora wyrusamy – powiedział krótko.

O zmierzchu wyruszyli w kierunku Doliny Chochołowskiej i zatrzymali się w niewielkiej chatynce jednego z górali. Nie był to dom mieszkalny, ale coś w rodzaju szopy, gdzie można odpocząć, zgromadzić zapasy jedzenia czy zostawić grabie lub łopaty. Stały tam dwie prycze przykryte owczymi skórami. Janek zapalił małą oliwną lampkę i zapytał:

– Skądsik uciekł?

– Spod Warszawy. Wycofywaliśmy się z północy, żeby wesprzeć oddziały broniące stolicy. Dziabnął mnie jeden w ramię i tak leżałem, póki mnie leśnicy do miejscowego felczera nie zanieśli. Jak się ocknąłem, to Polski już nie było. Nie miałem zamiaru się poddać i postanowiłem wyjechać za gra-



nicę. A ty żołnierz, baca? – rzucił pytanie Julian, trochę z ciekawości, trochę z obawy, że jego kurier, chociaż patriota, może być zbytnim amatorem na taką wyprawę.

– Po gimnazjum poszedłem na jednoroczny kurs podchorążych do Cieszyna, a potem odbyłem praktykę w I Pułku Strzelców Podhalańskich. I tak zostałem pogranicznikiem. Wysłano mnie na służbę niedaleko Komańczy. I tam dowiedzieliśmy się, że wybuchła wojna. Niemcy ze Słowakami zaatakowali Przełęcz Dukielską i szli na Lwów...

– Ciebie chociaż zrozumieć można, bo jak Halembowa zocyna godać, to nijak nie wiem, co mówi. – Julian uśmiechnął się i jednocześnie odetchnął z ulgą, że nie ma do czynienia z amatorem.

– A to w Cieszynie byłem, a to nawet dwa lata w Krakowie na uniwersytecie, to i normalnie godać zacząłem, bo się wszyscy ze mnie śmiali. Każdy myśli, że jak ktoś z Podhala, to już należy mieć tłumacza ze sobą.

– I jak się uchowałeś? Przecież wszyscy żołnierze mieli złożyć broń i do niewoli iść? – zdziwił się Julian.

– Chciałem walczyć, nie podobało mi się to, co się dzieje, więc pojechałem do naszych, do Rawy Ruskiej. W Uhercach zawiąłem karabin maszynowy i waliłem w niemieckie samoloty, aż wizg szedł. Ale zaraz i tam zrobiło się gorąco. Z resztą niedobitków dotarliśmy do Tarnopola, bo tam jeszcze była jakaś nadzieja. Liczyliśmy na pomoc Sowiec, ale niebawem okazało się, że to zdrajcy, psubraty. Stoimy my sobie, a tu nam jeden z miejscowych ulotkę przynosi. A w niej Ruskie piszą do Ukraińców, że się z Timoszenką dogadali i żeby Ukraińcy nas, Polaków, mordowali. W pierwszej kolejności z wojskowymi, nauczycielami i duchownymi mieli się rozprawić. Po kilku godzinach wjechały ruskie czołgi i wojsko, i zaczęli nas rozbrajać. Musieliśmy klęczeć na szosie, jak pątnicy przed kapliczką Matki Boskiej, a oni nas łagami straszili. Uciekłem... Co było robić? – westchnął Janek.

– Wszyscy przeciw nam. Ale przecież my nikomu Polski nie oddamy. Nie wierzę, że to tak się skończy, i albo do Rosji nas dołączą, albo do Rzeszy – niemal płacząc, powiedział Chełmicki, trochę wstydzając się swojej słabości.

– Ja też płakałem, jak siedziałem na takim wysokim drzewie i patrzyłem, jak naszych prowadzą i do ciężarówek wsadzają. Zanim do Zakopanego wróciłem, jeszcze trzy razy śmierci spod kosa uciekałem. Dotarłem do domu i znalazłem starych kumpli. I tak się zebraliśmy i przerzucamy na Węgry tych, co ocaleli. Słowaki to też psubraty, ale trafiają się i porządni. Toż my tyle lat sąsiadami byli, na halach razem gorzałkę piliśmy, to jak tak teraz mielibyśmy strzelać do siebie albo do nosić jeden na drugiego – dokończył ze smutkiem Janek.

Obaj popadli w zamyślenie. Sytuacja była wyjątkowo dramatyczna. Wszyscy dookoła to byli wrodzy, Ukraińcy i wielu Słowaków, a przede wszystkim dwa silne mocarstwa. Jednak dwaj młodzi mężczyźni wciąż wierzyli, w jakimś dzikim uporze, że to jeszcze nie koniec. Wbrew logice, wbrew wszystkiemu.

Przewodnik odczekał, aż nastanie późny wieczór i zrobiwszy krótki rekonesans po okolicy, nakazał wymarsz. Szli wzdłuż Czarnego Dunajca, by kawałek dalej po kładce przejść na drugi brzeg. Podążali marszowym krokiem, niemal bez wytchnienia, by jak najszybciej przekroczyć pas graniczny. Jedynie gdy słyszeli jakieś podejrzone dźwięki, zatrzymywali się, kryjąc się za wyłomami skalnymi i czekając na rozwój sytuacji. Pogranicznicy jednak poruszali się utartymi szlakami i rzadko z nich schodzili, nie czując ani zagrożenia, ani też przesadnie nie zajmowali się tropieniem ewentualnych uciekinierów. Był początek wojny, nikt nie wiedział, jak będzie, a rozkazy przychodziły codziennie inne. Jedne mówiły o wzmózonej czujności, pozostałe o zachowaniu spokoju i wykonywaniu rutynowych patroli.

Kiedy znaleźli się po drugiej stronie, kilka kilometrów od granicy, Julian odwrócił się jeszcze i popatrzył na ciemne kontury Tatr, które w świetle księżyca wydawały się złowrogie. Jego góry, gdzie każdego roku spędzał kilka tygodni u dobrotliwej Halembowej. Patrzył z jej domu na Giewont, przechadzał się po Krupówkach i szusował na stokach. Poczuł złość, że to miejsce jest teraz pełne hałaśliwych, nadętych Niemców, którzy na wet nie są w stanie docenić soczystości języka górali, ich obyczajów i tego, że Zakopane jest symbolem Polski w tej części kraju.

W jednej z wiosek spotkali znajomego Słowaka, który za odpowiednie wynagrodzenie zabrał ich zdezelowaną półciężarówką w dalszą podróż, do Różniawy, miejscowości oddalonej kilkanaście kilometrów od Koszyc. Tam Julian pożegnał Janka i wsiadł do pociągu zmierzającego w kierunku Budapesztu. Chełmicki nie wiedział, co robi, gdy tam dotrze, ale Janek powiedział mu, że rząd Telekiego jest Polakom przychylny i będzie się tam czuł bezpiecznie. Gdy żegnali się na dworcu, Julian spontanicznie krzyknął do Janka:

– Pamiętaj o wiadomościach do mojej rodziny!

– Na pewno dotrą, gdzie trzeba. Mam znajomych ceprów, to załatwią sprawę – odpowiedział gromko Janek.

– Do zobaczenia w wolnej Polsce!

– Jeszcze Polska nie zginęła! – Młody otarł łzy.

\*\*\*

Alicja postanowiła zobaczyć, co dzieje się w jej mieszkaniu i czy jeszcze ma dom. Od dwóch miesięcy mieszkała z Hanką na Nowym Świecie, niedaleko teatru, w którym kiedyś zaczynały, i mimo że nie pracowała zawodowo, zajęta była niemal bez przerwy. Teraz jednak, gdy skończyły się naloty, a ludzie powoli przyzwyczajali się do nowej rzeczywistości, znalazła czas, aby chociaż na chwilę powrócić do domu. Stała przed kamienicą, w której mieszkała, i ze grozą zobaczyła, że całe piętro i strych są zawalone. Jej mieszkanie po prostu zamieniło się w kupkę gruzu. Ostrożnie weszła po schodach, mijając znajome drzwi sąsiadów, odsunęła plandekę, którą zabezpieczono otwór klatki schodowej, przecisnęła się przez żerdzie podpierające strop i wyszła na zewnątrz. W gruzach wciąż leżała część jej rzeczy, zapewne większość ocalałego dobytku była teraz w rękach szabrowników. Między fragmentami ścian złowroźnie hulał wiatr, a Alicja poczuła, jakby chodziła po grobie swojego życia, które już nigdy nie powróci.

– Pierdolone Szwaby – burknęła ze złością i łzy napłynęły jej do oczu.

Pochyliła się i zobaczyła fragment czerwonego boa, w którym występowała w *Nocnych motylach*. Kawałek dalej ujrzała szczątki biblioteczki i swoją ulubioną książkę Mniszkówny. Podniosła ją i zdmuchnęła z niej pył. Otworzyła powieść i przekartkowała. Wiedziała, że znajdzie to, po co przyszła: czarno-białą fotografię Juliana w mundurze kawalerzysty. Pocałowała zdjęcie i schowała je do torebki. Potem usiadła na resztkach roztraskanego komina. Wpatrywała się w swoje zrujnowane mieszkanie i płakała. Rzadko jej się to zdarzało, ale równie rzadko czuła się tak pokonana i bezsilna. Przeklinała wojnę, Niemców i Sowietów. Czuła wzbierającą nienawiść do tych wszystkich, którzy ograbili ją z dobytku, zniszczyli jej dom i zabrali ukochanego.

Gdy już doszła do względnej równowagi, zeszła na dół i tak jak to miała zawsze w zwyczaju, wyjęła kluczyk i otworzyła skrzynkę na listy, znajdującą się na parterze. Zobaczyła białą kopertę. Bez znaczka i bez stempla. Rozerwała nerwowo kopertę i poczuła, jakby urosły jej skrzydła. To, co miało miejsce jeszcze kilka minut wcześniej na ruinach jej mieszkania, odplynęło. Julian żył. I wyjechał do

Francji. Nie wiedziała, jakim cudem mu się to udało ani kto podrzucił do skrzynki list. Najważniejsze, że żył. Jej czy nie jej, blisko czy daleko, ale żył. A jeśli udało mu się uciec, istniała szansa, że jeszcze kiedyś go zobaczy. Miłość była taka prosta. Jeśli wiesz, że ten ktoś istnieje, oddycha, czuje, to wszystko inne przestaje mieć znaczenie. Alicja znowu odnalazła cel w życiu, bez względu na to, dokąd zaprowadzi ją ta droga.

Gdy Alicja powróciła do mieszkania na Nowym Świecie, Hanka przywitała ją szerokim uśmiechem.

– Chodź – powiedziała tajemniczo i pociągnęła przyjaciółkę za rękę.

Kiedy weszły do kuchni, kazała jej zamknąć oczy, po czym podeszła do zlewu i odkręciła wodę.

– Tadam, tadam! – krzyknęła, udając dmuchanie w trąbkę. – Możesz otworzyć. Mamy wodę!

Po chwili zaklaskała w dłonie, jak gdyby lecąca woda w kranie była w istocie czymś niezwykłym. Dla dziewcząt jednak była. Nie musiały już chodzić po nią kilkaset metrów i przywozić wiader zdezelowanym wózkiem.

– Ja też mam wspaniałą wiadomość. – Alicja popatrzyła na przyjaciółkę, a potem przytuliła się do niej i wyszeptwała: – Julian żyje. Hanka, Chełmicki żyje...

– To dobrze... – mruknęła Hanka.

W istocie, to była dobra wiadomość, że któremuś ze znajomych udało się przeżyć, ale Lewinówna martwiła się, że Alicja znowu będzie karmiła się nadzieją na ich wspólne życie. Chełmicki lubił ją, ale wyraźnie dał do zrozumienia, że dla niego liczy się jedynie Adrianna Daleszyńska. Nie było sensu marnować sobie życia, łudząc się, że coś się zmieni w ich wzajemnych relacjach. A Alicja była piękna, młoda i miała dobre serce.

– Hanka, Julian do Francji pojechał, niedobitków naszych oddziałów szukać. Muszę się tam dostać... – z determinacją w głosie powiedziała Alicja.

– Oszałałaś, Alka! No oszałałaś... Mało ci było rozczarowań tutaj, w Warszawie czy w Chełmicach? – niezbyt przyjemnym tonem odpowiedziała przyjaciółka.

– Nie rozumiesz, Hanka, bo nigdy tak nie kochałaś... Ale ja nie potrafię inaczej. Świat podpalę, przez zieloną granicę się przedrę, ale dostanę się do niego. Choćbym miała umrzeć – drżącym głosem powiedziała Alicja.

Nie potrafiła myśleć racjonalnie i kalkulować na chłodno, gdy w grę wchodził Julian i uczucie do niego. Jakby jakaś niewidzialna i nieznana jej siła pchała ją w ramiona, które ją odpychały. A może właśnie to, że mogła mieć prawie każdego, a tego jednego nie, tak determinowało jej poczynania. Myślała o nim bezustannie, co robi, gdzie jest i jak się czuje. Drżała, gdy trwała kampania wrześniowa i gdy okazało się, że uszedł z tego cało, pragnęła go zobaczyć, usłyszeć, cokolwiek, byle być blisko niego.

Hanka również widziała, że żadna siła nie jest w stanie zatrzymać Alicji. Postanowiła, że jedno, co może, to pilnować, aby jej przyjaciółka nie narażała się zbyt mocno. Postanowiła zmienić temat.

– A ty wiesz, spotkałam Wojnicza. Rozmawia z Niemcami, żeby dali mu pozwolenie na wznowienie działalności teatru. Mówi, że jeśli nie będzie wystawiać niczego, co szkaluje okupanta, to powinni się zgodzić.

Alicja podeszła sceptycznie do sprawy.

– Pewnie musiał zgodę na współpracę podpisać. I jak ktoś będzie podejrzany, to Wojnicz z pyśkiem na gestapo będzie musiał latać – prychnęła.

– Ja nie mam zamiaru się bawić w konspirację, ale zanim mój brzuch nie będzie wyglądał jak miednica, to pośpiewałabym. Zresztą gotówka mi się kończy – z naciskiem powiedziała Hanka.

– Wiesz co, Hanka, jeśli nie będą mi kazali pokazywać *sieg heil*, to mogę nogami poprzebierać.  
– Alicja uśmiechnęła się.

– A co z twoją ucieczką przez zieloną granicę? – Hanka puściła oko do przyjaciółki.

– Przez zieloną granicę nie mam zamiaru się przedzierać, ale znajdę inny sposób, żeby dotrzeć do Francji – odpowiedziała z naciskiem Alicja.

Hanka podeszła do niej i poklepała po ramieniu.

– Cokolwiek zrobisz, będę cię wspierać. – I dodała ze śmiechem: – I krytykować. Bardzo bym chciała, żebyś była szczęśliwa...

– A czym jest dla ciebie szczęście, Hanka? – Alicja spojrzała na nią badawczo.

– Szczęście... Hm... To budzić się rano i mieć wybór. A żeby móc wybierać, trzeba mieć pieniądze, jakieś umiejętności, które możesz wykorzystać, i wtedy możesz podejmować decyzje. Dobre, złe, nieważne. Ale własne. Pamiętasz, gdy byłam dzieckiem, moje życie było już starannie zaplanowane, bo rodziców nie było stać na spontaniczność i oddanie losu przypadkowi. I chociaż okrutnie to brzmi, ale ich śmierć pozwoliła mi uciec z tej drogi, którą mi wyznaczyli. To nie była kwestia buntu czy ryzyka, ale różgi i straszenia okropnym cierpieniem. Gdyby nie ich śmierć, pewnie poddałabym się i wyszła za Koniuszkę. Przestałoby mi na czymkolwiek zależeć i całą siebie przelałabym na swoje potomstwo, popełniając te same błędy, co ojciec i matka. Że los naznaczony jest urodzeniem i stanem posiadania. Z tym drugim jestem skłonna się zgodzić, bez pieniędzy człowiek staje się niewolnikiem. Ludzi, pracy i systemu – ze smutkiem powiedziała Hanka.

– Ale godząc się na takie małżeństwo jak z Tomaszem, też stajesz się jego niewolnikiem, bo on ma większe, a przynajmniej miał, pieniądze. To taka pozorna wolność i sztuczne szczęście – westchnęła Alicja.

– Kochana, taka miłość, jak twoja do Juliana, to też zniewolenie. Podążasz za nim, zapominając o sobie – powiedziała Hanka.

– Tak... – Alicja uśmiechnęła się smutno. – Obie jesteśmy zniewolone, ty kiepskim małżeństwem, ja chorym, nieodwzajemnionym uczuciem.

Kilka dni później obie stawily się na próbie. Pojawił się Wojnicz, ale nie miał zbyt dobrych wieści – na razie pozwolenia nie otrzymał. Natomiast znalazł lokal dla Niemców, gdzie mogła śpiewać po niemiecku Hanka Lewinówna, a tancerki wykonywać program. Jedyne komicy i personel pomocniczy zostali pozbawieni takich możliwości.

– Nie będę śpiewała po szwabsku – wydeła wargi Hanka.

– A ja tam zatańczę dla nich – beztróskim tonem powiedziała Alicja.

Hanka pociągnęła za rękaw Alicję i przeszła z nią do swojej garderoby.

– Oszalałaś? – zapytała. – Ja też chciałam wrócić do pracy, ale śpiewać dla Szwabów nie będę, żebym nawet z głodu zdychała.

– Posłuchaj, Hanka... Jesteś w ciąży i musisz myśleć o dziecku, a ja mam swoje powody. Może zaprzyjaźnię się z jakimś i pomoże mi wyjechać za granicę? – wyszeptala konspiracyjnie Alicja.

– Jak się znajomi dowiedzą, że gramy dla szkopów, to nas wybiją. Muszę narodzić się z Emilem. Jeśli ma jakieś pieniądze odłożone, to nie będę im śpiewać. A ty rób, co chcesz, ale mówię ci: jak cię przejrzą, to po tobie – mówiła spanikowana Hanka.

– Nic nie przejrzą, a nasze pieniądze niedługo będą bez wartości. A tutaj to i żarcie się skołuje i swoje zarobimy. Kto wie, może się jeszcze ojczyźnie przydam, kręcąc tyłkiem.

– No niech będzie, ale jak ze mnie zechcą zrobić donosicielkę albo dziwkę, to ja, kochana moja,

spadam, choćby do Niechowa – mruknęła nieprzekonana Hanka.

Wbrew obawom Hanki Emil Lewin uznał, że jego siostra podjęła słuszną decyzję. Okupant najpewniej nie wyniesie się przez najbliższe sto lat, jak to już miało miejsce w przeszłości, a jej kariera legnie w gruzach. Przy tym odniosą inne korzyści. Patriotyczne rozczulanie się uznał za pozbawione sensu. Trzeba było zacząć żyć normalnie i przystosować się.

## 7. Warszawa, 1940

Z czasem jednak samo przystosowanie nie wystarczyło. Jego obszerne i urządzone ze smakiem mieszkanie upodobał sobie jeden z wyższych rangą funkcjonariuszy gestapo i pewnego dnia po prostu kazał mu się z niego wynosić. Przez kilka dni Emil mieszkał z Hanką i Alicją, ale nie przyznał się, że okupant, którego przywitał niemal z otwartymi ramionami, pozbawił go dachu nad głową. Nie wyobrażał sobie, że taki stan miałby trwać długo. Mieszkanie siostry było ciasne, mało komfortowe i w dodatku obie dziewczyny były strasznymi bałaganierami. Wszędzie walały się elementy ich garderoby, na półce w łazience zalegały spinki do włosów, papiloty i różne damskie kosmetyki. A Lewin był pedantem. Brud i nieład kojarzyły mu się z rodzinną chałupą, a porządek i czystość z zerwaniem więzów z poprzednim życiem. Tak jakby śmieć albo pyłek kurzu miały go na powrót wciągnąć do tamtego świata. Postanowił działać.

Z bijącym sercem udał się do siedziby gestapo w alei Szucha. Odnalazł Wydział IV i po sprawdzeniu przez strażników, czy nie ma przy sobie niebezpiecznych narzędzi lub broni palnej, poprosił o spotkanie ze Kriminalkommissarem Ottonem Bergerem z Referatu A2. Siedzący przy stoliku żołnierz zmierzył od stóp do głów Emila i zapytał:

– A kim pan jest i w jakiej sprawie pan chce się widzieć z Kriminalkommissarem Bergerem?

– Hm... Kriminalkommissar użytkuje teraz moje mieszkanie, muszę mu zwrócić uwagę na kilka drobiazgów związanych z jego eksploatacją – wydukał.

Oficer nie bardzo wiedział, co zrobić w takiej sytuacji, zwłaszcza że przybyły człowiek nie sprawiał wrażenia znie- smaczonego faktem, że pozbawiono go dachu nad głową. Wykręcił numer. Berger zgodził się przyjmując Emila, ponieważ był przekonany, że nikt nie ośmieliłby się robić mu awantur z powodu wykwaterowania.

– Słucham, panie Lewin. A tak z ciekawości, to rosyjskie nazwisko? Brzmi prawie jak Lenin.

– Berger popisywał się swoją znajomością polskiego, starając się mówić wyraźnie i poprawnie.

– Boże uchovej, komuniści to bestie, Kriminalkommissar. Moi przodkowie mieszkali kiedyś w Prusach Wschodnich – skłamał, żeby przypodobać się Bergerowi.

– Doprawdy? A więc z czym pan do mnie przychodzi? – zapytał Berger bez specjalnego entuzjazmu.

– Pomyślałem, że teraz może być w Warszawie niebezpiecznie. Mnóstwo żołnierzy, którzy nie pojechali do oflagów, wróciło do stolicy i organizuje ruch oporu. Znam wielu ludzi, którzy są bardzo niechętni III Rzeszy i zapewne przyłączą się do wrogich działań przeciwko nowej władzy. Może byłbym przydatny gestapo? – zapytał przymilnie Emil.

– A co pan chce w zamian? – bez ogródek zapytał Berger.

– Dach nad głową, jakiś przyzwoity. Mieszkam teraz kątem u siostry, ale jest nam tam za ciasno. A moja siostra, musi pan wiedzieć, również jest lojalna wobec III Rzeszy. Przed wojną wszystkie gazety rozpisywały się o jej wokalnym talencie, a teraz będzie śpiewała dla naszych niemieckich przyjaciół.

– Lewin nie przestawał podlizywać się szefowi referatu.

– Dobrze, panie Lenin, postaram się panu pomóc, ale jeśli nie będę widział efektów, nasza umowa jest nieaktualna – burknął Berger.

Zgodził się, bo to były jego początki w okupowanej Warszawie i potrzebował natychmiastowych wyników. Ludzie jednak nie byli chętni do współpracy, bo okupacyjne życie jeszcze nie dość dało się im we znaki.

– Lewin, Kriminalkommissar Berger, nazywam się Lewin. Lenin to był ten drugi – powiedział Emil i opuścił gabinet Bergera.

Tydzień później przeprowadził się do elegancko urządzonej garsoniery, która co prawda nie była tak duża i komfortowa jak jego poprzednie mieszkanie, ale na tyle wygodna, że małe mieszkanie na Nowym Świecie opuścił bez żalu. Zaczął się jednak zastanawiać, co mógłby położyć na tacy Bergerowi. Nie miał kontaktów z podziemiem, które dopiero zaczęło kiełkować, a człowiek, którego najchętniej wydałby w ręce gestapo, jego przyrodni brat, Julian Chełmicki, zapadł się pod ziemię. Emil był przekonany, że on pierwszy rzuci się w wir akcji dywersyjnych. Jedna osoba mogła coś wiedzieć i niebawem powinna zjawić się u niego. Ale jak go znajdzie, jeśli wyprowadził się z mieszkania przy Alejach Jerozolimskich? Postanowił koczować przed starym domem i poczekać na pannę Adriannę Daleszyńską.

Nie musiał czekać długo – zaledwie dwa dni. Wziął ją pod rękę, gdy właśnie zamierzała wejść do kamienicy.

– Niech pani nic nie mówi, tylko idzie – wyszeptał konspiracyjnie.

– Co się dzieje? – zapytała, nagle pobladła.

– Gestapo jest w moim mieszkaniu. Przeniosłem się do drugiego, nieco mniejszego – powiedział.

– Też pana? – Bardziej zainteresowana była kolejnym lokum niż wizytą gestapo.

– Też moje... – burknął.

Adrianna okazała się jeszcze bardziej interesowna, niż myślał. Albo tak głupiutka, że nie miała świadomości tego, co się wokół niej dzieje.

Gdy weszli do mieszkania, Adrianna spostrzegła, że jest równie eleganckie, co poprzednie, chociaż dużo mniejsze.

– Nie zapyta pani, co u mnie robiło gestapo? – zapytał złośliwie.

– No jak to co? Zapewne zarekwirowano je panu, bo komuś z gestapo się spodobało. – Wzruszyła ramionami.

– Potrzebuje pani pieniędzy? – obcesowo zadał pytanie.

– Potrzebuję, ale nie po to do pana przyszedłam – odpowiedziała chłodno.

– A po co?

Podeszła do niego, wspięła się na palce i pocałowała go mocno w usta. Nie spodziewał się tego. Kiedyś oddałby wszystko za taki pocałunek, w tym momencie jednak był podejrzliwy i posądzał ją tylko o materialne pobudki. Bo przecież, gdy miał szesnaście lat, ona nawet nie raczyła na niego spojrzeć. I chociaż miał świadomość, jak wiele go dzieliło od tego chłopaka z brudnymi paznokciami, śmierdzącego oborą i mówiącego jak prostak, to nie mógł jej tego darować. Był tak bardzo zakochany, pierwszą, niewinną miłością, że to odrzucenie zamknęło jego serce na jakiegokolwiek uczucia. Kobiety należało kupować, jak mięso na Kercelaku, kogoś stać na polędwicę, inny musi zadowolić się podrobami. Chciał, żeby panna Adrianna Daleszyńska boleśnie przekonała się o tym, jak to jest, gdy kogoś obedrze się nie tylko ze złudzeń, ale również z godności.

Przyciągnął ją do siebie i zanurzył dłoń w jej włosach. Przez chwilę patrzył jej w oczy i już sam nie wiedział, czy miał ochotę się z nią kochać, czy zacisnąć dłoń na jej szyi, żeby zobaczyć wzrok pełen strachu i zdziwienia. Gdyby wcześniej nie znał Adrianny, gdyby jej nie pokochał, w tym momencie uległby uczuciu, ale wspomnienie pewnego popołudnia było niczym sygnał syreny strażackiej. Wbił w nią usta i zaczął brutalnie całować, jakby chciał cofnąć czas, gdy wszystko wydawało się piękne i czyste. Adrianna poddawała się pocałunkom i pierwszy raz w życiu poczuła takie podniecenie. Dotychczas pocałunki i dotyk były jedynie narzędziem, by zawałdnąć mężczyzną, teraz to ona czuła się pokonana.

Nagle Emil przestał ją całować i odsunął od siebie.

– Chcesz jeszcze? – zapytał.

– Chcę – jęknęła błagalnie.

– Jak bardzo?

Ponownie przysunęła się do niego i znowu zaczęła go całować. Poddawał się tej pieśczości i czuł, że Adrianna za chwilę będzie cała jego. Kompletnie straciła kontrolę i instynkt samozachowawczy. Nic jej nie obchodziło w tym momencie, tylko bliskość Emila. Czegokolwiek zażądałby w tej chwili, gotowa była mu to dać. Już nie chciała słuchać rad matki, jak manipulować mężczyznami, by stali się pantoflarzami, jak ojciec. I chyba w tej cichej rozpaczce i na przekór żonie heterze stracił majątek w kasynach i na wyścigach. Więc może droga była inna? Może to bycie doskonałą kochanką, gotową w każdej chwili, by dać rozkosz mężczyźnie, doprowadzało do celu? Adrianna nie rozumiała, czym jest miłość. Dla niej każdy związek to był rodzaj gry, nawet walki, i gdy pierwszy raz się poddała silnemu podnieceniu, odebrała to jako swoją porażkę. Cóż jednak było w tym przystojnym mężczyźnie o zimnych, stalowych oczach, że była skłonna nawet tę porażkę przelknąć?

– Jak daleko jesteś gotowa się posunąć? – zapytał zimno i dodał z ironią: – I za jaką cenę?

– Nie chcę twoich pieniędzy... Chcę ciebie – szepnęła, mrużąc oczy.

– A twój narzeczony?

– Uciekł za granicę. Zostawił mnie samą i po prostu zwiął. Poszedł na front i nie wrócił – odparła ze złością.

– Skąd wiesz? – zaciekawił się.

– Przyjechał do mnie taki jeden obszarpaniec. I powiedział, że Julian, mój narzeczony, przedarł się przez Tatry na Słowację, a potem na Węgry. Stamtąd miał się udać do Francji.

– I powiedział ci to wszystko? Przecież ktoś musiał mu pomóc? Podał jakieś imiona, adresy czy pseudonimy? – Emil był wściekły, że Julian wymknął mu się z rąk.

– O Boże, dlaczego pytasz mnie o to wszystko? Mój narzeczony zostawił mnie i nie mam zamiaru na niego czekać. Jestem tutaj, bo... – Zmieszła się.

– Pytam, bo może jest jakiś kanał przerzutowy i gdyby zrobiło się w Warszawie gorąco, taka informacja mogłaby się nam przydać – zaczął tłumaczyć się Emil.

– Nam? Czy to znaczy, że myślisz o mnie poważnie? – zapytała z nadzieją w głosie.

„To teraz się zabawimy” – pomyślał Lewin i odpowiedział, jakby od niechcenia:

– Jeśli zasłużysz...

Adrianna pomyślała, że powinna wyjść urażona albo chociaż zrobić karczemną awanturę. Dotychczas to mężczyźni starali się zasługiwać na nią. Nie potrafiła jednak zrezygnować z tego człowieka, który patrzył na nią tymi zimnymi oczami w taki sposób, że była kompletnie bezwolna. Nigdy wcześniej nie czuła takiego pociągu, magnetyzm Lewina był ponad jej dumę.

– A co chcesz, żebym zrobiła? – zapytała cicho, gotowa na każde jego żądanie.

Roześmiał się. Głośno i hałaśliwie.

– Moja piękna, nie traktuj moich słów z taką powagą. Nie jestem potworem. Najpierw przytul się do mnie, a ja poopowiadam ci, co będziemy robić, jeśli któreś nocy zostaniesz u mnie...

Emil Lewin wiedział, że Adrianna Daleszyńska już należy do niego razem z tym, co miała do zaoferowania między długimi nogami. Był przekonany, że od tej chwili będzie niczym wierny pies jedzący z ręki swojego pana. A kiedy pewnego dnia obudzi się przy nim ze świadomością, że nie może bez niego żyć, on wtedy wyrzuci ją jak tanią dziwkę, która oddaje swoje wdzięki za kilka setek wódki.



\*\*\*

Hanka Lewin szła w kierunku Alei Jerozolimskich, gdzie zaadaptowano jeden z lokali na elegancki klub dla oficerów niemieckich. Miała zjawić się dwie godziny przed występem, żeby zaprezentować kierownikowi swój repertuar i zyskać jego akceptację.

Na mieście Żydzi już nosili opaski z gwiazdą Dawida, naznaczeni jak bydło, aby każdy, kto ich mijał, wiedział, kim są. Hanka nie miała takich uprzedzeń, jak większość Polaków, zapewne dlatego, że w młodości zapalała uczuciem do jednego z nich. Poza tym, gdy była dzieckiem i bawiła się z innymi w chełmickich lasach, takie sprawy nie miały żadnego znaczenia, oprócz tego, że żadne z jej żydowskich przyjaciół nie dotknęło chleba ze słoniną.

Dochodziła właśnie do Krakowskiego Przedmieścia, gdy zobaczyła patrol niemieckich żołnierzy, kopiących pod ścianą jednego z budynków skulonego człowieka. Zasłaniał twarz rękoma, by ciężkie oficerskie buty nie zrobiły z niej krwawej miazgi. Hanka nie myślała, że się naraża, zareagowała niemal automatycznie.

– Na miłość boską, co wy robicie? Zostawcie go! – Niemal popchnęła jednego z żołnierzy.

Odwrócił się i uderzył ją w twarz.

– *Eine Fickschlampe!* – warknął.

– Zostawcie go! – krzyknęła raz jeszcze i tym razem otrzymała cios kolbą karabinu.

Zatoczyła się na ścianę, a z jej nosa trysnęła krew. Wyciągnęła chusteczkę, przyłożyła do nosa i kucnęła pod murem, oszołomiona. Patrol zostawił w spokoju poturbowanego nieszczęśnika i oddalił się, rzucając przekleństwa. Lewinówna po chwili odwróciła się w stronę człowieka, który leżał skulony i cicho jęczał.

– Proszę pana, proszę pana – powiedziała cicho. – Może pan wstać? Może wezwę pomoc?

Mężczyzna wciąż zasłaniał ręką twarz. Na rękawie marynarki spostrzegła opaskę z gwiazdą Dawida.

– Niech pani odejdzie – wystękał.

– Potrzebuje pan pomocy. Proszę spróbować wstać, nie może pan tak leżeć na ulicy.

Mężczyzna odsunął rękę z twarzy i dopiero wtedy go poznała. Jakub Mosel zmienił się od czasu, gdy go widziała ostatni raz. Jego brodę pokrywał ciemny, gęsty zarost, a z nosa i warg sączyła się krew.

– Jakub... – powiedziała z grozą. – Boże, to ty. Błagam, wstań, bo zaraz przyjdą następni i znowu coś ci zrobią.

Z trudem podniósł się, opierając się o ramię Hanki.

– Gdzie mieszkasz? Zaprowadzę cię.

– Hania Lewin... – Uśmiechnął się. – Nigdzie nie mieszkam. Moja stacja już jest spalona, nie mogę tam wrócić.

– W coś ty się wpakował? To dlatego cię pobili?

– Nie... Pobili mnie, bo noszę opaskę, a oni chcieli się zabawić... Ale do siebie wrócić nie mogę, bo gospodyni stwierdziła, że nie będzie się narażać i wynajmować Żydowi pokoju.

– Pójdiesz do mnie, a jak wydobrzejesz, poszukamy czegoś.

Z uwieszonym na ramieniu Jakubem ruszyła w stronę domu. Jej występy w niemieckim lokalu musiały poczekać.

Gdy dotarli do mieszkania, Alicji już nie było. Jakub położył się na łóżku, a Hanka przyniosła mokre ręczniki i bandaż, żeby go opatrzyć. Minęło tyle czasu, odkąd się widzieli. Przypomniała sobie,

jak bardzo za nim szalała. Teraz jednak jej uczucie było jedynie współczuciem dla rannego i nostalgią za pierwszym zakochaniem. Mimo że Alicja irytowała ją niekiedy swoim zaślepieniem i beznadziejną miłością do Juliana Chełmickiego, zazdrościła jej. Czasami wydawało jej się, że gdy spotka swoją dawną, młodzieńczą miłość, jej serce najpierw drgnie, a potem oszaleje z miłości. Tymczasem miała przed sobą Jakuba Mosela, dotykała jego ciała, opatrywała rany, był przy niej na wyciągnięcie ręki i w sposób, w jaki nigdy nie był, a nie czuła nic. Gorące łzy zaczęły płynąć po jej policzkach. Nie z żalu, że ciało Jakuba pokryte było siniakami, a twarz ranami, ani nie dlatego, że jej nie chciał. Płakała z żalu, że nie umie już kochać, zaś ostatnia nadzieja, że jej miłość odrodzi się na nowo, gdy ujrzy Jakuba, właśnie zgasła.

– Daj spokój, Haniu, wyjdę z tego za dwa dni i będę jak nowo narodzony. Tylko połamali mi zebro, cholera jasna. – Jakub uśmiechnął się z pewnym trudem.

Hanka milczała, bo przecież gdyby powiedziała mu o swoich rozterkach, pomyślałby, że zwaśniowała.

– Nie sądzę, przyjacielu. – Uśmiechnęła się nieco sztucznie i dodała: – Ale w końcu to ty jesteś lekarzem.

– Nie jestem, bo rzuciłem studia, jak tylko Żydzi zostali wykreśleni z zawodów, jakie mogą wykonywać w Polsce. Między innymi lekarzy. To było w tysiąc dziewięćset trzydziestym siódmym roku. Możesz w to uwierzyć? – Wydał usta w grymasie.

– Nie wiedziałam... Szkoda, że je rzuciłeś, po prostu zostałbyś żydowskim lekarzem – westchnęła.

– To nie jest żadna łaska, jestem zdolny i pracowity. Zbuntowałem się, bo zirytowało mnie, gdy Polacy postanowili, że Żyd nie może być ich lekarzem. Ale przyjdzie taki dzień, że ani rasa, ani wyznanie, ani nawet status społeczny nie będzie miał znaczenia. Każdy będzie mógł być tym, kim chce, jeśli jest zdolny i pracowity – wygłosił tyradę Mosel.

– Pójdę zrobić herbatę – zmieniła temat Hanka i wyszła do kuchni.

„Następny cholerny komunista” – pomyślała, nalewając esencję z czajniczka.

Jakub Mosel pił herbatę, co i rusz wykrzywiając z bólu twarz. Ten sam grymas pojawiał się, gdy chciał zmienić pozycję albo przekręcić się na drugi bok.

– Cholera! – warknął. – Muszę wstać, a nawet usiąść nie mogę.

– Posłuchaj, Jakub, naprawdę możesz tutaj zostać i nie musisz nigdzie iść – powiedziała łagodnie Hanka. Sądziła, że jego chęć szybkiego opuszczenia mieszkania spowodowana jest wyrzutami sumienia, że sprawia jej kłopot swoją obecnością.

– Nie o to chodzi... Muszę się z kimś spotkać. Nie mogę ci powiedzieć z kim i po co, ale mam odebrać ważne dokumenty od niego. Jeśli nie przyjdę, wszystko szlag trafi. – Mosel był coraz bardziej zły.

– Mogę pójść za ciebie... – zaproponowała niepewnie.

– Ty też oberwałeś – burknął.

– Ale nie wyglądam, jakbym wpadła pod tramwaj, prawda? Załatwię ci tę sprawę i nie ma o czym mówić – powiedziała stanowczo.

– To naprawdę miłe z twojej strony, ale obawiam się, że ten ktoś nie zechce ci ich dać. Pomyśli, że jesteś wtyczką.

– Jeśli tak będzie, przyprowadzę go tutaj. W porządku? Oczywiście, jeśli nie zechce, nie będę w stanie go do tego zmusić, ale przecież mogę spróbować.

– Na Brackiej jest taki mały antykwariat. Prowadzi go Leon Bralczyk. Wejdiesz i zapytasz

o *Cierpienia młodego Wertera* Goethego. On wskaże ci miejsce, gdzie spotkasz mojego człowieka. – Jakub doszedł do wniosku, że nie ma sensu dłużej protestować.

Hanka nie zastanawiała się zbyt długo. Opuściła mieszkanie i szła w kierunku Brackiej, czując wciąż na twarzy uderzenie kolby. Wiedziała, że jutro pojawi się ogromny siniak i będzie musiała to jakoś wytłumaczyć kierownikowi lokalu. Postanowiła, że najpierw się z nim spotka, przesunie występy, a przy okazji uprzedzi Alicję o gościu w ich domu. Skierowała swoje kroki w stronę Café Club. Był to przestronny, elegancki lokal, który przed wybuchem wojny często odwiedzała ze swoim mężem, Tomaszem. Stanęła przed kamienicą, zadarła głowę, jakby nie dowierzając, że teraz to miejsce będzie należało do Niemców, po czym popchnęła ciężkie szklane drzwi i weszła do środka. Zapytała portiera o kierownika i chwilę potem zaprowadzono ją do niewielkiej salki, gdzie siedziały jakieś kobiety, a wśród nich kręcił się łysiejący około pięćdziesięcioletni mężczyzna. Był to Adolf Krüger, Niemiec od lat mieszkający w Polsce.

– Pani kto jest? – zapytał po polsku z twardym akcentem.

– Hanna Lewin – powiedziała niepewnie, nieco przestraszona ostrym tonem kierownika.

– Spóźniłaś się – warknął. – Myślisz, że wielka gwiazda jesteś i możesz się spóźnić? Tu nie jesteś wielką gwiazdą. Jesteś zwykły pracownik i ty nie będziesz się spóźniać, a jak ci się nie podoba, to *weg von hier*.

Już od bardzo dawna Lewinówna nie została potraktowana w taki sposób. Odkąd znalazła się na pierwszych stronach gazet, nikt nie ośmieliłby się odezwać do niej tak obcesowo. Zaczęło do niej docierać, że jednak coś się zmieniło i nowych gospodarzy nie interesuje ani jej sławne nazwisko, ani doskonały głos. Stała jak wryta i zaczęła się zastanawiać, czy bez słowa opuścić lokal, czy jednak pozostać i spróbować przystosować się do nowej rzeczywistości. Pomyślała, że ten klub nie będzie wyjątkiem i wszędzie będzie tylko polskim śmieciem na usługach okupanta.

– Pobito mnie! I zrobili to niemieccy żołnierze! – krzyknęła ze złością. – Dlatego się spóźniłam. Jutro moja twarz będzie miała jagodowy kolor, więc raczej w najbliższym czasie nie wystąpię.

– To możesz wcale nie przychodzić. Wielka dama, *so ein Mist!* – Kierownik także zaczął krzyczeć.

– Co tu się dzieje? Co to za krzyki, panie Krüger? Goście na sali, a pan awantury robi. – W drzwiach stanął oficer SS.

– Przepraszam najmocniej, Obersturmbannführer Gross, zdenerwowałem się. Ta pieśniarka się spóźniła i jeszcze twierdzi, że została zaatakowana przez nasze patrole. Polskie ścierwo! – zaczął tłumaczyć się Krüger.

Gross rozsiadł się na krześle i powiedział stanowczo:

– Chcę posłuchać, jak śpiewa...

– Tak jest, tak jest, Obersturmbannführer. Pani Lewin, proszę tu podejść, tu jest mikrofon, proszę zaśpiewać... – Krüger zmienił ton, bo nie wiedział, jak zareaguje Gross na jego obcesowy sposób wyrażania się.

Hanka podeszła do mikrofonu i w pierwszej chwili, pod wpływem złości, chciała zaśpiewać polski hymn, ale zrezygnowała, dochodząc do wniosku, że nie chciałaby kolejny raz poczuć na twarzy kolby karabinu. Wybrała *Ich bin von Kopf bis Fuß auf Liebe eingestellt* Marleny Dietrich. Krüger stał osłupiały i kątem oka obserwował reakcję Grossa. Ten z przymkniętymi powiekami słuchał Hanki, jakby delectował się jej głosem i być może wspominał jakieś piękne chwile, które kojarzyły mu się z tym utworem. Gdy skończyła, na sali zrobiło się cicho, a wszystkie oczy zwrócone były w stronę Grossa.

On nagle jakby ocknął się z odrętwienia i zaczął klaskać. Wstał z krzesła i podszedł do Hanki. Ucałował szarmancko jej dłoń i zwrócił się do dyrektora lokalu:

– Panie Krüger, nie rozpoznałbyś pan prawdziwego talentu, nawet gdyby pana kopnął w dupę. Pani Lewin zostanie. Jeśli potrzebuje kilku dni na rekonwalescencję, otrzyma je. Czy chce pan otrzymać to na piśmie? Swoją drogą należałoby ukarać tych prostackich żołnierzy, którzy ośmielili się podnieść rękę na panią Lewin – mruknął Gross.

– Dziękuję panu – powiedziała cicho Hanka i wyszła z lokalu.

Czuła satysfakcję, że znalazł się ktoś, kto sprowadził na ziemię tego obrzydliwego Krügera. Gross był wysoko postawionym oficerem i miała nadzieję, że wystarczająco mocno wystraszył dyrektora, aby ten nigdy więcej nie próbował jej szykanować.

Gdy Hanka opuściła Café Club, Alicja zaczęła badawczo przyglądać się Grossowi. Nie był takim prostakiem jak inni. Poza tym emanował pewnością siebie i nawet jeśli był znienawidzonym Niemcem, Alicja doszła do wniosku, że jest bardzo przystojny. Gdyby tylko mogła go uwieść, z pewnością byłby w stanie ułatwić jej wyjazd za granicę. Obawiała się jednak, że on właśnie został porażony zarówno niesamowitym śpiewem Hanki, jak i jej wyglądem. Przez chwilę zastanawiała się, czy jej przyjaciółka pomogłaby jej, ale te rozważania zostawiła sobie na później, gdy obie dotrą do domu.

Hanka Lewinówna szła w kierunku Brackiej i zaczęło do niej docierać, że sytuacja jest dramatyczna. Najpierw pobicie jej i Jakuba, a teraz jakiś cham traktujący ją jak szmatę. Przecież nie zawsze będzie miała tyle szczęścia, żeby trafić na kogoś, kto będzie mógł stanąć w jej obronie. Ona, jeszcze niedawno podziwiana i szanowana, teraz przekonała się, jak sytuacja nagle może ulec zmianie. Dzisiaj była w Warszawie nikim, musiała się cieszyć, że w ogóle znalazła miejsce, gdzie mogła śpiewać, i to w dodatku tylko wybrany przez obecne władze repertuar. Zastanawiała się, jak można najechać czyjś kraj i obdzierać ludzi z godności. W ich własnym domu. Kto dał prawo innym, żeby panoszyć się w państwie, które do nich nie należy? Jak można niszczyć domy, mordować ludzi, grabić cudzą własność? Co siedzi w głowach takich osób, które wydają rozkazy i planują takie rzeczy? Wojna... tragedie milionów ludzi, niszczenie niczym żywioł wszystkiego, co stoi na drodze. Co musi siedzieć w tych chorych umysłach, że decydują o życiu i śmierci?

Mijała po drodze pogruchtane przez pociski kamienice, słyszała śmiech niemieckich patroli przechadzających się po ulicach Warszawy, patrzyła na zamknięte kawiarnie i ludzi oznaczonych, niczym bydło, opaskami. Dotarła do małego antykwariatu Bralczyka. Popchnęła drzwi i usłyszała brzęczyk dzwonka. Wewnątrz roznosił się zapach książek, taki sam, jaki można było poczuć w bibliotekach. Miliony kartek papieru, które przenosiły w inny świat, niekiedy bajkowy i romantyczny. A na tych kartkach czyjeś łzy, rozlana kawa czy odcisk palca. Stelaże z wolumenami sięgały sufitu i zajmowały wszystkie ściany, oprócz szklanej witryny, w której pysznił się pięknie oprawiony egzemplarz *Pana Tadeusza*. Za kontuarem siedział brzuchaty mężczyzna w kolorowej kamizelce założonej na śnieżnobiałą koszulę, a z kieszeni zwisał staromodny zegarek z dewizką. Antykwariusz z siwą fryzurą przywozował Hance na myśl Świętego Mikołaja, dobrodusznego starca przynoszącego raz w roku prezenty w pękatym worku.

– Dzień dobry – powiedziała niepewnie Hanka.

– Dzień dobry, czym mogę służyć? – zapytał mężczyzna, zerkając znad okularów w złotych oprawkach.

– Czy dotarł już może egzemplarz *Cierpień młodego Wertera*?

Mężczyzna przez chwilę milczał, po czym stwierdził:

– Spodziewałem się mężczyzny.

– Niestety, nastąpiła zmiana. – Hance nieco drżał głos.

– Proszę poczekać – mruknął i zniknął za wąskimi, zielonymi drzwiami.

Po chwili wyszedł i powiedział:

– Proszę wejść. Pierwsze drzwi po prawej.

Hanka weszła na zaplecze, które stanowiło pomieszczenie po brzezi wypełnione książkami ułożonymi w przewiązane sznurkiem stosy. Otworzyła drzwi wskazane przez Bralczyka.

Igor Łyszkin nie mógł uwierzyć w to, co widzi. Przed nim stała kobieta, która złamała mu serce. Nie wyglądała tak pięknie, jak wtedy, gdy widział ją w Gastronomii i na spektaklu. Teraz wyglądała... tak zwyczajnie. W długim płaszczu, małym kapelusiku i z lekko opuchniętą twarzą. Przyjrzał się lepiej i dostrzegł, że na jednym z policzków Hanka ma zaczerwienioną opuchliznę, którą dość nieudolnie próbowała zakryć włosami wystającymi spod kapelusza.

Zbliżył się do niej, zdjął jej nakrycie głowy i odgarnął włosy.

– Kto ci to zrobił? Te szuje? Masz jakieś kłopoty? – Bez powitania zarzucił ją pytaniami.

– Nie... – Spuściła głowę. – Przychodzę od Jakuba Mosela, jest u mnie w domu, w trochę gorszym stanie.

Igor nie pytał, skąd zna Mosela ani czy coś ich łączy, chociaż każdy widziany przy jej boku mężczyzna wywoływał w nim zazdrość. Nawet nie zapytał, co robi w takim miejscu – w tajnej komórce komunistycznej organizacji przygotowującej akcje dywersyjne zarówno na Niemców, jak i Polaków, którzy są ich wrogami politycznymi. Bez słowa zaczął ją całować, przytulać do siebie, jakby przysła specjalnie do niego, jak gdyby spadła z nieba wprost w jego ramiona. Hanka rozplakała się. Cały żal, jaki jej towarzyszył od wybuchu wojny, wylała w ramionach człowieka, o którym tak niewiele wiedziała. Było jej źle i była przerażona. Wojną, opuszczeniem przez męża, ciężką i wreszcie ciosem kolbą karabinu.

– Ten mężczyzna w teatrze, z którym wychodziłam z garderoby, to był mój brat – wyłkała, nie chcąc mówić o swoim lęku i smutku.

– Nieważne, kochana, nieważne. Teraz jesteś tutaj, tylko ze mną – szeptał jej do ucha uspokajające słowa Łyszkin.

– Ale jestem mężatką, Igorze. I jestem w ciąży... A mój mąż jest teraz za granicą. Nie powinienam, nie mogę... Nie wiem, co mam teraz zrobić.

Hanka wciąż płakała, to odpychając Igora, to znowu wtulając się w niego. Jakby nie wiedziała do końca, czy dobrze robi i dlaczego właśnie to Łyszkinowi wyplakiwała się w mankiet. W końcu, nieco się uspokoiwszy, usiadła na małym zydelku, otarła chustką oczy i powiedziała cicho:

– Przepraszam, po prostu zbyt wiele ostatnio na mnie spadło i nie radzę sobie z tym dobrze... Proszę, daj mi te papiery i wracam do domu. Jakub jest moim... znajomym z Chełmic, niedługo wstanie z łóżka, prosił, żebym ci to przekazała.

– Hanka, to zrzędzenie losu... Nie mogę teraz tak po prostu o tobie zapomnieć. Zresztą nigdy nie potrafiłem, chociaż bardzo chciałem. Jak pewnie się domyślasz, walczę z wrogiem, jest wojna, a ja jestem żołnierzem, ale błagam, nie zostawiaj mnie z niczym. Obiecuj, że będziesz na mnie czekała, daj mi chociaż cień nadziei – powiedział błagalnie.

– Igor... – wyszeptała, nie wiedząc, co powiedzieć.

– Hanka, zapomnij, że nazywam się Igor Łyszkin. To ważne. Teraz nazywam się Grzegorz Po-

łański. Zapamiętasz? – Uśmiechnął się i dodał. – Ale ja jestem wciąż ten sam.

– Grzegorz... Tak, zapamiętam.

Wzięła od Igora kilka niewielkich kartek zapisanych drobnym drukiem i małe pudełeczko z mikrofilmami. Schowała wszystko do torebki i ruszyła ku wyjściu, nieco zawstydzona swoim wcześniejszym wybuchem, bardziej jednak zdezorientowana, bo nie rozumiała, co się z nią dzieje.

– Nie pożegnasz się ze mną? – zapytał Igor, gdy Hanka stała już przy drzwiach.

Podeszła wolno do niego i ucałowała jego policzki, nos i usta. Przytulił ją i szepnął:

– Haniu, gdybyś miała kłopoty, zostaw wiadomość u Bralczyka.

– Dziękuję – odpowiedziała i cicho zamknęła za sobą drzwi.

Wracając do siebie, nie mogła przestać myśleć o tym, co się wydarzyło kilka minut wcześniej. Igor w ogóle nie pasował do jej świata, tak samo zresztą, jak Jakub Mosel. Jej nie zajmowała polityka ani walka o równość i braterstwo. Jej życiem była scena, blichtr wielkiego miasta, eleganckich sukien i luksusowych samochodów. Nawet wtedy, gdy przeniosła się do małej klitki na Nowym Świecie, myślała, że to tylko na chwilę, a potem wszystko wróci do normy. Znowu będzie wielką diwą, a jej największym zmartwieniem będzie ubiór czy dobór repertuaru. Z jednej strony zazdrościła Alicji takiej szalonej miłości, nawet jeśli nie była spełniona, a z drugiej czuła niesamowitą wolność. Mogła rozpieszczać i dbać tylko o siebie. I nagle, gdy i młodzieńcze uczucie do Jakuba Mosela odeszło, na jej drodze stanął komunistyczny gwardzista, który zrezygnował z bogactwa, by nieść pod strzechy marksistowskie ideały. Co miał w sobie Igor Łyszkin, że jego obecność dawała jej większe poczucie bezpieczeństwa niż cały majątek Niechowskich, który zresztą teraz nie miał żadnej wartości? Przynajmniej ten, do którego miała dostęp. Gdyby takie dylematy jej towarzyszyły przy kimś innym, mogłaby to zrozumieć, ale w normalnych okolicznościach Łyszkin mógłby być zaledwie miłym kompanem, a nie kimś, dla kogo mogłaby oszaleć. Tymczasem gdyby miała uczciwie zajrzeć do swojej duszy, znalazłaby tam pragnienie, aby wrócić do cichego antykwarium i zostać przy Igorze tak długo, jak to było możliwe. Jego uczucie było szczerze, spodobała mu się, gdy była biedna, kiepsko ubrana i mówiła z pełnymi ustami. A później, gdy rozkwitła niczym piękna róża, wcale nie był z tego zadowolony, chociaż nawet wtedy nie potrafił z niej zrezygnować. Zakochał się czy zadurzył w niej, prostej dziewczynie z Chełmic, którą była i zawsze będzie, nawet pod błyszczącą suknią wartą setki złotych.

\*\*\*

– Co on tu robi? – zapytała Alicja, zdziwiona po powrocie do domu.

– Pomagam mu... został bez dachu nad głową – mruknęła Hanka.

– Jak wielu Żydów, ale w naszym domu akurat jest Mosel... – powiedziała podejrzliwie Alicja.

– To był przypadek. Och, Alka, pomogłam mu, bo go znam. Nic tam sobie więcej nie wyobrażaj – burknęła Hanka, rozstrojona całą sytuacją.

– Dobrze, już dobrze... Myślałam, no, wiesz... – zaczęła ugodowo.

– Tak, wiem, ale mylisz się. Jakub Mosel to już tylko przyjaciel w potrzebie – westchnęła Hanka.

– Znowu mamy lokatora... – Uśmiechnęła się i dodała: – Słuchaj, jak wyszłaś, to ten bydlak jakby jakąś duchową przemianę przeszedł. Miły był taki, że mucha nie siada. Dziewczyny mówiły, że Związek Aktorów Polskich zakazał występów w teatrach jawnych, no, wiesz, takich, co to tam Niemcy decydują, jakie sztuki będą wystawiane. My aktorkami nie jesteśmy, ale myślę, że będziemy miały kłopoty. Trzeba jak najszybciej ugrać, co się da i innego zajęcia poszukać – złowróźnie powiedziała Alicja.

– A co ja mam ugrać? Wolną Polskę? Najwyżej kelnerką zostanę albo do jakiejś fabryki pójde.

Kiedyś ciężko pracowałam w polu, chałupę szorowałam na kolanach, wiem, jak smakuje fizyczna praca – westchnęła zrezygnowana Hanka.

Nie miała ochoty rozważać, co będzie jutro czy pojutrze. W jej głowie i sercu wciąż tkwiło wspomnienie spotkania z Łyszkinem i nie bardzo potrafiła sobie z tym poradzić. Tymczasem Alicja miała wyznaczony cel i uparcie chciała go zrealizować.

– Ten Gross chyba się w tobie zakochał... – zaczęła niepewnie.

– Boże, uchowaj – mruknęła Hanka.

– Hanka, wiem, że proszę o wiele, ale czy mogłabyś się z nim zaprzyjaźnić? Wiesz, widać, że dużo może, a ja bym chciała stąd wyjechać...

Nie była pewna jej reakcji, ale zdziwiła się, gdy jej przyjaciółka niemal dostała szału.

– Nie będę krzyczeć tylko dlatego, że w pokoju obok śpi Mosel. Wybij to sobie z głowy. Podrywanie Niemców, lewe wyjazdy i tak dalej. Pojedziesz i co? Staniesz pod Łukiem Triumfalnym i będziesz czekała, aż zjawi się twój piękny rycerz? Każesz mi się szmacić, bo zamarzyłaś sobie poszukiwania ukochanego. On cię nie chce i niech to w końcu do ciebie dotrze. Nie chce cię... – Hanka mówiła coraz głośniej, mimo że nie chciała, żeby Jakub usłyszał ich kłótnię.

– Ty, Hanka, żyj, jak chcesz i z kim chcesz. Ja ci nie mówię, co masz robić, i ty nie mów mi także. Odnajdę Juliana, choćbym miała się przespać z całym szwadronem Niemców – warknęła Alicja.

– Szwadron już zaliczyłaś, chociaż niekoniecznie niemiecki – odburknęła ze złością Hanka.

Alicja wyszła z domu, trzaskając drzwiami. Niebawem zaczynała się godzina policyjna, ale ona nie zamierzała wracać do domu. Postanowiła, że poradzi sobie bez pomocy Hanki. Nie bardzo wiedziała, dokąd pójść i po chwili doszła do wniosku, że poprosi o nocleg w Café Club, przecież od jutra zaczynała tam pracować pełną parą. A może podświadomie szukała sposobności, aby nawiązać bliższą znajomość z wysoko postawionym oficerem, aby ten umożliwił jej opuszczenie Polski?

– Czego tu szukasz? – niezbyt przyjemnie zapytał ją portier.

– Szukam Obersturmbannführera Grossa. Czy jest może? – zapytała grzecznie.

– A czego chcesz od niego? – Portier nie zmieniał tonu.

– Proszę powiedzieć, że przyszła Alicja Ross, przyjaciółka Hanki Lewin – odpowiedziała dumnie, kompletnie nie zważając na jego ostry ton.

– Proszę powtórzyć albo lepiej napisać – burknął i sięgnął za kontuar w poszukiwaniu kartki i ołówka. Nie był pewien, kim jest ta bezczelna Polka i, kto wie, może w istocie należało powiadomić Grossa.

Alicja zapisała swoje nazwisko, bez mrugnięcia okiem powołując się na Hankę Lewinównę.

– Jak jest „przyjaciółka” w waszym języku? – zapytała słodko.

Portier wyrwał jej z dłoni kartkę i napisał zamasztyłym pismem owo słowo, którego nie znała, po czym wszedł na salę. Hanka stanęła przed jednym z luster w holu i prześlizgnęła poślinionym palcem po brwiach. Potem przygryzła wargi, żeby były czerwiejsze, bo w tej złości na Hankę nawet nie zabrała z przedpokoju szminki. Poprawiła kapelusik i zrobiła minę, która zawsze działała na mężczyzn jak afrodyzjak.

Po kilku minutach zjawił się Gross. Podeszedł do Alicji i zapytał, zatroskany:

– Czyżby pani Hanka Lewin miała kłopoty?

– Hanka nie ma, ja mam – powiedziała buńczucznie.

– Pani chyba jest tancerką tutaj? – zapytał, jakby szukając w pamięci jej twarzy.

– Tak, od jutra. Ale nie mam gdzie mieszkać, a u Hanki już nie mogę, bo... bo nie mogę, i już.

A pan tak przyzwicie się zachował, pomyślałam, że mógłby mi pan pomóc, Obersturmbannführer Gross – beczelnie powiedziała Alicja.

Gross rozejrzał się dookoła, jakby nieco zażenowany sytuacją i nie bardzo wiedząc, jak z niej wybrnąć. Zerknął na zegarek.

– Zaraz zacznie się godzina policyjna – mruknął jakby do siebie i dodał: – Proszę poczekać chwilę.

Podszedł do stojącego na kontuarze telefonu. Alicja nieco się wystraszyła, że dzwoni do odpowiednich służb, żeby zabrali z lokalu dla Niemców krnąbrną Polkę. Nie rozumiała wiele z tego, co mówił do słuchawki, ale jego głos był stanowczy i szorstki. Pomyślała: „Trudno, ty niemiecka świni, ale ja się spod każdego kamienia wyczołgam”. Gdy słuchawka telefonu spoczęła na widelkach, podszedł do niej i powiedział:

– Trochę późno pani się zjawiła. Jedyne, co mogę zaproponować, to nocleg u mnie. Mój kierowca zawiezie panią do domu. Proszę się rozgościć i broń Boże nie próbować jakiejś dywersji, mój kierowca i oddany żołnierz będzie pani pilnował, dopóki nie wrócę.

– Dziękuję. Chętnie skorzystam z pana gościny. Nie mam najmniejszego zamiaru robić niczego złego. – Uśmiechnęła się słodko.

Mieszkanie Grossa było przestronne, dość elegancko urządzone i zapewne niegdyś należało do jakiegoś intelektualisty, ponieważ regały z książkami zajmowały niemal całą jedną ścianę. Alicja wolała się nie zastanawiać, co stało się z mieszkańcami tego domu w chwili, gdy Gross się tu przeniósł. Nie chciała myśleć, że niedługo spróbuje uwieść wroga, ale byłaby gotowa zrobić i gorszą rzecz, byle dopiąć swego.

Zanim pojawił się Gross, Hanka zdążyła wziąć kąpiel i ułożyć się na kanapie, wyciągając swoje szczupłe nogi i odsłaniając co nieco ze swoich wdzięków. Gross powrócił do mieszkania znużony. Ciągące się rozmowy, które miały zapewnić rozrywkę, nie rozbawiły go ani trochę. Przetarł zmęczone oczy i usiadł w fotelu naprzeciwko Alicji.

– I co ja mam z tobą zrobić? – zapytał, trochę bezradnie. – Jak ty się właściwie nazywasz?

– Alicja. Alicja Ross. Nie wiem, przygarnij – powiedziała przymilnie.

– Potrafisz coś oprócz tańczenia? No, nie wiem, gotować na przykład? Albo lubisz sprzątać?

– Umiem... – powiedziała niskim, chrapliwym głosem.

– Alicjo Ross, potrzebujesz noclegu czy kochanka? – zniecierpliwił się.

– Jednego i drugiego. – Wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się.

Martin Gross przez chwilę wpatrywał się w Alicję i pomyślał: „A dlaczego nie?”. Była ładna, młoda, smukła i chętna, a jego czekała długa służba z dala od domu i małżonki. Nie zastanawiał się zbyt długo, zwłaszcza że łóżko w jego sypialni było stanowczo za szerokie na niego jednego.

O poranku pomyślał, że ta młoda kobieta, która z nagimi pośladkami leżała obok, musiała mieć przed nim wielu kochanków. Była śmiała, doświadczona i naprawdę znakomita. Obudził ją laskotkami. Gdy nieco rozbudzona usiadła na łóżku, powiedział stanowczo:

– Jeden warunek: dopóki tutaj mieszkasz i ze mną sypiasz, nie możesz robić tego z nikim innym.

– Chyba nie jesteś zazdrosny? – zapytała, leniwie przeciągając się niczym obudzona kotka.

– Nie, lubię być zdrowy – burknął i wyszedł z sypialni.

Alicja przekręciła się na drugi bok i ponownie zasnęła. Łóżko było wygodne, piece ciepłe, a na stole w kuchni czekało na nią śniadanie. Wzięła kanapkę z talerzyka i spostrzegła starszą kobietę wycierającą kurze.



– Dzień dobry – zaszczebiotała.

Kobieta nie odpowiedziała, tylko mruknęła pod nosem:

– Szwabska kurwa...

Alicja nie zareagowała. Wzruszyła ramionami i wyszła do pokoju, ubrać się. Niebawem miała próbę, a potem występ w Café Club. Wiedziała, że ma jeszcze kilka dni swobody, zanim stanie twarzą w twarz z Hanką.

Martin i Alicja nie afiszowali się zbytnio z faktem, że są sobie bliżsi, niż wynikałoby to z ich zachowania, wiedziała jednak, iż przed najlepszą przyjaciółką pewnych spraw nie uda jej się ukryć. Po czterech dniach Hanka zjawiała się w garderobie. Wbrew obawom Alicji Hanka nie była ani rozgniewana, ani obrażona. Podeszła do Alicji, przytuliła ją i powiedziała:

– Nie wygłupiaj się. Gdzie ty się podziewasz? Wracaj do domu.

– Nie mogę, Hanka – jęknęła i dodała, zawstydzona: – Mieszkam teraz u Grossa.

Lewinówna aż otworzyła usta, słysząc taką rewelację. Była zszokowana.

– Alicja... Coś ty zrobiła? – zapytała z trwogą. – Nie słyszałaś, co robią z Polkami zadającymi się z Niemcami? Gołą im głowy. Na zero...

– Nie strasz mnie, Hanka. Mam swoje powody, żeby to robić, nikt nie będzie mnie rozliczał z moich poczynań. Niech spróbują... – warknęła.

– Jesteś nieobliczalna... – westchnęła Hanka.

– A jak rozwija się znajomość z Moselem? – Alicja puściła do niej oko.

– Wyniósł się. Niespecjalnie za nim tęsknię, ale za tobą, owszem. Przepraszam, że tak ci nagałam, ale byłam rozstrojona i w ogóle ta ciąża jakoś mnie strasznie roztkliwia, a jednocześnie budzi paniczny lęk przed tym, co będzie, gdy już moje dziecko pojawi się na świecie. No i czy nie ogołą mi głowy za występy w niemieckim lokalu – powiedziała ze smutkiem w głosie.

– Łatwo jest golić głowy, a z czego żyć? Ludzie pracują w fabrykach produkujących teraz dla Niemców i to jest w porządku. Taki mają zawód. A my? My nie możemy, bo zapewniamy rozrywkę. Ale to też nasz zawód. – Alicja nie mogła zrozumieć podobnych praktyk. Jeśli nie donosiła i nikt przez nią nie miał problemów, to co kogoś mogła obchodzić cała reszta jej życia.

Kilka tygodni później Alicja, zaopatrzona w specjalną przepustkę, samotnie wracała wieczorem do mieszkania Martina Grossa. Otworzyła kluczem bramę i już miała wchodzić do klatki, gdy poczuła szarpnięcie. Odwróciła się i wtedy zobaczyła przed sobą mężczyznę w ciemnym płaszczu i kapeluszu. Zaczęła gorączkowo zastanawiać się, czym się obronić, gdyby ów osobnik zechciał w istocie ogościć jej głowę. Mężczyzna jednak nie miał w rękach ani brzytwy, ani broni.

– Panna Rosińska? – zapytał dość grzecznie.

– A kto pyta? – burknęła.

– Zaraz się pani dowie. Musimy porozmawiać. Proszę pójść ze mną – powiedział stanowczo człowiek w długim płaszczu.

– Ani mi się śni – odpowiedziała Alicja, wydymając wargi.

– Pani Rosińska, czy naprawdę pani chce być w tym mieście skończona? Czy pomyślała pani, co może się wydarzyć, jeśli wojna się skończy, a wszyscy się dowiedzą, że sypiała pani z wrogiem? Zapewniam panią, że nikt nie zechce pani zatrudnić, a każdy pani wielbiciel ucieknie w popłochu. Ale ja mam dla pani pewną propozycję. Proszę więc przemyśleć sprawę. Zjawię się jutro dokładnie o tej samej porze. Może pani, oczywiście, nasłać na mnie gestapo, ale wiem, że nie jest pani taką kobietą. – Po tych słowach zniknął w ciemności podwórza.

Alicja cała się trzęsła, gdy powróciła do mieszkania Grossa. Było wiele racji w tym, co mówił. Nikogo nie będzie interesowało, dlaczego to zrobiła. A jeśli Julian się dowie, jak zareaguje? A matka, babcia i dziadek? Dopiero teraz do niej dotarło, że jeśli już ktoś wie, lada moment mogą dowiedzieć się wszyscy. Na Hankę mogła liczyć, zresztą ona wyznała prawdę dopiero tego wieczoru. Ktoś jednak wiedział i postanowił ją szantażować.

Następnego wieczoru, po powrocie z występów, ponownie spotkała przy bramie mężczyznę, który tak jak poprzednio ubrany był w ciemny płaszcz i kapelusz.

– Przemyślała pani sprawę, panno Alicjo? – zapytał chłodno.

– Tak – odpowiedziała. – Tylko nie wiem, gdzie moglibyśmy porozmawiać. Trwa już godzina policyjna.

– Jutro o szesnastej we Fregacie – odpowiedział mężczyzna, po czym postawił kołnierz płaszcza i ruszył ulicą przed siebie.

Alicja bała się, gdy następnego dnia szła do kawiarni. To uczucie rzadko kiedy jej towarzyszyło, ale tym razem z trudem przełykała ślinę i zdawało jej się, że słyszy bicie swojego serca. Nie miała pojęcia, kim był i co od niej chciał szantażysta. Jeśli tak pilnie ją obserwował, powinien wiedzieć, że jest biedna jak mysz kościelna, a nie wyglądał na takiego, który połasiłby się na parę złotych. Musiał się orientować, że straciła dom podczas nalotów, a wraz z nim wszystko, co stanowiło jakąś wartość.

Weszła do lokalu i zaczęła gorączkowo się rozglądać. Nie miała pojęcia, czy rozpozna szantażystę bez płaszcza i kapelusza, zwłaszcza jeśli siedział i nie byłaby w stanie ocenić jego wzrostu.

– Panno Alicjo – usłyszała i dostrzegła przystojnego mężczyznę przy stoliku pod oknem, który dyskretnie dał jej znak ręką.

Usiadła, wciąż przerażona, i wpatrywała się w twarz mężczyzny, jakby chciała odgadnąć jego intencje, zanim on sam o nich opowie.

– Zatem słucham – powiedziała cicho.

– Nazywam się... hm... – Mężczyzna uśmiechnął się. – Powiedzmy August. Tak jak po angielsku „sierpień”. Zna pani ten język?

– Znam, chociaż nie odważyłabym się czytać Szekspira – burknęła.

– Pani Alicjo, pani dziadek jest krawcem w Chełmicach, pomaga mu córka, Michalina. Pani babcia, sama pani wie, utrapienie, nie kobieta. Ojciec nieznan. Najpewniej jakiś zbłąkany żołnierz chcący się zabawić. Liczni kochankowie, nie będę wymieniać, bo lista zbyt długa, oraz wielka, niespełniona miłość, niejaki Julian Chełmicki, oficer Wojska Polskiego, obecnie przebywający w Wielkiej Brytanii i szkolący się w desancie spadochronowym. – August mówił wolno, wyraźnie i jakby czytał z kartki wcześniej przygotowany tekst.

– Julian jest w Wielkiej Brytanii? – wyrwało się Alicji.

Mężczyzna uśmiechnął się pod nosem, jakby właśnie potwierdził tezę, że uczucie Alicji do Chełmickiego nie było jedynie domysłem.

– Tak, niedawno wraz z innymi żołnierzami przybył z Francji na rozkaz waszego rządu. Kapitan Chełmicki to prawdziwy patriota – rzucił od niechcienia.

– Proszę tego typu przytyki zachować dla siebie – zdenerwowała się Alicja. – Mam swoje powody, żeby żyć w dobrej komitywie z Martinem Grossem.

– Jak ładnie pani to nazwała: komitywa. Niech będzie. Nie wiem jednak, czy Julian Chełmicki będzie tak wyrozumiały – odpowiedział August, z nutką sarkazmu w głosie.

– To czego pan chce?

– Daleko idącej współpracy. Chcemy poznać plany Hitlera. Każda informacja jest cenna, a Gross jest na terenie Mazowsza przedstawicielem Ministerstwa Wojny III Rzeszy. Bardzo ściśle współpracuje z Ludwigiem Fischerem, gubernatorem dystryktu warszawskiego. Potrzebujemy od pani wszystkiego, co zdoła pani zdobyć, mieszkając z nim. Nawet jeśli wyda się to pani nieważne, nam może się przydać. Wiem, że pani niemiecki jest na opłakanym poziomie, ale może to i lepiej. W razie wpadki naprawdę nie będzie pani wiedziała, co nam przekazała. Otrzyma pani aparat fotograficzny i będzie robiła zdjęcia dokumentów. Raz w tygodniu oczekuję jednego filmu. To na razie tyle. Filmy będzie pani przekazywała naszemu łącznikowi, który jest kucharzem w Café Club. Nazywa się William McDonell. To jest chluba waszego lokalu. Jeśli odmówi mi pani, jeśli wyda pani McDonella, jeśli piśnie pani chociaż słowo, Julian Chełmicki dowie się, że jest pani kolaborantką. Nie tylko on, także polskie podziemie, a wtedy raczej nie pożyje pani długo. Włosy obcinają dziwkom, zdrajcom – głowy – wygłosił cicho tyradę August, patrząc zimnymi, błękitnymi oczami na Alicję.

– Wywiad brytyjski, jak rozumiem – burknęła.

– Do usług. – Wyszczrzył zęby.

– Dziwne metody werbunku macie – mruknęła. – Pół roku, a potem chcę się dostać do Wielkiej Brytanii.

– To my stawiamy warunki, szanowna pani. – Mężczyzna uśmiechnął się czarująco.

– A chciałby się pan przekonać, że nie tylko? – wypaliła Alicja, nieco rozluźniona.

Wbrew pozorom ulżyło jej, że przy okazji może wspomóc wywiad aliancki. Nad ryzykiem nie zastanawiała się wcale, w końcu zostawała w domu na długie godziny, a Martin Gross nie mógłby przypuszczać, że ładna, ale głupia tancerczka porwie się na coś takiego, zwłaszcza z dość ułomną znajomością niemieckiego. Postanowiła jednak, że podszlifuje ten język, aby zdobyć coś, co będzie jej kartą przetargową w negocjowaniu wyjazdu do ukochanego.

Tej nocy, po spotkaniu z Augustem, dała popis swojego erotycznego kunsztu. Przyszło jej to tym łatwiej, że Martin był przystojny, szarmancki i bardzo się wzruszył, gdy oznajmiła mu, że chce się uczyć jego rodzimego języka. Przyrzekł, że od następnego dnia otrzyma najlepszego nauczyciela, jakiego mu się uda znaleźć w Warszawie.

\*\*\*

Emil Lewin, gdy zjawił się w siedzibie gestapo, by złożyć swój pierwszy w życiu donos, nie czuł się zbyt komfortowo. Nie dręczyły go wyrzuty sumienia, dywersantów uważał za bandytów narażających osoby postronne na śmierć, ale obawiał się ich. A co będzie, jeśli się wyda, że jest „kapustą”, jak to mawiał jego kolega Franek?

Okazało się, że to właśnie „Diamentowa Rączka” dostarczył mu pierwszych informacji. Nawet nie przyszło mu do głowy, jak wykorzysta ten fakt jego kumpel z celi. Gdy Emil wypytywał o ludzi z Kercelaka, mogących sprzedać broń, fałszywe dokumenty czy niemieckie zezwolenia na swobodne poruszanie się po mieście, nie spodziewał się, że następnego dnia zjawią się tajniacy, aby obserwować klientelę tych przybytków. Wpadło kilku chłopaków, którzy rwali się do walki w podziemiu. Berger nie był jednak zbyt zadowolony z efektów. To były same płotki, które dość spontanicznie postanowiły działać, nie bardzo znając struktury, powiązania czy dowódców. Nie to jednak było solą w oku Bergera. Otto panicznie bał się bolszewików i z uwagi na położenie Polski uważał, że w tym kraju roi się od nich. Tymczasem nie trafił na żadnego i to go martwiło. Nie brał pod uwagę, że po czystkach Stalina niewielu ich zostało, był przekonany, że są sprytni i potrafią świetnie się kamuflować, bo musieli to robić od

czasów wojny polsko-bolszewickiej.

– Powiem krótko, panie Lenin. Jeśli w ciągu miesiąca nie zatrzymamy jakiegoś polskiego komunisty, może pan pożegnać się ze swoim lokum. To oni są naszym największym wrogiem – warknął Berger.

– *Kriminalkommissar* Berger, sądziłem, że Związek Radziecki to sojusznik III Rzeszy, skąd więc taki lęk przed bolszewikami? Nie ma tu ich zbyt wielu... I nazywam się Lewin.

– Wszystko jedno. Moje kierownictwo wyraźnie powiedziało, żebym wystrzeżał się bolszewików, bo to zwykli bandyci. – Berger wciąż upierał się przy swoim.

Emil westchnął głośno i już nawet nie próbował dyskutować z Bergerem. Wiedział, że musi położyć mu na tacy jakiegoś czerwonego typa, bo inaczej ten nie odpuści, a on straci eleganckie lokum. Gorączkowo zastanawiał się, co ma zrobić, jeśli żadnego nie zna. Przypomniawszy sobie, że za Hanką uganiał się niegdyś jakiś zagorzały komunista, ale odprawiła go z kwitkiem. Może jednak miała z nim jakiś kontakt? Postanowił odwiedzić siostrę i zapytać. Do Franka nie miał po co iść, ponieważ ten nie utrzymywał kontaktów, jak to mówił, z „czerwoną hołotą”.

W mieszkaniu Hanka nie zastał nikogo oprócz niej. I bardzo dobrze, bo nie lubił Alicji, która była dla niego opryskliwa i niegrzeczna. Może gdyby zaciągnął ją do łóżka, to stałaby się nieco miłsza dla niego, ale nie mógłby znieść kolejnej kobiety wzdychającej do Juliana Chełmickiego. Emil nie potrafił się przemóc i myśleć o nim jak o bracie, zbyt był przepełniony żalem o ojca, który bezgranicznie go kochał, gdy tymczasem jego potraktował jak psa.

Hanka przygotowała herbatę, chleb i kawałek szynki, którą ukradkiem dostała od jednego z kucharzy w Café Club.

– I co u ciebie, siostrzyczko? Masz jakieś wieści od kochanego mężulka? – zapytał.

– Nie mam. I niedługo będę musiała zrezygnować z pracy, bo brzuch robi mi się coraz większy. Nie wiem, z czego będę żyła. Muszę sprzedać trochę biżuterii, ale kto ją kupi w tych ciężkich czasach? A na samą myśl, że jakaś Szwabka będzie nosiła moją kolię albo bransoletkę, robi mi się niedobrze – powiedziała ze smutkiem Hanka.

– U mnie też krucho z forszą, ale daj mi te swoje świecidełka, upłynię je. Powinno wystarczyć na wasze utrzymanie. No a twoi wielbiciele? – zagadnął.

– Emilku, jacy wielbiciele? Każdy widzi, że w ciąży jestem...

– Pamiętam, jak kiedyś w teatrze kręcił się koło ciebie nawet bolszewik – mruknął.

Hanka zmieszana się. Tak, w istocie miała wielbiciela, nawet będąc w ciąży, ale za nic w świecie nie przyznałaby się do tej znajomości Emilowi. Igor wraz z Jakubem Moselem działali w konspiracji i chociaż nigdy nie była „czerwona”, za nic w świecie nie naraziłaby żadnego z nich. A jej brat był dziwnym osobnikiem i mimo że łączyły ich więzy krwi, nigdy do końca nie wiedziała, co siedzi w jego głowie. Jeszcze zacząłby wyrzucać jej, że naraża się, przyjmując pod swój dach Jakuba i przenosząc jakieś tajne dokumenty z antykwariatu. Emil jednak zauważył, że Hanka ucieka wzrokiem i próbuje zmienić temat.

– Jedz, Emil, póki mam ci co dać, bo nie wiadomo, czy następnym razem będę mogła poczęstować cię szynką.

– E... Hanka, a co to ja cię nie znam. Mów no jak na spowiedzi świętej. Widujesz się z tym... Jak mu tam było? – Emil nie dawał za wygraną.

– Igor Łyszkin. Zwarował, jego tutaj nie ma, pewnie w Leningradzie jest albo w Moskwie... – mruknęła, nieco zdenerwowana pytaniami brata.

Lewin przestał naciskać, ale wiedział, że siostra coś ukrywa. Zaczęli rozmawiać na inne tematy i narzekać na trudy wojennego życia. Emil opuścił mieszkanie na Nowym Świecie przed godziną policyjną, ale postanowił poprzyglądać się nieco bliżej poczynaniom Hanki. Sprytnie wywiedział się od niej, kiedy ma wolne dni i nie występuje w Café Club.

Następnego dnia zjawił się u Franka z biżuterią siostry. Ten wziął od niego towar i pociągnął za rękaw w stronę jednej z drewnianych budek.

– Ty, cwaniaku z miodem w uszach, coś ty jesteś za jeden? – warknął Franek.

– Zwariowałeś? A co ty mnie nie znasz? W anclu żeśmy razem garowali, a ty mnie takie pytania zadajesz? – odpowiedział wystraszony Emil.

– Na spytki mnie brałeś, a potem gestapo kilku chłopaków z Pragi zgarnęło. Co ty, Emil, kapusta jesteś czy jak? – Franek wciąż był wzburzony.

– Oszalałeś, Franek – wysyczał Emil. – Jaka kapusta?

– Pod chajrem mówisz czy mają cię moi znajomi odwiedzić? – Franek wciąż był podejrzliwy.

– No jak Boga kocham, a co ja niby wiem? Że walutą albo złotem handlujecie? Też mi wielka sprawa. Tu każdy kombinuje, a oni to nie na takich ostrzą sobie pazury – obruszył się Lewin.

Franek puścił rękaw Emila i warknął:

– No, ale pamiętaj, jak cię złapię, że na Szucha z donosami latasz, to lepiej, żebyś w moje łapy nie wpadł – burknął „Diamentowa Rączka”.

– A nie myślałeś, żeby z nimi interesy robić? Teraz to szkopy pieniądze mają – zapytał ostrożnie Emil.

„Diamentowa Rączka” splunął mu pod nogi.

– Ja może igrasant jestem, ale honor swój mam. Z tymi bydlakami, to żebym miał nawet piach jeść, to nigdy interesów robić nie będę. I tobie też nie radzę. A te świecidełka to nie szkopskie aby?

– Nie, Franek. To mojej siostry, śpiewaczki. W ciąży jest i musi jakoś sobie radzić – mruknął Lewin.

Chciał dowiedzieć się kilku rzeczy od Franka, ale ten był wyjątkowo podejrzliwy i nieufny. Swoją drogą Emil nie przypuszczałby nigdy, że z tego doliniarza jest taki patriota.

\*\*\*

Od wielu miesięcy niemal każdego wieczoru Hanka Lewin kładła się do łóżka z uczuciem lęku i zagrożenia. Nawet, gdy mieszkała u niej Alicja czy Emil, ten dziwny ucisk w dołku nie przestawał męczyć. Strach towarzyszył Hance niczym wierny druh, zamieniając powoli jej życie w koszmar. Martwiła się o swoje dziecko, któremu dane będzie przyjść na świat w czasie okupacji. Jej los nie był najgorszy, inni potrafili radzić sobie w tej trudnej rzeczywistości, ale ona wciąż czuła lęk. Bezpieczny świat, który budowała sobie przez lata kosztem unikania wszelkich namiętności i porywów serca, nagle runął. Niedługo nie będzie mogła już występować, gotówka się kończyła, a każde wyjście na miasto mogło zakończyć się łapanką.

Odkąd wybuchła wojna, tylko raz poczuła się bezpiecznie. W ramionach Igora. Nie wiedziała dlaczego i co miał w sobie ten mężczyzna, ale była przekonana, że wyciągnąłby ją z każdej opresji. Problem w tym, że ona nie mogła dać mu niczego w zamian. Była mężatką i nosiła pod sercem dziecko innego mężczyzny. Poza tym on musiał się ukrywać, działać pod fałszywym nazwiskiem i Bóg raczy wiedzieć, co kombinował. Gdyby jeszcze musiał się zamartwiać o nią i dziecko, z pewnością byłoby to dla niego ogromnym obciążeniem. Postanowiła, że musi sama sobie poradzić ze swoimi demonami,

które z coraz większym zapamiętaniem karmiła jej szalejąca wyobraźnia.

Gdy więc grubo po północy usłyszała pukanie do drzwi, jej serce zaczęło walić niczym młot w kuźni. Było już po godzinie policyjnej, więc tylko Niemcy mogli się do niej dobijać. A jeśli wyrzucą ją z mieszkania? Jeśli aresztują albo zamordują? Z trwogą podeszła do drzwi i uchyliła je nieznacznie. Ujrzała na klatce Jakuba Mosela. Odetchnęła.

– Musisz mi pomóc – wysapał.

– Oczywiście, wejdź.

– Posłuchaj, Hanka. Szukają mnie. Gestapo. Mój lokal jest spalony, ledwo uszedłem z życiem. Na szczęście nic nie znaleźli i wciąż myślą, że jestem tylko spiskującym Żydem. Ale jeśli mnie dorwą, to dostanę kulkę, podobnie jak każdy, kto mi pomógł się ukryć. Przyszedłem, bo nie mam nikogo innego ...

– A Igor Łyszkin? – zapytała.

– Ciii... Nikt nie może poznać jego prawdziwej tożsamości. Nawet Bralczyk nie wie, kim naprawdę jest Grzegorz Polański. Na miłość boską, a ty skąd o tym wiesz?

– Poznałam go przed wojną i wtedy się tak nazywał – powiedziała stanowczo Hanka.

– Już nieważne. W każdym razie nie narażę naszego punktu kontaktowego – mruknął Jakub.

– Ale mnie i moje dziecko możesz? Tak? – warknęła.

– Tu chodzi o naszą ojczyznę. Jest wojna i musimy walczyć. Żebyście ty i twoje dziecko mogli żyć w wolnym kraju.

– Jeśli zdechnę, to mało mnie będzie obchodzić, co tutaj się będzie działo. – Hanka wciąż była zła.

– Dobrze, w takim razie daj mi tylko napić się wody i pójdę – powiedział ze smutkiem.

– Dokąd?

– Nie wiem. – Wzruszył ramionami.

– Posłuchaj, tutaj nie możesz zostać, ale jeśli pójdiesz, to możesz zginąć. Oboje o tym wiemy. Chodź ze mną. Zrobimy ci kryjówkę w suszarni. Stoi tam stary tapczan, prześpisz się dzisiaj, a jutro urządzimy ci miły pokój – powiedziała spokojnie i dodała: – Po prostu nie możesz być tutaj przez cały czas. Mam dziwnych sąsiadów i odwiedza mnie mnóstwo osób. Nie wiem, czy któregoś dnia nie będą musieli dokonać wyboru...

– Haniu, nie tłumacz mi takich rzeczy. Dziękuję ci. Naprawdę ci dziękuję. W końcu znaleźliśmy się tak słabo, chociaż długo – powiedział cicho.

– Po prostu nie zwracałeś na mnie uwagi. – Uśmiechnęła się smutno.

– Na żadną kobietę nie zwracałem uwagi, odkąd skończyłem siedemnaście lat. Byłem pochłonięty innymi sprawami i one były dla mnie najważniejsze. Nadal są. Jeśli sprawiałem ci tym przykrość, przepraszam. Tacy ludzie jak ja czy Łyszkin nie wiążą się z kobietami, boby je unieszczęśliwili – zaczął tłumaczyć się Jakub. – Co nie zmienia faktu, że uważałem cię za najładniejszą dziewczynę w Chełmi-  
cach.

Dla Hanki pewne sprawy nie miały już znaczenia. Jedyne echo słów dotyczących Igora dotknęło ją do żywego. Idea zabierała jej kolejnego człowieka, do którego zaczynała naprawdę coś czuć. Na którym miejscu byłaby w jego życiu, gdyby zechciała w nim zagościć? Ale z drugiej strony, kim on by był w jej świecie?

Ulokowała Jakuba w pomieszczeniu piwnicznym, przyniosła trochę jedzenia i już miała wychodzić, gdy Mosel powiedział, nieco zagubiony:

– Wiem, że proszę o wiele, ale czy mogłabyś pójść raz jeszcze do antykwariatu i przekazać informację, że nasz lokal na Brzozowej jest spalony?

W innym przypadku odmówiłaby stanowczo. Wystarczająco mocno się narażała, ale myśl, że znowu zobaczy Łyszki, sprawiła, że zgodziła się chętnie. Następnego ranka, gdy tylko miasto wybudziło się ze snu, zaczęła przygotowywać się na spotkanie z Igozem. Długo przeglądała się w lustrze, sprawdzając swój wygląd. Cięża była zaawansowana i nie dało się jej ukryć nawet pod luźną sukienką. Założyła kapelusik i gdy już wychodziła z domu, usłyszała na schodach głos Emila.

– A gdzie się wybierasz o tej porze, siostrzyczko. Pięknie wyglądasz, czyżby randka? – zapytał, rozweselony.

Hanka struchlała. Za nic w świecie nie przyznałaby się bratu, dokąd idzie i w jakim celu. Wystarczająco mocno była przerażona Moselem w piwnicy i swoją misją do wypełnienia. Wszystko się mogło zdarzyć. Po chwili zaczęła tłumaczyć swojej skołatanej duszy: „Przecież równie dobrze mogłabym wpaść pod tramwaj”.

– Co ty wygadujesz, Emil? Jestem mężatką i za dwa miesiące urodzę dziecko. – Bardziej rozłościła się tym, że brat odgadł jej intencje, niż posądzeniem o zdradzanie męża. Po chwili dodała: – Czegoś potrzebujesz?

– Nie, przyniosłem ci pieniądze. Sprzedałem twoje błyskotki – powiedział z dumą.

Weszli z powrotem do domu. Hanka wzięła do ręki plik pieniędzy, przeliczyła i popatrzyła ze smutkiem na Emila.

– Tylko tyle? Przecież ja nawet pół roku za to nie przeżyję... Przed wojną... – Była zdruzgotana.

– Siostra, ale teraz jest wojna. Chętnych do sprzedawania jest mnóstwo, tylko kupujących brakuje. A Niemcom, jak coś wpadnie w oko, to wcale nie płacą, tylko sobie biorą. Ludzie nie mają pieniędzy – zaczął tłumaczyć się Emil, bo w istocie niczego z tej kwoty nie przywłaszczył. Sam się łudził, że dostanie fortunę za te piękne precjoza i będzie mógł zatrzymać część pieniędzy, ale w tej sytuacji obudziło się w nim sumienie i nie wziął ani grosza.

Hanka westchnęła i pocałowała Emila w policzek.

– Przepraszam i dziękuję. Nie chciałam, żebyś myślał, że mam do ciebie pretensje. Wierzę, że zrobiłeś, co mogłeś. Emil, poczekasz na mnie tutaj? Muszę wyjść na jakąś godzinę, nie wiem, może dłużej.

– Tajemnicza jesteś... – Uśmiechnął się i dodał: – Dobrze, poczekam, a jak długo cię nie będzie, to zostawię klucze u tego dziadka z dołu. On taki najmiłszy się wydaje.

Pożegnali się i Hanka wyszła na ulicę. Miała nadzieję, że podczas jej nieobecności Emil nie natknie się na Mosela.

Jednak Emil nie miał najmniejszego zamiaru czekać na siostrę, tylko wyszedł tuż za nią, aby sprawdzić, dokąd się udaje i czy intuicja go nie zawiodła. Mimo że nie darzył siostry braterską miłością, nie życzył jej zła i miał nadzieję, że nie będzie musiał wybierać pomiędzy nią a wygodnym lokum. Tym bardziej że była w ciąży i on niebawem miał zostać wujem dziecka ze znamienitego rodu. Tomasz Niechowski w końcu będzie musiał się pojawić w kraju, chociażby z uwagi na pozostawiony majątek, a wtedy przypomni sobie, że ma rodzinę.

Hance Lewin drżały nogi, gdy pokonywała kolejne metry. Od antykwariatu Bralczyka dzieliło ją zaledwie kilkaset metrów, ale jej zdawało się, że wciąż stoi w jednym punkcie, jak gdyby czas się zatrzymał, a ona nie mogła przekroczyć tej bariery, która doprowadzi ją do celu. Gdy stanęła przed drzwiami

antykwarium, spostrzegła, że z witryny zniknął egzemplarz Mickiewicza. Nie zamieniono go na inną pozycję, jakby żadna z książek nie była godna, by zastąpić epopeję narodową. Pchnęła drzwi, usłyszała ten sam dźwięk dzwoneczka i znalazła się ponownie w ciemnym pomieszczeniu wypełnionym książkami. I chwilę potem kolejno raz stanęła twarzą w twarz z Igorem Łyszkinem.

Drżącym głosem przekazała mu informacje na temat Mosela i tak jak poprzednio usiadła na zydelku. Spuściła głowę i przez chwilę napawała się spokojem, który wypełnił jej skołatana strachem duszę.

– Jakub musi jak najszybciej opuścić to miejsce. Nie może cię narażać. Jeśli go znajdą, nie będzie ważne, czy to ty mu pomogłaś, czy ktoś inny. Wytłuką albo wywiozą całą kamienicę. A ty musisz być bezpieczna – powiedział stanowczo Igor.

– I gdzie się podzieje? Ja mu tego nie powiem – westchnęła.

– Pójdę z tobą i zabiorę go stamtąd. Mam metę na Pradze, kamienica jest zrujnowana, więc nikomu nie przyjdzie do głowy, że jeszcze kilka pomieszczeń się uchowało. Tylko pamiętaj, jestem dla ciebie Grzegorzem – podkreślił Łyszkin. – Chodźmy.

Zatrzymała go gestem ręki.

– Poczekaj... Chcę trochę z tobą pobyc.

Podszedł do niej i przykucnął. Nie mówili nic, on tylko ścisnął jej dłoń, głaskał ją po policzku i dotykał włosów gestem, jakim ojcowie obdarzają swoje córki. Hanka uśmiechała się delikatnie, z lekko przymkniętymi powiekami, jak gdyby chciała zapamiętać te chwile, gdy wokół nie ma wojny, a ona jest przy boku mężczyzny, który prędzej dałby się zabić, niż pozwolił, aby ktokolwiek ją skrzywdził. Tak mówiła jej dusza, błakając się w tym małym, ciemnym pomieszczeniu, szczęśliwa, radosna i bezpieczna.

Emil nie miał pojęcia, kim był mężczyzna, z którym jego siostra opuściła niepozorny antykwariat. Szedł za nimi w pewnej odległości i ze zdziwieniem stwierdził, że idzie z nim do domu. Gdyby nie fakt, że Hanka była w zaawansowanej ciąży, mógłby ją posądzić o posiadanie kochanka. Przed budynkiem mężczyzna zatrzymał się i z udawanym zainteresowaniem wpatrywał się w jedną ze sklepowych witryn, a jego siostra weszła do budynku. Zapewne sprawdzała, czy Emil już sobie poszedł, bo po chwili pokazała się w oknie i pokiwała dłonią w kierunku swojego towarzysza. Zatem, jeśli chciała to wszystko ukryć przed bratem, musiał być to ktoś mocno podejrzany. Przeszedł na drugą stronę ulicy i znalazł niewielką knajpę, z której zadzwonił na gestapo. Gdy rozmawiał z Bergerem, chciał zapewnić, że jego siostrze nic się nie stanie, ponieważ to dzięki niej mogą wpaść na trop podejrzanych osobników. Emil naiwnie wierzył, że w tym świecie słowo coś znaczy i ktoś będzie liczył się z jego zdaniem. Nie dotarło do niego jeszcze, że dla gestapo czy innych Niemców jest tylko polskim śmieciem, którego wartość liczy się jedynie jego przydatnością.

Hanka pakowała jedzenie dla mężczyzny i żegnała się z Igorem, gdy usłyszała głos Mosela:

– Cholera jasna, Niemcy!

Na ulicy stała furgonetka, a z niej wysiadali żołnierze i zmierzali wprost do kamienicy, w której mieszkała Hanka.

– Nie możesz tutaj zostać – zdecydował Igor. – Uciekamy.

– Boże, dokąd, jestem w ciąży. Wszyscy wpadniemy – załkała.

– Uciekając, masz szansę, zostając – już nie. – Łyszkin pociągnął Hankę za rękę.

Wbiegli na ostatnią kondygnację i wyłamali drzwi na strych. Igor podbiegł do jednego wykuszu, potem do kolejnego i krzyknął:

– Tędy. Na ten daszek i to małe podwórko z tyłu. Tam, gdzie suszy się pranie. Jakub, ty wychodź



pierwszy, przytrzymasz Hankę.

– Nie dam rady, Boże, nie dam rady...

Hanka wpadła w panikę, ale Łyszkin nawet jej nie słuchał. Niemal siłą wypchnął ją przez okienko na dach sąsiedniego budynku i wyszedł za nią. Lewinówna z trudem łapała równowagę na pochyłym dachu, aż w końcu zaczęła przemierzać go na czworakach. Dotarli do jednego z kominów i zatrzymali się. Teraz czekało ich trudniejsze zadanie. Może dla sprawnych, młodych mężczyzn nie była to rzecz skomplikowana, ale dla ciężarnej kobiety – niemal karkołomna. Kolejny raz tracili cenny czas, pomagając Hance zejść najpierw na budynek szopy, a potem na podwórko. Gdy byli już na ziemi, usłyszeli strzały. Dobiegli do jednej z klatek oficyny i przedostali się na ulicę. Postanowili się rozdzielić. Hanka z trudem łapała oddech, gdy w końcu wsiedli z Igozem do jednej z rikszy. Gdy już oddalili się nieco od domu Lewinówny, ta obejrzała się i zobaczyła sąsiadów wychodzących z rękami splecionymi z tyłu głowy. Zaczęła bezgłośnie płakać i wtuliła się w Łyszkiną. Cieszyła się, że jej brata nie było w tym czasie, bo i on mógł podzielić niepewny los mieszkańców kamienicy.

Ruiny kamienicy na warszawskiej Pradze w istocie nie dawały poczucia, że da się tam mieszkać. Hanka była zdruzgotana i pomyślała, że zatoczyła krąg: od wałacej się chałupy, przez salony najlepszych hoteli i dworów, by powrócić do życia w niedoli. Z trudem przeszła po gruzowisku i ledwie przecisnęła się przez otwór w murze, zasłonięty szeroką deską. Wszędzie leżały szczątki mebli, bibelotów i fragmenty ubrań, a w powietrzu unosiły się tumany kurzu. Dotarli w końcu do zdezelowanych drzwi i otworzyli je. Na szczęście wewnątrz nie wyglądało tak tragicznie. Był to niewielki pokój, mały korytaryk i kawałek pomieszczenia, które niegdyś zapewne było kuchnią, a w tym momencie jedynie jej nędznym fragmentem, oddzielonym od reszty budynku częściowo zburzoną ścianą. W pokoju stały dwa łóżka, stół i ogromna trzydrzwiowa szafa, która sprawiała wrażenie tak solidnej, że nawet artyleryjski pocisk nie dałby jej rady.

Igor od razu ułożył Hankę na jednym z łóżek i pocałował ją w czoło. Ta tylko uśmiechnęła się słabo i odwróciła głowę w stronę ściany, patrząc bezwiednie na jej fakturę pokrytą wzorami kwiatów.

– Nie powinniśmy jej zabierać. Omal nie wpadliśmy – warknął Jakub Mosel.

Ciężka pięść Łyszkiną wylądowała na twarzy Mosela. Ten zatoczył się i upadł na podłogę.

– Naraziłeś ją, zachowałeś się jak bezmyślny głupiec, a teraz chciałeś ją zostawić?! Póki co ja tutaj rządzę i to ja podejmuję decyzje. Dopóki nie znajdziemy dla niej bezpiecznego schronienia, zostaje.

Jakub podniósł się z podłogi, przetarł dłonią krwawiący nos i wyszedł na zewnątrz.

– Same kłopoty przeze mnie – mruknęła Hanka, odwracając się w stronę Igora.

– Nawet tak nie mów. Wciąganie cię w tę historię było skrajnie nieodpowiedzialne. Wiem, co powiesz. Jest wojna i powinniśmy sobie pomagać, ale zrozum, dla mnie ważniejsze jest twoje bezpieczeństwo, zdrowie, szczęście... Nawet gdybym miał nigdy więcej cię nie zobaczyć. Ale w tej sytuacji będę się o ciebie troszczył bez względu na wszystko. Poszukam ci bezpiecznego lokum i dopiero wtedy wypuszczę z rąk. Tymczasem jesteś skazana na moje towarzystwo, czy ci się to podoba, czy nie – powiedział stanowczo Łyszkin.

– Podoba mi się. – Uśmiechnęła się.

– A teraz odpoczywaj, ja muszę załatwić kilka spraw i porozmawiać z Moselem.

Złapała go za rękaw koszuli.

– Igor, wiem, że proszę o wiele, ale czy mógłbyś powiadomić mojego brata, gdzie jestem?

– Mogę go powiadomić, że żyjesz i nic ci nie jest, ale nie mogę nikomu zdradzić, gdzie jesteśmy

... – mruknął.

– Dobrze, rozumiem, w takim razie pozostaw mu w skrzynce jakąś informację. Na pewno się o mnie martwi – powiedziała żałośnie Hanka i podała adres brata.

– Obiecuję, że to zrobię. – Uśmiechnął się do niej.

Nachylił się i pocałował Hankę w czoło. Ta po chwili zasnęła, zmęczona zarówno niebezpieczną ucieczką, jak i ciągłym lękiem. Teraz jednak, mimo że leżała na zdezelowanym łóżku, w zakurzonych ruinach bez wygód, czuła się bezpiecznie, a jej lęki na chwilę jakby przysnęły, dając wytchnienie jej myślom.

\*\*\*

Alicja stała pośrodku pokoju w garsonierze Emila i niemal tupała nogą ze złości.

– Jak to nie wiesz, gdzie jest Hanka? Sprawdziłam na Szucha i na Pawiaku, nigdzie jej nie ma. To kto ma wiedzieć, jeśli nie ty?

Sama była zdziwiona swoją agresją wobec Emila. Ona też nic nie wiedziała, ale Gross sprawdził i za zniknięciem jej przyjaciółki nie stali Niemcy. Zatem kto, jeśli ani ona, ani Emil nie mieli pojęcia, co się wydarzyło? Przez chwilę przyszło jej do głowy, że uciekła z Jakubem Moselem, który był na liście poszukiwanych przez gestapo osób, ale, na Boga, Hanka nie byłaby taka głupia. Z drugiej strony, był powód, dla którego w kamienicy zrobiono kipisz, a mieszkańców aresztowano. Łudziła się, że schroniła się u brata, ale on zdawał się nic nie wiedzieć albo jedynie udawał.

– Nie wiem, a nawet jakbym wiedział, to niczego byś ode mnie nie wyciągnęła, ty niemiecka szmato! I wynoś się, bo mam gościa – warknął.

– Ty będziesz mnie pouczał? Każdy wiedział, że posuwasz to stare, przechodzone próchno, które teraz próbuje podkładać się szwabom za święty spokój, tylko że nawet oni jej nie chcą kijem trącić. Mam swoje powody, żeby trzymać się Grossa, i nic ci do tego. – Alicja niemal krzyczała.

– Wypierdalaj, niemiecka kurwo!

W drzwiach stanęła kobieta owinięta zaledwie ręcznikiem. Alicja odwróciła się i zobaczyła w progu swoją największą rywalkę do serca Juliana, jego narzeczoną, Adriannę Daleszyńską.

– Cemu tak krzyczycie i kim pani jest? – zapytała rozzłoszczona Adrianna, podejrzewając, że nieznamo jest jedną z kochanek Lewina.

Alicja nie mogła wydobyć z siebie głosu. Spoglądała raz na nią, raz na Emila, na którego twarzy malował się triumfalny uśmiech.

– Chodź tu do mnie, maleńka. – Emil wyciągnął dłoń w kierunku Adrianny, wciąż wpatrując się w Alicję.

Daleszyńska podeszła do fotela i usiadła na kolanach Emila, niczym potulny pies reagujący na każde skinienie swojego pana. Lewin włożył rękę pod ręcznik i zaczął pieścić Adriannę, która przymknęła powieki i cicho mruzczała pod wpływem dotyku Emila. Po chwili wyjął dłoń spod materiału i wstał z fotela.

– Odprowadzę pannę Alicję, a ty idź do łóżka i czekaj tam na mnie – rozkazał.

– Tak, kochanie, będę tam na ciebie czekać. – Uśmiechnęła się słodko i ruszyła w stronę ciężkiej adamszkowej kotary, za którą stało szerokie metalowe łóżko.

Dopiero wtedy oszołomiona Alicja odzyskała głos.

– Przecież to naręczona Juliana Chełmickiego...

– W takim razie powinnaś być mi wdzięczna. Pamiętam, jak się za nim uganiałaś, a ja w pół roku zmieniłem ją z damy w rozwiazłą sukę. Wszystkie jesteście takie same, za garść moniaków rozkładacie

nogi jak najpośledniejsze prostytutki z Muranowa. Zrobi wszystko dla mnie, nawet zgodziłaby się pieprzyć ze mną na twoich oczach. Ale po co ci taki spektakl, jeśli sama nadstawiasz dupy z taką samą determinacją jak ona – mściwie podsumował Emil.

– Boże, Lewin, co on ci takiego zrobił, że wciągnąłeś Adriannę na samo dno? – zapytała, przeżona postawą Emila Alicja.

– Jest moim bratem... Ale to on dostał wszystko, co ja musiałem drapać pazurami. Niech teraz się do mnie przyrówna... – Roześmiał się sardonicznie.

– Jesteś potworem – wydukała.

– A ty kurwą – warknął Lewin, po czym chwycił ją za łokieć i wypchnął za drzwi.

Powrócił do pokoju i odsłonił kotarę. Adrianna leżała kompletnie naga i wpatrywała się w niego niczym dziecko, które nie jest pewne, czy otrzyma nagrodę, czy karę za wejście do pokoju mimo wyraźnego zakazu.

– Prosiłem, żebyś poczekała, aż ta kobieta wyjdzie. Dlaczego nie posłuchałaś, Adrianno? – zapytał zimno.

– Byłam zazdrosna... – wydukała.

Uderzył ją w twarz.

– A gdyby to była osoba, która może ściągnąć na nas niebezpieczeństwo? Dlaczego myślisz tylko o pieprzeniu? Mamy wojnę, moja droga, wszystko się może zdarzyć, a ty tylko myślisz o rozkładaniu nóg. I wiesz, co teraz będzie? Będiesz musiała teraz... – zaczął mówić niczym oskarżyciel.

– Przepraszam, Emilku. Ale tak bardzo cię kocham... Dobrze, ale proszę, tylko nie ten obrzydliwy Mauer. Jest zawsze spocony, śmierdzi koniakiem i bierze mnie, jakbym była szmacianą lalką – mruknęła.

– Czyli dokładnie tak, jak lubisz – zaśmiał się Emil.

Adrianna była tak zniewolona uczuciem i namiętnością do Emila, że była gotowa uwierzyć w każde jego słowo, a nawet w to, że sypiając z gestapowcami, ratuje mu życie i robi to ku chwale ojczyzny. Mogłaby nawet zostać prostytutką, byle ocalić życie swojemu Emilkowi i aby już zawsze był z nią. Ani przez moment nie przyszło jej do głowy, że Lewin prowadzi swoją grę i nie ma ona nic wspólnego ani z miłością, ani z zagrożeniem. Chciał upokorzyć Adriannę, a ona wcale nie czuła się upokorzona, chciał ją poniżyć i zepchnąć na samo dno, a ona tego kompletnie nie zauważała. Robiła świetlane plany na przyszłość, gdy już wojna się skończy. Uciekła spod kurateli surowej matki i chciała tylko kochać. Była kochana przez mężczyzn, ale nigdy nie doświadczyła podobnego uczucia, gdy przestaje liczyć się wszystko, a każda myśl płynie w kierunku tego jedyne. Godziła się na wszystko, byle zadowolić Lewina i poczuć, że on odwzajemnia jej uczucia. Nareszcie po tylu latach zrozumiała, że to jest jej życiem, oddechem, i jak marny żywot wiodła, zanim poczuła namiętność i radość z obcowania z mężczyzną.

\*\*\*

Alicja wyszła z domu Lewina oszołomiona. Wcale, jak można byłoby się spodziewać, nie była uradowana widokiem Adrianny w objęciach innego. A Emil był przekonany, że Julian jest jego bratem i ział nienawiścią. Nie wiedziała, jaka była prawda, plotki krążyły przeróżne, ale Emil mówił tak, jakby nie podawał tego faktu w wątpliwość. Alicja postanowiła, że pozna prawdę, a potem w końcu zrealizuje swój plan wyjazdu do Anglii.

Pierwotnie sądziła, że wyjazd z Polski ułatwi jej Gross, ale im więcej czasu mijało, tym bardziej robił się zaborczy i denerwował się za każdym razem, gdy opuszczała ich gniazdko w innym celu niż tyl-

ko próby i występy w Café Club. Martin nie bywał tam codziennie, dlatego wysyłał swoich kapusiów, by jej pilnowali. Znała ich wszystkich, ale udawała, że nie ma pojęcia o szale zazdrości kochanka. Po co? Mogli sobie siedzieć i upijać się do woli, bo jedynym mężczyzną, z którym się kontaktowała, był brytyjski kucharz o tak paskudnej aparycji, że trudno byłoby podejrzewać, że zamieniła nieziemsko przystojnego Martina na brzuchatego Anglika o nalanej twarzy i dyszącym oddechu. Było natomiast pewne, że Martin nie tylko nie pomoże jej w ucieczce, ale zrobi wszystko, żeby ją udaremnić. Jednak współpraca z wywiadem brytyjskim otworzyła przed nią nowe możliwości.

Martin Gross nie był durniem i nie zostawiał w domu ważnych dokumentów, ale nosił je niekiedy w eleganckiej teczce, którą po pewnym czasie kładł dość niefrasobliwie w różnych częściach domu. Gdy zasypiał po upojnych igraszkach ze swoją kochanką, ta bez trudu fotografowała wszystko, co nosił w teczce. W większości były to mało przydatne śmieci, z których na dodatek niewiele rozumiała. Ale od czasu do czasu trafiał się jakiś smakowity kąsek, jak chociażby informacja o planach utworzenia getta. Lekcje niemieckiego, które pobierała u panny Hincman, miały zbliżyć do siebie kochanków, ale Alicja widziała w nich jeden cel: musiała wydobyć z dokumentów świętego Graala, który otworzy jej drogę ucieczki na Zachód. A jak mogła to zrobić z tak słabą znajomością języka? Podstawy jednak miała i panna Hincman nie musiała zaczynać jej edukacji od początku. Alicja nigdy nie uczyła się tak pilnie, jak teraz. Nauka z reguły nudziła ją już po godzinie. Pamiętała, że gdy jeszcze chodziła do szkoły, miała problem, żeby usiedzieć na lekcjach. Czasami posuwała się do kłamstwa, byle opuścić zajęcia i udać się na łono natury, które zdawało się bardziej interesujące niż zimne, szare ściany klas lekcyjnych. Była dość bystra, więc kłopotów z ocenami nie miała, ale ślęczenie nad książkami uznawała za stratę pięknego czasu. Teraz jednak wkuwała niczym pacierz słówka, gramatykę, a panna Hincman nie kryła słów podziwu dla swojej nieco już dojrzałej uczennicy.

Zanim jednak Alicja wcieliła w życie swój plan, najpierw musiała odwiedzić Chełmice i spróbować porozmawiać ze starym Chełmickim. Jeśli prawdą było, że Emil Lewin, brat jej najlepszej przyjaciółki, jest jego synem, to Julian powinien się o tym dowiedzieć, a on jako ich ojciec spróbować złagodzić nienawistny stosunek Emila do brata. Lewin z premedytacją odbił mu narzeczoną i Bóg raczy wiedzieć, co jeszcze chodziło mu po głowie. Alicji wydawało się, że dopóki żyje Antoni Chełmicki, powinien sprawę załatwić jako ojciec ich obu.

W rodzinnym domu zasypano ją pytaniami o życie w Warszawie, o Żydów, łapanki i o wszystko, co związane było z egzystencją w okupowanej stolicy. Alicja kłamała jak z nut. Pracowała jako kelnerka w polskiej Fregacie, mieszkała kątem u Hanki i kupowała lepsze jedzenie, od spekulantów. Słowem się nie zająknęła, gdy matka zapytała o jej dalszą karierę tancerki, a o swoim fikcyjnym zajęciu mówiła tak dużo i z taką dawką entuzjazmu, jakby w istocie zajęcie kelnerki było szczytem jej marzeń. Matka i dziadek wsłuchiwali się w jej słowa, jak gdyby opowiadała o radosnym życiu w Warszawie, podobnym do tego, które wiodła przed wojną. Jedyne babka, jej imienniczka, podejrzliwie spoglądała na wnuczkę. Alutka mimo sędziwego wieku i kiepskiej kondycji fizycznej umysł miała jasny i czujny. Miała świadomość, że bliżej jej do kresu życia aniżeli jego początku, ale wciąż starała się tryskać humorem. Tylko niekiedy, gdy przeczuwała, że jej bliscy pakują się w kłopoty, schodziła z nieba na ziemię, by jasno wyartykułować swoje stanowisko. Jej krnąbrna wnuczka tylko przed nią czuła respekt, bo była bystra, stanowcza i nie dawała się zbyć byle czym.

Gdy nastał wieczór, wyszła z nią przed dom i usiadły we dwie na małej drewnianej ławce przed wejściem do budynku. W powietrzu unosił się zapach lata, które powoli zbliżało się do Polski.

– Po co idziesz do Chełmickich? – zagadnęła babka.

– Przekazać im, że Julian żyje i jest w Wielkiej Brytanii – skłamała Alicja.  
– Oni wiedzą, że jest za granicą, cały i zdrowy, więc po co się tam pchasz?  
– Sprawę mam do starego, nie mogę ci powiedzieć jaką – mruknęła Alicja, zdenerwowana, że ta usiłuje ciągnąć ją za język.  
– Nie chcesz, nie mów. Wolę to niż twoje kłamstwa – burknęła.  
– Nie rozumiem... – zaczęła Alicja, ale jej babcia nie dała jej skończyć.  
– Nie wiem, w co się wpakowałaś, moja droga. Mam tylko nadzieję, że nie poszłaś na układ z tymi niemieckimi świniami, bo nigdy bym ci tego nie darowała, jak tu siedzę ci mówię. Trzeba mieć w życiu jakieś zasady, wartości. Wiesz, że nigdy nie byłam uprzedzona do ludzi, ani do Rosjan, ani do Żydów, ani do Niemców, ale te potwory zgotowały nam piekło na ziemi. Traktują nas jak zwierzęta, więc, moja droga, należy ich tępić niczym wszy w ochronkach – powiedziała stanowczo babka.  
– Nie wiem, co ci przyszło do głowy. – Wzruszyła ramionami.  
– To mi przyszło, że kłamiesz. Zmyślasz jak jasna cholera. Może i masz dobre intencje, ale pamiętaj, nie ma takiego chłopca, dla którego warto byłoby się zeszmacić – mruknęła.  
– Jestem dorosła i sama podejmuję decyzje – wyniośle odpowiedziała Alicja.  
– Obyś ich tylko nie żałowała.  
– Nie wiem, babciu. Być może będę... – odpowiedziała cicho.  
– Więc jeśli już teraz się wahasz, to znaczy, że podjęłaś złą decyzję. Wycofaj się z niej, cokolwiek to jest, zanim nie będzie za późno.

Alutka nie do końca wiedziała, co zrobiła jej wnuczka, ale miała swoje przeczucia. Niestety, złe przeczucia. Omijanie tematu świadczyło o tym, że Alicja ma świadomość, że robi coś niewłaściwego, w przeciwnym razie na pewno porozmawiałyby o tym z babką. Stara Rosińska wiedziała, że w Warszawie Alicja nie żyje jak mniszka i wcale jej to nie gorszyło, bo sama święta nie była, ale tym razem musiało chodzić o coś zupełnie innego. A mianowicie jakieś układy z wrogiem. Tego, mimo postępowości i tolerancji, nie potrafiłaby zaakceptować. Nigdy nie wyrzekłaby się jej, ale spróbowałaby zawrócić ją z tej drogi.

Alicja jednak milczała. Znała swoją babcie i jej poglądy. Była przekonana, że gdyby dowiedziała się, że została kochanką niemieckiego oficera, usłyszałyby wiele przykrych słów. Może gdyby chodziło o czyjeś życie albo jej własne, inaczej popatrzyłaby na całą sprawę, ale motywy Alicji zapewne nie znalazłyby u babci Rosińskiej aprobaty.

Następnego ranka Alicja kolejny raz stanęła na dziedzińcu dworku Chełmickich. Po wypiełgowanej zieleni nie było już śladu, roślinność rozrastała się w sposób niekontrolowany, zamieniając ogród w małą puszczy. Przed posesją stała jedynie stara bryczka Antoniego, odrapana z farby i z pordzewiałym okuciem. Alicja przypomniała sobie, że zawsze o tej porze roku Chełmiccy robili otwarcie sezonu, w domu i wokół niego było gwarno, wesoło, a z otwartych okien płynęła muzyka. Teraz jednak panowała cisza. Zadzwoiła do drzwi. Po kilku chwilach stanęła w nich Ludmiła, kobieta, która przez większość życia miała zły humor. Tym razem jej mina także nie należała do zadowolonych.

– Panna Rosińska? – zapytała, krzywiąc się, jakby spożyła cytrynę.  
– Tak, dzień dobry. Przyszłam, bo chciałabym spotkać się z panem Chełmickim – grzecznie powiedziała Alicja.  
– A po co to niby panienka chce się z nim widzieć? Pan Antoni niezdrów, co to, panienka nie wie? – Ludmiła wciąż była nieprzyjemna.  
– Wiem, że pan Antoni nie domaga, ale mam wieści o Julianie. Myślę, że chciałby je usłyszeć –

nalegała stanowczo.

– Chwileczkę – mruknęła Ludmiła i zniknęła w głębi domu, zostawiając Alicję przed progiem.

„Pełna kultura” – pomyślała, stojąc przed drzwiami.

Wkrótce otyła kucharka zjawiała się znowu i powiedziała, niemal z wyrzutem:

– Proszę, pan Antoni przyjmie panią.

Stary Chełmicki siedział w głębokim fotelu i mimo ciepłej aury owinięty był grubym pledem. W ciągu roku jego twarz przestała przypominać oblicze dojrzałego mężczyzny, a zaczęła wyglądać jak twarz starca, który stoi niemalże nad grobem.

– Czy mój Julianek wciąż żyje? – zapytał słabym głosem.

– Tak, panie Chełmicki. Żyje i jest teraz w Anglii – powiedziała Alicja i dodała: – Pana drugi syn również żyje i ma się dobrze.

– Nie wiem, o czym pani mówi, młoda damo – obruszył się Antoni.

– Raczej o kim. Mówię o pańskim synu, Emilu Lewinie. Wybaczy pan moją śmiałość, ale Emil nienawidzi Juliana za to, że ten był pana oczkiem w głowie, a on nie – hardo powiedziała Alicja.

– Emil miał ojca, Ignacego – mruknął.

– Panie Chełmicki, ale żył pan z Anką, jego żoną, gdy Ignacy w Legionach służył. Wszyscy o tym szeptali i o tym, że niepodobna, żeby Emil Lewinowym synem był. Więc czyim? – Alicja nie dała za wygraną.

– No i co z tego? Może i ja go spłodziłem, ale Anka mężatką była, ja żonaty, uznaliśmy, że będzie lepiej, jeśli się w normalnej rodzinie wychowa.

– Klepali biedę... A Julian miał wszystko. Teraz Emil miarkuje, że mógł żyć inaczej, bo miał za ojca bogacza. Zionie nienawiścią za złamane dzieciństwo i młodość, i za to, że pan nigdy nie potraktował go jak syna.

Alicja mówiła rzeczy, których nie wiedziała, a mogła się jedynie domyślać, co siedziało w głowie Emila. I na dodatek podkochiwał się w Adriannie, o której nawet nie mógł marzyć, bo był źle ubrany, niewykształcony i biedny. Teraz odbijał sobie stracone lata, sprowadzając Adriannę do roli swojej dziwki, ale Alicja, widząc jego wzrok, gdy mówił o swoim bracie, wiedziała, że rachunki jeszcze nie zostały wyrównane. Obawiała się, że gdy powróci Julian, Lewin może mu zrobić jakąś krzywdę i będzie to dużo boleśniesz niż odbicie zdradliwej narzeczonej. Gdyby stary Chełmicki wyciągnął do Emila rękę, może skruszyłby jego serce.

– I niby czego pani ode mnie oczekuje? – z przekąsem zapytał Chełmicki.

– Nie wiem, to pan powinien wiedzieć, co zrobić, żeby pojednać się z synem i pogodzić braci. Do Juliana także dotarły te plotki, ale był przekonany, że gdyby było coś na rzeczy, pan powiedziałby mu prawdę. Nie sądził również, żeby pan, taki dobry człowiek i kochany ojciec, mógł porzucić własnego syna. On i tak kiedyś pozna prawdę, może pana nie będzie już wtedy na świecie, ale czy chce pan, żeby źle o panu myślał? – Alicja spróbowała po dobroci.

– Dobrze, napiszę list do Juliana, ale tego szubrawca Emila nie chcę tu widzieć. On ma w nosie moją ojcowską miłość, gdy tutaj przyszedł po śmierci Anki, chciał tylko pieniędzy – burknął Antoni.

– Niech pan robi, co pan uważa, ale myślę, że popełnia pan błąd i może wypuścić demona, jeśli nie pojedna się pan przed śmiercią z Emilem – spokojnie stwierdziła Alicja.

– Nie chcę go widzieć, a do Juliana napiszę. To wszystko, co zrobię, a teraz żegnam panią. List zostawię u notariusza, razem z zapisem testamentowym. I proszę oszczędzić mojej małżonce tych rewelacji, jest wystarczająco zdruzgotana okupacją, rozstaniem z synem i ogólnie jest to istota bardzo

wrażliwa, jeśli nie przewrażliwiona. I proszę już iść. A moim synem proszę się nie martwić, poradzi sobie z tym łotrem, a jeśli będzie trzeba, po ślubie z panną Daleszyńską wyjedzie za granicę i ten rzezimieszek nie będzie stanowił dla niego najmniejszego zagrożenia.

– Ten łotr, szubrawiec i rzezimieszek to pana syn – wyszeptwała.

Chociaż nie lubiła Emila i uważała go, podobnie jak Antoni, za nic niewartego człowieka, czuła, że powinna tym razem stanąć po jego stronie.

– Jak widać, to nie krew czyni nas tym, kim jesteśmy. Żegnam – burknął Antoni.

Reakcja starego Chełmickiego była do przewidzenia. Jeśli przez tyle lat udawał, że nie ma drugiego syna, było mało prawdopodobne, iż nagle ocknie się i zechce wyciągnąć do niego rękę, zwłaszcza gdy usłyszał, że Emil kipi nienawiścią do jego ukochanego Juliana. Jednak ona chciała zyskać pewność, że w istocie Julian i Emil są braćmi. Pomyślała o Kainie i Ablu, dwóch braciach, tak różnych jakby nie łączyły ich więzy krwi. Miała jednak nadzieję, że ta historia nie skończy się aż tak tragicznie.

\*\*\*

W walącym się mieszkaniu na warszawskiej Pradze Hanka przekręciła się na drugi bok i jęknęła. Igor w mgnieniu oka przebudził się. Dotknął jej twarzy i odgarnął z czoła kosmyk włosów. Lewinówna budziła w nim tkliwość, czułość i troskę. Wolał nie myśleć, że w jej ogromnym brzuchu rośnie dziecko innego mężczyzny. Wyobrażał sobie, że to jego potomstwo, i nawet kilka razy dotknął brzucha Hanki, gdy dziecko wierzgało niespokojnie. Mieszkając w tych spartańskich warunkach, czuł się najszcześliwszym człowiekiem na ziemi. Tu byli bezpieczni, a przede wszystkim razem. Bardzo blisko siebie. Spali na jednym łóżku, siedzieli wspólnie przy stole i spacerowali, jeśli warunki temu sprzyjały. Łyszkinowi nie przeszkadzała nawet obecność Mosela, który z trwogą patrzył na tego twardziela, Łyszkinina, który miękł przy Hance niczym ciasto w ciepłych dłoniach gospodyni. Tulili się do siebie jak para kociąt, szepotali sobie miłosne zaklęcia, kiedy Igor opuszczał ich lokum, a gdy nadchodził wieczór, zachowywali się, jakby nie było okupacji, wrogów dookoła i trudnych misji, jakie stały przed Łyszkinem. Bawili się w dom – jak to niekiedy sarkastycznie mówił Jakub.

Hanka jęknęła kolejny raz i szepnęła:

– Boże, Igor, ja rodzę.

Łyszkin zerwał się z łóżka i szarpnął za ramię Mosela. Ten przetarł zaspane oczy, nakazał Igorowi zagrzać sagan wody i przynieść czyste ręczniki. A gdy ten wykonał polecenia, wyrzucił go z pokoju i zamknął drzwi.

Igorowi wydawało się, że poród trwa wieczność, a Hanka wydaje z siebie agonalne krzyki. Było to jednak złudzenie zniecierpliwionego człowieka. Mimo że poród nie należał do najłatwiejszych, nie trwał tak długo, jak to się wydawało Łyszkinowi. Odetchnął z ulgą, gdy usłyszał zza ściany płacz dziecka.

Jakub, wychodząc z pokoju, otarł zroszone czoło i powiedział:

– Już myślałem, że nie dam rady... Wszystko w porządku, druhu. To dziewczynka. Duża i zdrowa. Igor... nie chcę znowu dostać po mordzie, ale one nie mogą tutaj zostać. To nie są warunki dla noworodka i kobiety w położu. – Mosel poklepał Łyszkinina po ramieniu.

Igor wszedł do pokoju i rozejrzał się. Patrzył na pomieszczenie, jakby był tu po raz pierwszy w życiu. Pokój był ciasny, miał obdrapane ściany i tonął w kurzu, który wciąż przedostawał się do wnętrza. Nawet okno było przysypane od zewnątrz gruzem i to, że wciąż miało jedynie pękniętą szybę, zakrawało na cud. Ogromna szafa zabierała resztkę światła i dopiero dotarło do niego, że mieszkali nie-

mał w grobowcu.

Hanka leżała blada i tuliła małe zawiniątko. Natomiast Igor zastanawiał się gorączkowo, co dalej zrobić. Powrót do mieszkania na Nowym Świecie nie wchodził w grę, bo po wywiezieniu wszystkich mieszkańców wprowadził się tam ktoś inny. Ich tajne mieszkania były niczym odbezpieczone granaty. Należało być przygotowanym na ucieczkę w każdej chwili, a Hanka dopiero co odzyskała względną równowagę. Żałował tych pięknych chwil, gdy zamykali się w swoim świecie marzeń, gdzie wszystko było piękne i bezpieczne. Teraz jednak przyszło na świat dziecko i ono było najważniejsze.



## 8. Londyn, 1940

Londyńskie letnie popołudnie było wyjątkowo ciepłe. W mieszkaniu przy Lambeth Walk otwarto wszystkie okna, aby przewiew nieco ochłodził siedzących wokół stołu mężczyzn, jednak i tak większość z nich straszyla mokrymi plamami na koszulach. Julian Chełmicki zapalił kolejnego papierosa i wypuścił smużkę dymu w stronę okna.

– Dlaczego to wszystko jest takie skomplikowane? Przeszliśmy szkolenie, umiemy skakać. Tak zdobyto Eben-Emael. A my ciągle siedzimy z założonymi rękami – burknął zdenerwowany Julian.

Ich zabiegi, aby jak najszybciej powrócić do kraju i dalej walczyć, ciągle napotykały przeszkody, które Chełmickiemu wydawały się wydumane i wyolbrzymiane. A tam, daleko, w Polsce, trwało okupacyjne życie i terror. Wieści, jakie docierały do niego z ojczyzny, były niepokojące, a on nie mógł sobie znaleźć miejsca. Gdy przez Budapeszt i Marsylię dotarł do Paryża, napotykając życzliwych mu ludzi, sądził, że rząd polski i decydenci wojskowi zorganizują coś na wzór legionów albo w końcu wyegzekwują obietnice składane przez sojuszników. Tymczasem pomysły, petycje i plany albo lądowały w koszu, albo przychodziła odpowiedź odmowna. A to, że nie ma odpowiednio wyszkolonych skoczków, a to brak samolotów – powody mnożyły się niczym grzyby po deszczu. Od miesiąca jednak, po kapitulacji Francji, rząd polski przeniósł się do Londynu, a to stwarzało nowe możliwości.

– Uspokój się, Julianie. Przynoszę dobre wieści. Okres stagnacji chyba dobiega końca i coś ruszyło. Przygotowuję dokładną strategię i mam zamiar niebawem przedstawić ją generalicji. – Kapitan Kalenkiewicz położył na stole plik dokumentów i referował dalej: – Opracowałem plan, aby z polskich żołnierzy, którzy przebywają poza granicami kraju, utworzyć Korpus Desantowy, a wsparciem miałyby być lotnictwo RAF-u. My, w istocie, nie dysponujemy samolotami, które mogłyby polecieć do Polski i tam zrzuć spadochroniarzy. Zatem oprócz szkolenia przy brytyjskim desancie musimy także wykorzystać ich sprzęt. Poza tym trzeba wyszkolić więcej skoczków. Żołnierze, którzy wylądują w kraju, muszą być najlepszymi z najlepszych. Skoki to tylko jedna z umiejętności. To wszystko, czego uczyliśmy się w szkołach i na poligonach, a nawet na polach bitewnych, jest już bezużyteczne. Teraz musimy działać w konspiracji, a ilu z was może się takimi umiejętnościami poszczycić? Dlatego szkolenie musi być kompleksowe, no i powinniśmy otrzymać wsparcie od Wielkiej Brytanii.

– Chyba nam są coś winni za kampanię wrześniową, kiedy jako sojusznicy swój udział ograniczyli do zrzucania ulotek i jedzenia – mruknął Julian.

– Cierpliwości, wielu oficerów i dowódców popiera mój pomysł i będą go forsować u generała Sikorskiego. A on już dogada się z Brytyjczykami – uspokajał go kolega.

– Zostałem tam wszystkich... – westchnął Julian. – Rodziców, przyjaciół i narzeczoną. Pewnie jest im ciężko, a ja tu sobie siedzę i nie robię nic, żeby zmienić tę sytuację.

– Sam świata nie zbawisz. Każdy z nas kogoś zostawił w Polsce. Niektórzy groby, inni dzieci i żony. Przeżywamy swoje tragedie, ale przyświeca nam ten sam cel. Nie tylko ty się martwisz, denerwujesz i cierpisz, Julianie – zapewnił Krzysztof, młody oficer spod Wielunia.

– Miałem się żenić. We wrześniu. Mam piękną narzeczoną. Jest niczym słodki anioł, który zstąpił z nieba, żeby czynić świat lepszym. Mam też przyjaciółkę, o której często myślę. Ona jest niczym diabełek, który wywołuje grzeszne myśli i pcha człowieka na niebezpieczne ścieżki – powiedział z nostalgią w głosie Chełmicki. – Obie są jednakowo cudowne.

Krzysztof roześmiał się i wstał od stołu, żeby nalać sobie wodę do szklanki. Podeszedł do drewnianego regału i odkręcił butelkę. Wziął kilka łyków i powiedział do Juliana:

– Moja żona nie była ani aniołem, ani diabłem. Była prostą, wiejską dziewczyną, o szerokich biodrach i włosach w kolorze rdzy. We wsi mówiliśmy na nią „Ruda”. Był dzień, jak każdy inny, a ona wracała z mleczarni, ciągnąc wózek z pustymi kankami. Mijało ją niemieckie wojsko i zachciało im się napić mleka. Ale przecież te cholerne kanki były puste, bo Ruda wracała z mleczarni... I oni wtedy ją zastrzelili. Widział to jeden chłop ze wsi. Rozumiesz? Nie miała cholernego mleka i oni ją zastrzelili. Jak mówiłem, nie była aniołem, ani diabłem, była moją żoną. I chcę tam wrócić, żeby tych skurwysynów pozabijać. – Krzysztof wciąż nie mógł dojść do siebie po śmierci żony i przyświecała mu tylko jedna myśl – żeby ją pomścić.

Chełmicki zamyślił się. Wiedział, że rodzice żyją i jego Adrianna również. Nie miał wieści o Alicji, ale był przekonany, że ona nie pozwoli sobie zrobić krzywdy. Była bezczelna, harda i odważna. I tylko czasami pod tą twardą skorupą można było dostrzec wrażliwość, oddanie i piękną miłość, jaką go darzyła. Gdyby tak mógł wymieszać je obie, miałby kobietę idealną. Adrianną był zachwycony, chociaż niekiedy w istocie przypominała porcelanową lalkę, jak to kiedyś określił jego przyjaciel, Łyszkin.

Był ciekaw, co teraz porabia Igor. Czy morduje Polaków jak inni Sowieci, czy może w końcu przejrzał na oczy i ujrzał w Stalinie tyrana z imperialnymi ambicjami, a nie dobrego wujka, który stara się zadowolić wszystkich dookoła? A von Lossow, dziwkarz i hazardzista, który wstąpił do SS, żeby dano mu święty spokój? Czy zdał sobie sprawę, że w tej formacji służą najwięksi sadyści w III Rzeszy? Co stanie się z Walterem, gdy pewnego dnia każą mu zastrzelić człowieka? A przede wszystkim, co się wydarzy, gdy pewnego dnia staną naprzeciw siebie? Czy nadal będą przyjaciółmi, jak niegdyś, gdy razem podrywali panienki, upijali się wyśmienitą wódką z gorzelnii Chełmickiego i grali w karty do białego rana? A może już stali się wrogami? Julian nie wierzył w taki scenariusz, nie potrafił ich nienawidzić tylko dlatego, że jeden był Niemcem, a drugi Rosjaninem. Przecież to byli Igor i Walter... I chociaż niekiedy dochodziło między nimi do sporów, żarliwych kłótni czy ostrej wymiany zdań, żaden z nich nie sprzeniewierzył się ich męskiej przyjaźni. Ani zagorzały komunista, Łyszkin, ani kosmopolityczny hedonista, Lossow. Bez względu na to jednak, jak bardzo mogła zmienić ich ta wojna, Chełmicki wiedział, że nie byłby zdolny do tego, by strzelić do któregoś z nich.

## 9. Warszawa, 1940

Adrianna Daleszyńska patrzyła na swoją matkę, niczym na zjawę. Otworzyła beztrzesko drzwi, będąc przekonana, że to jej ukochany Emil wraca z miasta. Bardzo bała się o niego, w Warszawie coraz częściej urządzano łapanki i nawet niewinne wyjście po papierosy czy chleb mogło zakończyć się wywózką na roboty. Tymczasem za progiem stała Zenobia w pełnej krasie i wciąż z fryzurą przypominającą watę cukrową.

Matka Adrianny tylko przez krótką chwilę uwierzyła, jakoby jej córka wyjechała do okupowanej Warszawy za pracę. Kłamać to ona mogła, ale nie ją. Znała swoją Adusię na wylot i podjęcie pracy zarobkowej było ostatnią rzeczą, o jaką by ją podejrzewała. Więc gdy kolejny raz młoda Daleszyńska odwiedziła rodzinny Grójec, jej matka postanowiła pojechać za nią i sprawdzić, jak naprawdę mają się sprawy. Niczym szpieg przemykała pomiędzy filarami peronu, potem wmieszała się w tłum i nawet związała na głowie chustkę, jak to czyniły kobiety ze wsi. Miała swoje podejrzania i gdy ujrzała przystojnego fatyganta z Kercelaka, wychodzącego z kamienicy, do której wcześniej weszła Adrianna, nabrała pewności. Jej córka żyła bez ślubu z mężczyzną, który ją utrzymywał. Jak zwykła dziwka. To po co miałby się z nią żenić, jeśli dostawał wszystko bez złotej obrączki? Postanowiła, że czas na interwencję. Nie po to chuchała i dmuchała na swoją jedynaczkę, żeby teraz jakiś amant ją zepsuł i porzucił. Zenobia Daleszyńska wciąż uważała, że dziewictwo jest największym kapitałem dziewczyny, nie mając nawet świadomości, jak rozwiązały życie prowadziły niektóre kobiety w przedwojennej stolicy i jak bardzo sobie takie życie chwaliły.

Mina Adrianny na widok matki mówiła wszystko. W jednej chwili jej promienny uśmiech zamienił się w podkówkę, a oczy straciły blask. W pierwszym momencie odruchowo chciała zatrzęsnąć drzwiami tuż przed obliczem matki, ale ta, jakby spodziewając się reakcji córki, wsunęła między drzwi i futrynę swój wytworny, chociaż nieco wiekowy parasol.

– Mamusia? – jęknęła Adrianna.

– Mamusia! Ale ty chyba spodziewałaś się kogoś innego. – Zenobia pchnęła drzwi i weszła do środka. Zaczęła rozglądać się po mieszkaniu, zajrzała do kuchni, łazienki i w końcu weszła do pokoju.

– Niczego sobie, ale małe. Chyba ten twój gach to nie za bogaty – złośliwie powiedziała stara Daleszyńska.

Adrianna skapitulowała. Już nie chciała kluczyć, kłamać i wymyślać historii rodem z powieści Mniszkówny.

– Kocham go, mamó – wyszeptała, po czym usiadła w fotelu i skryła twarz w dłoniach.

– A on to chyba ciebie nie bardzo, jeśli żyje z tobą w grzechu, zamiast się żenić. Zresztą...

– Zenobia znowu rozejrzała się po pokoju i dodała: – Może to i lepiej, Chełmicki bogatszy i podobno wciąż żyje. To się da naprawić i ukryć, podpowiem ci kilka sposobów, jak go oszukać. A teraz, moja droga, pakuj walizkę i wracamy do Grójca.

Dziewczyna odsłoniła twarz i wysyczała:

– Nigdzie z tobą nie pojadę. Zostanę tutaj. Z Emilem.

– I będziesz jak dziwka się z nim łajdaczyć? Mowy nie ma. Zbieraj się – warknęła Zenobia.

– Nigdzie z tobą nie pojadę, słyszysz? Tak, będę się z nim łajdaczyła. Tak, będę jego dziwką, jak długo zechce. Nieważne, czy się ze mną ożeni, czy nie, ale zrobię wszystko, czego zażąda. Słyszysz?!  
– Adrianna niemal dostała hysterii.

Nalana twarz Zenobii Daleszyńskiej zrobiła się czerwona ze złości. Adrianna, której poświęciła

swoje życie, nigdy jej się nie sprzeciwiła, nigdy też nie odważyła się do niej mówić w ten sposób. Nie miała najmniejszego zamiaru tego tolerować, nawet jeśli dziewczyna już była dorosła. Podniosła trzymaną w dłoni parasolkę i zaczęła nią okładać córkę. Robiła to z taką zaciętością, że z parasolki wyszły druty, dotkliwie raniąc dłonie i twarz Adrianny.

– Oddam ci, rozumiesz, przestań! – krzyczała Adrianna.

– Oddaj mi lepiej czas, który ci poświęciłam, i pieniądze, które na ciebie wydałam, ty mała kurwo! – Zenobia nie była dłużna. Wkrótce opadła jednak z sił, rzuciła w kąt sfatygowaną parasolkę i wyszczała: – Jeśli w ciągu tygodnia nie wrócisz do domu, nie będziesz miała już domu. Ani matki, ani ojca. Wyrzeknę się ciebie i Bóg mi świadkiem, nie będę miała już córki.

– Mamusiu... – jęknęła. – Wiem, że chcesz dla mnie jak najlepiej. Żebym wyszła za męża za zamożnego człowieka. Ale dzisiaj nikt nie może być niczego pewien. Poza tym co z miłością? Nie znałam jej smaku, wydawało mi się, że tak musi być, że należy patrzeć w przyszłość i starać się, aby była spokojna i dostatnia. Ale teraz wiem, że w tym wszystkim nie ma miłości, tylko wyrachowanie. Mamusiu, błagam, spróbuj zrozumieć...

Zenobia na chwilę się uspokoiła i przysiadła na krześle.

– To ty zrozum, że żyję na tym świecie zbyt długo, żeby wierzyć w takie bajdy. Zauroczenie, czy jak to tam zwał, trwa chwilę. Rok, dwa i koniec. Romantyzm zamienia się w codzienne życie i nie myśli się o jakichś tam miłościach. Więc lepiej, żeby to było życie w dostatku niż w niedoli. Taka prawda. Wzdragałaś się, gdy miałaś słoninę na Kercelaku sprzedawać, ty, wychowana na damę dziewczyna. I co się z tobą stało, że gniesz bez ślubu w jakimś marnym mieszkanku? Co to za mężczyzna, który nie dba o twoją reputację, tylko wykorzystuje do swoich niecznych zachcianek w łóżku? Wspomnisz moje słowa, znudzi się tobą szybko, a potem wypędzi jak dziwkę – przemawiała spokojnie.

Do Adrianny jednak zdawały się nie docierać słowa matki. Nikt i nic nie było w stanie jej przekonać.

– On mnie kocha... on mnie kocha, nie tak jak ty czy ojciec... On mnie naprawdę kocha... – szlochała, ale stara Daleszyńska nie słuchała. Widząc, że nie jest w stanie przekonać córki, wyszła z mieszkania Lewina, głośno trzaskając drzwiami.

Żadna z nich nie myślała wtedy, że nigdy więcej się nie zobaczą.

\*\*\*

Fabryka należąca do Fiodora Łyszkina mieściła się, jak wiele innych zakładów przemysłowych, na warszawskiej Woli. Produkowała metalowe akcesoria do riksza i wozów. Igor stał przez chwilę, wpatrując się w brudne okna hali produkcyjnej. Tam, w środku, pracowali robotnicy, dzięki którym jego ojciec z roku na rok stawał się coraz bogatszy. Nawet teraz, w czasie wojny, słychać było, że produkcja idzie pełną parą. Igor nie chciał jednak się zastanawiać nad tym, skąd taki rozmach w czasie okupacji ani jak ojciec dogadał się z Niemcami. Miał do niego sprawę i żywił nadzieję, że mu nie odmówi. Nie skorzystał z sugestii zwierzchników i nie nawiązał kontaktu z ojcem, by szpiegować jego znajomych i przyjaciół. Były granice, których nie chciał przekroczyć, dlatego odkąd pojawił się Polsce, ani razu nie odwiedził rodziców. Żyli własnym życiem i systemem wartości, który nie przystawał do jego, ale kochali go, a on ich. Odsunięcie się od nich na czas wykonywania swojej misji uznał za najlepsze rozwiązanie dla obu stron.

Po kilku nieprzespanych nocach doszedł do wniosku, że jedyne bezpieczne schronienie dla Hanki i jej córki może zapewnić jego ojciec. Oprócz willi w Warszawie Łyszkinowie mieli niewielki

dom na wsi, kilkadziesiąt kilometrów od stolicy. Nie był ani duży, ani specjalnie wytworny, ale Fiodor lubił tam wyjeżdżać, by poczuć smak wspomnień z carskiej Rosji, gdy będąc małym chłopcem, wychowywał się w licznej, chociaż niezbyt bogatej rodzinie. Podwarszawski domek miał trzy bielone izby z niskimi sufitami, lampy naftowe, zamiast elektrycznych i drewniane, solidne łóżka z prawdziwymi siennikami. Woda w studni była czysta, a u okolicznych chłopów można było kupić jaja, mleko i rąbankę. Chleb pieczono w domu, a na jego tyłach znajdował się mały ogródek, gdzie matka wysiewała każdej wiosny warzywa. Igor pomyślał, że byłoby to idealne miejsce dla dziecka. A przecież Hanka kiedyś mieszkała na wsi, więc pewne niedogodności z tym związane nie powinny być dla niej zbyt uciążliwe. W jednej z izb, której okna wychodziły na południową stronę, można byłoby wstawić kołyskę i zrobić kącik do zabaw, gdy małeństwo nieco podrośnie.

Z czułością uśmiechał się do swoich marzeń, w których on także w tym domu przebywał i był ojcem dla małej Nadii. Miał przeczucie, że to piękne rosyjskie imię Hanka nadała z myślą o jego pochodzeniu. Może jej serce również budziło się do takiego uczucia, jakim on ją obdarzył. Nie zastanawiał się, że mała ma ojca, który z pewnością pojawi się wraz z końcem wojny. Nie myślał o tym, co czuje Hanka do swojego męża. Nigdy o tym nie rozmawiali. Nie doszło między nimi do niczego. Była jedynie czułość, słodczych wypowiedzianych szeptem słów, trzymanie się za ręce i wymiana spojrzeń, z których wycierała tęsknota za czymś nieuchwytnym i niemożliwym się złazić. Bał się zadać Hance to najważniejsze pytanie. On, zahartowany w pracy męzczyzna, pełny odwagi i silnego ducha, po prostu stchórzył. Obawiał się utraty nadziei, nie chciał pozbawiać się złudzeń, pragnął wierzyć, że to, co między nimi jest, będzie trwało i jest prawdziwe, a on pewnego dnia weźmie Hankę w ramiona i będzie wiedział, że należy tylko do niego.

Z przedziwnym uczuciem przekroczył budkę strażnika. Bardzo tęsknił za ojcem, a nie wiedział, czy ten mu wybaczy tak długą nieobecność. Obawiał się również reakcji, gdy dowie się, że jego syn przyszedł do niego tylko dlatego, że potrzebował pomocy.

Sekretarka Fiodora Łyszkińska była w średnim wieku, nosiła okulary i wyglądała niczym cerber broniący wstępu do innego świata. A tym światem było sanktuarium Fiodora, jego przepastny gabinet, znajdujący się nad halą fabryczną, z przeszkloną ścianą, aby w każdej chwili ojciec Igora mógł spojrzeć na proces produkcyjny.

– Prezes jest zajęty – burknęła na wieść, że przychodzący bez wcześniejszego umówienia człowiek chce się spotkać z jej szefem.

– Myślę, że pan Łyszkin zechce mnie przyjąć – odburknął równie mało życzliwie.

– Pan z gestapo? – zapytała złośliwie sekretarka.

– Nie, z Leningradu – mruknął i dodał, chcąc zakończyć tę słowną przepychankę: – Nazywam się Grzegorz Polański i przesyłam pozdrowienia od babuszki Aleksandry Mikołajewny.

– Nie rozumiem... – zaczęła sekretarka, ale Igor nie pozwolił jej skończyć.

– Miła pani, skończmy już. Proszę to powtórzyć prezesowi i zapytać, czy mnie przyjmie. To wszystko – powiedział stanowczo.

Kobieta zdjęła okulary i przez chwilę zastanawiała się, co zrobić, ale doszła do wniosku, że pójdzie i zapyta się, zamiast marnować swój cenny czas na dyskusje. Miała rację, prezes poprosił przybysza natychmiast. Gdy drzwi gabinetu zamknęły się, ojciec poderwał się zza biurka i szybkim krokiem podszedł do syna, po czym mocno go uściskał.

– Grzegorz Polański? W co ty się, mój synu, wpakowałeś? – powiedział wzruszony widokiem Igora.

– Witaj, tato. Jest wojna, wszyscy się w coś pakujemy. No, może oprócz ciebie. Widzę, że tutaj niewiele się zmieniło. Dalej jesteś fabrykantem i wyzyskiwaczem ludu pracującego. – Uśmiechnął się.

– Myślę, że ten lud pracujący codziennie się za mnie modli, że nie musi u Niemców pracować.

– Fiodor roześmiał się, ale momentalnie spoważniał. – Na pewno czegoś potrzebujesz...

– Tak, tato, i wybacz...

– Wybaczyłem ci już dawno, bo nie wiem, jaki miałeś wybór – westchnął Fiodor, po czym przybrał rzeczowy ton. – No, opowiadaj, z czym do mnie przychodzisz.

– Tato, jest taka jedna kobieta... – Młody Łyszkin niemal zaczął się jąkać, jakby nie chciał, aby ojciec rozpoznał, że jest zakochany. – Dobra znajoma. Straciła dom i mieszka w ruderze. W zasadzie wielu warszawiaków ma ciężkie warunki bytowe, ale ona kilka dni temu urodziła dziecko. Córeczkę. I nie może teraz mieszkać w takich warunkach... Ten wasz dom na wsi, w Bocianowie, rzadko tam bywacie, czy mogłaby się tam schronić?

– Żydówka?

– Nie... Ale jakie to ma znaczenie? – bąknął Igor.

– Właściwie nie ma, po prostu byłem ciekaw, w kim się zakochałeś. To moja wnuczka? – zapytał podejrzliwie stary Łyszkin.

– Nie, to nie moje dziecko. Ta kobieta jest mężatką, a jej mąż przebywa teraz za granicą. Tato, to Hanka Lewinówna, żona hrabiego Niechowskiego. – Igor postanowił powiedzieć prawdę.

– No, proszę, mój syn pomaga burżujce. – Uśmiechnął się. – A ja myślałem, że ty tylko kobiecie z proletariatu oddasz serce – ironizował Fiodor.

– Przecież Hanka to wiejska dziewczyna, która kiedyś śpiewała na urodzinach Antoniego Chełmickiego. Pamiętasz?

– Kto by spał... To była Hanka Lewinówna? No, być może. A więc nie pogrzebałeś ideałów, chociaż pochodzenie ma właściwie. – Stary Łyszkin nie przestawał podśmiewywać się z syna.

– To pomożesz mi, tato? – Igor zaczął się nieco irytować.

– Oczywiście, synu. Nie ma o czym mówić. Ale pod jednym warunkiem: odwiedź matkę. Chociaż na chwilę. Ona nigdy nie odetnie pępowiny, zawsze będziesz jej malutkim syneczkiem... Zresztą klucze od tego domu są u nas.

– Dziękuję, tato. Naprawdę... – Nie sądził, że pójdzie tak łatwo.

– W porządku, Igor. Tylko błagam, uważaj na siebie. I nie narażaj życia, jeśli nie musisz. Najlepiej zdekuj się razem z tą swoją kobietą na wsi i poczekaj na koniec wojny. Może ona odwiedzie cię od tej szalonej idei. A jak mąż wróci, to wtedy będziesz się martwił, co z tym fantem zrobić.

Igor Łyszkin był szczęśliwy nie tylko dlatego, że znalazł dla Hanki i Nadii miejsce do życia, ale także dlatego, że zobaczył ojca. Kochał go i szanował, chociaż tak wiele ich różniło. Miał jednak nadzieję, że pewnego dnia Fiodor Łyszkin przekona się do idei państwa komunistycznego i zrozumie, że to jedyna właściwa droga ku temu, aby na świecie zapanowała równość i sprawiedliwość.

W przeciwieństwie do ojca matka zareagowała niemal histerycznie, łkając mu w ramionach i zaklinając, aby został w domu. Igor jednak wybrał już swoją życiową drogę i ani rodzice, ani Hanka nie byli w stanie go z niej zawrócić.

– Synku, po co ci to wszystko? – szlochała Maria Łyszkin. – Trzeba jakoś przetrwać wojnę, a potem to kto wie, co będzie.

– Mamo... – westchnął Igor, ponieważ wielokrotnie próbował tłumaczyć matce swoje poglądy.

– Ja naprawdę wierzę, że ludzie mogą być równi i wszyscy żyć na podobnym poziomie.

– Igor – zwróciła się do niego niczym do niesforne go dziecka – twój ojciec wychował się w biednej rodzinie, gdzie rzucano monetą, którego z synów wykształcić, bo dla wszystkich nie starczyłoby pieniędzy. Gdy szedł zimą porą do szkoły, okręcał się starymi gazetami, żeby nie zamrznąć po drodze. Ale był ambitny, pracowity i dzisiaj jest fabrykantem. A jak ktoś jest leniem i obibokiem, to nic nie pomoże. To, co głośisz, jest piękne i wzniosłe, ale musiałbyś założyć, że wszyscy ludzie są tacy sami i myślą podobnie jak ty. Nie są i nie myślą tak jak ty. Musiałeś wyrzec się nas dla tych idei, ojca, matki, już chociażby to świadczy o tym, że ten system jest nic niewart.

– Mamo, nie wyrzekłem się was, ale nie chciałem narażać was na szykany, bo macie syna komunistę. Żyćcie jak chcecie, ja będę żył po swojemu – powiedział z naciskiem.

– A gdybyśmy teraz mieszkali w Związku Radzieckim i Stalin nakazałby zrobić z nami to, co z kulakami, po której stronie byś stanął?! – krzyknęła, zniecierpliwiona postawą syna.

– Miałbym nadzieję, że nie musiałbym wybierać, i sami zrozumielibyście, że to jedyna droga – mruknął niepewnie, bo wielokrotnie się zastanawiał nad podobną sytuacją.

Maria Łyszkin machnęła ręką. Jej syn był nieprzejednany i wciąż bardzo naiwny. Ona była przekonana, że system, w który wierzył jej syn, jest skazany na porażkę. Jej rodzina została ograbiona z ziemi, która od wieków należała do Dybowskich, jednak pewnego dnia ktoś postanowił, że powinno być inaczej, a oni znaleźli się niemal na dnie. Jakkolwiek przyjęła z pokorą fakt, że nagle stali się biedniejsi, bo pracować nadal nie musiała, a jej poziom życia nadal był zacny, tak na biznes swojego męża miała już nieco inne spojrzenie. Jej Fiodor nie był bogaczem z dziada pradziada, co dawałoby mu pieniądze i przywileje, ale zaczynał od zera i nie wyobrażała sobie, żeby nagle musiał to rozdać leniom i nieudacznikom.

– A zatem co cię do nas sprowadza? – zapytała podejrzliwie.

– Potrzebuję klucze od domu w Bocianowie – mruknął, uciekając wzrokiem przed czujnym spojrzeniem matki.

– Musisz się ukrywać? – niemal stwierdziła Maria Łyszkin.

– Nie, mam. Ojciec pozwolił, żeby tymczasowo zamieszkała tam moja znajoma, straciła...

– Nie dokończył, bo matka mu przerwała.

– Twoja sympatia?

– Nie, mam, po prostu znajoma – burknął.

– Nie chcesz, to nie mów. Ale, na Boga, uważaj na siebie. Nie przeżyję, jeśli coś ci się stanie.

– Znowu zaczęła łkać.

– Nic mi się nie stanie, mam. Przysięgam, nie dam się zabić przedwcześnie. – Uśmiechnął się, z ulgą przyjmując fakt, że matka nie docieka, kim jest Hanka.

Pożegnał się i ze ściśniętym gardłem opuścił dom rodzinny. Nie miał pojęcia, co go czeka i jak przeżyje wojnę, ale smutek w oczach jego matki kompletnie go rozkleił.

\*\*\*

Hanka dziwnie się czuła, powracając na wieś, gdzie kogut budzi o świcie, a pory roku są nierozdzielnie związane z ludzką egzystencją. Mimo że odwykła już od nieco spartańskich warunków i była urzeczona wielkimi miastami, takimi jak Warszawa, Paryż czy Mediolan, właśnie na tej głuchej wsi, w domu znajdującym się z dala od innych siedzib ludzkich, poczuła wewnętrzny spokój. Nie widziała ruin zbombardowanych budynków, niemieckich patroli ani ludzi z opaskami na rękawach. Nie słyszała

strzałów, głośnych niemieckich krzyków „halt” czy „hände hoch” i było jej po prostu dobrze. Dźwięki ptasiego świergotu, świerszczy ukrytych w łąkach, gdzieś muczenie krowy czy szczekanie psów. Obrazy spokojnego lasu, pól ogołoconych ze zbóż po żniwach czy majających w oddali bielonych chałup. I był Igor. Tak oddany, czuły i dobry. Piękna sielanka, w której wszystko jest poukładane i na swoim miejscu.

Gdy Hanka już się zadomowiła w nowym lokum, Igor musiał ją opuścić i powrócić do Warszawy. Czekają go zadania do wypełnienia, które nieco zaniedbał, rozkoszując się błogim życiem z Hanką i Nadią. Był już późny wieczór, gdy wszedł do pokoju, w którym Hanka usypiała córeczkę.

– Zasnęła już? – zapytał cicho.

– Tak, przed chwilą. Zaraz przyjdę.

Weszła do kuchni, gdzie naftowa lampa niemrawo oświetlała pomieszczenie i czuć było jeszcze zapach tłuczonych ziemniaków ze słoniną. Takich, jakie kiedyś robiła jej matka.

– Jutro o świcie wyjeżdżam, Haniu – powiedział ze smutkiem.

Hanka wiedziała, że kiedyś to nastąpi, i każdego wieczoru modliła się, żeby to nie było nazajutrz. Nie była pewna, co czuła do Igora, ale znaczył dla niej bardzo wiele. Nie chciała nazywać tego miłością, jakby bała się nazwać to uczucie. Lubiała jego szerokie, umięśnione ramiona, lekko skośne, jasne oczy i uśmiech. Wtulała się w niego, przekonana, że pewnego dnia, gdy dojdzie do siebie po porodzie, odda mu się cała. Mogła nawet słuchać o dzielnych komsomolcach, komunistycznych manifestach i Stalinie, który dla niej wcale nie był lepszy od Hitlera.

Usiadła powoli na krześle i spuściła głowę. Poczowała, jakby właśnie ogromny ciężar spadł jej na ramiona, bo nie wyobrażała sobie, że obudzi się następnego ranka, a Igora już nie będzie. Wiedziała jednak, że nie zdoła go zatrzymać. Nawet nie mogła mu nic obiecać, aby skusić go, by pozostał przy niej i Nadii.

– Nie chcę patrzeć, jak oddalasz się od domu. Proszę, wyjdź, kiedy będę spała. Wyobrażę sobie, że jesteś gdzieś w pobliżu... Igor, nawet nie wiem, jak mogę ci podziękować za to, co zrobiłeś. Byłam taka bezsilna, zagubiona. Kompletnie nie wiedziałam, co robić. Najpierw chciałam wrócić do Konstancji, potem pojechać do Niechowa, ale wszystko szlag trafił. W moim domu mieszka teraz jakaś rodzina Fischera, a w dworku została gosposia, która, nie mam pojęcia dlaczego, powiedziała, że mnie za próg domu nie wpuści. Chociaż może mam pewne podejrzenia, ponieważ rodzina szlachetnie urodzonych Niechowskich nigdy mnie nie zaakceptowała. – Hanka mówiła cicho, monotonicznie, jakby pozbyła się złudzeń, że kiedykolwiek będzie prawdziwą żoną hrabiego.

– Wiesz, jak możesz mi podziękować? Zaśpiewaj mi *Uliczkę w Barcelonie*. Pamiętam, jak ją śpiewałaś w Chełmicach na urodzinach Antoniego Chełmickiego. I to w takiej Hance się zakochałem.

Lewinówna uśmiechnęła się i zaczęła śpiewać: „Uliczkę znam w Barcelonie, pachnącą kwiatem jabłoni, bardzo lubię chodzić po niej, gdy już mnie znuży śródmięscia gwar...”. Z każdą zwrotką głos coraz bardziej jej się łamał, dodając piosence niezaaranżowanej nostalgii. Łyszkין siedział rozparty na krześle i wsłuchiwał się w jej głos, z lekko przymkniętymi powiekami wspominając pewien wieczór, gdy po raz pierwszy zobaczył Hankę. Jakaś nieznaną mu dotąd siła dławiła go za gardło, a łyżki uporczywie cisnęły się do oczu z żalu, że wtedy jej nie uwiódł. Teraz stała przed nim w prostej sukience, z włosami upiętymi w niedbały kok, i znowu nie mógł jej mieć. Wtedy miał nadzieję, dziś uświadomił sobie, że Hanka była jego tylko przez chwilę, która nigdy więcej nie powróci.

\*\*\*

Przez ciężkie zasłony w miodowym kolorze wpadał do sypialni Martina Grossa wąski strumień



światła. Lato powoli zbliżało się do końca, walcząc z nadchodzącymi jesiennymi chłodami nocy, ale dni wciąż były ciepłe i pełne słońca. Alicja cicho pochrapywała, od czasu do czasu uśmiechając się przez sen. Martin zastanawiał się, o czym śni jego kochanka. Ostatnio w ogóle zbyt wiele o niej myślał. Będąc w pracy, na spotkaniach czy hulankach w lokalu, łapał się na tym, że wyobraża sobie Alicję tańczącą w koszulce nocnej, co niekiedy czyniła specjalnie dla niego, lub idącą Krakowskim Przedmieściem, w zwiewnej sukience i butach na obcasach. Właściwie Alicja nie chodziła, tylko stąpała delikatnie niczym baletnica, chociaż nie była wcale taka wiotka. Potem widział ją oczami wyobraźni, jak pali papierosa, wypuszczając wąską smużkę dymu, maluje usta karminową szminką albo zapina pończochy. Tak, Alicja Ross zaprzętała myśli Grossa w sposób niepokojący.

Na początku lipca pojechał na krótki urlop do Hanoweru, gdzie miał dom, żonę i dwójkę słodkich dzieciaków. Za synem i córką stęsknił się bardzo, ale jego Ilse nagle wydała mu się odpychająca. Z trudem przemógł w sobie niechęć do niej i odbył krótki akt kopulacji, po którym niemal natychmiast wyszedł z sypialni. Ilse nie wyglądała jak Alicja, nie pachniała jak ona i zdawało mu się, że mimo dziesięcioletniego małżeństwa jest dla niego kompletnie obcą osobą. Tęsknił za swoją pozostawioną w Warszawie kochanką, za jej śmiechem, kształtnymi pośladkami, a nawet za jej cichym chrapaniem. Wracił do Polski z radością, chociaż gdy po raz pierwszy się tam pojawił po wybuchu wojny, miał ochotę od razu spakować manatki i wracać. Dopóki nie stanęła mu na drodze krnąbrna i bezczelna dziewczyna o zielonych oczach i krótkich, sięgających szyi włosach w kolorze orzecha laskowego. Nie traktował jej serio, zwykła kobieta do łóżka, tymczasem minęło wiele miesięcy, a on zamiast być coraz bardziej znudzonym, czuł coraz większą fascynację. Nie chciał, żeby spotykała się z innymi. Na początku wynikało to z dbałości o zdrowie, ale potem był najnormalniej w świecie zazdrosny. Cieszył się, że tak intensywnie uczyła się języka, miał nadzieję, że dzięki temu będą mogli lepiej się porozumieć. A to mogło oznaczać jedno: że i ona obdarzyła go namiętym uczuciem.

Alicja otworzyła oczy i uśmiechnęła się.

– Dlaczego mi się tak przyglądasz? – zapytała.

– Bo jesteś piękna, gdy śpisz... – wyszeptał Martin.

– Tylko dzieci wyglądają pięknie, gdy śpią. – Roześmiała się i dodała: – A ja chyba ten etap życia mam już za sobą.

– W takim razie jesteś wyjątkiem – stwierdził poważnie. – Cholernie mi na tobie zależy. Chyba się zakochałem.

Alicja usiadła na łóżko i również spoważniała.

– Martin... To nie tak miało być. Ty potrzebowałeś kobiety do łóżka, a ja mieszkania. Lubię cię, nawet bardzo, ale nie mogę dać ci niczego więcej...

– Miałem nadzieję, że i twoje serce się obudziło – bąknął z zasmuconą miną.

Ujęła jego prawą dłoń i skierowała blisko jego oczu.

– Wiesz, co to jest? Obręczka. A wiesz, co to oznacza? Że jesteś żonaty – powiedziała zimno. – Ty jesteś Niemcem, a ja *Untermensch*.

– Nie pleć głupstw! To wszystko jest do załatwienia. Wojna kiedyś się skończy... – powiedział stanowczo.

– W porządku. W takim razie zacznijmy od początku... Nie kocham cię, Martinie. I raczej nie pokocham. Mogę dać ci swoją obecność, rozkosz w łóżku i nic poza tym. Oboje wiemy, że na nic więcej nie możemy sobie pozwolić. Więc nie snuj planów na przyszłość, nie miej marzeń związanych z naszym wspólnym życiem. To się nie uda. – Alicja wstała z łóżka i zaczęła się ubierać.

Martin Gross zrobił to samo, bardziej zły niż rozczarowany. Alicja Ross nie zostawiła mu cienia nadziei.

– Martinie, poszukam sobie mieszkania i odejdę najszybciej, jak to będzie możliwe.

– Tak chyba będzie najlepiej – warknął Gross.

Nie chciał zmuszać do niczego Alicji Ross ani jej krzywdzić. Miała rację. Jeśli go nie kochała i nie dawała mu złudzeń, że się to zmieni, powinna jak najszybciej zniknąć z jego życia.

– Mogę ci pomóc... – przełamał się.

Podeszła do niego, uśmiechnęła się i pocałowała w usta.

– Nie trzeba. Poradzę sobie. I tak już mi bardzo pomogłeś. Daj mi tylko kilka dni.

– Oczywiście, zostań, dopóki sobie czegoś nie znajdziesz. Dzisiaj wieczorem nie czekaj na mnie – mruknął.

Nie czekała. Spała zupełnie spokojnie, gdy niemal nad ranem Martin wtoczył się do mieszkania, kompletnie pijany. Zapewne nadal by spała, gdyby nie to, że chwiejący się na nogach Gross strącił ze stolika w przedpokoju kryształowy wazon. Alicja miała wrażenie, że ktoś strzela, i dlatego zerwała się na równe nogi. Gdy zobaczyła, co się wydarzyło, zaprowadziła Grossa do łóżka, pomogła mu się rozebrać i przykryła kołdrą. Sama wróciła do przedpokoju i zaczęła zbierać potłuczone szkło. Tuż obok szafki, na której niegdyś stał wazon, leżała rzucona byle jak teczka. Alicja otworzyła ją i zaczęła przeglądać zawartość. Była przekonana, że załamany Martin poszedł po prostu się upić, ale jeśli miał ze sobą teczkę, musiał odbyć również jakieś służbowe spotkanie. W środku znalazła mapę Prus Wschodnich z zaznaczoną wsią Gut Görnitz. Potem wyciągnęła złożone plany jakiejś budowli z napisem „Zakłady Chemiczne Askania Nord”. Nie byłoby w tym niczego dziwnego, że Niemcy planowali jakieś inwestycje w Polsce, chociażby takie jak zakłady chemiczne, ale Martin pracował w Ministerstwie Wojny...

Pobiegła do pokoju i z bieliźniarki wyciągnęła aparat. Wykonała kilkadziesiąt zdjęć, schowała z powrotem aparat i zaczęła studiować pozostałe dokumenty dotyczące inwestycji. Była przekonana, że owa niewinnie brzmiąca nazwa kryła coś więcej. Sądząc z opisów, na tego typu przedsięwzięcie mury były zbyt grube, a pomieszczenia dziwnie brzmiące. Podejrzała, że w owej Gierłozie Niemcy planują wybudowanie fabryki bomb, materiałów wybuchowych albo innej broni. A jeśli myślą o lokalizacji daleko na wschodzie, to być może Stalin i Hitler przestali być przyjaciółmi?

Poczuła, że jej serce zaczyna mocniej bić. W końcu znalazła swoją przepustkę na wyjazd z kraju. Ta nieprzyjemna rozmowa z Martinem odbyła się w idealnym wręcz momencie. Jeśli odejdzie zgodnie z umową, przynajmniej przez kilka dni Gross nie będzie próbował jej szukać, a potem niech się dzieje, co chce.

\*\*\*

August wyciągnął dłoń pod stolikiem, ale nie otrzymał tego, czego się spodziewał. Sądził, że Alicja ma naprawdę coś zwalającego z nóg, jeśli chciała osobiście się z nim spotkać.

Alicja wyjęła z torby aparat i podała Augustowi.

– Co jest? – zapytał.

– Aparat jest pusty, ja mam film. A na nim bardzo ciekawe rzeczy. Niemcy planują wybudować w Polsce ogromny kompleks fabryczny. Najpewniej chcą produkować broń. Wiem gdzie. Mam zdjęcia planów, mapy i takie tam.

– To daj. – August zaczął się irytować.

– Masz dwa wyjścia, August: albo mnie zabijesz, albo dobrowolnie oddam wszystko w Londy-

nie – spokojnie powiedziała Alicja.

August roześmiał się.

– Mała cwaniara. A co z Grossem?

– Zostałam go i na razie nie mam po co tam wracać. Zatem jestem już tutaj nieprzydatna – bez troski powiedziała Alicja i wzruszyła ramionami.

– W porządku. – Uśmiechnął się. – I tak miałem cię tam wysłać. Musisz przewieźć jeszcze kilka mikrofilmów.

– To niebezpieczne zadanie... – mruknęła. – Ale rozumiem, że nie mam za bardzo wyjścia?

– Nie masz. W tym fachu, jeśli powiedziało się „a”, należy powiedzieć także „b”. Na pocieszenie powiem ci, że jadę z tobą. Któremuś z nas musi się udać.

– A jak to zrobimy?

– Dowiesz się w swoim czasie.

Kilka dni później wyruszyli na południe kraju. Według dokumentów byli małżeństwem folksdojczów wybierających się w góry, by pooddychać świeżym powietrzem. W dokumentacji lekarskiej było napisane, że Alicja musi dojść do zdrowia po paskudnym i źle leczonym zapaleniu płuc. Jej troskliwy małżonek oprócz bagaży wiozł ze sobą mały neseserek pełen lekarstw oraz dokumentację medyczną, na wypadek gdyby ktoś się nimi zainteresował. W pociągach dalekobieżnych często dochodziło do kontroli, najczęściej na granicach dystryktów. A im dalej na południe, tym większe zainteresowanie wzbudzali podróżni.

– Dokąd jedziecie? – zapytał żołnierz, wnikliwie przeglądając dokumenty.

– W góry. Moja żona... Tam ma pan wszystko napisane – mruknął August.

– Więc jedziecie do Chochołowa... Do sanatorium?

– Jakie tam sanatorium... Zakopane zamknięte. W letnisku się zatrzymamy. – August machnął ręką.

Żołnierz uśmiechnął się pod nosem.

– Tak, teraz to byle kto do Zakopanego nie wjedzie.

Alicja uśmiechnęła się słabo, zastanawiając się przez chwilę, czy brak makijażu sprawił, że wyglądała na wystarczająco chorą i słabowitą. Kontrolujący żołnierz nie zwracał na nią szczególnej uwagi, wymieniając banalne zdania z Augustem. Zapewne nie chciało mu się wszczynać żadnych awantur, dzień był niemal upalny, jeden z tych, w których lato uporczywie broni się przed nadejściem jesieni. Po kilku minutach zdudzony żołnierz odszedł, równie niemrawo kontrolując kolejnych pasażerów.

W Krakowie czekał na nich samochód. Nieco zdezelowana półciężarówka wypełniona starymi meblami. Usadowili się w niewygodnej szoferce i ruszyli w kierunku Zakopanego. Rozklekotany pojazd oraz liczne pagórki sprawiły, że Alicji zrobiło się niedobrze. Kierowca niezbyt chętnie zjechał z drogi i zatrzymał się na skraju niewielkiego zagajnika. Kobieta wysiadła i pobiegła w stronę lasu, by tam w końcu zwymiotować tuż obok bujnego świerka.

– A może ty w ciąży jesteś z tym szwabskim mętem? – zapytał ostro August.

Przez chwilę nie odzywała się, bo torsje wciąż nią targały. Nie brała pod uwagę takiej ewentualności. Bardzo uważała, aby nie zajść w ciążę, ale każdego miesiąca przeżywała istne katusze psychiczne z tego powodu. To było jak ruletka. Czasami zastanawiała się, czy chciałaby zostać matką i ta myśl nie była dla niej odstręczająca. Był jednak jeden warunek: pragnęła mieć dziecko z mężczyzną, którego kochała. Gdyby to był Julian, skakałaby z radości.

– Nie jestem w ciąży! – warknęła. – Ale nigdy nie lubiłam karuzeli.

– Bo, wiesz, to by skomplikowało masę spraw – spokojnie powiedziała August.

– Serio? – zapytała z ironią i dodała: – Zajmij się swoimi sprawami. Poradzę sobie.

– Jesteś zbyt cenna, żebym miał nie zajmować się twoimi sprawami. I tak sobie teraz myślę, że może gdybyś była w ciąży z tym szkopem, to byłoby to nawet pomocne dla naszej sprawy... Hm...

Odwróciła się w jego stronę i patrzyła szklistymi oczami na Augusta. Powiodła wzrokiem po jego twarzy i skupiła wzrok na szyderczym półuśmiechu. Sama nie wiedziała, czy bardziej nienawidzi Martina, wroga Polski, czy tego wymuskanego mydłka Augusta, alianckiego sprzymierzeńca.

Wyszczała:

– Ty gnoju, wystarczy.

Po chwili z całej siły uderzyła Augusta w twarz. Ten złapał się za policzek, nieco zszokowany, po czym ocknął się i złapał Alicję za rękę.

– Wsiadaj do samochodu, ty mała puszczalska zdiro. Dzisiaj w nocy sprawdzę, na co poleciał ten twój niemiecki absztyfikant – burknął.

– Wolalabym się przespać z gestapowcem niż z taką wyrachowaną świnią.

Przez pozostałą część drogi August i Alicja nie odzywali się do siebie, odpowiadając jedynie zdawkowo kierowcy, który próbował sypać dowcipami, by nieco rozluźnić napiętą atmosferę. Nie wiedział dokładnie, co zaszło, bo przez cały czas siedział w samochodzie, ale zobaczył policzek, który wymierzyła z impetem Alicja swojemu towarzyszowi.

Gdy dotarli do Chochołowa, zapadał już zmierzch. Alicja patrzyła w złowróżbne szczyty, które majaczyły na horyzoncie. Rzeźkie górskie powietrze sprawiło, że Alicja poczuła się zdecydowanie lepiej, a targające nią mdłości minęły bez śladu. To dało jej nadzieję, że nie zostanie matką dziecka, które spłodziła z nazistą.

Wieczorem, kiedy wokół nastala cisza, Alicja wyszła na taras willi, w której się zatrzymali, i zaczęła rozmyślać nad własnym życiem. Przez ostatnie lata przewinęło się przez jej łóżko wielu kochanków. I w końcu ten ostatni, Martin Gross. Czuły i troskliwy, nazista i okupant. Inteligentny i dowcipny, bezpardonowy najeźdźca. Jej uświęcający cel środek. A jednak nie potrafiła myśleć o nim źle. Kto wie, gdyby nie był Niemcem, może stanowiłby antidotum na jej złamane przez Juliana serce. Teraz jednak nie było sensu, żeby się nad tym zastanawiać. Może kiedyś, gdy wojna się skończy, inaczej spojrzy na całą sytuację, w tej chwili miała tylko jeden cel: przedostać się do Wielkiej Brytanii. A tam był Julian. Miała też okazję zrobić coś naprawdę pożytecznego. Martin Gross nie był sadystą ani barbarzyńcą, ale większość jego rodaków nie mogła tego samego powiedzieć o sobie. Wokół łapanek, wywózek i aresztowania. Jej przyjaciółka została pobita, podobnie jak Mosel, a teraz musiała się ukrywać. Wszystkich mieszkańców kamienicy, w której mieszkała, wywieziono albo na roboty, albo na Pawiak. Tyle zdołała ustalić. I to, że nie było jej wśród zatrzymanych. Miała trochę żalu do Hanki, że nie przesłała jej żadnej wiadomości, ale może to bydlę, jej brat, coś ukrywało.

Następnego dnia panował pozorny spokój. August i Alicja zjedli posiłki, pospacerowali po najbliższej okolicy, żeby nie rzucać się w oczy, i udawali przed gospodarzami parę dobrych przyjaciół. Musieli zebrać siły przed nocą, czekała ich bowiem przeprawa przez Tatry. Około dwudziestej drugiej oczekiwali przewodnika. Pierwotnie trasa miała przebiegać przez Orawę, ale odkąd schwymano kilku kurierów i uciekinierów, żandarmeria słowacka wzmocniła swoje patrole. A dostanie się w ich ręce oznaczało jedno – spotkanie z niemieckim aparatem represji.

– Czekają nas około dwudziestu kilometrów górskiej wędrówki, dasz radę? – zapytał August, bardziej z obawy o siebie niż z troski o los Alicji.

– Taniec pozwolił mi wyrobić żelazną kondycję, nie obawiaj się. W ciąży także nie jestem, moje mdłości przeszły jak ręką odjąć, jak tylko wysiadłam z tego rozklekotanego wehikułu. Obawiam się jednak o ciebie, zdaje się, że ostatnie miesiące przesiedziałeś w kawiarniach – odpowiedziała z sarkazmem Alicja.

– Wielu rzeczy jeszcze o mnie nie wiesz – burknął.

– Oświeć mnie, może odkryję w tobie jakąś zaletę – odcięła się.

– Kobieta pozbawiona zalet ma ochotę znaleźć je u innych, dobre sobie. Znajdź jakąś u siebie, to porozmawiamy.

– Jestem dobra w łóżku – warknęła.

– Jak przedostaniemy się do Londynu, chętnie sprawdzę – powiedział, po czym podszedł do niej i chwycił mocno za przegub dłoni. – Jeśli jeszcze raz mnie uderzysz, to nie ręczę za siebie.

– Oberwałeś, bo zachowałeś się jak cham – burknęła, urażona, i wyrwała dłoń z jego mocnego uścisku.

– Nazwałem jedynie sprawy po imieniu. Oczywiście, twoje igraszki z tym Niemcem bardzo się nam przydały, ale to nie zmienia faktu...

– Chyba znowu chcesz oberwać. Szantażowałeś mnie... – wycodziła przez zaciśnięte ze złości zęby.

– Musiałem, moja droga – westchnął.

– Nie musiałeś, po prostu tak było wygodniej.

– No właśnie, więc jeśli nie chcesz, żeby pan Chełmicki dowiedział się, co robiłaś w Polsce, radzę ci być dla mnie miłą. – Uśmiechnął się szyderczo.

– Niech cię diabli, sir August. – Zmrużyła oczy.

– Daj spokój, Alicjo. Pokażesz mi, czy w istocie jesteś tak dobrą kochanką, jak twierdzisz, i będziemy kwita. – Roześmiał się, po czym spoważniał: – Mikrofilmy są dobrze zabezpieczone?

– Tak, a twoje? – zapytała złośliwie.

– W porządku. Zdenerwowana?

– Trochę, to kawał drogi. Wiele rzeczy może się zdarzyć, a ze Słowakami też bywa różnie – powiedziała cicho.

– Zatem użyjesz swoich atutów – mruknął.

– Daj mi w końcu spokój. Traktujesz mnie jak dziwkę. – Alicja była coraz bardziej poirytowana.

– Mnie to odpowiada. Zastanawiam się tylko, jak można pogodzić wielką miłość, która trwa, odkąd urosły ci piersi, z taką rozwiążnością czy też swobodą zachowania, jeśli to pierwsze słowo cię obraża – zapytał zupełnie poważnie August, rezygnując ze swojego sarkastycznego tonu.

Alicja wzruszyła ramionami. Była kobietą i takie zachowania w nobliwych kręgach nazywano jednoznacznie. Gdyby nosiła spodnie, zapewne mówiono by o niegrzecznym hultaju, z przymrużeniem oka traktując tego typu poczynania. Może miała kochanków, w tym tego najbardziej kontrowersyjnego, ale ona po prostu wykorzystywała mężczyzn. Jeśli nie mogła mieć tego, którego kochała, musiała zadowolnić się tymi, których zsyłał los. Tak, szukała substytutu Juliana, nawet miłości, ale cóż z tego, kiedy jej głupie serce biło tylko do tego jednego.

– Jeśli nie mogę mieć tego, którego kocham, to co to za różnica? Byle nie był odrażający czy gburowaty. W nocy wszystkie koty są czarne – odpowiedziała.

Wyruszyli późnym wieczorem, ubrani w traperki, sportowe kurtki i spodnie. „Babka byłaby ze mnie dumna, że chodzę w spodniach – pomyślała Alicja, uśmiechając się pod nosem. – Niestety, za inne

sprawy urwałaby mi głowę”.

– A dyć sybciej, łyska się i duć zocyna, dysc bydzie – odezwał się przewodnik, niski góral o nieco krzywych nogach. – Bez huściawy i na pyrcie z latarkami idziemy, bez zarembki i hale po ćmie.

Szli miarowym, szybkim krokiem, od czasu do czasu zatrzymując się na chwilę, by wsłuchać się w dźwięki inne niż te, które były dziełem natury. Porywisty wiatr łamał gałązki, zmieniał się w otwartych przestrzeniach w świst, a pomruki nadchodzącej burzy mąciły ciszę. Alicja obawiała się, że przez to nie usłyszą maszerujących patroli, ale góral uspokoił ją, że jeśli aura zakłóca możliwość usłyszenia idących pograniczników, oni także są niesłyszalni dla innych.

Pierwsze kilometry nie były zbyt uciążliwe, ścieżki niezbyt strome, a płaskich terenów dość sporo, dzięki czemu mogli złapać oddech. Później zrobiło się trudniej, bo zaczął padać rześisty deszcz, który zamieniał szlaki w błotniste ścieżki, a turnie w śliskie i niebezpieczne miejsca.

– Kięsko... – mruknął góral. – Zaraz granica.

Byli już bardzo blisko granicy, gdy nagle błyskawica rozdarła ciemność i oświetliła ich sylwetki, niczym jupiter. Usłyszeli krzyki nawiązujące do zatrzymania się i światła latarek zmierzające w ich kierunku.

– Tamok! Chebojcie! – krzyknął przewodnik i skręcił w stronę skalnego urwiska.

Alicja i August szli niemal na czworakach, z trudem dotrzymując kroku zwinnemu niczym gazela góralowi. Gdy kolejna błyskawica rozświetliła okolicę, Alicja spostrzegła, że po lewej stronie mają strome urwisko i nieco dalej przepaść, która nawet w świetle błyskawic była jedynie ciemną czeluścią. Buty ślizgały się na mokrych kamieniach, co i rusz obsuwających się po urwisku pod ich ciężarem, a wilgotne dłonie z trudem chwyciły wystające skały.

– Ratunku! – Alicja usłyszała rozpaczliwy krzyk Augusta, a dosłownie po chwili łoskot ciała staczającego się po zboczach i głos niknący w czarnej przestrzeni.

Góral zatrzymał się i przeżegnał.

– Kruca fuks – mruknął pod nosem, po czym poklepał delikatnie po ramieniu Alicję i dodał: – Pon Bucek dyć tak chciał...

Alicja pomyślała przez chwilę, że los sam wymierzył sprawiedliwość Augustowi za sposób, w jaki ją traktował, nawet jeśli przyświecał mu szczytny cel. Później zrobiło jej się smutno. Stracił życie i chociaż go nie lubiła, nie życzyła mu aż tak źle. Nie mogła jednak pozwolić sobie na dylematy i rozważania, Augustowi nie można było już pomóc. Jeszcze niedawno zapewne dostałaby hysterii, ale zdążyła podczas tej wojny zobaczyć ludzi, którzy ginęli na jej oczach.

Drżąc z zimna i strachu, że może ją spotkać podobny los, ruszyła za zwinnym góralem, który mimo że nie stracił zimnej krwi, wciąż się oglądał, czy kobieta radzi sobie na mokrym od deszczu skalistym szlaku. Prowadzący Alicję przewodnik nie pierwszy raz stracił człowieka podczas przeprawy, ale każdorazowo przeżywał to, zaznaczając w swoim sercu cięcia, jak gdyby to on był odpowiedzialny za ich śmierć. Odradzał Augustowi przeprawę tej nocy, ale człowiek ten uważał, że może wygrać z naturą. Sprawność fizyczna, spryt czy wreszcie przekonanie o wielkim szczęściu zgubiły go i dodatkowo narażyły idącą z nim kobietę.

Gdy minęli granicę, znaleźli schronienie u znajomego Słowaka, który nazwał ich szaleńcami i głuptakami. Alicja dostała suche ubranie, nieco dziwaczne i zbyt obszerne, ale nie mieli czasu ani na odpoczynek, ani na to, żeby wysuszyć ich własną odzież. Zostali dostrzeżeni, a to oznaczało, że słowaccy pogranicznicy rozpoczną poszukiwania. Wiedzieli bowiem, że uciekinierzy znajdują schronienie u sąsiadów, których znali od lat. Alicja z przewodnikiem ruszyli więc na południe, starając się unikać

wsi i znanych szlaków, ale wędrówka już nie była tak dramatycznie trudna. Dotarli do Twardoszyna i tam kolejny znajomy Słowak zawiózł ich zdezelowaną półciężarówką do miasteczka, skąd mieli pociąg do Różniawy.

Gdy dotarli do stacji kolejowej, już świtało. Po góralu nie było widać zmęczenia, ale Alicja ledwo trzymała się na nogach. Teraz nawet nie musiałaby udawać chorej, tak jak w pociągu do Krakowa, bo jedno spojrzenie na jej twarz skruszyłoby serce każdego. Ale to nie tylko zmęczenie fizyczne odcisnęło na jej twarzy ból, ale także śmierć Augusta. Nie lubiła go i uważała, że szantażem zmusił ją do współpracy na rzecz brytyjskiego wywiadu, ale teraz poczuła ogromną samotność. Jej przewodnik niebawem ją opuści i powróci do siebie, a ona była zdana jedynie na siebie. Wiedziała, że w Budapeszcie musi się dostać na Váciutca. Tam powinna otrzymać dalsze instrukcje od łącznika.

W pociągu do Budapesztu trochę drzemała, to znów popadała w apatię i zamyślenie, żalując, że nie wyleguje się teraz w ogromnym łożu Martina. Po chwili jednak wróciła do rozmyślań na temat tego, kim naprawdę był Gross. Jednym z wielu oprawców, przez których ginęli ludzie, a jej ukochany musiał błąkać się na obczyźnie. Jakiś Węgier próbował nawiązać z nią pogawędkę, zapewne chcąc nieco rozbawić swoją smutną towarzyszkę podróży. Nie miała pojęcia, co do niej mówi w języku, który nie przypominał żadnego jej znanego, dlatego uśmiechała się półgębkiem, nie chcąc urazić i tym samym nie wzbudzić podejrzeń.

## 10. Budapeszt, 1940

Wysiadła na dworcu Keleti i zaczęła się rozglądać. Od Váciutca dzieliło ją pół godziny drogi, dlatego gdy tylko uzyskała informację, w którym kierunku ma się udać, ruszyła przed siebie. Spotkanie z łącznikiem miało odbyć się w jednej z małych kawiarenek przy tej reprezentacyjnej ulicy Budapesztu. Lokal odnalazła bez trudu. Była to niewielka restauracja serwująca specjały węgierskiej kuchni. Nie odznaczała się przesadnym luksusem, nie stanowiła też typowej jadłodajni dla ubogich. Do jej klienteli należeli urzędnicy średniego szczebla, personel banków, a także pracownicy ambasad, którzy nie pełnili zbyt eksponowanych funkcji. We wnętrzu pachniało świeżym pieczywem i papryką, zbliżała się bowiem pora lunchu. Restauracja mieściła kilkanaście małych, kwadratowych stolików, przykrytych białymi obrusami, a w tle słychać było niezbyt głośne dźwięki cygańskiej muzyki. Alicji zaburczało w brzuchu. Od poprzedniego wieczora nie miała nic w ustach, oprócz kubka ciepłego mleka, wypitego naprędce w domu przyjaznego słowackiego gospodarza. Miała nadzieję, że węgiercy współbracia dadzą jej się posilić, zanim wyruszy w kolejną podróż. Odnalazła kontuar niewielkiego barku pokrytego ciemnym, wypolerowanym drewnem i zapytała o niejakiego Gábora Farkasa. Dziewczyna stojąca za barem i wycierająca kieliszki do wina uśmiechnęła się jedynie i zniknęła za bordową kotarą zaplecza. Po kilku minutach ukazał się niski mężczyzna z przerzedzoną fryzurą i ciemnym wąsikiem, którego brzuch był równie okazały, co stojąca obok jednego z filarów beczka z winem. Wypowiedziała ustalone hasło. Farkas pokiwał głową i zapytał po angielsku:

– A gdzie August?

– Zginął w Tatrach. Ścigał nas patrol graniczny, musieliśmy zejść ze szlaku i... – odpowiedziała zmęczonym i zrezygnowanym głosem Alicja.

Gabór wznosił oczy ku górze i pokręcił głową, głośno wzdychając. Po chwili zapisał na małej karteczce adres i wręczył ją Alicji.

– Pójdzie pani do mojej żony, porozmawiamy, jak wrócę z restauracji. Odpocznie pani, zje coś. I niech pani już idzie – powiedział, niemal szeptem.

„A więc póki co nici z pysznego węgierskiego jadła” – pomyślała ze smutkiem i wyszła z lokalu. Zapewne Farkas chciał się jak najszybciej pozbyć dziwacznie ubranej kobiety w za dużym swetrze, z potarganą fryzurą i z turystycznym plecakiem na ramionach.

Na szczęście Molnar utca, gdzie miała się udać, znajdowała się nieopodal. Odnalazła wskazany adres i zadzwoniła do jednego z mieszkań trzypiętrowej kamienicy. Drzwi otworzyła jej młoda dziewczyna o ciemnych oczach i niemal czarnych włosach zaplecionych w gruby, sięgający bioder warkocz. Alicja stwierdziła, że nigdy wcześniej nie widziała tak pięknego stworzenia, i pomyślała, że dziewczyna musi mieć szalone powodzenie. Sądząc po wieku, musiała być córką Farkasa, który zapewne stracił włosy z troski o swoją piękną latorośl. Dziewczyna przeczytała kartkę, uśmiechnęła się promiennie, przedstawiła i zadała to samo pytanie, co jej ojciec:

– Mam na imię Aranka. A gdzie jest August?

Zarówno uśmiech Aranki, jak i jej ciepły głos były równie doskonałe, jak cała reszta. Tak jakby Bóg postanowił dać jednej osobie wszystko, co najdoskonalsze.

– August zginął podczas przeprawy – odpowiedziała lakonicznie Alicja, nie spodziewając się zbyt emocjonalnej reakcji dziewczyny. W końcu trwała wojna, a rodzina Farkasów była jedynie punktem kontaktowym i przerzutowym dla aliantów. Tymczasem Aranka zaczęła drzeć i patrzeć z ogromnym wyrzutem na Alicję. Oczy dziewczyny wypełniły się łzami, a usta zastygły na wpół otwarte w nie-



mym bezruchu. Po chwili dziewczyna złapała za ramiona Alicję i krzyżąc, zaczęła nią potrząsać.

– Nieprawda, że on nie żyje! Kłamiesz! Powiedz, że niedługo go zobaczę, powiedz mi prawdę

...

Alicja niewiele mogła zrozumieć z mieszaniny angielskiego i węgierskiego, zdołała jednak się domyślić, że przystojny August był dla niej kimś bardzo ważnym.

– Co tu się dzieje? – zapytała dojrzała kobieta, ukazując się w drzwiach korytarza.

Nie wiadomo, po kim Aranka odziedziczyła swoją niezwykłą urodę, bo jej matka była kobietą o zupełnie przeciętnej fizjonomii.

Dziewczyna rzuciła się w ramiona kobiecie i wciąż wyrzucając z siebie słowa, szlochała jak dziecko szukające matczynego wsparcia w obliczu życiowych tragedii. Kobieta zaprowadziła córkę do pokoju, a potem zajęła się gościem. Dała Alicji świeże ubranie, poczęstowała tłustym, ostrym gulaszem, a potem wskazała niewielki pokój, gdzie mogła się przespać. Kiedy Alicja posiliła się i umyła w małej łazience Farkasów, padła niczym nieżywa na twardy tapczan. Nie mogła jednak zasnąć, wciąż słysząc zza ściany łkanie pięknej Aranki. Już nie myślała o jej nietuzinkowej i absolutnie doskonałej urodzie, ale o jej cierpieniu po stracie ukochanego. Zastanawiała się, co zrobiłaby, gdyby to jej zakomunikowano, że Julian albo ktoś inny bliski nie żyje. Gdyby nie ta cholerna wojna, zapewne nie drżałaby ze strachu każdego dnia, a jej nowa znajoma nie szlochałaby, za wódząc niczym mocno okaleczone dziecko. Uświadomiła sobie, jak wiele ryzykowała, żeby raz jeszcze móc zobaczyć Chełmickiego.

Wieczorem, gdy już nieco odespała trudy podróży, a do domu powrócił Gabór, rozpoczęto planowanie kolejnych etapów jej wędrówki.

– Do Francji nie masz po co jechać. Tam wcale nie jest lepiej niż w Polsce. Całą Europę opanował Hitler i wcale nie wykluczone, że i u nas zacznie się panoszyć. Nasz rząd wciąż lawiruje z nazistami, próbując ugrać coś dla siebie, i kto wie, czy nie stanie po stronie Niemców, jeśli obiecają mu Transylwanię. Jutro masz spotkanie z Thomasem Coolmanem, na Węgrzech robi się gorąco, gestapo zachowuje się, jakby było u siebie, dlatego musicie udać się do Jugosławii. Z Thomasem ustalicie sposób przerzutu do Belgradu. Tam zapadną dalsze decyzje – powiedział Farkas, słowem nie wspominając o śmierci Augusta.

– Nie wiem, co wiózł ze sobą August. Boże, dlaczego musiał zginąć? – westchnęła, mimowolnie wchodząc na temat tragicznego wypadku.

– To był świetny agent, ale, niech mu Bóg wybaczy, też kawał skurczybyka. Tak rozkochał w sobie moją Arankę, że teraz kompletnie oszalała. A ona przecież niejednego może mieć, a nie takiego, co wpadał raz na kilka miesięcy i opowiadał, że w każdej stolicy ma dziewczynę – powiedział z westchnieniem.

– Nie był moim kochankiem – mruknęła Alicja.

– Moja droga, nie każda może to o sobie powiedzieć. – Farkas poklepał Alicję po dłoni. – Ale możesz to przekazać mojej córce, była bardzo zazdrosna o te wszystkie kobiety. O ciebie pewnie też.

Wieczorem Alicja cicho zapukała do pokoju dziewczyny. Aranka już nie płakała. Siedziała na łóżku, z podwinętymi nogami, wpatrzona w jeden punkt oczami pełnymi smutku i żalu.

– Przykro mi, Aranko – powiedziała. – Nie lubiłam Augusta i nie miałam z nim romansu, ale smutno mi, że cierpisz. Nie byliśmy w stanie go uratować, ale całą drogę mówił tylko o tobie – skłamała.

– Naprawdę? – Oczy Aranki rozblęły.

– Tak... – wyszeptała Alicja. – Mówił, że jesteś miłością jego życia i żadna kobieta nie była dla niego tak ważna, jak ty.

– Dziękuję. – Uśmiechnęła się smutno. – Teraz mi będzie lżej, wiedząc, że kochał mnie tak samo mocno, jak ja jego.

Alicja zostawiła dziewczynę samą z myślami o wielkiej miłości. Nie żałowała swojego miłosiernego kłamstwa, to nie miało znaczenia, że August nigdy nawet nie wymienił jej imienia, ale tej pięknej dziewczynie będzie teraz odrobinę łatwiej żyć z myślą, że wybranek odwzajemniał uczucie Aranki. Gdyby jej powiedziała, że był dziwkarzem i pozbawionym emocji draniem, zapewne nie uwierzyłyby, posądzając ją o zazdrość. Tak było lepiej dla wszystkich.

## 11. Warszawa, 1940

Emil Lewin był coraz bardziej zdesperowany. Berger kazał mu znaleźć i podać na tacy jakiegoś komunistę, tymczasem jedyne źródło możliwych informacji, czyli jego siostra, zniknęło. Zaczął zastanawiać się, czy nie złożyć donosu na przypadkowego człowieka. Zanim się okaże, że ów nieborak ma tyle z bolszewikami wspólnego, co on z jezuickimi zakonnikami, zyska na czasie i może odnajdzie siostrę. Postanowił jednak nadal obserwować antykwariat, z którego kiedyś wychodziła Hanka z jakimś podejrzanym typem. Nie mógł sobie do końca przypomnieć, ale wciąż wydawało mu się, że już gdzieś go widział. I wcale niewykluczone, że był to ów czerwony wielbiciel jego siostry.

Kilka razy nawet wszedł do tego antykwariatu, pokręcił się między półkami i nawet nabył parę książek, które z chęcią przeczytał wieczorami, gdy znużyły go igraszki z Adrianną. Właściciel przybytku, brzuchaty mężczyzna, był czujny i ani okiem nie mrugnął, gdy zagadywał go o dzieła Marksa czy Lenina. Nie dyskutował także o polityce, a uwagi dotyczące trudnego życia pod butem ciemnych kwitował udawanym zatroskaniem.

Pewnego jednak dnia szczęście uśmiechnęło się do Lewina. I to właśnie w chwili, gdy postanowił odpuścić sobie obserwację antykwariatu. Mężczyzna, który pojawił się w jego drzwiach, na pewno był tym samym, z którym niegdyś widział swoją siostrę. Poszedł za nim, trzymając stosowną odległość. Mężczyzna skierował swoje kroki w stronę placu Zamkowego, wybierając ciche boczne uliczki.

– Przepraszam pana – powiedział dość głośno.

Łyszkin odwrócił się i spojrzał na Lewina.

– O co chodzi? – mruknął Igor.

– Nie wiem, czy się nie mylę, ale wydaje mi się, że widziałem pana w towarzystwie Hanki Lewin. To moja siostra, a ja nazywam się Emil – powiedział słodko Lewin i wyciągnął dłoń w kierunku Łyszki.

– Grzegorz Polański – powiedział Igor i uściśnął prawicę Emila. Po chwili zapytał czujnie:

– A skąd pan mnie zna?

– Ach, to stara historia. Po prostu widziałem pana kiedyś za kulisami Czarodziejskiego Fletu – zablęfował. – Moja siostra zniknęła, nie mam pojęcia, co się z nią dzieje, zobaczyłem pana i pomyślałem ...

– Tak, znałem pańską siostrę. Ale dawno i krótko. Nie mam pojęcia, gdzie może teraz przebywać, ostatni raz widziałem ją jeszcze przed wojną. Jeśli jednak nie ma pan informacji, że nie żyje, to zawsze jest nadzieja. Teraz wiele osób znika bez śladu, mamy okupację – plątał się Igor.

– Tak, dzisiaj niczego nie można być pewnym... Przepraszam wobec tego za swoją śmiałość. Rozumie pan, takie czasy, człowiek chwytą się wszystkiego – westchnął Emil i oddalił się w kierunku Krakowskiego Przedmieścia.

Zniknął za najbliższym narożnikiem jednej z kamienic, by po chwili ponownie ruszyć za Igorem. Wiedział, że mężczyzna nie mówi prawdy. Przecież widział ich razem wychodzących z antykwariatu kilka miesięcy temu, a potem ulotnili się gdzieś. Zatem musiał coś kombinować. Gdy mężczyzna wszedł w Zapiecek, nagle zniknął w klatce jednej z kamienic. Emil zapamiętał adres i z ulgą zawrócił w kierunku Szucha.

Igor Łyszkin kręcił się niespokojnie po pokoju, co chwilę zerkając na wybrukowaną ulicę. Nawet nie słuchał porządnie tego, co mówią jego towarzysze. Nurtowało go spotkanie, do jakiego doszło godzinę wcześniej. Z bratem Hanki. Ten człowiek był dziwny. Przecież, gdy mieszkali jeszcze w ruinach na

Pradze, zostawił mu w skrzynce na listy informację dotyczącą Hanki. Napisał, że jego siostra jest cała, zdrowa i odezwie się, jak tylko to będzie możliwe. Tymczasem ten człowiek zaczepił go na ulicy i pytał o nią zatroskanym głosem. Więc albo informacja do niego nie dotarła, albo należało na niego bardzo uważać.

– Nie słuchasz, co mówimy – burknął jeden z kompanów siedzących przy stole. – Ktoś za tobą szedł, jesteś jakiś podenerwowany?

– Nie jestem pewny... – mruknął Igor. – Gdybym był, na pewno nie byłoby mnie tutaj.

– Jedziesz od razu do Moskwy? – zapytał kolejny.

– Tak, wyruszam jeszcze dzisiejszej nocy. Wy w tym czasie zmieńcie punkt kontaktowy. Brałczyk może być pod obserwacją. Przenieście go do Ursynowa, do Hajdukowej – zarządził Igor. – Magazyny dalej pozostają na Woli.

– To kawał drogi... – burknął jeden z kolegów.

– Jak wrócę, znajdziemy coś bliżej. Na razie muszę dostać się do Moskwy i nie mam czasu na szukanie kryjówki. Posłuchajcie, muszę wyjść na godzinę, chcę coś sprawdzić. Jak wrócę, będziemy mieli jeszcze trochę czasu, zanim opuszczę Warszawę – powiedział stanowczo Łyszkin.

Postanowił jednak sprawdzić Lewina i pójść do miejsca jego zamieszkania. Mógł w zasadzie od razu go zabić dla pewności, ale nie chciał zrobić tego Hance. Jak mógłby spojrzeć jej kiedykolwiek w oczy, gdyby podniósł rękę na jej brata?

Zanim dotarł do placu Zamkowego, zobaczył gazik z niemieckimi żołnierzami gestapo, jadący wąską uliczką wprost pod drzwi kamienicy, z której przed chwilą wyszedł. Łyszkin przeklął w duchu i pomyślał, że intuicja go nie zawiodła, a on jest idiotą, bo jej nie posłuchał. Stojący na świecy towarzysz zapalił papierosa, co miało być ostrzeżeniem przed nadciągającym niebezpieczeństwem. Igor miał nadzieję, że siedzący w mieszkaniu towarzysze zdążą uciec. Wyrzucał sobie, że nie kazał im od razu się zwijać, ale starał się myśleć racjonalnie, przecucia pozostawiając wróżkom. Nie musiał już udawać się do mieszkania Lewina, był teraz pewien, że jest kapusiem i powinien zginąć, nawet jeśli zraniłoby to Hankę. Był zdrajcą i konfidentem, a za to kara mogłaby być tylko jedna. Musiał jednak z tym poczekać, bo czekała go podróż do centrali NKWD przy placu Łubiańskim i spotkanie z samym Filippem Golikowem. Stalin już od jakiegoś czasu przestał ufać Hitlerowi i chciał zdobyć informacje, co kombinuje jego sojusznik. Obaj wiedzieli, że są zbyt silnymi osobowościami, żeby pewnego dnia nie skoczyć sobie do gardeł, by zdobyć władzę absolutną.

\*\*\*

Emil Lewin był zadowolony, Berger również. W ręce gestapo dostało się kilku bolszewików. Część z nich zdołała uciec, ale trzem się ta sztuka nie udała. Niestety, cało uszedł także przyjaciel jego siostry. Emil był przekonany, że w tym całym przedsięwzięciu człowiek ten grał pierwsze skrzypce. To, że podał mu fałszywe nazwisko, nie zdziwiło go. W końcu był Rosjaninem, a to też byli wrogowie Polaków, a i Niemcy podejrzliwie na nich patrzyli, posądzając każdego z nich o bolszewizm. Tak, Igor Łyszkin byłby z pewnością osobą, ze schwywania której Berger by się ucieszył.

Kolejne spotkanie z Bergerem tym razem odbyło się w jednej z aryjskich restauracji, co dobitnie świadczyło o ociepleniu relacji pomiędzy donosicielem a oficerem gestapo.

– To Igor Łyszkin jest w Polsce? – Berger potarł dłonie, jakby właśnie dobił intratnego interesu.

– A skąd ta pewność?

– Widziałem ich razem. Moją siostrę i jego. Nie byłem pewien, czy to on, ale teraz już jestem.

Spotkałem go kiedyś, jeszcze przed wojną, za kulisami teatru, w którym występowała Hanka. Szalał za nią, ale ona nie była nim zainteresowana. Tylko wtedy nazywał się Łyszkin, a teraz Grzegorz Polański – stanowczo powiedział Emil.

– A pańska siostra to też komunistka? – zapytał podejrzliwie Berger.

– Hanka? Uchowaj Boże! – Roześmiał się sztucznie, bo nie do końca wiedział, w co wpakowała się jego siostra. – Wyszła za prawdziwego hrabiego. Takiego z majątkiem i własnym herbem.

– A teraz gdzie jest?

– Nie mam pojęcia, ale zapewniam pana... – Nie dokończył zdania, bo oficer mu przerwał.

– Poszukamy jej i zapytamy. A tymczasem wyślę moich ludzi do jego ojca, starego, poczciwego Fiodora Łyszkina, który zapewniał, że syn jest w Leningradzie i nie miał z nim kontaktu od kilku lat. Nawet mu uwierzyłem, bo ma swoją fabrykę i chodzi do cerkwi, a to nie licuje ze światopoglądem jego syna. Myślę jednak, że gdyby jego synowi groziło niebezpieczeństwo, pomógłby mu – powiedział Berger i dodał: – Czy smakował panu obiad?

– Od dawna nie jadłem tak wytwornego posiłku. – Uśmiechnął się. – Martwi mnie tylko jedno... Okazałem się niezwykle pomocny, mam więc nadzieję, że mojej siostrze nie spadnie włos z głowy.

– Jeśli pana siostra jest niewinna, nie musi się pan obawiać. A jeśli dzięki panu dopadniemy tego czerwonego kryminalistę, to podobne posiłki będzie pan jadał dużo częściej.

\*\*\*

Gestapo zjawilo się w obszernej willi Fiodora Łyszkina późnym wieczorem. Pan domu miał na sobie satynowy szlafrok, a jego małżonka pogrążona była w lekturze. Oboje byli zaskoczeni wizytą gestapo nie tylko z uwagi na porę, ale w ogóle nie spodziewali się takich odwiedzin. Fiodor współpracował z rządem okupacyjnym, robił interesy z Niemcami i wydawało mu się, że może spać spokojnie. Tymczasem okazało się, że istnienie gestapo nie gwarantowało nikomu błogiego snu. Nawet Łyszkinom.

Gdy kilku mundurowych plądrowało luksusowy dom Fiodora, jeden z oficerów, niskiej postury blondyn o twarzy praskiego zakapiora, Jürgen Schwartz, rozpoczął przesłuchanie Fiodora Łyszkina i jego przerażonej żony.

– No i dlaczego pan kłamie, panie Łyszkin? My wiemy, że pana syn, Igor, jest w Polsce. Nawet w Warszawie. Trudno uwierzyć, że nie przyszedł odwiedzić rodziców – złośliwie powiedział oficer.

– Nie widziałem syna od tysiąc dziewięćset trzydziestego szóstego roku. Podobno przebywał od tego czasu na terenie Związku Radzieckiego. Nawet nie wiem, czy żyje – stanowczo odpowiedział Łyszkin. – Nie jestem Polakiem, tylko Rosjaninem, a z tego, co wiem, Związek Radziecki nie jest w stanie wojny z III Rzeszą, zatem proszę zostawić mnie w spokoju.

– Panie Łyszkin, my pilnujemy porządku i tropimy bandytów bez względu na ich pochodzenie. Jeśli popełniają przestępstwo na terenie zajęтым przez Rzeszę, ścigamy ich i karzemy – mruknął Schwartz, po czym podszedł do jednego z mundurowych stojących w drzwiach kuchni i zamienił z nim kilka zdań. Powrócił do jadalni, gdzie odbywało się przesłuchanie i ponownie usiadł na krześle. Popatrzył przesywającym wzrokiem na Fiodora, by chwilę potem przenieść wzrok na jego żonę, Marię.

– Wasza służąca mówiła, że macie dom na wsi – wycedził oficer gestapo. – Oczywiście zlokalizujemy go, więc może od razu państwo powiedzą, gdzie się znajduje i kto w nim obecnie przebywa.

Łyszkinowie wymienili krótkie, spanikowane spojrzenia. Hanka była im kompletnie obca, nie sądzili również, aby mogła zajmować się jakimiś podejrzanymi sprawami, będąc w połogu, ale nie byli wcale pewni, czy ich syna nie ma tam razem z nią.

– Tak, rzeczywiście, mamy dom na wsi. Nic wyszukanego, ot mała chałupka, do której lubimy wyjeżdżać latem, bo oboje z żoną kochamy przyrodę. Zresztą wychowaliśmy się na wsi – zaczął bez troski opowiadać Fiodor, ale oficer nie dał się zmylić.

– Do rzeczy, panie Łyszkin, do rzeczy – mruknął.

– Obecnie przebywa tam nasza znajoma, Hanna Niechowska, znana bardziej pod swoim pannieńskim nazwiskiem, Lewin. To przedwojenna gwiazda estrady, sławna nie tylko w Polsce. Występowała nawet w Berlinie. Niedawno urodziła dziecko, potrzebowała spokoju, więc odstąpiliśmy jej nasz wiejski dom. – Łyszkin starał się mówić jak najwięcej, bo wydawało mu się, że zdawkowe odpowiedzi mogą oznaczać dla przesłuchującego go oficera chęć ukrycia jakichś informacji.

– Czyje dziecko? – zapytał czujnie Schwartz.

– No jak czyje? Zapewne jej męża, hrabiego Niechowskiego – obruszył się Fiodor, chociaż sam zastanawiał się, czy przypadkiem nie został dziadkiem.

– A ten mąż? To gdzie jest teraz?

– Za granicą. Nie zdążył wrócić do kraju przed wybuchem wojny – stanowczo odpowiedział Łyszkin.

– Nie zdążył czy nie chciał?

– Nie mam pojęcia, co myślał hrabia Niechowski – odburknął już nieco poirytowany Fiodor.

– Dobrze, wobec tego zapytamy pana gościa. Zatem gdzie mieści się ta urokliwa chatka z piernika? – zapytał złośliwie Schwartz, a po chwili dodał stanowczo: – Panie Łyszkin, dowiemy się tego, czy pan nam to powie, czy ktoś inny. Nie ma sensu niczego ukrywać. Wasza służąca nie jest zbyt dyskretna.

– Bocianowo. To sześćdziesiąt kilometrów od stolicy – z westchnieniem odpowiedział Fiodor.

Ten gestapowiec miał rację, Pelagia, ich służąca, nie miała żadnych powodów, żeby ukrywać fakt posiadania przez nich domku na wsi. Znała także jego adres, bo gdy tam wyjeżdżali, ona wyruszała razem z nimi. Pelagia nie lubiła tam przebywać. Przyzwyczajona do luksusów willi, z niechęcią przystosowywała się do nieco spartańskich warunków. Z obrzydzeniem chodziła do sławki, z miną cierpiętnicy odganiała muchy i sarkała za każdym razem, gdy musiała sama upiec chleb. Zapomniała, że wychowała się niegdyś w równie ubogim domu, gdzie kąpano się w drewnianej balii, a mleko piło się prosto od krowy.

– Jeśli nas pan oszukał, panie Łyszkin, wrócimy. Jeśli nie znajdziemy pana syna, także wrócimy. Nie powinien go pan żałować, on przynosi panu wstyd. Bolszewik i terrorysta. To nie jest powód do ojcowskiej dumy – powiedział Schwartz, wychodząc wraz z żołnierzami z willi Łyszkinów, znajdującej się na Starym Mokotowie.

Przycisnąłby ich mocniej, ale nie był pewien, czy mu wolno. Zresztą miał nadzieję, że w Bocianowie odnajdzie tego, kogo szukał. Fiodor nie był w kręgu zainteresowania gestapo. Co innego jego syn, znany komunista, który powracał do Polski niczym bumerang, by siać zamęt i tworzyć bolszewickie szajki.

\*\*\*

Stara Maroniowa, miejscowa znachorka, nachylała się nad dzieckiem w kołysce, dotykała jego czoła, zginała drobne nóżki niemowlęcia i oklepywała z każdej strony, niczym ciasto na chleb, które za chwilę miało wylądować w piecu.

– Łe... – powiedziała. – Za trzy dni będzie zdrowa.

Hanka najchętniej zawiozłaby Nadię do jakiegoś lekarza, bo jej córeczka była cała rozpalona i od

kilku godzin bezustannie płakała.

– Skąd pani wie? – zapytała podejrzliwie staruszkę.

– A co to ja chorych dzieci nie widziałam? Naogładałam się ich przez sześćdziesiąt lat, to wiem ja dobrze, które zemrze, a któremu nic nie będzie. Okłady robić, na czoło, kark i pod kolana. I za kilka dni wydobrzeje. Nie rzezi, nie kasła, ot dzieci tak majom. Pani miastowa, to pani myśli, że tylko doktory się na chorobach znajom. Ale u nas lekarza nie ma, do najbliższego felczera mamy szesnaście kilometrów, to sobie musimy we wiosce sami z takimi chorobami radzić. No jak kto mocno nie domaga, to się starego Barzycha, felczera z Mrokowa, sprowadza, ale takimi gorączkami to sobie nikt głowy nie zawraca. O, co inne, jakby kark sztywny miała, no wtedy doktora trzeba wezwać. Niech się pani nie obawia, wiem, co gadam – uspokajała Hankę Maroniowa, która była we wsi ni to zielarką, ni to szarlatanką.

Gdy zatrwożona Hanka co chwilę zerknęła z troską w kołyskę, a Maroniowa snuła opowieści o chorobach, które ziołami wyleczyła, usłyszały, że przed domek w Bocianowie podjeżdża samochód. Zastygły w bezruchu, nie bardzo wiedząc, kto o tej porze mógł przybyć do Bocianowa. Po kilku chwilach usłyszeli odgłos otwieranych drzwi. Mundurowi rozbiegli się po izbach, a Schwartz podszedł do Hanki.

– Dokumenty poproszę – powiedział do niej ostro, nie zwracając zbytniej uwagi na dziecko. Przejrzał podany dowód osobisty i zapytał: – Gdzie jest Igor Łyszkin?

– Nie wiem – odpowiedziała szybko i w zasadzie zgodnie z prawdą. Pewnego dnia Igor wyjechał, a ona nie miała pojęcia dokąd.

Schwartz wymierzył jej mocny policzek.

– Nie kłam! On cię tu przywiózł, tak?

– Przyjechałam sama, z dzieckiem, z Warszawy. Poprosiłam Łyszkinów, żeby pozwolili mi tutaj zamieszkać przez jakiś czas. Moja córka... – zaczęła jąkać się Hanka.

Jej lęki i obawy nagle się ziściły i stanęła z nimi twarzą w twarz. A oblicze Jürgena Schwartz'a było wyjątkowo odrażające.

– Pani Lewin, pani nawet nie wie, komu pomaga. Rozumiem, płomienny romans, mąż za granicą, ale to przestępca, a takich należy wsadzać do więzień – wysyczał Schwartz.

– Igora Łyszkin'a ostatni raz widziałam przed wojną. Chyba w trzydziestym szóstym albo trzydziestym siódmym. Z tego, co wiem, mieszka, pracuje, a być może teraz służy w wojsku na terenie Związku Radzieckiego. Nie mam z nim kontaktu i nie zadaję się z bolszewikami – powiedziała dumnie, starając się opanować ściskający ją za gardło strach.

Schwartz pokiwał głową, jakby była krnąbrnym dzieckiem, które nie ma najmniejszych szans w starciu z dorosłymi.

– Proszę się spakować, pojedzie pani z nami.

– A moja córka? Jest mała, wciąż karmię ją piersią, ona jest chora... – zaczęła znowu dukać Hanka. W tym momencie bardziej była przerażona rozstaniem z córką niż tym, co może ją spotkać, gdy pojedzie do siedziby gestapo.

– Chce ją pani zabrać ze sobą? – złośliwie zapytał Schwartz.

Hanka zaczęła drżeć, po czym odwróciła się w stronę Maroniowej i popatrzyła na nią wzrokiem pełnym paniki.

– Weznię dziewczynkę do siebie. Nie martwi się pani – powiedziała cicho staruszka.

Hanka podeszła do kołyski i wyjęła z niej Nadię. Przytuliła kwilącą córkę do siebie i zaczęła płakać. Nie wiedziała, czy jeszcze kiedyś ją zobaczy. Nie miała wyboru, uznała, że w końcu i tak powie

o spotkaniu z Igorem, wyjawia tajemnicę antykwariatu i opowie o Jakubie Moselu. Jej córka była najważniejsza, a miłość do niej nie pozostawiała miejsca na wątpliwości. Musiała być przy Nadii za wszelką cenę. Nie wiedziała jednak, gdzie jest Igor. I z jednej strony dziękowała Bogu, że nie będzie musiała wybierać, z drugiej – gdyby знаła i wydałaby jego miejsce pobytu, mogłaby powrócić do swojej małej córeczki.

Włożyła do siatki ciepły sweter, bieliznę na zmianę, po czym ucałowała wciąż rozpalone czołko córeczki i zwróciła się do starej kobiety:

– Opiekuj się nią. Mam tylko ją... – wyszeptwała błagalnie i wyszła z chaty.

Wsiadła do samochodu wraz z przybyłymi gestapowcami i ruszyła na spotkanie niewiadomego.

Minęli wieś i wjechali na drogę prowadzącą do Warszawy. Tysiące myśli przebiegały jej przez głowę. I ta najważniejsza: co stanie się z jej córką, jeśli zginie, kto się nią zajmie. Tomasz był za granicą i nie wiedziała, co się z nim dzieje, Alicja miała swoje życie i Bóg raczy wiedzieć, gdzie była. Pozostał jedynie jej brat, Emil. Czy wychowałby Nadzię jak własne dziecko? Miała co do tego wątpliwości. Już szybciej powierzyłaby los córki w ręce Igora, gdyby tylko była tak możliwość. Uśmiechnęła się smutno. Jej córka miałaby zostać komunistką? Chodzić ubrana niczym mężczyzna i pracować równie ciężko, co oni? Ale bez względu na to, jaką drogę życiową wybrałaby Nadia, była pewna, że Igor zaopiekowałby się nią jak własnym dzieckiem.

Patrzyła na przesuwaną się za oknem samochodu ciemność i gorące łzy płynęły jej po policzkach. Była w stanie pogodzić się z nędzą, już kiedyś to przeżyła, w dzieciństwie i młodości, ale nie z rozstaniem z córeczką. Myślała, że spotkało ją to, czego się najbardziej bała. Nie była nawet w stanie zastanawiać się, kto w tej sytuacji mógłby jej pomóc. Może kochanek Alicji, a może Emil? Kiedyś znała wiele wpływowych ludzi, ale w tej chwili albo przebywali za granicą, albo już nic nie znaczyli. Wielu z nich zresztą zostało aresztowanych zaraz po wybuchu wojny i ślad po nich zaginął. Co miała mówić, co zrobić, żeby uniknąć więzienia i wrócić do Nadii? Biła się z myślami, ściskając w dłoni siatkę ze swoimi ubraniami, jakby w tym skrawku materiału szukała ratunku. Zaklinała rzeczywistość, modliła się o cud, żeby tylko zawrócić i znaleźć się w miejscu, gdzie przez ostatnie miesiące czuła się taka bezpieczna. Nie miała żalu do Igora, nie potrafiła. Mogli szukać kogokolwiek: jej męża, brata czy jakiegoś znajomego, każdy mógł być na celowniku gestapo.

W pewnej chwili Hanka przestała płakać. Tak jakby dopadła ją niemoc nawet do tej prozaicznej czynności, która oczyszczała i pomagała uporać się z trudnymi sytuacjami. Dopadła ją apatia, była bezwolna, bezradna i mogła jedynie czekać na nadejście najgorszego.



## 12. Fort William, 1940

Był wrześnieowy poranek, gdy Julian Chełmicki wraz z kilkunastoma kompaniami dotarli wojskową ciężarówką do szkockiego XIII-wiecznego Inverlochy Castle pod Fort William. Ta znajdująca się nad rzeką Lochy warownia robiła imponujące wrażenie i skojarzyła się Julianowi ze średniowiecznymi turniejami rycerskimi. Okalający zamek gruby mur był już nadgryziony zębem czasu, ale sprawiał wrażenie solidnej konstrukcji. Ich kwatery były prowizorycznymi barakami, w których spartańskie warunki miały być częścią hartowania nie tylko ciała, ale i ducha żołnierzy. Koce, śpiwory i menażki rozdzielała młoda dziewczyna o imieniu Carrie. Była bardzo przejęta swoją rolą, z którą nie do końca umiała sobie poradzić. A to nie mogła odnaleźć uczestnika na liście, a to zabrakło pryczy w sali lub dla odmiany zostawało jej zbędne wyposażenie. Miała w sobie jednak tyle wdzięku, że przybyli uczestnicy zgrupowania zorganizowanego przez Kierownictwo Operacji Specjalnych, jednostki stworzonej z inicjatywy Winstona Churchilla, wybaczała jej długie oczekiwanie i zamieszanie, jakie wprowadzała. Dziewczyna miała kręcone, obcięte do ramion włosy w kolorze miedzi, które połyskiwały w słońcu przedostającym się do wnętrza przez nieosłonięte niczym okno. Gdy kręciła przecząco głową, loki kręciły się wraz z jej okrągłą buzią i miało się wrażenie, że za chwilę będą wydawać dźwięki, niczym małe dzwoneczki poruszane wiatrem. Duże, zdziwione oczy w kolorze zielonożółtym nadawały jej kociego wdzięku, a nos pokryty piegami kojarzył się z małą niesforną dziewczynką, która właśnie narozrabiała i liczy na łagodną karę.

Julian Chełmicki pomyślał, że od bardzo dawna nie rozmawiał z żadną kobietą, oprócz ekspedientek w sklepach. Był w dobrym nastroju, bo w końcu coś zaczynało się dziać. Nie musiał spędzać długich godzin na dyskusjach i zamartwianiu się o bliskich w Polsce. Był żołnierzem i miał nadzieję, że kurs, na który przybył, pozwoli mu zrealizować plan powrotu do kraju.

– Panna Carrie chyba pierwszy raz kwateruje wojsko? – zagadnął dziewczynę.

Wzruszyła ramionami i odparła:

– Teraz kobiety muszą się zajmować takimi sprawami. Na wojnie każdy żołnierz jest potrzebny. Ale ci wojskowi to kompletni prostacy...

– Nie wszyscy, piękna Carrie. – Uśmiechnął się.

– Może pan jest wyjątkiem, ale cała reszta... Jedyne nadzieje, że na polu walki spiszą się lepiej. – Odwzajemniła uśmiech.

– Ćwiczenia nie będą trwały cały czas, może w wolnej chwili pokażesz mi okolicę? – Chełmicki zmniejszył dystans.

– Przyjechałam tutaj z Londynu. Nie mam pojęcia, jak wygląda okolica – mruknęła.

– To może razem wybierzemy się na rekonesans? Nie myśl sobie, że jestem bawidamkiem, po prostu chciałbym spędzić trochę czasu w towarzystwie miłej dziewczyny. – Julian chciał, żeby sprawa była dla dziewczyny jasna i nie robiła sobie złudzeń, że przyjechał do Fort William, żeby poszukać sobie narzeczonej i spędzać czas na flirtach.

– To samo powiedziało mi trzynastu rekrutów. – Roześmiała się.

– Nie ma tutaj zbyt wielu kobiet, doliczyłem się zaledwie kilku i żadna nie jest tak urodziwa, jak ty, więc zapewne dlatego tyłu cię zapytało o to samo przede mną i pewnie tyłu samo zapyta po mnie. – Julian także był rozbawiony flirtem z Carrie.

– No dobrze, możemy się zaprzyjaźnić. Ale proszę pamiętać, że mam narzeczonego, który teraz pewnie gdzieś skacze ze spadochronem – odpowiedziała Carrie.

– Słodka Carrie, o tym, że masz narzeczonego, pewnie rychło zapomnę, ale nie o tym, że w Pol-

sce czeka na mnie moja wybranka. – Kolejny raz posłał dziewczynie promienny uśmiech.

– To w takim razie dlaczego mnie podrywasz? – naburmuszyła się.

– Wyjaśniłem chyba, że chciałbym po prostu spędzić z tobą miło czas. A że omówiliśmy sobie pewne kwestie, nie musisz się mnie obawiać – powiedział spokojnie Julian.

Naprawdę tęsknił za damskim towarzystwem, kobiecą delikatnością i subtelnymi rozmowami. Nad resztą się nie zastanawiał, w jego sercu były dwie kobiety, Adrianna i Alicja, nie wiedział jednak, kiedy następnym razem je zobaczy.

– Jesteś Polakiem? – zapytała Carrie.

Chełmicki pokiwał głową i uśmiechnął się. Wiedział, że słodka Carrie powoli mięknie pod wpływem jego uroku.

– Świetnie mówisz po angielsku – przyznała z uznaniem.

– Uczyłem się tego języka, odkąd skończyłem pięć lat. Miałem prywatną nauczycielkę, prawdziwa zołza. – Roześmiał się.

– Co to znaczy „zołza”? – zapytała Carrie, marszcząc czoło, bo ostatnie słowo Julian powiedział po polsku, nie mogąc znaleźć adekwatnego określenia w języku angielskim.

– Ktoś okropny – odpowiedział cicho i dodał: – To jak będzie?

– Dobrze, po kolacji możemy przejść się nad Lochy – westchnęła Carrie.

Ten pierwszy dzień pobytu był na tyle spokojny, że Julian z ochotą odbył długi i fascynujący spacer wzdłuż rzeki. Rozkoszował się słodkim głosem swojej towarzyszki i z lubością wdychał zapach jej włosów. Pomyślał, że chętnie powtórzyłby takie spotkanie, żeby oderwać się chociaż na chwilę od myślenia o wojnie, walce i tego, co go czeka.

Jednak następne dni wykluczyły taką możliwość. Już od świtu katowano przybyłych żołnierzy ćwiczeniami, czołganiem pod zasiekami, wspinaniem się po ceglanych murach i bieganiem. Gdy wydawało się, że za chwilę nastąpi koniec treningu, dowódca nakazywał przebiegnięcie kolejnych okrążeń wokół polany. Wycieńczeni, padali na trawę, by chociaż na chwilę odpocząć, ale ledwie minęło kilka minut, zdających się sekundami, gdy słyszeli kolejny gwizdek nawołujący do następnych zadań.

– Zadanie numer jeden – odezwał się dowódca – nigdy nie wracacie do kwater przez bramę. Macie dostać się tam w sposób niezauważony. Za każde przejście przez bramę na oczach strażnika zapłacicie karę... Hm... niech będzie sześć pensów.

– To jak mamy dostać się do obozowiska? – zapytał ze śmiechem jeden z kursantów.

– To wasze zmartwienie. Po ciemku i po cichu – stanowczo powiedział dowódca.

– Cichociemni – zażartował ktoś.

– Podoba mi się to określenie. – Dowódca uśmiechnął się pod nosem.

Kolejne dni rozpoczynały się poranną zaprawą, aby uczestnicy kursu nabierali żelaznej kondycji, ale już następne ćwiczenia nie były tylko fizycznymi działaniami. Pod wieczór byli wywożeni kilkanaście kilometrów od obozu i wypuszczani bez żadnego rynsztunku. Celem było jak najszybsze dotarcie do punktu docelowego. Kursanci byli zbiorowiskiem żołnierzy różnych narodowości, ale każdy uczył się nie tylko angielskiego, ale i języków wroga. Rankiem strzelali do ruchomych celów ustawionych na rozległej łące, w południe pokonywali szlaki z pozoru nie do przebrnięcia, a po obiedzie wkuwali słówka i zwroty po niemiecku i rosyjsku.

– Ja za ten swój ruski to wylecę chyba – mruknął wysoki, błękitnooki duński żołnierz.

– Nam, Polakom, łatwiej nauczyć się rosyjskiego, bo wiele słów jest podobnych, ale za to wielu z nas kaleczy sobie język na szkopskim. – Julian uśmiechnął się do czołgającego się pod zasiekami

z drutu kolczastego kolegi.

– Ciekawe, dlaczego dzisiaj nie było obiadu? Churchill oszczędza na jedzeniu? – wysapał któryś.

– Już mi kiszki marsza grają, a do kolacji pewnie ze trzy godziny będzie.

– Podobno kolacji też nie będzie – mruknął Chełmicki.

– No nie... – jęknął głodny kolega.

Gdy ćwiczenia dobiegły końca, dowódca oświadczył:

– Kolacji też dzisiaj nie będzie.

Wśród zgromadzonych przebiegł jęk zawodu. Po wyczerpujących ćwiczeniach żołnierze nabierali apetytu i nawet nie przeszkadzało im jedzenie obrzydliwego gulaszu z puszki.

– Zaopatrzenie zrobiło sobie wolne. Trzeba poczarować Carrie, ona na pewno znajdzie jakieś suchary w magazynie.

– Żadne suchary, żadne czarowanie szeregowej Downey! – krzyknął dowódca. – Wasza kolacja znajduje się tam.

Major O'Mara machnął ręką w bliżej niesprecyzowanym kierunku.

– Gdzie? – wyrwało się jednemu.

– Tam. – Dowódca powtórzył swój gest.

Ponad czterdziestu mężczyzn, czyli wszyscy obecni, kolejny raz odwróciło wzrok w kierunku wskazanym przez O'Marę. Po chwili ponownie spoglądali na dowódcę, nie mając pojęcia, o czym mówi. Spodziewali się polowej kuchni albo chociaż ogniska, na którym mogliby upiec obrzydliwą wojskową kielbasę.

– W lesie. W tych gąszczach kryje się wszystko, czym jesteście w stanie się najieść. Pamiętajcie o czterech podstawowych zasadach: ogień, schronienie, woda i pożywienie. I to wszystko musicie sobie zorganizować. – Zerknął na zegarek i dodał: – Za pół godziny wyruszamy. Każda grupa dostanie swojego przewodnika. Bądźcie czujni, bo za dwa dni zmierzycie się z rzeczywistością. Bez przewodnika.

– No a co z tym jedzeniem? – Kolejny raz zapytał wygłodniały żołnierz, wzbudzając śmiech wśród kompanów.

– Możesz skosztować pochrzynu, ma ładne czerwone owoce – złośliwie mruknął dowódca.

– Słyszałem, że pochrzyn jest trujący – odezwał się cicho ktoś z grupy.

– W rzeczy samej. I dlatego musicie nauczyć się odróżniać leśne owoce, które was nasycą, od tych, które, w najlepszym razie, wywołają sraczkę. Ale całkiem poważnie, oset zawiera dużo węglowodanów, to będą takie wasze leśne ziemniaki, możecie go zamienić na łopian, oczywiście pokrzywę też można spożywać, jako herbatę. Dzika róża na deser – tłumaczył O'Mara.

– A co ja jestem, pierdolony królik? – wyrwało się jednemu z żołnierzy.

Kilku innych powstrzymywało się, żeby nie wybuchnąć śmiechem. Pytanie dosłyszał także dowódca.

– Króliki i wiewiórki to będzie wasze pożywienie. Musicie je złapać, zabić i zrobić z nich kotlety – powiedział.

– Tak czułem, że będzie coś króliczego – skomentował dowcipnie.

– Nauczycie się także rozpałać ognisko, które będzie mało dymiło, bo to może zdradzić waszą lokalizację. Zobaczycie, jak płoną różne gatunki drewna, jaka hubka jest najlepsza i jaka rozpałka. A spać będziecie w szałasach, które sami sobie zbudujecie. Niskie i naturalne. I niech mi tylko któryś zostawi go nierozbranego – ostrzegł O'Mara.

Pod wieczór wsiedli do trzech ciężarówek i zostali wywiezieni w nieznane im tereny. Samocho-

dy rozdzieliły się i każdą grupę wypuszczono w innym miejscu. Kręte drogi i częste rozjazdy sprawiły, że kompletnie stracili orientację. Nawet drogowskazy zostały zakryte, aby utrudnić zadanie kursantom. Pierwszy raz był stosunkowo prosty, bo przewodnicy dobrze orientowali się w trasie, którą sami przygotowali. Gorzej było, gdy podobne zajęcia odbywały się już bez kompasu w postaci doświadczonego dowódcy grupy i kompanów.

Dla Juliana Chełmickiego tego typu działania były nowością. Nawet walcząc w kampanii wrześniowej, miał wokół siebie innych żołnierzy, dowódców i przede wszystkim Karmazyna, konia, który potrafił sam doprowadzić go do obranego celu. Pierwszy szalas zawałił się na niego po dwóch godzinach snu. Wiewiórka kojarzyła mu się z Carrie i długo zwlekał, zanim obdarł ją ze skóry pokrytej rudawą sierścią. Oset kłuł go w podniebienie i jedynie jagody nie wywoływały w nim odruchów wymiotnych. Najłatwiej poszło mu z ogniskiem, umiał to robić od dzieciństwa, tylko tym razem nie podpalił żadnej szopy.

Inne zajęcia, takie jak strzelanie albo nauka cichego podrzynania gardła, szły mu bardzo dobrze, był w końcu żołnierzem od kilku lat, jeszcze zanim wybuchła wojna. Języków obcych czy alfabetu Morse'a uczył się niemal automatycznie, zapewne dzięki temu, że ojciec od najmłodszych lat bardzo dbał o jego edukację. Przez chwilę o nim pomyślał. Antoni nie uznawał walki. Nie lubił wojny, rozbiorów i zapewne okupacji, bo to komplikowało mu wiele spraw. Jego ojciec lubił robić pieniądze i czerpał z tego przyjemność. Ale nie tylko gromadzenie fortuny go uszczęśliwiało, potrafił z niej korzystać, organizując przyjęcia, podróżując i wreszcie oddając się swojej największej pasji – koniom. To dzięki ojcu rozumiał ich zachowania i pokochał te zwierzęta. Dlatego wybrał kawalerię, bo wiedział, że konie są niezawodne, przyjacielskie i silne.

Antoni Chełmicki nie uznawał podziałów na rasy, języki czy miejsca zamieszkania. Wojnę uważał za idiotyczny sposób łechtania zbyt wybujałego ego. Zdobywanie władzy poprzez trupy i ruiny uważał za wymysły chorych jednostek, które próbowały drastycznie leczyć kompleksy i zahamowania. Stary von Lossow miał inne zdanie. Uważał, że władza jest po prostu afrodyzjakiem, a nawet narkotykiem, który daje poczucie tak ogromnego spełnienia, że można posunąć się do wszystkiego, żeby posmakować tego stanu. I podobnie jak to bywa z morfiną, chce się jej każdego dnia więcej. Julian zaś optował za czymś pomiędzy. I jego ojciec, i von Lossow mieli rację, walka o władzę była konglomeratem tych wszystkich cech. Teraz jednak te rozważania niewiele znaczyły. W jego ojczyźnie panował wróg i z tego, co zdołał się dowiedzieć, nie kończyło się to jedynie na wprowadzaniu nowego porządku. Tak jakby celem Hitlera było nie tylko zdobycie terytorium, ale unicestwienie całego narodu polskiego. A on był Polakiem, żołnierzem i miał wobec swojego kraju i najbliższych obowiązki. Nie zastanawiał się nad górnolotnymi i patetycznymi określeniami, po prostu uważał, że musi robić to, co do niego należy, i przy tym nie dać się zabić. Wielu dowódców po kampanii wrześniowej po prostu strzeliło sobie honorowo w głowę, ale dla Chełmickiego było to objawem tchórzostwa. Nadzieja była zawsze, dopóki ostatni żołnierz nie złożył broni. Bez względu na to, ile trzeba będzie czekać, ten moment pokoju i stabilizacji musiał w końcu nadejść.

Samotna wędrówka, spanie niemal pod gołym niebem i pożywienie, które jadł tylko dlatego, żeby mieć siły iść przed siebie, wykończyły go. Dotarł do obozowiska i nieomal zapomniał, że nie wolno mu wejść przez bramę. Nie żałował kilku pensów na karę, na innych ona także nie robiła większego wrażenia, ale było to sposobem na wyrobienie w sobie nawyku nakazującego ciągle ukrywanie się i mylenie przeciwnika.

– A widzisz, gdybym była niemieckim żołnierzem, już dostałbyś kulkę w głowę. – Carrie roze-

śmiała się cicho, nakrywając Juliana na przechodzeniu przez płot.

– Ależ się przyczaiłaś. – Też się roześmiał. – Punkt dla ciebie.

– Unikasz mnie... – powiedziała, nadąsana.

– Carrie, jesteś najcudowniejszą istotą w całej Szkocji, skąd taki pomysł? Nie widzisz, że nie mamy tutaj chwili wytchnienia i jedyne, o czym marzymy, to o kilku godzinach porządnego snu na suchej pryczy i jedzeniu ciut lepszym niż na „kursach korzonkowych” – powiedział ciepło, bo w istocie nie unikał Carrie. Po prostu jego życie zdominowały treningi i szkolenia.

– Udowodnij! – Nie dawała za wygraną.

– Hm... Dobrze. To jutro nad rzeką, po capstrzyku. Tylko jeśli zarządzą nocne podchody, będziesz musiała wybaczyć mi moją nieobecność – powiedział Julian.

– Nie... Jutro przez cały dzień będzie was szkolił Connor. Przyjeżdża z Londynu i będziecie uczyli się wysadzać mosty, podkładać bomby i ćwiczyć takie tam wybuchowe kwestie. – Zachichotała.

– W końcu sobie odpocznę – mruknął.

– Tak, uważaj tylko, żebyś się za mocno nie rozerwał. – Znowu zachichotała.

– Postaram się zjawić nad rzeką z kompletem rąk i nóg – powiedział wesoło, po czym pożegnał rudowłosą Carrie i udał się do łaźni, aby zmyć z siebie grubą warstwę brudu.

Pułkownik James Connor był postawnym mężczyzną z pionową bruzdą na czole, co z pewnością było wynikiem częstego marszczenia czoła. Ów niewielki pasek dodawał twarzy Connora wyglądu surowego przywódcy, a mocno zarysowana szczęka sprawiała, że nikt nawet nie ośmielił się zażartować czy wypowiedzieć swojego zdania. Mimo ogromnej postury i miny wojownika jego palce były zwinne niczym u chirurga wykonującego skomplikowane operacje. Z matczyną wręcz cierpliwością tłumaczył, pokazywał i powtarzał.

– Musicie nauczyć się także działania w drugą stronę. Czyli rozbrajania. I pamiętajcie, saper myli się tylko dwa razy. Pierwszy i ostatni.

Rekruci bardzo poważnie potraktowali słowa Connora i to nie tylko z uwagi na jego sławetną bruzdę na czole, ale dlatego, że pomyłka mogła ich kosztować życie. Mieli świadomość, iż mogą polec w walce z wrogiem, jednak śmierć spowodowana wysadzeniem siebie w powietrze byłaby czystą ironią losu.

Wielogodzinne ćwiczenia zmęczyły Chełmickiego bardziej niż sprawdzian „korzonkowy”. Nad rzekę dotarł tylko dlatego, że obiecał to małej Carrie.

Wciąż trwająca bitwa o Anglię rozbudziła w żołnierzach z okupowanych krajów nową nadzieję. Samoloty Spitfire były najnowocześniejsze na świecie, a piloci z całej Europy najlepsi. Polacy także brali udział w walkach z niemieckim Luftwaffe. I chociaż wciąż donoszono o kolejnych zestrzelonych maszynach i ofiarach dzielnych pilotów, przewaga lotnictwa brytyjskiego stale była znacząca. Niemcy tracili coraz więcej samolotów ze swojej floty, choć ciągle była ona liczniejsza od brytyjskiej. Zlepek uciekinierów i ewakuowanych żołnierzy z całej okupowanej Europy rozbudzał ducha walki i dawał nadzieję na zwycięstwo. Dlatego Chełmicki i jego towarzysze z kursu dawali z siebie wszystko, aby być najlepszymi i z determinacją poddawali się wyczerpującym treningom.

Dziewczyna już czekała na niego, siedząc na zwałonym drzewie i wymachując nogami, niczym mała dziewczynka na ogrodowej huśtawce.

– Spóźniłem się? – zapytał.

– Nie, nie spóźniłeś się, to ja przyszedłam za wcześniej. Tęskniłam – powiedziała Carrie i zeskoczyła z pnia. Podeszła do Juliana i przytuliła się do niego. – Nie wiem, co będzie, gdy ten kurs się skończy.

Nie wiem, gdzie będę ja, a gdzie ty. Nie mam pojęcia, czy oboje przeżyjemy tę wojnę, a może żadne z nas. Podarujmy sobie chociaż jedną noc, ten jeden jedyny raz – wyszeptala.

Chelmskiemu, nie wiedząc czemu, przypomniła się Alicja. Ona także chciała spędzić z nim jedną noc. I skończyło się to katastrofą. Tę chwilę słabości umiał sobie jednak wybaczyć, Alicja była mu bliska, zajmowała jego myśli i pociągała go nie tylko jako kochanka. Tymczasem Carrie była jedynie miłą dziewczyną, z którą lubił flirtować, i nic poza tym.

– Carrie... – powiedział, zmieszany – to nie jest najlepszy pomysł.

– Wiem – westchnęła. – Ale lubię cię.

– Więc poprzestańmy na tym i bądźmy po prostu przyjaciółmi. Taka noc na pewno byłaby piękna, ale mogłaby wiele popsuć między nami. Poza tym nie chciałbym zdradzać swojej narzeczonej. Cholernie źle bym się czuł, baraszkując z tobą w łóżku ze świadomością, że moja ukochana cierpi z żalu i tęsknoty za mną – powiedział łagodnie.

– Skąd wiesz? Może już ma innego, a o tobie już dawno zapomniała? – Carrie nie dawała za wygraną.

– Nie mów takich rzeczy. Moja Adrianna to najbardziej uczciwa osoba, jaką znam. I gdy zdarzało mi się... flirtować z innymi – Chelmski użył bardzo eufemistycznego określenia na zabawianie się z prostytutkami. – ...czułem się paskudnie. Odkąd jednak została moją narzeczoną, nie pozwalam sobie nawet na to.

– A i to nieprawda, bo ze mną flirtowałeś. I to ty mi zaproponowałeś pierwszy spacer nad rzeką – z pretensją w głosie powiedziała Carrie.

– Tak, masz rację. Może nie powinienem. Ale od początku mówiłem, że to może być jedynie miła, niezobowiązująca znajomość. – Julian był uparty.

– Pamiętam żołnierzy wracających po klęsce w Dunkierce. Wycieńczeni, zdruzgotani i ze wspomnieniami umierających przyjaciół. Przynosiłam im wtedy do portu ciepłą herbatę, koce i jedzenie. Poznałam wtedy wielu z nich, ale zapamiętałam jednego. Miał na imię Ron. I wiesz, co mi wówczas powiedział? Że kiedy ocierasz się o śmierć w każdej minucie swojego życia, nie myślisz o swoich błędach i o tym, co zrobiłeś w życiu źle. Żałujesz, że wielu rzeczy nie zrobiłeś. Dziewczyn, których nie poderwałeś, filmów, których nie obejrzałeś, i wszystkich głupstw, których nie popełniłeś, chociaż miałeś na to wielką ochotę. Jest wojna i nie wiem, gdzie rzuci mnie los... Ale być może znajdę się w miejscu, gdzie, podobnie jak Ron, będę co minutę mijała się ze śmiercią. Nie chcę wtedy myśleć, że spotkałam pewnego przystojnego Polaka o zniewalającym uśmiechu i nie poznałam jego smaku, nie poczułam jego dotyku czy nie słyszałam, co mógłby mi mówić, gdyby się ze mną kochał.

W słowach Carrie była pewna mądrość. Ale czy on miałby podobne odczucia? A może zastanawiałby się w tych krótkich momentach nad chwilami, w których zachował się jak świnia? Może żałowałby dziewcząt, które zranił, ilości zupełnie niepotrzebnie wypitego alkoholu, przegranych w karty pieniędzy, zbędnych kłótni z Łyszkinem i Lossowem? Były takie rzeczy w życiu, dla których warto było zaryzykować. Istniała Alicja, dla której podjąłby tę grę z losem. Był przekonany, że gdyby znalazł się w sytuacji zagrożenia, żałowałby czasu, jakiego z nią nie spędził i nieistniejących wspomnień. Teraz jednak sytuacja wyglądała nieco inaczej. Nie wiedział, jaki ma stosunek do Carrie. Była bardzo ładna i pociągająca, a przy tym lubił ją i za nic nie chciałby jej skrzywdzić. Obawiał się, że chęć milej rozrywki, jaką niewątpliwie mogłaby mu zapewnić słodka Carrie, może się skończyć dramatycznie. Pomyslał, że flirt z rudowłosą Szkotką był błędem, ale nie potrafił do końca pozbyć się swoich nawyków, by oczarowywać dziewczęta, tak jak to mieli w zwyczaju z Walterem i Igozem. Nie tak również wyobra-

zał sobie ten spacer nad rzeką. Sądził, że pożartują, poopowiadają jak zwykle o swoich narodowych przywarach, a po godzinie rozejdą się do swoich kwater. Nie wiedząc czemu dopiero teraz uświadomił sobie, że dla Carrie zaczął być kimś więcej niż tylko miłym towarzyszem. Kolejny raz nie zauważył, kiedy kobieta przekraczała granicę, której on nie chciał przekroczyć. A może właśnie uświadomił sobie, że stał się już mężczyzną, który wyrósł z młodzieńczych zabaw, niczym małe dziecko z nocnika.

## 13. Belgrad, 1940

Alicja była zdenerwowana. Nawet nie miała ochoty słuchać, co ma jej do powiedzenia ten ulizany wymoczek, który flegmatycznie próbował jej tłumaczyć, że wyjazd do Wielkiej Brytanii nie jest w tej chwili możliwy.

– A Gibraltar? – warknęła, zniecierpliwiona przydługimi opowieściami o okupowanej Francji i zerwaniu przez nią stosunków dyplomatycznych z Wielką Brytanią, faszystowskich Włoszech i o tym wszystkim, co sama dobrze wiedziała.

– Ludność brytyjska już kilka miesięcy temu została ewakuowana do Maroka. Na razie nie mamy pomysłu, jak ich przetransportować do Wielkiej Brytanii. Może statki handlowe? – zapytał jakby siebie Malcolm Flaming i rozłożył bezradnie ręce. Po chwili jednak, widząc wykrzywioną grymasem twarz Alicji, dodał ugodowo: – Tutaj, na Bałkanach, jest nam pani bardzo potrzebna. Proszę oddać mi mikrofilmy, spróbujemy je przekazać, a tymczasem chcielibyśmy, aby pani wniknęła w tutejsze środowisko dziennikarskie i robiła to, co umie pani najlepiej, czyli zdobywała dla nas informacje.

– Panie Flaming, jechałam w bagażniku samochodu niczym worek ziemniaków nie po to, żeby zamienić Budapeszt na Belgrad, ale po to, by dostać się do Wielkiej Brytanii. Jeśli macie swoich kurierów, muszą istnieć jakieś szlaki przerzutowe – powiedziała z wyrzutem.

– Panno Alicjo, umieściliśmy panią w bagażniku tylko na czas przekraczania granicy. Tak było bezpieczniej dla pani. Nie chcieliśmy, żeby się ktoś panią zainteresował, zwłaszcza że wciąż posługuje się pani polskimi dokumentami. Węgry nie są już bezpiecznym krajem i kolaborują z Niemcami, podobnie jak francuski rząd Vichy. Coraz więcej podejrzanych typów kręci się po Belgradzie, bo Niemcy mają zakusy, aby przeprowadzić swoje wojska dalej na południe. Na razie Jugosławia trzyma się dobrze i nie ma zamiaru uczestniczyć w tych wojennych rozgrywkach, ale III Rzesza to potęga i złamie opór Belgradu. Jest tylko pytanie jak i kiedy. I pani pomoże nam na nie odpowiedzieć – próbował przekonywać Flaming.

– Panie Flaming, powiedziałam wyraźnie: albo Wielka Brytania, albo proszę pożegnać się z informacjami, jakie udało mi się zdobyć w Polsce. A teraz chcę, zgodnie z obietnicą Augusta, otrzymać brytyjski paszport – odparowała.

– Jest pani piękną kobietą, panno Rosinska, ale chyba nie myśli pani, że może dyktować warunki Koronie Brytyjskiej? – Malcolm uśmiechnął się złośliwie.

– Nie dyktuję warunków, tylko żądam wypełnienia obietnic. Miałam dostać się do Londynu, odbyć szkolenie, a potem być może powrócić do Warszawy. – Alicja był nieugięta.

– Sytuacja jest dynamiczna... – bąknął Flaming.

Alicja zakończyła temat. Dyskusja była bezsensowna, ponieważ Malcolm Flaming upierał się przy swoim stanowisku, niczym osioł. Nie do końca rozumiała jego upór, mogła przecież w każdej chwili odmówić współpracy. Tutaj szantaż, jaki zastosował August, po prostu by nie zadziałał. W Warszawie obawiała się przede wszystkim osądzenia o kolaborację. Dziwkom golono głowy, ale za inne rzeczy mogła dostać kulkę. Teraz jedynym atutem wywiadu był Julian Chełmicki, ale na Boga, równie dobrze wymyśliliby cokolwiek, żeby w jego oczach wyglądała jak zdrajczyni i pozbawiona zasad moralnych kobieta. Nie była święta, to prawda, ale gdyby nie musiała, nie posuwałaby się do pewnych rzeczy. Tak jak na przykład teraz. W końcu Malcolm też był mężczyzną i podobnie jak wielu z nich na świat patrzył przez rozporek. Postanowiła, że i tym razem wykorzysta swoje wdzięki.

Przez kilka następnych dni nie powracała do tematu. Robiła wszystko, czego chciał Flaming.



Udała się do wskazanej redakcji stołecznego dziennika, nawiązała stosowne znajomości i rozpoczęła proces uwodzenia Malcolma. Czyniła to w sposób na tyle wyrafinowany, aby ten nie przejrzał jej intrygi. Po tygodniu zaprosił ją na wykwitną kolację, następnego na spacer po deptaku Księcia Michała, a za kolejne dwa na burbona w swoim belgradzkim mieszkaniu znajdującym się przy Brankowej. Atmosfera przesiąknięta etniczną muzyką, zacisznymi kawiarenkami i piękną architekturą pozwalała Flamingowi oderwać się od ponurej wojennej rzeczywistości. Zrobił się romantyczny i szukał każdej okazji, by dotknąć dłoń Alicji albo otrzeć się o nią.

– Proszę, pomóż mi – powiedziała, gdy już byli ze sobą dobrze zaznajomieni. – Wiem, że to był twój pomysł, żebym tutaj została. Rządzisz komórką bałkańską. Jestem także przekonana, że masz w swoich eleganckich szufladkach piękny paszport brytyjski dla mnie.

– W istocie, to mój rozkaz – powiedział dumnie. – Uznałem, że jesteś zbyt mało doświadczona, żeby bezpiecznie dostać się do Anglii. Myślę także, że blefujesz i informacje, które przywiozłaś, nie są aż tak cenne, jak się wydawało Augustowi.

– W takim razie daj mi paszport i zwróć wolność – powiedziała przekornie Alicja.

– Mógłbym... – Zamyślił się. – Tak, w zasadzie mógłbym. Nawet jeśli dostałabyś się w ręce gestapo, twoja wiedza jest znikoma. August nie żyje, więc nie mogłabyś mu zaszkodzić. Ewentualnie nasi węgierscy przyjaciele mogliby mieć przez ciebie kłopoty, ale oni nie stanowią dla gestapo specjalnej wartości. Wiedzą tylko tyle, że mają pomagać uciekinierom z Polski czy Czech przedostawać się na południe...

– Więc co chcesz w zamian? – zapytała.

– To nie w tym rzecz. Po prostu uznałem, że tak będzie lepiej. – Malcolm wciąż upierał się przy swoim.

Alicja zrobiła nadąsaną minę, ale wiedziała, że awanturami niczego nie wskóra, Flaminga po prostu należało przekonać. Tego wieczoru pozwoliła mu na więcej niż zwykle, ale gdy tylko odrywał od niej dłoń, powracała do nurtującego ją tematu. Kiedy zbliżała się północ i zamierzała udać się do swojej kwatery, nędznego mieszkanca przy Crnogorskiej, zatrzymał ją gestem ręki. Podszedł do pancernejszafy i wyjął z niej kilka paszportów. Odłożył jeden i podał jej.

– Daisy Clark, urodzona w Aberdeen, w roku tysiąc dziewięćset dwudziestym, córka nauczyciela z lokalnego gimnazjum. Ojciec, typowy Angol, matka z korzeniami bałkańskimi. Studentka sławistyki w Belgradzie – powiedział spokojnie.

– Urodziłam się w tysiąc dziewięćset piętnastym... – mruknęła.

– Bez problemu odmłodzisz się o te kilka lat... Pojedziesz do Splitu. Tam zawijają między innymi statki handlowe. Niektóre płyną do Maroka, do Casablanki. Gdy tam dotrzesz, jeśli ci się uda, skontaktuj się z moim przyjacielem, Williamem Nortonem. Być może da radę przerzucić cię samolotem do Wielkiej Brytanii, a może wsadzi cię na kolejny statek. Mieszka w hotelu Excelsior. To niebezpieczna przeprawa, Brytyjczycy zatopili u wybrzeży Algierii flotę francuskich statków, więc Francuzi z chęcią dokonają akcji odwetowych, zatem uważaj. Nie szukaj małych kutrów, najpewniej pływający na łowiska rybacy cię okpią i wysadzą w jakimś zapyziałym portowym miasteczku na którejś z wysepek Królestwa Jugosławii albo wprost do morza, jeśli będą wyjątkowo drastyczni. Spróbuj dostać się na duży kontenerowiec zmierzający wprost do Casablanki. Większość Brytyjczyków już została ewakuowana, ale nie wszyscy, dlatego William Norton wciąż kieruje całą operacją. Oficjalnie. Nieoficjalnie jest naszym przedstawicielem w Casablance i będzie tak długo, dopóki ostatni mieszkaniec Gibraltaru pozostanie na terytorium francuskim.

Alicja wyciągnęła dłoń po paszport, obejrzała go dokładnie, jakby nie dowierając w jego istnienie, po czym pocałowała Malcolma w policzek i opuściła jego apartament. Udała się do swojej nory, spakowała do torby niezbędne rzeczy, przygotowała wygodne ubranie i położyła się do łóżka. Długo kręciła się w pościeli, nie mogąc zasnąć. Doskwierał jej upał, który wciąż panował w Belgradzie, jak również nie dawała jej spać adrenalina, która wybuchła w niej niczym gejzer, i gdyby mogła, natychmiast ruszyłaby w podróż. Za wszelką cenę postanowiła usnąć choćby na chwilę, wiedziała bowiem, że niebawem może nie mieć możliwości spania w wygodnym łóżku.

## 14. Split, 1940

Dotarła do Splitu późnym popołudniem, gdy słońce powoli chowało się za horyzont. Rozgrzane gorącym powietrzem miasto było senne, a życie zdawało toczyć się w zwolnionym tempie. Wysiadła na niewielkim dworcu i ruszyła w stronę centrum. Postanowiła poczekać do wieczora i dopiero wtedy poszukać okazji, żeby dostać się na statek płynący do wybrzeży Afryki. Miała paszport brytyjski, co zdecydowanie utrudniało jej podróżowanie po tym zakątku świata. Gdyby zdobyła dokumenty francuskie, do Casablanki mogłaby dotrzeć legalnie albo dopłynąć do Algieru i stamtąd udać się w dalszą drogę. Musiała jednak zrobić rozeznanie. Najlepiej nadawały się do tego liczne tawerny usytuowane w pobliżu portu, gdzie marynarze spędzali wieczory po zejściu na ląd. Były to miejsca podejrzane i niezbyt bezpieczne, ale Alicja była zdeterminowana. Poza tym nie wyobrażała sobie ciągłego czekania w Belgradzie, gdzie jak dotychczas wojna stanowiła bardziej sensację niż zagrożenie.

Nie zastanawiała się, co powie Julianowi, gdy go zobaczy, i nie miała pojęcia, co będzie dalej. Nie łudziła się, że Chełmicki zechce pozostać w Wielkiej Brytanii i nakryty kołdrą oczekiwać końca wojny, co z pewnością robił hrabia Niechowski, mąż Hanki. Wielka Brytania była również w stanie wojny z Niemcami, ale wróg nie zdołał wdrzeć się na jej terytorium, oprócz niewielkich wysepek okalających Królestwo. Mogła wrócić do kraju, z pewnością jej brytyjscy towarzysze byliby zachwyceni tym faktem, ale ona nie zamierzała ponownie rzucić się w ramiona Martina Grossa. Gdy go uwodziła, wydawało jej się, że sprawa jest prosta: zabawi się z nim, a potem w ramach wdzięczności za udane igraszki w łóżku poprosi o możliwość wyjazdu. Bez trudu mógłby jej pomóc przedostać się do okupowanej Francji, a stamtąd tylko kanał La Manche dzielił ją od Anglii. Tymczasem ona, zamiast zbliżyć się do punktu docelowego, coraz bardziej się od niego oddalała. Wydawało jej się również, że wywiad brytyjski ma dużo większe możliwości, aby przemierzać Europę. Była nawet pewna, że mają swoje szlaki i sprawdzone sposoby, ale Flaming najpewniej nie chciał ryzykować utraty żadnego z nich przez wpuszczenie nieodświadczonej agentki. Zatem pozostała sama, z brytyjskim paszportem w rękach. Na szczęście miała pieniądze, a to były dokumenty ważne na całym świecie.

Siedząc na tarasie jednej z restauracji, dotrwała do zmierzchu i ruszyła w stronę portu. Zbliżając się do nabrzeża, poczuła chłodną bryzę zatoki i zapach ryb, smarów i mokrego drewna. Wśród magazynów, zakładów usługowych i biur portowych o niezbyt wyszukany wygląd kryły się skromne tawerny, które można było zlokalizować po wydobywającej się z ich wnętrza muzyce. Weszła do pierwszej z nich. Wewnątrz było gwarno, wszędzie unosiły się kłęby dymu i czuć było woń taniej kuchni. Rozejrzała się dookoła i z ulgą stwierdziła, że w środku są także kobiety. Kelnerki i najpewniej portowe prostytutki, którym udało się zdobyć klienta i namówić na posiłek i kieliszek lokalnej śliwowicy. Przeszła między stolikami do drewnianego baru, wsłuchując się w rozmowy, by wyłowić te, które różniły się od lokalnego dialektu. Dotarła do kontuaru, za którym stał spocony mężczyzna i nalewał do kieliszków śliwowicę, zaś do małych bukłaków wino, a potem ustawiał wszystko na tacach, które w pośpiechu chwytaly rozneglizowane kelnerki.

– Mówi pan po angielsku? – powiedziała głośno Alicja, chcąc przekrzyknąć panujący w tawernie zgiełk.

– Ja mówię i po angielsku, i po włosku, a jak trzeba to i po turecku – odpowiedział łamaną angielszczyzną, szczerząc nieco szerniałe zęby.

– Potrzebuję znaleźć statek do Maroka! – wykrzyknęła. – Casablanka.

Spocony człowiek wrzucił ramionami.

– To w porcie trzeba pytać.

– Tutaj nie ma marynarzy? – zapytała, zdziwiona.

Mężczyzna zarechotał.

– Tutaj są sami marynarze. Wszyscy pijani. Ale nie wiem spod jakiej bandery i dokąd płyną. Ale jak do Maroka, to albo włoskie, albo tureckie, albo francuskie.

– A są jacyś Francuzi?

Barman rozejrzał się po sali i zmrużył oczy, jakby chciał cokolwiek zobaczyć w kłębach tytoniowego dymu.

– Idzie pani do Vladko Modriča. Tam dużo Francuzów. Tutaj Włosi i Turcy, o tam, pod ścianą, siedzi kilku.

– A gdzie znajdę Vladko Modriča?

– Niedaleko. Wyjdzie pani i pójdzie dalej, w stronę kapitanatu. Pozna pani tę budę, bo zielona jak sałata – wykrzyknął.

Alicja opuściła lokal i kryjąc się w cieniu budynków, ruszyła dalej. Mijała po drodze grupki marynarzy, którzy obcesowo albo próbowali ją zaczepiać, albo bez zbędnych wstępów proponowali spędzenie nocy. Udawała, że nie słyszy. Gdyby do jej uszu dotarł język francuski, pewnie przystanąłaby i zapytała o interesujące ją sprawy, ale tymczasem postanowiła sobie odpuścić inne narodowości. Dotarła do lokalu Modriča. Faktycznie drewniany, jednopiętrowy budynek był zielony niczym świeża sałata, a pomalowane niedbale napisy informowały przybyszy w kilku językach, że trafili do tawerny U Vladko, gdzie można tanio zjeść, napić się najlepszej śliwowicy i znaleźć równie tani nocleg. Pchnęła ciężkie drewniane drzwi. Wnętrze prezentowało się znacznie okazalej niż w poprzedniej knajpie. Były nawet schody prowadzące na antresolę, gdzie z pewnością mieściły się owe pokoje, które zachwalał Vladko na ścianie tawerny. Było tu również jaśniej i widać było, że właściciel przybytku starał się, aby wyglądało bardziej elegancko niż w innych tego typu lokalach. Sztuka ta udała mu się połowicznie, bo jakkolwiek obrazy na ścianach i ozdobne świeczniki rzeczywiście dodawały knajpie blisheitu, tak poplamione stoły, brudna podłoga i łuszcząca się farba na ścianach niweczyły te zabiegi. Jednak w przeciwieństwie do swojego poprzednika Vladko nawet nie próbował dukać w innym niż rodzimy języku, dlatego na migi zamówiła flakonik wina i przysiadła przy małym stoliku w głębi sali, rozglądając się czujnie dookoła.

– Można się przysiąść? – zapytał chwilę później młody mężczyzna z fajką w ustach.

Z pewnością odprawiłaby go, ale zapytał po francusku.

– Zna pan angielski?

– Słabo... ale nie chcę rozmawiać. Ty idź ze mną. Góra. Pokój. Ty robić miłość ze mną – powiedział stanowczo.

– Siadaj! – warknęła po francusku. Tyle potrafiła powiedzieć.

Mężczyzna chyba doznał lekkiego szoku pod wpływem stanowczego głosu dziewczyny, bo usiadł, niczym rekrut chcący przypodobać się dowódcy. Patrzył na nią ze zdziwieniem i czekał na ciąg dalszy.

– Dokąd pływasz? – zapytała, równie stanowczo, co poprzednio.

– Do Algieru – wydukał.

– Maroko? Casablanka?

Pokręcił przecząco głową i wstał od stolika. Chwyciła go za rękę.

– Kto pływa do Maroka? Pokaż. Pomóż mi – powiedziała, tym razem łagodnie.

– Marcel Poirot. Tam. – Wskazał ręką i zapytał: – A robić miłość? Ty ze mną?

– Spadaj – mruknęła i wstała od stolika.

Ruszyła we wskazane przez chłopaka miejsce. Przy długim stole siedziało czterech mężczyzn, pijących wino i śmiejących się głośno z opowiadanych dowcipów, których Alicja nie rozumiała.

– Marcel Poirot?

Najstarszy z mężczyzn, o szerokich ramionach i ciemnych oczach, przestał się śmiać i zmarszczył czoło.

– A kto pyta?

Alicja wyciągnęła do niego dłoń.

– Mam na imię Daisy. Szukam kogoś, kto pływa do Casablanki – powiedziała niezbyt udanym francuskim.

– Angielka?

Pokiwała głową.

– Proszę usiąść – powiedział po angielsku i dodał: – I niech się pani nie przejmuję, moi kompani nie znają angielskiego, chociaż niegdyś często pływali na Gibraltar. Teraz już nie...

– Tak, wiem. – Uśmiechnęła się nieznacznie.

Nie wiedzieć czemu ten mężczyzna budził w niej respekt i w stosunku do niego nie pozwoliłaby sobie na taką nonszalancję, jak w przypadku jego poprzednika.

– Coś pani przewieźć? – zapytał rzeczowo.

– Tak... Mnie – wydukała.

– Uuu... Trudna sprawa. To karalne.

– I opłacalne – powiedziała hardo.

– W rzeczy samej. Pięćdziesiąt dolarów. Tylko jedna uwaga: zanim wypłyniemy na Morze Śródziemne, musimy zawinąć do Triestu. A to może nie być bezpieczne. Często wchodzi na pokład celnicy, karabinierzy, cała ta włoska hołota.

– Rozumiem...

– No i nie dostanie pani kajuty z łazienką. Będzie musiała pani ukryć się w naszych magazynach żywności. W razie problemów powinna się pani zamienić w główkę kapusty. – Uśmiechnął się, pierwszy raz odkąd zaczęli rozmowę.

– Kiedy wypływamy?

– Pojutrze rano. Ale pani musi znaleźć się na statku już jutro. Wniesiemy panią w skrzyni z warzywami. Moi załoganci to Francuzi, Marokańczycy i Grecy. Porządne chłopaki, ale lepiej, żeby za dużo nie wiedzieli. Jutro o szóstej po południu będzie pani czekała na mnie u Vladko. Dzisiaj da pani nocleg, a jutro panią stąd wyniesiemy. I to dosłownie. – Kolejny raz się uśmiechnął.

Odwzajemniła uśmiech i pomyślała, że odnalezienie odpowiedniego kontaktu nie było wcale trudne. Marcel był na tyle uprzejmy, że sam zorganizował jej pokój, poszeptał coś z Vladko i resztę wieczoru oraz noc Alicja spędziła w obskurnym pokoju na piętrze, któremu nie pomogły ani obrazki na ścianach, ani kute świeczniki.

Następnego ranka zjadła śniadanie i pospacerowała po nabrzeżu. W przeciwieństwie do wieczoru w tawernie było niemal pusto, za to na zewnątrz kręciło się mnóstwo marynarzy, którzy ze zdziwieniem przyglądali się samotnie przechadzającej się kobiecie. Pomyślała, że spacer był głupim pomysłem, i powróciła do swojego pokoiku, który w świetle dnia prezentował się jeszcze gorzej niż przy blasku świec.

O osiemnastej została umieszczona w zatęchłej skrzyni, w której niegdyś zapewne przechowywano kapustę, bo gdzieniegdzie natykała się na lekko podgniłe liście. Niesiona niczym cesarzowa w lektyce, pół godziny później znalazła się pod pokładem statku. Z ulgą wyszła ze skrzyni, ale zapach magazynu wcale nie był lepszy. Marcel Poirot zaprowadził ją do małej kanciapy, gdzie mieściło się tylko wąskie łóżko polowe, przykryte szarym, zgrzebnym kocem. Gdy zamknęła drzwi pomieszczenia, przynajmniej odetchnęła, bo mimo małej powierzchni nie śmierdziało w nim tak potwornie. Było tam jednak tak klaustrofobicznie, że ledwo przetrwała noc, i poczuła ulgę, gdy dotarły do jej uszu pomruki silników. Za drzwiami słyszała krzyki, śmiechy i głośne rozmowy marynarzy, zazdroszcząc im swobody poruszania się po pokładzie. Patrzyła bezwolnie na ściany tej niewielkiej kajuty, to znowu wstała, chcąc rozprostować zastale mięśnie, by w końcu znowu znaleźć się z podkulonymi nogami na pryczy. Nie miała książek, gazet, niczego, nawet zegarka. Tylko od czasu do czasu zjawiał się Marcel albo jego kolega i bez słowa oraz w wielkim pośpiechu podawali zupę, herbatę czy kawałek ciemnego chleba. Z obskurnej toalety korzystała zaś dopiero, gdy ostatni z marynarzy opuszczał kuchnię.

Zawinięcie do portu w Trieście rozpoznała po milczących silnikach i ciszy panującej za drzwiami kajuty. Po kilku godzinach ruszyli dalej. Wydawało jej się, że statek płynie niemrawo, zbyt wolno i że spędzi pod jego pokładem następne dziesięciolecie. Chciała skupić się na jakichś pozytywnych myślach, snuć marzenia, ale nawet to przychodziło jej z trudem. Należała do osób ruchliwych, nigdy nie lubiła bezczynności, więc tym bardziej było jej ciężko znieść siedzenie w ciemnym, małym pomieszczeniu, gdzie zrobienie dwóch kroków stanowiło wyzwanie.

W pewnej chwili poczuła silne kołysanie. Jej prycza, a ona wraz z nią, przesunęła się na drugą stronę kajuty. Zaparła się nogami o ścianę, co pozwoliło jej utrzymać łóżko w jednym miejscu, jednak bujanie nie ustawało. Czowała, że żołądek podchodzi jej do gardła, i za chwilę z wymiotuje. Na chwiejnych nogach podeszła do drzwi i wyszła do magazynu. Główki kapusty turlały się po podłodze, a niektóre, niezabezpieczone skrzynki z łoskotem przesunęły się z jednego końca magazynu na drugi. Niemal na czworakach dotarła do toalety i trzymając się zapuszczonej umywalki, wymiotowała. Nie obchodziło jej, czy ktoś ją zobaczy, nie miała głowy do takich rzeczy. Jedynym jej marzeniem było opuszczenie tego cholernego statku, a przede wszystkim zakończenie sztormowego kołysania. Miała jednak wrażenie, że bujanie zamiast ustawać, wzmacnia się, co doprowadziło ją do kolejnych torsji. Nie mogła jednak bez końca siedzieć w obskurnej toalecie i postanowiła wrócić do swojej kajuty. Weszła z powrotem do magazynu i nagle zobaczyła sunący w jej stronę regał. Nie zdążyła nic pomyśleć ani w jakikolwiek sposób zareagować. Ogromny stelaż z półkami pełnymi skrzynek i pojemników runął wprost na nią. Świat zawirował przed jej oczami jeszcze bardziej niż kilka minut wcześniej, a potem ujrzała tylko ciemność.

## 15. Warszawa, 1940

Więzienna cela na Pawiaku, w której siedziała Hanka, nie różniła się niczym od innych jej podobnych. Była dokładnie tak samo odstręczająca. Dla Hanki jednak jej widok był niczym oglądanie końca świata. Szare, zawilgocone ściany, zakratowane małe okienko i brudne materace na pryczach. W jej celi, oprócz niej, były jeszcze trzy więźniarki. Gdy weszła, nie odezwały się ani słowem, tylko przyglądały jej się badawczo. Po kilku minutach jedna z nich powiedziała z głośnym westchnieniem:

– Chrystusie Królu, to przecież Hanka Lewinówna.

Dziewczyny natychmiast podeszły do niej i zaczęły ją obściskować, obmacywać, jak gdyby była duchem, a nie diwą, której głosu słuchały w radiu i oglądały w teatrach.

– Przepraszam, że cię nie poznałam, ale ostatnio, jak widziałam cię na plakacie, to miałaś długą, brokatową suknię, a na głowie diadem – powiedziała wysoka, chuda kobieta o ptasim nosie i blisko osadzonych oczach. – Jestem Czapła. To znaczy na chrzcie mi dano Władka, ale wszyscy na mnie mówią Czapła. Pewnie domyślasz się dlaczego.

Hanka pokiwała głową, z trudem przełykając ślinę i wciąż trzymając w rękach wyprawkę otrzymaną od kwatermistrza. Złożony koc, metalową miskę i łyżkę.

– Boguśka, odsuń się, niech się dziewczyna rozgości – warknęła Czapła do stojącej przy oknie kobiety.

Była to osoba w granicach trzydziestki, o mglistym spojrzeniu i krótko ostrzyżonych włosach. Najpewniej jej krótka fryzura była następstwem tyfusu, bo powoli odrastające włosy tworzyły na jej głowie bezładną strzechę. Ostatnia z więźniarek była dużo starsza, miała na nosie okulary w czarnych, grubych oprawkach i nazywała się Stefania Nowowiejska. Nie pozwalała na siebie mówić Stefka, nosiła wysoko głowę i była nauczycielką polskiego z przedwojennego liceum.

– Jak tutaj jest? – zapytała Hanka, cicho siadając na krześle.

– No na pewno nie jak na salonach – burknęła Stefania.

Czapła machnęła ręką.

– Nie słuchaj, co gada. Cały czas myśli, że ciągle wychowuje swoje uczennice.

– Od razu widać, że porządnej szkoły nie skończyłaś – powiedziała nieco urażona Stefania.

– No nie każdy się we dworku rodził – ze śmiechem powiedziała Czapła i dodała: – Jak tu jest? Jak w więzieniu i jak to się mówi, byle do dziewiątej.

– Dlaczego do dziewiątej? – zapytała Hanka.

– Bo jeśli cię nie wyczytają do dziewiątej, będziesz miała spokojny dzień. Przeważnie do tej godziny podają nazwiska. Na przesłuchania, na rozstrzelanie, na wywózkę... A dalej, no cóż... Ostatnia śpi przy kiblu, więc ma przesrane, dosłownie. – Zachichotała.

– Doprawdy, moja droga, mogłabyś używać mniej rynsztokowego języka – obruszyła się Stefania.

– Mieszkamy w rynsztoku, więc język akuratny – powiedziała Czapła.

– Co nie znaczy, że mamy nie zachowywać się godnie. – Nowowiejska wciąż była zniesmaczona.

– Weź, Stefka, przestań się mądrować. Jaka godność, jak koło kibla człowiek musi sypiać – warknęła Czapła.

– Im właśnie o to chodzi. Żebyśmy byli jak zwierzęta – burknęła Stefania.

– Za co cię dupnęli? – zapytała Czapła Hankę i dodała: – Już nie mogę tej megieri słuchać.

Hanka wzruszyła ramionami.

– Nie wiem, nie mam pojęcia... – powiedziała cicho.

– Myślałam, że nie chciałaś tym świniom niemieckich piosenek śpiewać – odpowiedziała Czaplą.

– Nie wiem, o co może im chodzić.

– Może to i lepiej. Bo jedna taka tutaj z nami była. Szukali jej narzeczonego. Podobno wiedziała, ale nie chciała powiedzieć. Po pierwszym przesłuchaniu nie miała paznokci, po drugim wrzucono ją do celi nieprzytomną, a po trzecim już się nie podniosła – złowróźnie powiedziała Czaplą.

Hanka drgnęła. Stefania spojrzała spod okularów.

– Nie strasz jej. Jak coś wiesz, to mów im wszystko. Wtedy nie zrobią ci krzywdy – powiedziała stanowczo.

Czaplą postukała palcem w czoło.

– Studia we Lwowie skończyła, a głupia taka, że żał słuhać. Ona myśli, że te cholerne świni mają jakieś skrupuły i te, które obrywają, same sobie są winne. Ciekawe, dlaczego tu siedzi. Pewnie za lewą rąbankę – zachichotała Czaplą.

Kobiety zaczęły się kłócić. Stefania używała eleganckiego języka, Czaplą dla odmiany nie przebiegała w słowach.

Nagle w drzwiach stanął wachmajster.

– Czego mordy drzeć? Cicho ma być, bo zreć nie dostaniecie.

– Już będziemy cicho – odezwała się Boguśka i gdy zamknęły się drzwi, zwróciła się do współwięźniarek: – Uspokójcie się. Te wasze kłótnie nie są nikomu potrzebne do szczęścia. Musimy trzymać się razem.

Tego dnia Hanka nie została zabrana na przesłuchanie. Zjadła pająkę ciemnego chleba i wypila z miski podłą czarną kawę. Przeszła się po betonowym placu, a gdy powróciła do celi, skuliła się na brudnym materacu i starała się nie myśleć o wydobywającym się z kubła smrodzie. Myślała o swojej córce, czy gorączka jej przeszła, czy śpi słodko. Starła się nie zastanawiać nad tym, co ją czeka. Gdyby wiedziała, gdzie jest Igor, wydałaby go. Z bólem serca, wielkim żalem, ale zrobiłaby to. Jej córka była ponad wszystko. Nigdy wcześniej Hanka nie doznała podobnych uczuć, jak te, którymi obdarzyła swoje dziecko. Była niczym lwica gotowa rozszarpać każdego, kto chciałby je skrzywdzić. Nawet Igora. Cudownego mężczyznę, który bezgranicznie ją kochał, a i w niej budziło się uczucie do niego. Tak jakby od lat była głodna, a gdy się zjawił, nakarmił ją swoją miłością. Tak, ta cała sytuacja miała swoją dobrą stronę. Nie musiała wybierać...

Następny ranek rozpoczął się pobudką o szóstej rano, sprzątaniem celi i podłym śniadaniem. Zaraz po nim weszła strażniczka, otyła kobieta o nalanej twarzy, i ostro zapytała:

– Które chcą iść na pralnię, do pracy?

– Ja – odpowiedziała Hanka jako jedyna.

– Ty nie. Ty pojedziesz na przesłuchanie. Zaraz po ciebie przyjdzie Ingrid.

Nie znalazłszy chętnych do pracy, opuściła celę, wcześniej kopiąc w kubel na nieczystości, który niebezpiecznie się zachybotał. Od razu kobiety podbiegły do kubła i zajrzały pod klapę. Znalazły tam przyklejoną zwiniętą w mały rulonik kartkę.

– To na pewno do Czaplą – burknęła Boguśka i powróciła do patrzenia w okno.

Dziewczyna rozwinęła kartkę, przeczytała, po czym włożyła do ust i połknęła. Po chwili uśmiechnęła się.



– Mój Kazek żyje. Uciekł z transportu.

W tym momencie drzwi celi otworzyły się i stanęła w nich młoda kobieta o pięknych jasnych włosach i piegowatej twarzy.

– Niechowska! – krzyknęła.

Hanka podniosła się z pryczy.

– To ja – wydukała.

– Idziemy – warknęła strażniczka i obie opuściły celę.

Hanka szła za kobietą, czując się tak, jakby za chwilę miała zemdleć. Wiedziała, że czeka ją przesłuchanie. Nasłuchiwała się wystarczająco w celi na ten temat, by czuć paniczny strach. Bicie, szarpanie za włosy, wrywanie paznokci...

Na dziedzińcu czekała na nich furgonetka. Ingrid skuła Hankę, podobnie jak pozostałe więźniarki, i wepchnęła do wnętrza. Po kilkunastu minutach samochód wjechał za bramę siedziby gestapo przy alei Szucha. Funkcjonariusz czekający przy wejściu szarpnął Hankę za ramię, po czym, ściskając je niczym w imadle, powłókł ponurym korytarzem. Otworzył drzwi do jednego z pomieszczeń. Wewnątrz stało proste drewniane biurko, dwa krzesła, szafa i nic więcej. Gołe ściany, zakratowane okno i siedzący na jednym z krzeseł Jürgen Schwartz.

– Siadaj! – rozkazał.

Hanka usiadła na krześle i położyła dłonie na udach. Milczała.

– Słynna Hanka Lewinówna... dama warszawskich scen... żona hrabiego Niechowskiego, tak? – bardziej stwierdził, niż zapytał Schwartz.

– Tak – odpowiedziała cicho.

– Piękna biografia... I tylko nieco popsuta przez zjadłego wroga III Rzeszy, Igora Łyszkina, czyż nie? – powiedział Schwartz.

– Łyszkiniowie byli moimi znajomymi przed wojną. Wtedy po raz ostatni widziałam również Igora Łyszkina. Wiem, że studiował w Leningradzie i nie miał zamiaru wracać do Polski – bąknęła.

– Pani Lewin – westchnął Jürgen – naprawdę myśli pani, że ciągnęlibyśmy kobietę w połogu z Bocianowa, gdybyśmy nie wiedzieli, że widziała się z nim pani całkiem niedawno?

Hanka milczała. Nie wiedziała, czy iść dalej w zaparte, czy może przyznać się do spotkań z Igorem już w czasie wojny. Nie zdążyła rozważyć dylematu, bo Schwartz wstał zza biurka i uderzył ją w twarz. Potem kolejny raz. Chwilę potem podszedł do szafy, otworzył ją i przez kilka minut przyglądał się jej zawartości. Następnie wyciągnął z niej pałkę obleczoną skórą i kilka razy świsnął nią w powietrzu. Powoli podszedł do krzesła, na którym siedziała Hanka, i zaczął ją bić. Po twarzy, głowie i szyi. Nie trwało to długo i Schwartz ponownie usiadł za biurkiem. Patrzył na zapłakaną twarz Hanka i zaczął mówić spokojnie:

– Po co ci to? Chronienie bandyty? Masz dziecko, masz dla kogo żyć. Jesteś piękna i utalentowana, a Łyszkini to zwykły kryminalista. Nawet nie Polak. Rosjanin. A wiesz, do czego są zdolni Rosjanie. To barbarzyńcy i nienawidzą Polaków. Popatrz, niby taki kochaś, a szybko cię znaleźliśmy. A wiesz dlaczego? Bo go kompletnie nie obchodzisz. Więc powiedz, co wiesz, bo nie warto kryć kogoś, dla kogo jesteś zerem. To gdzie on teraz jest?

– Nie wiem. Przysięgam, że nie wiem – odpowiedziała cicho Hanka.

Zdegustowany Jürgen Schwartz pokręcił głową.

– Więc zrobimy tak... Powiesz nam, kiedy go ostatni raz widziałaś?

– Mówiłam...

– A ja ci mówiłem, że wiemy więcej, niż ci się wydaje. Przestań więc być tak głupio uparta! – krzyknął Schwartz.

– Mówię prawdę – mruknęła.

– Naprawdę? – Roześmiał się i podniósł słuchawkę stojącego na biurku telefonu. Wykręcił numer i powiedział do słuchawki. – Hans, podjedźcie do Bocianowa... Tak, tam, gdzie zgarnęliśmy tę komunistkę. Znajdźcie dziecko tej kobiety. Niemowlę. Jeśli będziecie mieli problem, możecie spalić całą okolicę, ale dziecko ma trafić do Warszawy. Wyruszyście za trzy godziny.

Hanka zerwała się z miejsca.

– Tylko nie moja córka, błagam, zostawcie ją w spokoju! – krzyknęła błagalnie.

– Siadaj! I mów! Albo nigdy więcej nie zobaczysz swojego dziecka – powiedział ze złością Schwartz.

– Antykwariat na Brackiej, mieszkanie na Brzeskiej piętnaście, w ruinach kamienicy. Nic więcej nie wiem. Igor Łyszkin zniknął miesiąc temu. Nie powiedział mi, dokąd się udaje, po prostu wyjechał. Ma tutaj przyjaciela, Jakuba Mosela, Żyda i komunistę. Ze swoją rodziną w Polsce nie rozmawia od lat, nie wiem, w jaki sposób zorganizował lokum w Bocianowie. Pomógł mi, bo zakochał się we mnie dawno temu. Niczego więcej wam nie powiem, bo niczego więcej nie wiem – powiedziała cicho i spuściła głowę.

– Informacje masz nieco nieaktualne, ale powiem ci, że nawet ci wierzę. I nawet w to, że ten bandzior stracił dla ciebie głowę. Może dostanie szau, gdy się dowie, że przez niego dostałaś się do więzienia. A wtedy popełni błąd. Wyjdiesz stąd w dniu, w którym Igor Łyszkin zajmie miejsce, na którym teraz siedzisz.

Jürgen Schwartz w istocie wierzył Hance. Zarówno lokal na Brackiej, jak i na Brzeskiej istniały naprawdę, ale widocznie Łyszkin nie ufał swojej wybrance zbyt mocno, bo przeniósł kryjówki komunistów gdzieś indziej. Schwartz jednak wiedział, że wcześniej czy później go dopadnie, a Hanka Lewin-Niechowska będzie świetną kartą przetargową.

\*\*\*

Café Club jak co wieczór wypełniony był po brzegi oficerami Wehrmachtu, SS i gestapo. Jedzenie było najsmaczniejsze w całej Warszawie, a na gościnne występy przyjeżdżały nawet gwiazdy z Berlina i Monachium. Emil Lewin bez trudu wszedł do lokalu, widziano go tutaj nie raz w towarzystwie Bergera. Tym razem jednak brat Hanki był czymś bardzo poruszony i nie zagadał do portiera, jak to zwykle miał w zwyczaju. Nie zostawił nawet płaszcz w szatni, tylko powłócząc nogami, wszedł na salę. Właśnie dotarły do niego informacje, że jego siostra trafiła do więzienia. Nie był z Hanką związany emocjonalnie tak bardzo, jak powinien, i wykorzystał ją do realizacji własnych celów, ale nie mógł znieść myśli, że przez niego siedzi na Pawiaku, a jej dziecko jest teraz nie wiadomo gdzie. Nie spodziewał się takich konsekwencji. Hanka miała talent, urodę, śpiewała w lokalu dla Niemców, był przekonany, że jej znajomość z tym bolszewikiem jest jedynie damsko-męską relacją i nic poza tym. Jeśli ten komunista miał trochę oleju w głowie, a przy tym odrobinę ciepłych uczuć wobec jego siostry, nie wciągałby jej w jakieś niebezpieczne rozgrywki i spiski przeciw okupantowi. Dlaczego zatem ją zamknęto, mimo składanych mu obietnic? Emil miał nadzieję, że było to jedynie nieporozumienie, które niebawem się wyjaśni, a jego siostra odzyska wolność. Miał jej za złe, że uciekła razem z tym draniem, ale mogło być to oznaką paniki, w jaką wpadła, ujrawszy gestapo wchodzące do jej kamienicy. Jego siostra bardzo źle znosiła okupację. Żyła podszyta irracjonalnym lękiem, że spotka ją coś złego ze strony

Niemców. Czy wyjdzie po chleb, czy do pracy. Nawet we własnym domu nie czuła się bezpiecznie, wciąż roztaczając katastroficzne wizje dotyczące przyszłości jej i dziecka. I to głównie takie zachowania Hanka dawały pewność Lewinowi, że jego siostra nie mogłaby uwikłać się w nic ryzykownego.

Kriminalkommissar Berger spożywał właśnie krwisty stek i zapijał wybornym piwem, gdy ujrzał naprzeciwko siebie Emila Lewina, który przysiadł się do stolika, jakby co najmniej byli zaprzyjaźnieni. Odstawił kufel, oparł sztucce o talerz i popatrzył z niesmakiem na intruza. Chciał w spokoju zjeść kolację, a potem popatrzeć na występ Gertrudy Blank, pieśniarki, która przybyła wprost z Berlina.

– Byliśmy umówieni, Lenin? – zapytał opryskliwym tonem.

Emil nie zamierzał bawić się w kurtuazję i od razu wypalił:

– Obiecał pan, że mojej siostrze nic się nie stanie.

– Powiedziałem, że jeśli jest niewinna, nie powinien pan się o nią martwić. Musi pan jednak wiedzieć, Lenin, że pana siostra ma kilka grzechów na sumieniu, między innymi udział w spisku wymierzonym przeciw Trzeciej Rzeszy. W dodatku ukrywała pod swoim dachem komunistów. Sam pan przyzna, Lenin, że to dość poważne zarzuty – powiedział spokojnie Berger.

– Moja siostra była w zaawansowanej ciąży, nie sądzę, żeby... – zaczął Emil, ale Berger nie pozwolił mu skończyć.

– Panie Lenin, chce pan powiedzieć, że nasi funkcjonariusze się mylą?

– Wypuście moją siostrę, proszę – powiedział cicho.

– Wypuścimy... W swoim czasie.

– Błagam... Ona jest niewinna – wyszeptał Emil.

– To się okaże. – Berger niezbyt przejmował się losem Hanka Lewin, natomiast irytował go ten Polaczek, któremu się zdawało, że może psuć wieczór oficerowi gestapo.

– Nie będę więcej z wami współpracował – rzucił zdesperowany Emil.

– Wynoś się, Lenin, póki nie straciłem cierpliwości. Inaczej każę cię wyprowadzić. A wtedy możesz się znaleźć bardzo blisko swojej siostry – wysyczał Berger.

Emil Lewin wiedział, że już nic więcej nie wskóra. Opuścił lokal i zaczął iść szybkim krokiem, aby zdążyć do domu przed godziną policyjną. Pogoda nie sprzyjała spacerom, dlatego podniósł kołnierz długiego, ciemnego płaszcza i patrząc w chodnik pod nogami, przemierzał kolejne metry. Usłyszał cichy śmiech i zerknął na wiszący plakat. Z daleka wyglądał jak kolejne obwieszczenie władz okupacyjnych, ale z bliska można było dojrzeć karykatury najważniejszych ludzi Hitlera i jego samego w charakterze piłek golfowych, którymi zabawiali się polscy żołnierze. „Idioci, mało im przelewania krwi” – pomyślał z przekąsem Lewin i nawet nie zbliżając się do słupa ogłoszeniowego, szedł dalej w kierunku placu Grzybowskiego.

Kilka minut później lunął deszcz, ale Lewin zdawał się tego nie zauważać. Odczuwał coś, co dotychczas było mu obce – wyrzuty sumienia. Hanka nigdy nie zrobiła mu krzywdy, wychowała się w takiej samej biedzie jak on, a teraz gnła na Pawiaku. Przez niego. Podał ją na tacy Bergerowi, bo ten chciał zasłynąć jako pogromca bolszewików i sabotażystów. Obcy ludzie go nie interesowali, ale Hanka była jego siostrą. Jediną rodziną, jaką miał. Tymczasem ta zepsuta dziwka, Adrianna, spała w jego wygodnym łóżku i mimo trwającej wojny myślała jedynie o nocnych igraszkach. Była głupia i ograniczona jak jej matka. Tak jakby życie składało się jedynie z potrzeb fizjologicznych, które należy zaspokoić w najłatwiejszy sposób. On także myślał jedynie o luksusowym życiu, za każdą cenę, nawet bycia szwabskim popychadłem, ale w sobie tego nie potępiał. Łatwiej i wygodniej było mu pogardzać innymi, bo nie myślał wówczas, że on jest taki sam. I dopiero, gdy zamknięto Hankę, naszła go jakaś głębsza

refleksja. Ale co by było, gdyby nie nakrył jej z tym bolszewikiem? Przecież Berger kazałby go wyrzucić na bruk, a on nie miałby dokąd pójść. Mieszkanie Hanki na Nowym Świecie było już zarekwirowane, podobnie jak willa w Konstancinie. W jego eleganckim apartamencie teraz panoszył się Berger, a jedyny kompan, Franek, mieszkał w jakiejś norze z ośmioma osobami, które straciły dach nad głową. Zresztą nawet „Diamentowa Rączka” ostatnio zrobił się powściągliwy w kontaktach, jakby podejrzewając Lewina o współpracę z okupantem. Do kogo miałby się więc zwrócić? Do tej dziwki Alicji, a może do tego starego próchna, Heleny Ducret, która skończyła jako prostytutka na godziny dla tych mniej wyrafinowanych i wymagających Szwabów? Tak, ocenianie innych wychodziło Lewinowi znacznie lepiej niż osądzanie własnych występków. Uważał bowiem, że jego nędzne dzieciństwo i odtrącenie przez prawdziwego ojca były wystarczającym usprawiedliwieniem dla każdego niecnego czynu.

Dotarł do domu i poczuł jeszcze większy niesmak do Adrianny. Zastanawiał się, czy jest nim zauroczona wystarczająco mocno, aby mógł ją już porzucić. Wciąż była piękna i była nikim. Zepsuta dziewczyną, której się wydawało, że wiecznie będzie młoda i godna pożądania. Jeszcze była, ale dla Emila nie stanowiła atrakcji. Nawet codzienne picie szampana w końcu może się znudzić, zwłaszcza że zdarzało mu się go spijać z kieliszków innych mężczyzn.

– Dzień dobry, kochanie – przywitała go ciepło.

Nie odpowiedział jej, tylko zaczął zdejmować z siebie przemoczone ubranie. Podeszła do niego, zatroskana, ale on wciąż milczał. Gdy chciała mu pomóc zdjąć mokry płaszcz, po prostu ją odepchnął.

– Czy zrobiłam coś złego? – zapytała słodko.

– Mam zły dzień, więc trzymaj się ode mnie z daleka – warknął.

– Myślę, że jeśli ci coś powiem, humor ci się polepszy – zaświergotała.

– Spróbuj... – mruknął leniwie, dając jej do zrozumienia, że mało go interesuje, co takiego ma mu zakomunikowania.

– Zostaniemy rodzicami, Emilku. Urodzę ci dziecko – powiedziała łagodnie i ciepło Adrianna.

Do Lewina słowa Adrianny docierały jakby w zwolnionym tempie. Nie miał pojęcia, dlaczego ją to tak raduje. Przecież ojcem dziecka mógł być każdy, który z nią sypiał. Było więc kilku pretendentów do roli tatusia bękarta. Czyżby naprawdę nie rozumiała, że to dziecko niekoniecznie jest jego?

– Pozbędziesz się ciąży – powiedział stanowczo. – Porozmawiam z Hansem. Zna klinikę, gdzie dokonują aborcji, a potem sterylizują niektóre kobiety, żeby się nie rozmnażały.

– Co ty wygadujesz, Emil, kochany mój? – zapytała żałośnie.

– No przecież nie sypiałeś tylko ze mną.

– Od kilku miesięcy tylko z tobą. Kochanie, to twoje dziecko. Nasze... – zaczęła tłumaczyć Emilowi.

– Pozbędziesz się go.

Lewin był zdecydowany. Dziecko? Skomplikowałoby wiele spraw. Adrianna, którą pogardzał, już na zawsze pozostałaby częścią jego życia. Tak, teraz to on stawiał warunki. Gdyby pewnego słonecznego dnia nie potraktowała go jak śmiecia, dzisiaj byłaby jego księżniczką. Ale Emil Lewin nie zapomniał doznanych upokorzeń. I nie wybaczał. To było probierzem jego poczucia wartości. Musiał udowodnić takim ludziom i sobie samemu, że jest kimś ważnym i godnym szacunku.

– Chcę urodzić twoje dziecko... Kocham cię – jęknęła Adrianna. – Nigdy nikogo nie kochałam. Tylko ciebie.

Lewin nie był w stanie tego słuchać. Nie wierzył jej. Była od niego uzależniona – materialnie, mentalnie i cieleśnie, ale według niego nie miało to nic wspólnego z miłością.

– A Chełmickiego nie kochałaś? – zapytał.

Adrianna Daleszyńska nie miała pojęcia, że od tej odpowiedzi tak wiele zależy. Wypowiedzenie „tak” lub „nie” mogło zaważyć na reszcie życia jej i dziecka, które nosiła w łonie, ale ona nie miała świadomości, kim naprawdę był Emil Lewin.

– Tak... Chyba tak. Nie tak bardzo jak ciebie, ale byłam zakochana – wymamrotała.

Za wszelką cenę chciała udowodnić, że nie jest wyrachowaną zdiurą, którą interesują jedynie pieniądze. Tak naprawdę nie wiedziała, co czuła niegdyś do Juliana. Nie zastanawiała się, czy lubi bardziej jego, czy to wszystko, co reprezentował jako syn bogacza.

– To możesz się do niego wynosić!

Emila rozwścieczył fakt, że Adrianna kiedykolwiek żywiła do Chełmickiego jakieś cieplejsze uczucia. Wolał myśleć, że interesowały ją tylko jego pieniądze. A zatem to była zła odpowiedź.

– Nie chcę, chcę zostać z tobą – wyłkała.

Ale Emil Lewin już podjął decyzję. Moment upokorzenia Adrianny właśnie nadszedł. Podeszedł do szafy i wyjął z niej walizkę. Zaczął pakować byle jak jej sukienki, bieliznę i inne części garderoby. Upychał wszystko siłą, dopychając kolaniem, i nie zważał na płaczącą kobietę. Wiedział, że nie odważy się mu sprzeciwić i zapobiec temu, co robił. Gdy zapiął walizkę, podeszedł do Adrianny i chwycił za łokieć. I podobnie jak niegdyś Alicję, wyrzucił za drzwi wraz z walizką, w którą spakował jej rzeczy.

– Nie waż się tutaj wracać – powiedział bardzo cicho, ale jego spojrzenie było gorsze od słów.

Przez chwilę stała, osłupiała, przed zamkniętymi drzwiami, zastanawiając się, co robić dalej. Nie miała nikogo bliskiego w Warszawie, dlatego gdy wyszła z kamienicy, gdzie przeżyła swój płomienny i burzliwy romans z Lewinem, udała się w stronę dworca kolejowego. Postanowiła wrócić do domu, do Grójca. Taszcząc ogromnych rozmiarów walizkę, potykała się o własne nogi i polykała łzy. Zaczęło do niej docierać, że Emil Lewin nigdy jej nie kochał. Wypchnął ją za drzwi jak śmiecia. Szła ulicami Warszawy, czując, że przegrała swoje życie. Mijała hałaśliwe patrole niemieckich żołnierzy, docierały do jej uszu wydobywające się z głośników komunikaty, widziała przerażone twarze ludzi, słyszała ciche rozmowy Polaków, jadące motocykle i gaziki wypełnione żołnierzami wroga. Nieuchwytny strach wisiał w powietrzu, bo wszystko mogło się zdarzyć. Za minutę albo za godzinę. Jednak Adrianna nie czuła lęku. Jakby to wszystko, co działo się wokół, jej nie dotyczyło. Ludzie walczyli o przetrwanie, drżeli o swoich bliskich, zastanawiali się, czy przeżyją, a jeśli tak się stanie, to czy będą w stanie najeść się i położyć we własnym łóżku. Ale ona nie myślała o tym. Jej duszę rozrywały ból i żal. Mogła słać się u nóg Emila, robić, co tylko by chciał, ale on jej nie kochał i ta brutalna prawda kołatała jej w głowie, niczym zdarta płyta, którą odtwarza się wciąż i wciąż. Marna to była pociecha, że będzie miała chociaż cząstkę ukochanego. Wiedział, że zostanie ojcem, a jednak pogardził własnym dzieckiem, odepchnął je, zanim przyszło na świat.

Dotarła niczym automat na dworzec, kupiła bilet i równie bezwiednie wsiadła do pociągu. Bez względu na to, jak bardzo poróżniła się z matką, Zenobia była dla niej niczym przystań na wzburzonym morzu, jak fundament jej życia. Wiedziała, że w jej ramionach znajdzie ukojenie, nawet jeśli najpierw będzie musiała usłyszeć kilka przykrych słów i wymówek. Był też ojciec, nieco zdominowany przez matkę i mniej przedsiębiorczy niż ona, ale pełny ciepła i rozumiejący słabości swojej córki, bo sam ich nad wyraz wiele posiadał. Żałowała swoich wykrzyczanych matce w złości słów. Tak naprawdę nie myślała tego. W głębi duszy czuła, że Zenobia chce dla niej jak najlepiej. Julian Chełmicki może nie obudziłby nigdy w niej tak wielkiej namiętności, ale na pewno nie potraktowałby jej w sposób, w jaki uczynił to Lewin. Prędzej sam zginąłby od kul wroga, niż pozwolił, aby zadowalała innych mężczyzn,

i w dodatku wrogów jego ojczyzny.

Wysiadła na stacji w Grójcu i ruszyła w stronę domu. Ostatniego miejsca na ziemi, gdzie zawsze znajdzie schronienie.

Usłyszała za sobą głos.

– Panna Daleszyńska?

Odwróciła się i zobaczyła wikarego z lokalnej parafii.

– Niech będzie pochwalony – powiedziała z wymuszonym uśmiechem.

– Gdzie się podziwała panna Adrianna, że nawet na pogrzeb nie przyjechała? Wszyscy myśleli, że panna Adrianna też nie żyje – westchnął wikariusz.

– Na czyj pogrzeb? – zdziwiła się Adrianna.

Młody wikariusz przeżegnał się i wziął kobietę pod rękę. Zaczął ją prowadzić w stronę plebanii.

– To panienka nie wie? Państwo Daleszyńscy nie żyją. Oboje – powiedział cicho.

Do Adrianny nie docierało to, co usłyszała.

– Boże, przecież to niemożliwe. Jak to się stało? Niech ksiądz wikary powie, że to pomyłka, że to nieprawda... – łkała.

– Uspokój się, dziecko. Chodź ze mną do kościoła. Porozmawiamy. – Ksiądz próbował dodać otuchy Adriannie. Ta dała się ciągnąć za rękaw, niczym dziecko siłą prowadzone do lekarza.

– Muszę do domu, muszę do domu... – mamrotała, wciąż oszołomiona informacją o śmierci rodziców.

– Nie możesz iść do domu. Tam teraz mieszka ktoś inny... Niemcy tam mieszkają. Po prostu nie idź tam, bo i tobie może stać się krzywda – przemawiał spokojnie.

Weszli na niewielkie wzgórze, gdzie usytuowany był kościół parafialny. Wewnątrz płonęły jedynie świece w bocznych nawach i przy tabernakulum. Usiedli w ławce i dopiero wtedy Adrianna zaczęła szlochać. Nie rozumiała, dlaczego Bóg nie oszczędził jej rodziców. Oprócz nich nie miała nikogo. Babci, dziadka czy rodzeństwa. Siostra Zenobii mieszkała w okolicach Tomaszowa, a rodzeństwo ojca nie żyło już od kilku lat. Adrianna poczuła, jakby właśnie pozostała sama na świecie, bo wiedziała, że na Emila nie może już liczyć. Był jeszcze Julian, ale jak mogłaby mu wytłumaczyć to, co robiła przez wiele ostatnich miesięcy. W jaki sposób wyjaśniłaby mu swoją brzemienność?

– Jak to się stało? – zapytała przez łzy.

Wikary z ciężkim sercem i łamiącym się głosem opowiedział Adriannie historię śmierci jej rodziców:

– Twoi rodzice, świeć Panie nad ich duszami, mieli tutaj wrogów. Nie chcę rozsądzać dlaczego i z jakich powodów, ale ktoś na nich doniósł, że są Żydami. Wykwaterowali ich z dworku i chcieli wywieźć do getta, do Warszawy, jak wszystkich. Może gdyby twoja matka poddała się temu albo na spokojnie próbowała sprawę wyjaśnić, nie doszłoby do tragedii. Ale znałaś Zenobię lepiej niż ja... To nie była jedna z tych kobiet, co to chowają głowę w piasek. Zaczęła się pyskówka, a z nimi to wiadomo, że nie ma żartów. Zastrzelili ją na miejscu, a chwilę potem twojego ojca. Zostawili na ulicy jako przestrożę dla innych.

– Przecież oni nie byli Żydami... – załkała ponownie Adrianna.

– Niezbadane są wyroki naszego Pana – filozoficznie podsumował wikariusz.

Adrianna wzniosła oczy ku sklepieniu kościoła i powiedziała cicho:

– Nienawidzę cię, Boże. Słyszysz?! Nienawidzę cię!

Wikariusz przeżegnał się. Według niego żadna tragedia nie usprawiedliwiała takiego bluźnier-

stwa. Daleszyńscy święci nie byli i nie cieszyli się sympatią mieszkańców, ale nie zasłużyli sobie na taką bezsensowną śmierć. Jednak trwała okupacja i nie było dnia, żeby ktoś nie zginął albo nie został wywieziony na roboty. Gdy tylko działania wojenne się zaczęły, Niemcy palili całe wsie, rozstrzeliwali dziesiątki mieszkańców lub zamykali w stodołach i podkładali ogień. Śmierć bardziej niż kiedykolwiek stawała się częścią życia i nie znał rodziny, która nie straciłaby kogoś bliskiego. On był wierzący i ufał, że umierający ludzie po prostu przenoszą się w inną rzeczywistość. Kto wie, czy nie lepszą niż ta, która stała się udziałem Polaków.

– Nie bluźnij, Adrianno. Tak nie można. Bóg jest miłosierny – zaczął niepewnie ksiądz, chociaż wiedział, że takie słowa mogą w podobnych sytuacjach brzmieć mało przekonująco. Dodał więc po chwili: – Jedź do rodziny narzeczonego, na pewno ci pomogą, dopóki Julian Chełmicki nie powróci z zagranicy. Pani Zenobia opowiadała, że to zamożni ludzie i mają wielkie serce. To będzie chyba najlepsze rozwiązanie w tej sytuacji. W końcu mieliście już wyznaczoną datę ślubu i byliście zaręczeni.

Adrianna Daleszyńska zakryła twarz dłońmi.

– Nie mogę, proszę księdza, jechać do Chełmic. Antoni jest niezdrowy, a jego żona zwariowała – powiedziała cicho, nie chcąc zdradzić prawdziwego powodu, dla którego nie mogła pojawić się w domu narzeczonego.

– Nie wiem, co mogę ci doradzić w tej sytuacji. Tę noc możesz spędzić na plebanii, w pokoju naszej Honoraty. Jutro popytam, może jakąś robotę z mieszkaniem spróbuję ci w Grójcu znaleźć – westchnął.

Adrianna popatrzyła na niego zapłakanymi oczami. Wiedziała, że ma dobre intencje, ale ona nie mogła tutaj zostać. Za dwa, trzy miesiące jej ciąża będzie widoczna i znajdzie się na językach wszystkich mieszkańców. Każdy wiedział, że naręczony przepadł dawno temu, więc nie mógł być ojcem jej jeszcze nienarodzonego dziecka.

– Nie, proszę księdza, wróć do Warszawy. Tylko świeczkę zapalę na grobie rodziców, prześpię się u Honoraty i jutro o świcie wyruszę z powrotem – bąknęła.

– Matka mówiła, że masz tam pracę, więc może to i lepiej, nie będziesz żyła wspomnieniami.

Adrianna wyszła z kościoła i ruszyła ścieżką w kierunku cmentarza. Podziękowała księdzu i obiecała, że przed zmrokiem zjawi się na plebanii. Nie lubiła gospodyni, Honoraty, z wzajemnością zresztą, ale pomyślała, że jedną noc wytrzyma. Zaczęło do niej docierać, że właśnie stała się dorosła. Już nie miała tarczy w postaci matki ani czułych ramion ojca, w które mogła się wtulić, gdy była przygnębiona. Ale co miała ze sobą zrobić? Niczego nie potrafiła, nigdy nie pracowała i na dodatek była w ciąży. Jak dotychczas jedynym jej atutem była uroda. I właśnie przekonała się boleśnie, jak niewiele w tym momencie znaczyła.

## 16. Casablanka, 1940

Bezkresny błękit nieba był jak sen. A może tak wyglądał raj? Alicja byłaby skłonna przyjąć taką wersję, gdyby nie koszmarne bóle głowy. Nie wiele pamiętała z ostatniej doby. Najważniejsze jednak, że żyła i nie doznała większych obrażeń. Dobrą stroną jej wypadku był fakt, że gdy się ocknęła, po sztormie nie było już śladu. Nic również nie zapowiadało, aby pojawił się następny, zanim dotrą do Casablanki. Marcel zrezygnował z konspiracji, bo marynarz, który pierwszy ją znalazł, przygniecioną regałem, wszczął alarm i niczego już nie dało się ukryć. Opowiedział więc wszystkim, że ta leżąca ludzka kontrabanda to po prostu jego kochanka. Alicji było to na rękę, w miarę swobodnie mogła się poruszać, a nawet spędzać czas na pokładzie i rozkoszować się widokiem nieba. Pozwalała sobie w ramach rekonwalescencji nie myśleć zbyt o tym, co ją czeka, gdy wysiądzie na ląd. Nie miała zamiaru zostać w Maroku na dłużej, musiała dotrzeć do Wielkiej Brytanii i miała nadzieję, że William Norton okaże się bardziej przydatny niż Malcolm Flaming.

– Daisy... jak się czujesz? – zapytał Marcel. – Gdy będziemy przybijać do portu, znowu będę musiał zamknąć cię w skrzyni. Tak będzie bezpieczniej. Ostatnio Anglicy nie są ulubieńcami rządu Vichy.

– Prawie dobrze. – Uśmiechnęła się. – I nie straciłam pamięci.

– To byłoby przykre, gdybyś mnie nie rozpoznała. – Również się uśmiechnął i zapytał: – Jeśli to nie tajemnica, dokąd chcesz się udać po przybyciu do Casablanki?

– Nie wiem, czy mogę ci ufać – mruknęła.

– Wziąłem zapłatę, mogłem wrzucić cię ranną do morza i nie ryzykować...

– To prawda. Do hotelu Excelsior. Muszę się tam z kimś spotkać.

– A potem?

– Po co chcesz to wiedzieć? – zapytała podejrzliwie.

– Może mógłbym ci pomóc...

– Poradzę sobie. Już i tak mi pomogłeś – ucięła temat Alicja.

Pod wieczór wróciła do swojej nory i myślała, że spędzi w tym miejscu ostatnią noc, sprawiła, że nie wydała jej się tak bardzo odstręczająca. Długi pobyt na świeżym powietrzu sprawił, że zasnęła niemal natychmiast.

Gdy o poranku usłyszała pukanie do drzwi, wstała, ubrała się i odsunęła nieznacznie pryzę. Następnie przechyliła ją i zaczęła przesuwając palcami po drewnianych prowadnicach. W końcu znalazła zgrubienie między drewnem a grubym płótnem pryczy. Wyciągnęła wciśnięty pod materiał mikrofilm i schowała do biustonosza. Potem spakowała torbę i była gotowa, żeby na jakąś godzinę zniknąć w drewnianej skrzyni. Wszystko odbyło się tak, jak poprzednim razem. Zamknięto drewniany pojemnik i przeniesiono na ląd. Następnie poczuła, że jest wieziona samochodem, co ją nieco zdziwiło. W końcu jednak auto zatrzymało się, a kilka minut później wieko skrzyni odskoczyło i Alicja odzyskała upragnioną wolność.

Rozejrzała się dookoła. Była w niewielkim pokoju pełnym tkanych, kolorowych dywanów, niskich komód, na których tliły się kadzidelka, wyszywanych poduszek i zwiewnych tkanin, które zastępowały drzwi. Marcel pomógł jej wyjść ze skrzyni i posadził ją na niskiej, miękkiej kanapie. Odgarnęła włosy z czoła i uśmiechnęła się do swojego wybawiciela.

– Udało się! – krzyknęła.

– Prawie, Daisy – odpowiedział jej znudzonym tonem Marcel.



– Nie rozumiem... – mruknęła, a uśmiech zniknął z jej twarzy.

Spojrzała w głąb skrzyni, jakby sprawdzając, czy jej torba ocalała, a potem przeniosła wzrok na Marcela.

– Daj spokój, Daisy, czy jak się tam naprawdę nazywasz. Oddasz to, co przewiozłaś i będzie po sprawie. Miałem nadzieję, że znajdziemy to na statku, w twoich rzeczach, ale najpewniej gdzieś ukryłaś swoje skarby. Mogłaś zrobić to wszędzie. Magazyny, kuchnia, toaleta... a nawet główka kapusty czy worek z mąką. Teraz już nie ma tylu możliwości do wyboru, musisz mieć to coś przy sobie. Oddawaj! – zażądał Marcel.

– Nie wiem, o czym mówisz – spokojnie odpowiedziała Alicja i zaczęła gorączkowo się zastanawiać, jak wybrnąć z sytuacji.

Po Casablance, jak i po innych marokańskich miastach, kręciło się mnóstwo Niemców, bo przy wsparciu rządu Vichy mogli się tutaj czuć bezpieczni. A to oznaczało, że może niebawem trafić w ich łapy. Fiolkę z mikrofilmem odnajdą bez trudu, tylko co dalej. Odkryją błyskawicznie, że jest szpiegiem, a wtedy przy odrobinie szczęścia zginie od razu, jeśli zaś nie będzie go miała, zamęczą ją na torturach. Nie było w pobliżu ani Martina, ani Augusta. Nie miała także żadnej broni, bo obawiała się, że ani Marcel, ani nikt inny nie zechce jej zabrać na pokład. Zresztą cóż ona wiedziała o pistoletach. Tylko tyle, że należy pociągnąć za spust, gdy grozi niebezpieczeństwo.

„Myśl, myśl, myśl” – nakazywała sobie w duchu. W końcu kątem oka dostrzegła swoją szansę. Wysoki, bogato zdobiony wazon stał tuż przy niskiej kanapie.

– Tak, masz rację, Marcel. Mam to coś przy sobie. – Alicja powiodła dłonią po swoim kształtnym biuscie.

– Daj i tak nie masz zbyt wielkich szans – mruknął Marcel, wyciągnął dłoń, po czym dodał: – Jeśli to zrobisz, puszcze cię wolno. Jesteś ładna, dasz sobie radę nawet w Casablance.

– Sam weź – niemal wyszeptła, wypinając kusicielsko pierś.

Mężczyzna westchnął, jakby miał do czynienia z niesfornym dzieckiem, i wolno podszedł do Alicji. Gdy był już bardzo blisko, ta szybko chwyciła wazon i z całej siły uderzyła nim w głowę Marcela. Nie miała pojęcia, z czego był wykonany, bo pokrywały go orientalne malowidła, ale posiadał wystarczający ciężar, aby ogłuszyć intruza. Marcel zachwiał się i odruchowo chwycił za głowę. Alicja z trudem podniosła wazon do góry po raz drugi i poprawiła swoje dzieło. Marynarz z jękiem upadł na wzorzysty dywan. Była przekonana, że jedynie go ogłuszyła i niebawem Marcel powróci do sił na tyle, by zaalarmować odpowiednie służby albo po prostu ją zabić. Był wystarczająco silny. Nie zastanawiała się, kim był naprawdę uczynny marynarz, czy miał rodzinę, dzieci i przyjaciół. Wiedziała, że musi go unicestwić na zawsze. Musiała działać szybko, bo w każdej chwili ktoś mógł się zjawić w tym zacisznym zakątku.

Najpewniej mieszkanie należało do jakiegoś Marokańczyka, który lubił blichtr i zapewne stać go było na to. Zajrzała za jedną z zasłon, ale ta prowadziła do sypialni urządzonej z równie dużym przepychem, co salonik. Za drugą znalazła ciasny korytarz wiodący do drzwi wejściowych i małej kuchni. W tej ostatniej spostrzegła leżący na blacie nóż, niezbyt okazały, ale zakończony cienkim ostrzem. Chwyciła go i pobiegła z powrotem do saloniku. Na szczęście Marcel wciąż był nieprzytomny. Zastanawiała się przez chwilę, gdzie mogłaby go wbić. Nie potrafiłaby się zdobyć na poderżnięcie gardła i postanowiła, że serce będzie najpewniejszym organem, żeby marynarz nie uszedł z życiem. Z całej siły uderzyła nożem w miejsce, gdzie według jej wiedzy powinno znajdować się serce. Poczowała opór, ale ostrze wbiło się dość głęboko. Po chwili koszula marynarza nasiąknęła krwią. Alicja wstała z kolan, chwyciła leżącą w skrzyni torbę i ruszyła w stronę wyjścia. Otworzyła drzwi i znalazła się na wąskiej,

ciemnej uliczce. Rozejrzała się i podążyła w stronę jasnego prześwitu, gdzie zobaczyła przelewający się tłum ludzi. Drżały jej łydki i z trudem przełykała ślinę. Nigdy wcześniej nie zamordowała człowieka. Bez względu na to, jaką szumowiną był, nie był to czyn, który napawał ją satysfakcją. „Kiedyś musiał być ten pierwszy raz. To był wróg. Chciał mnie wydać nazistom” – tłumaczyła sobie Alicja, chcąc powrócić do względnej równowagi. Musiała myśleć racjonalnie. Na statku widzieli ją niemal wszyscy, jeśli któryś z kompanów Marcela odkryje jego zwłoki, a następnie pustą skrzynię, bez trudu skojarzy ją z tą zbrodnią.

Potok ludzi, który widziała Alicja po wyjściu z mieszkania, kierował się na sporych rozmiarów plac, gdzie stały pozbijane z surowych desek stragany. Tłum przekrzykiwał się wzajemnie, pieniądze krążyły z rąk do rąk, słychać było beczenie młodych jagniąt i muzykę wydobywającą się z guembri i krakebów. Gdzieś tam przewijają się przez tłum patrole wojskowe, leniwie rozglądające się po targu albo szukające wytchnienia w cienistych zaułkach rozgrzanego placu. Alicja zobaczyła stragan, gdzie okazałych rozmiarów kobieta prezentowała dżelaby w brunatnym kolorze, kojarzące się Alicji z habitami zakonnymi. Na ziemi poustawiane były równie zgrzebne babouche, a na stelażu wisiały smutnie cheche. Alicja podeszła do stojącej kobiety i pokazała jej mały zwitek dolarów. Tamta potaknęła, a Polka chwyciła wszystko, co było niezbędnym atrybutem marokańskiej kobiety i osłonięta wiszącymi na stojaku dżelabami, założyła na siebie strój. Handlująca kobieta uśmiechnęła się, pokazując rząd nieco przetrzebionych zębów i pokiwała z uznaniem głową. Zapewne jej dobry humor wynikał z wręczonych przez Alicję dolarów, które cieszyły się coraz większym uznaniem, im dłużej trwała wojna.

– Hotel Excelsior? Taxi? – zapytała zdesperowana Alicja.

Kobieta nakazała jej gestem ręki, by poczekała przy straganie, a sama zniknęła w tłumie. Po chwili wróciła z młodym chłopakiem o ciemnych oczach, ubranym niemal po europejsku. Szturchnęła go łokciem i wskazała Alicję brodą.

– Pani chce do hotel? – zapytał, dukając po francusku.

– Angielski?

– O tak, ja znać angielski, dobrze, dobrze. – Chłopak uśmiechnął się, prezentując, w przeciwieństwie do kobiety, perłowo białe, pełne uzębienie.

– Zaprowadź mnie do hotelu.

Chłopak pokiwał głową.

– Moje imię Salah. Tam Francuzi. Dużo.

– Moje Ala. Ja szukam Anglika. I ludzi z Gibraltaru.

– Allah? – zdziwił się Salah. – Dziwne imię ma dziewczyna.

– Ala. – Uśmiechnęła się, chyba po raz pierwszy tego dnia.

– Ci Anglicy nie mieszkać w tym hotel. Oni są w porcie. W barakach. Oni czekać na następny statek z Anglii – zatroskał się chłopak.

– Ten, którego szukam, mieszka właśnie tam, OK? – powiedziała wolno i wyraźnie. – On jest dyplomata. Ty pójdziesz do hotelu i niech po niego zadzwonią. Ma wyjść na zewnątrz, rozumiesz, Salah?

– Rozumieć, rozumieć. Ty jego narzeczona – odpowiedział dumnie.

Alicja przewróciła oczami, ale potaknęła.

– Daleko do hotelu? – zapytała, widząc, że Salah zamierza iść piechotą. Miała na sobie grubą dżelabę i głowę owiniętą cheche. Spacer w takim rynsztunku przy palącym słońcu wydawał się odstręczający.

– Pół godziny, z Habbous niedaleko. – Machnął dłonią, jakby to była odległość zupełnie nic

nieznacząca w tym ogromnym mieście, gdzie głównym środkiem lokomocji tubylców były ich własne nogi.

Ruszyli przed siebie ocienionymi uliczkami, gdzie co prawda nie paliło słońce, ale duszne powietrze niemal stało w miejscu. Od czasu do czasu mijały ich patrole żołnierzy, widzieli nawet kilku oficerów SS, ale nikt nie zwrócił uwagi na idącą ze spuszczoną głową kobietę w towarzystwie mężczyzny. Torbę, która mogła rzucać się w oczy, Alicja przerzuciła przez ramię i umieściła pod okryciem. Opierając na niej dłoń, wyglądała jak brzemienista kobieta, która niebawem wyda na świat sporych rozmiarów potomka.

Mimo że Alicja miała żelazną kondycję, ten niespełna czterokilometrowy odcinek drogi zdawał się dla niej niemal Golgotą. Zmęczona i spragniona, z ulgą usiadła na jednej z ławek znajdujących się przed hotelem. Wkrótce jej towarzysz zniknął we foyer eleganckiego budynku. Miała wrażenie, że czeka całe godziny na jego powrót, gdy w końcu ukazał się w drzwiach w towarzystwie niskiego, starszego mężczyzny. Salah nie był zdziwiony, że ten łysiejący, brzuchaty Anglik ma tak piękną i młodą narzeczoną, tym bardziej że ten wyszeptał na przywitanie jej imię, niemal z nabożną czcią.

– Miss Daisy, czekałem na ciebie.

Wręczyła Salahowi pięć dolarów i pożegnała się z nim. William Norton zaś przysiadł obok Alicji.

– Może pani ze mną wejść, nikt nie będzie czynił pani żadnych obiekcji. Napije się pani czegoś, odświeży... – powiedział ciepło.

– Mam kłopoty, panie Norton. Zabiłam człowieka. Tutaj, w Casablance. Potrzebuję nowych dokumentów i oczywiście niezwłocznie muszę znaleźć się w Londynie – powiedziała stanowczo.

Mężczyzna potarł swoją pozbawioną włosów głowę i zapytał, zatrwożony:

– Kim jest zabity? Niemiec?

– Nie, to francuski marynarz, który zabrał mnie w Splicie na statek. Chyba domyślił się, że mam ze sobą jakieś interesujące materiały, bo zażądał tutaj, już w Casablance, żebym mu je oddała. Sam pan rozumie, nie miałam wyjścia. Być może odnaleźliby je już na statku, ale ukryłam je w pryczy.

– Bardzo rozważnie pani postąpiła – przyznał z uznaniem. – Rząd Vichy to sprzymierzeńcy nazistów, chociaż nie brakuje i porządnych Francuzów. Dostanie pani papiery emigracyjne, z Gibraltaru. A teraz zawiozę panią do portu. Nie są to komfortowe warunki, ale wmiesza się pani w tłum innych. W samochodzie zdejmie pani te sukmany. Chodźmy.

Gdy dotarli do portu, słońce powoli wytrącało swój impet i nie grzało już tak intensywnie. Morska bryza i brak dżelaby również dawały wytchnienie. Siedziała wśród Anglików, którzy, coraz bardziej zdenerwowani, wyczekiwali na transport do Wielkiej Brytanii. Alicja siedziała przy długim, skleconym z desek stole i popijała herbatę, niewiele mówiąc i starając się nie nawiązywać żadnych znajomości. Bała się. Nie czuła wyrzutów sumienia, że zamordowała tego typu spod ciemnej gwiazdy, ale pętla strachu, że może wpaść w ręce władz, zaciskała się na jej gardle niczym obręcz. Miała nadzieję, że William Norton rychło zjawi się z nowymi papierami, ale obawiała się, że któryś z marynarzy płynących ze Splitu może się na nią natknąć i ją rozpoznać.

O zmierzchu zjawił się Norton i powiedział szeptem:

– Dzisiaj o północy z prywatnego lotniska odleci pani do Portugalii, do Lizbony, a stamtąd zabiorą panią nasi ludzie z Londynu.

Alicja odetchnęła z ulgą. Przynajmniej dlatego, że niebawem znajdzie się w neutralnej Portugalii, a także dlatego, że pierwszy raz, odkąd opuściła Warszawę, zbliży się do Londynu, a nie będzie

się od niego oddalała. Wieczorem wsiadła do małego prywatnego samolotu i w towarzystwie nieznanym jej trzech mężczyzn oderwała się od marokańskiej ziemi, z czułością machając Nortonowi na pożegnanie.

Po trzech dniach od chwili, gdy opuściła Casablancę, znalazła się w końcu w mglistym i chłodnym Londynie, by stanąć przed drzwiami SOE przy Baker Street i z ulgą pozbyć się niewygodnych mikrofilmów.

## 17. Moskwa, 1940

Igor Łyszkin przedstawił zdobyte dokumenty i informacje najwyższemu swojemu zwierzchnikowi, szefowi Głównego Zarządu Wywiadu Ludowego Komisariatu Obrony, Filipowi Iwanowiczowi Golikowowi.

– Dobra robota, towarzyszu Łyszkin. Zaraz przekażę to na Kreml. Ta koncentracja niemieckiego wojska tuż przy naszych granicach jest niepokojąca. Więc twierdźcie, że również w kręgach wojskowych przebąkuje się o napaści na naszą ojczyznę? – powiedział Golikow, łysy jak kolano mężczyzna o wąskich ustach bezustannie wygiętych w podkówkę.

– Tak, towarzyszu Golikow. Niestety, nie udało się ustalić terminu ataku na nasz kraj. Nasi towarzysze z Polski już zwierają szeregi i są gotowi nieść nam daleko idącą pomoc, zarówno w akcjach sabotażu, jak i wywiadu. Teraz mamy z Polakami wspólnego wroga, nazistowskie Niemcy, panie generale – entuzjastycznie zapewnił Igor.

– Musicie być czujni, jeśli chodzi o Polaków. Niech nas wspierają, ale muszą być po naszej stronie. Jeśli któryś wam się narazi albo – co gorsza – zdekonspiruje, nie wahajcie się zabić – ojcowskim tonem powiedział generał i dodał: – No i szykujcie się na awans. Niedługo zostanieie kapitanem. A tymczasem wracajcie do Warszawy i miejcie oczy i uszy szeroko otwarte. Zanim jednak tam pojedziecie, możecie sobie odpocząć, no, powiedzmy, pięć dni. Mamy taki miły ośrodek pod Moskwą, w lesie, nad jeziorem. Cisza i spokój. Antonow da wam przepustkę, a sierżant Mieczkin was zawiezie.

– Tak jest, panie generale – powiedział Łyszkin i wyszedł z gabinetu Golikowa.

Z jednej strony cieszył się z perspektywy spędzenia kilku dni na próżnowaniu, z drugiej – towarzyszyło mu dziwne przeczucie, że powinien jak najszybciej znaleźć się w Warszawie. Jego niepokój dotyczył Hanka i Nadii. Miał świadomość, że w obliczu zadań, jakie miał do wypełnienia, nie powinien skupiać na nich swojej uwagi, zwłaszcza że Hanka była żoną innego mężczyzny, a Nadia nie była jego córką. Wyrzucał sobie również, że on, komunista, który był zwolennikiem jedynie siły rozumu i ciała, poddaje się duchowym rozterkom, odczuwa irracjonalny niepokój, nie mając ani dowodów, ani nawet skrawka informacji.

Podmoskiewski ośrodek wypoczynkowy otoczony był wysokim murem z betonowych bloków zwieńczonych kolczastym drutem. Dodatkowo wokół niego przechadzały się patrole, a brama przypominała wjazd do pilnie strzeżonego więzienia o zaostrzonym rygorze. Gdy jednak minęli trzy kolejne wartownie, Igor znalazł się w raj. Krystalicznie czyste jezioro otoczone było gęstym lasem, a wśród drzew gdzieś tam majaczyły strzeliste dachy eleganckich willi. Na jednym z brzegów znajdował się długi pomost, na którym siedzieli spragnieni wędkowania wysocy funkcjonariusze NKWD. W tym zakątku jednak przypominali normalnych ludzi, którzy wyrwali się na ryby w dzień wolny od pracy. Kawalek dalej, na lekkim wzniesieniu, stał pałacyk pomalowany na kremowy kolor, z ciemną stolarką i czerwonym, spadzistym dachem. To właśnie tam przydzielono mu luksusowy apartament na piętrze. Na parterze zaś mógł korzystać z restauracji, barku, biblioteki, a nawet niewielkiej sali kinowej.

Łyszkin jednak nie potrafił się cieszyć ani z urokliwego miejsca, w jakim się znalazł, ani z wygodnego łóżka czy wykwintnego jedzenia. Wieczorem nie mógł zasnąć, a gdy nad ranem w końcu poczuł, że odpływa w ramiona Morfeusza, ktoś natarczywie zapukał do drzwi. Na wpuł przytomny przekręcił klucz i zobaczył młodego rekruta, który drżącym głosem przekazał mu informację.

– Major Kołczanowski czeka na dole.

– Za pięć minut będę – powiedział zaspąnym głosem i zamknął drzwi.

Zaklął pod nosem i sięgnął po leżące na krześle spodnie. Zapewne jakiś znudzony pensjonariusz postanowił zapewnić sobie rozrywkę i pogawędzić miło z asem wywiadu. Starał się jednak przybrać przyjemny wyraz twarzy, gdy schodził szerokimi schodami na parter.

– Poruczniku Łyszkin, mam dla was złe wieści. Musimy porozmawiać – powiedział major.

– Może w restauracji? – zapytał Igor, z trudem łapiąc powietrze.

– Nie, poruczniku, to poufne informacje. Pójdziemy do salki narad.

Igor nie słyszał o czymś takim, ale najwyraźniej przeznaczona była ona dla ważniejszych niż on oficjeli.

Usiedli w wygodnych fotelach, w niewielkim pokoju, z którego okien roztaczał się widok na jezioro.

– Poruczniku Łyszkin – odezwał się grobowym tonem Kołczanowski – wasza misja w Polsce dobiegła końca. Zostaliście zdekonspirowani i szuka was całe gestapo. Myślę, że wysyłanie was do miejsca, gdzie jest wasza rodzina i znajomi, było błędem. Gestapo zna wasze prawdziwe i fałszywe dane. Podjęliśmy to ryzyko, bo znał pan naszych lojalnych towarzyszy właśnie w Warszawie, ale najwyraźniej ktoś was zdradził. Dwie godziny temu nasi kryptołodzy odczytali szyfrogram w tej sprawie. Dlatego nie wróćcie do Polski. Dostaniecie rozkazy pojutrze, a tymczasem odpoczywajcie, poruczniku Łyszkin. Wasze poświęcenie nie poszło na marne.

Kołczanowski nie powiedział nic więcej, tylko pożegnał się z Łyszkinem i opuścił ośrodek. Igor pomyślał, że uciekł do Moskwy niemal w ostatnim momencie. Najwyraźniej ci towarzysze, którzy wpadli, poddali się podczas przesłuchania, ale obecne wówczas na Zapiecku osoby nie miały pojęcia, jak brzmi jego prawdziwe nazwisko. Kto zatem go wydał? Ojciec nie wiedział, czym się zajmował Igor w Warszawie, zapewne był przekonany, że nadal głosi swoje poglądy, namawiając ludzi do komunizmu. Pozostali zatem Jakub Mosel i Hanka Lewinówna. Mosel nie pękłby, to prawie pewne, ale w obliczu tortur mogłaby to zrobić słaba kobieta z niemowlęciem na ręku. Nie czuł jednak do niej żalu. To oni popełnili karygodny błąd, wpłątując ją w całą sprawę. Tak, nie miał prawa mieć do niej pretensji. Miał je do siebie, bo być może jego ukochana zdychała gdzieś, bita i poniżana. A co z Nadią? I kto przekazał wiadomości do Moskwy? Być może Mosel, a może wiecznie nieufni przełożeni dali mu cienia w postaci bardziej lojalnego i doświadczonego oficera. Bez względu jednak na wszystko, i na rozkazy, jakie niebawem miały nadejść, Łyszkin wiedział, że i tak musi wrócić do Warszawy, by sprawdzić, co dzieje się z Hanką i jej córką. Jeśli ocalały, za wszelką cenę musi je wywieźć z okupowanej Polski. Najlepiej w głąb Związku Radzieckiego, gdzie żadna nazistowska macka ich nie dosięgnie.

Tego dnia wieczorem w recepcji ośrodka czekał na niego nowy przydział, a jego urlop został skrócony o dwa dni, co dobitnie świadczyło o tym, że popadł w niełaskę z powodu wpadki w Warszawie. Miejscem, do którego miał się udać, był Sztokholm. Nie okupowany Paryż czy Berlin, ale Sztokholm, gdzie według Igora kompletnie nic się nie działo.

## 18. Warszawa, 1940

Więzienne życie było niczym rosyjska ruletka. Każdego dnia, gdy otwierały się drzwi celi, wszystkie jej mieszkanki ze ściśniętym gardłem stawały na baczność. Czekwały na informacje, czy przeżyją kolejny dzień, a jeśli przeżyją, w jakim stanie dotrwią do jego końca. Hanka już od kilku tygodni nie była brana na przesłuchania, nie dostawała dotkliwych kar, takich jak morderca za gimnastyka na placu czy upokarzające czyszczenie łaźni. Jakby o niej zapomniano. Nie miała także żadnych wieści o swojej córeczce. Na każdy przemywany gryps rzucała się niczym hiena na padlinę w nadziei, że ktoś prześle jej jakąś pokrępiającą wiadomość.

– Chodźcie do okien. Egzekucja – mruknęła Czapla. – Ciekawe, czy kogoś znamy.

Kobiety podeszły do krat, próbując dostrzec skazańców. Częste oglądanie takich widoków nieco stepiło ich emocje i patrzyły na to straszne widowisko niczym na rubrykę plotkarską w gazecie.

– Tę to znam – powiedziała Boguśka. – Pracowałyśmy razem w pralni. Józka z Powiśla. Podobno ulotki antyniemieckie rozrzucała.

– Pamiętam ją – powiedziała Czapla. – Mrukowata i bardzo nieufna.

– Co się dziwisz, podobno szwagier na nią doniósł, bo pokłócili się o rąbankę ze wsi. Dasz wiarę?

– I za ulotki czapę dostała? – zdziwiła się Hanka.

– Pewno nie. – Czapla machnęła ręką. – Ale kto wie, za co te męty mogą komuś w łeb strzelić.

Gdy zakończono egzekucję i zarówno widownia, jak i strzelający żołnierze rozeszli się, kobiety powróciły na prycze. Czas spędzały śpiewając albo opowiadając swoje życiorysy lub po prostu milczały, pogrążone we własnych myślach i rozterkach. Najbardziej były ciekawe opowieści Hanka o wielkim świecie, luksusowych hotelach i o życiu, którego nigdy nie zaznały. Podziwiała ją za to, że wyrwała się z wiejskiej biedy, by spełnić marzenia o karierze i życiu w blasku ramp. Kiedy były dni, gdy Hanka nie chciała opowiadać o sobie, czuły ogromny zawód, że nie usłyszą kolejnego odcinka z życia wielkiej diwy. Z reguły jednak Lewinówna chętnie snuła wspomnienia z czasów, gdy była sławna i podziwiana. A przede wszystkim spokojna o swój byt i swoje życie. Teraz to wszystko było już przeszłością, a lęk, który bezustannie jej towarzyszył, odkąd wybuchła wojna, przestał dotyczyć tylko jej. Pojawiła się Nadia, najważniejsza osoba w życiu, i teraz to strach o nią zdominował życie Hanka. Wszystko, co przeżyła do tej pory, zdawało się nie być już ważne. Było jak zapisane kartki książki, która pozwala ode-  
rwać się od rzeczywistości, ale ze świadomością, że to tylko fikcja.

Którejś nocy, gdy Stefania i Boguśka już spały, Czapla cicho zapytała Hanke:

– Śpisz?

– Nie... – wyszeptała. – Myślę o Nadii.

– Dałaś jej takie rosyjskie imię... – zagadnęła Czapla.

– Tak. Piękne rosyjskie imię.

– Dlaczego? Polskie imiona są przecież takie ładne. Przyszaj się, pewnie zauroczył cię jakiś rosyjski amant?

– Nieważne – mruknęła od niechcienia Hanka.

– Nie mam dzieci, ale podobno jak się je posiada, stają się najważniejszymi istotami w życiu – powiedziała Czapla z westchnieniem.

– To prawda. Takiej miłości nie da się porównać do żadnej innej. – Uśmiechnęła się smutno.

– Chciałabyś ją teraz przytulić, prawda?

– Nawet nie wiesz jak bardzo. Gdy tylko o tym myślę, serce rozpada mi się na milion kawałków.

– Gorące łzy spłynęły po policzkach Hanka.

– To powiedz im, gdzie on jest – stanowczo powiedziała Czapla.

Hanka jakby otrzeźwiała. Nigdy nie wspominała słowem o tym, dlaczego się znalazła na Pawiaku. Wciąż powtarzała, że nie ma pojęcia, z jakiego powodu tutaj jest. Skąd więc wiedziała Czapla? Podniosła się z posłania.

– Kładź się! – warknęła Czapla.

– Kim, u licha, jesteś? Ich wtyczką?

Czapla złapała za rękę Hankę i mocno ją ścisnęła.

– Zamknij się i posłuchaj. Przez ciebie wszyscy mamy kłopoty. Chłopcy, ja i Jakub Mosel, który uznał, że najbezpieczniejszym dla niego miejscem będzie getto. Ale to jest umieralnia. Obiecali mi, że odczepią się od niego, jeśli znajda Łyszkina. Więc jeśli chcesz kiedykolwiek zobaczyć córkę, a ja Jakuba, musisz powiedzieć, gdzie jest teraz Igor. Słyszysz, głupia krowo? Nikt nie będzie nadstawiał karku za to, że chciałeś sobie uciąć romans. Więc poświęć jednego dla dobra wszystkich. Jasne? Albo zgotuję ci tu piekło na ziemi.

Lewinówna wyrwała jej rękę.

– Mówiłaś, że twój narzeczony to Kazek i uciekł z transportu? – zapytała naiwnie.

– Jak widzisz, tutaj wszyscy uczą się kłamać – powiedziała z ironią Czapla.

– Jakub Mosel nigdy nie poświęciłby swojego przyjaciela, żeby ochronić własny tyłek – warknęła Hanka. – I, do cholery jasnej, nie wiem, gdzie jest Igor.

– O, z butów wielkiej diwy zaczyna wyłazić słoma. Strzeż się mnie, wielka pani, bo dla Jakuba jestem zdolna do wszystkiego.

– Ciekawe, czy byłby z tego powodu szczęśliwy, że zachowujesz się jak...

– Jeszcze pożałujesz – wysyczała i odwróciła się do Hanka plecami.

\*\*\*

Następnego ranka kolejny raz znalazła się w pokoju przesłuchań Jürgena Schwartza.

– Teraz posłuchaj – powiedział ostro – mamy twoją córkę. Nie martw się, ma dobrą opiekę. Ale, tak jak ci obiecałem, nie zobaczysz jej, dopóki nie dostaniemy Łyszkina. Poczekamy, aż twój kochaś zjawi się w Warszawie. A może jest zbyt wielkim tchórzem, żeby zamienić się z tobą miejscami, co? Mamy jednak nadzieję, że został w nim jakiś sentyment do kochanki i swojej córki.

– Nadia nie jest jego córką – jęknęła. – To dziecko mojego męża.

– Proszę nie robić ze mnie idioty, pani Lewin – wycedził. – Ja bardzo tego nie lubię. Chciałbym, żebyś coś obejrzała... Helga! – krzyknął. – Zawieź panią Lewin na plac przy Pawiej. Niech sobie pogląda z bliska, jak wygląda śmierć.

Helga, postawna, młoda kobieta o wyrazie twarzy zbrodniarki, szarpnęła siedzącą Hankę i wyprowadziła ją z pokoju przesłuchań. Ciągnąc ją za sobą, niczym worek ziemniaków, wyprowadziła z budynku i wepchnęła do furgonetki.

Gdy dotarli na Pawiak, Helga zaprowadziła Hankę na niewielki plac. Tam w rzędzie stało kilkanaście kobiet. Hanka wiedziała, co ją czeka: oglądanie z bliska egzekucji. Po kilku minutach na betonowy plac wprowadzono kobietę skutą kajdankami. Szła, wyprostowana, dumna, wzdłuż obserwujących ją kobiet. Zatrzymała się na chwilę przy Hance i splunęła jej w twarz. To była Czapla. Strażniczka pchnęła ją na środek placu, po czym odeszła na bok. Stojący obok żołnierz wycelował w nią broń.

– Niech żyje komunizm i jebał to pies! – krzyknęła.



Rozległy się strzały, a Czapla runęła na betonowy plac, niczym szmaciana lalka. Po chwili wokół niej utworzyła się krwawa kałuża.

– Ty! – Strażniczka wskazała Hanke. – Wyczyścisz plac.

Lewinówna pokiwała głową, wciąż oszołomiona widokiem egzekucji kobiety, z którą przez wiele tygodni dzieliła celę. Lubiła Czapkę, najbardziej chyba ze wszystkich osadzonych, dopóki nie okazała się wtyczką. Jednak wbrew jej występki rozumiała ją lepiej niż ktokolwiek inny. Ona także powiedziała wszystko, co wie. By być blisko córki. Miłość jest prosta: jeśli kogoś kochasz, chronisz tę osobę za wszelką cenę.

\*\*\*

To był warszawski ponury poranek. Ciemne chmury przykryły niebo, deszcz siąpił bezustannie, a porywisty wiatr zdmuchiwał z drzew ostatnie liście. Emil Lewin chodził po pokoju w tę i z powrotem, zastanawiając się, jak wyciągnąć Hanke z więzienia na Pawiaku. To przez niego się tam znalazła i czuł ogromne wyrzuty z tego powodu. Na Bergera nie miał co liczyć, bo ten interesował się jedynie możliwością dopadnięcia największego wroga, bolszewika Łyszkina. Pomyślał o Alicji. Zniknęła z knajpy, nie widywał jej z tym Niemcem, po prostu zapadła się pod ziemię. Martin Gross od czasu do czasu bywał jednak w Café Club i z tego, co Emil zdołał ustalić, nie posiadał nowej kochanki. Musiał zaryzykować, chociaż nie wiedział, jak zareaguje Gross. Być może okaże się równie zimny, jak Berger, a kto wie, może nawet rozzłości się i każe go zamknąć?

Emil nie myślał o Adriannie, jej wiotkim pięknym ciele, wzroku pełnym miłości i oddaniu, które okazywała na każdym niemal kroku. Uznał, że jego kochanka dostała to, na co zasłużyła. Potraktował ją brutalnie i bezwzględnie, tak jak ona kiedyś jego. Cóż z tego, że była w ciąży? Łajdaczyła się i dziecko mogło być równie dobrze jego, jak i któregoś z funkcjonariuszy gestapo, z którymi sypiała. U nich też szukał pomocy, ale żaden z nich nawet nie myślał postawić się Bergerowi. Pozostał więc tylko kochanek Alicji, Martin Gross. Co prawda nie służył w gestapo, ale pełnił tak wysoką funkcję, że jedno jego słowo mogło uratować mu siostrę.

Czekał na niego przed kamienicą. Gross przyjechał około dwudziestej i ruszył w kierunku kutej bramy.

– Obersturmbannführer Gross, przepraszam, że się ośmielam... Nazywam się Emil Lewin i jestem bratem przyjaciółki Alicji Ross – wydukał niepewnie.

Martin zatrzymał się i popatrzył na Emila.

– Alicja ma kłopoty? – zapytał, zatrwożony.

– Nie... To znaczy nie wiem, ale moja siostra ma...

– Hanna Lewinówna? – Gross zmarszczył czoło.

– Tak... jest teraz na Pawiaku. Ale ona nic nie zrobiła, ręczę za to, Obersturmbannführer Gross – zapewnił łamiącym się głosem.

– Przykro mi, nie mogę panu pomóc. Jeśli pani Hanka trafiła do więzienia, to na pewno gestapo miało ważny powód, żeby ją zatrzymać.

– Jest niewinna, proszę, niech jej pan pomoże... – Lewin próbował zatrzymać Grossa.

– Co pan, do cholery, wyprawia? Chce pan, żebym kazał pana aresztować? – Martin zaczynał się denerwować.

– A co pan zrobił z Alicją Ross? Kazał rozstrzelać? – Zaczynał być bezczelny.

Gross sięgnął do kabury i dopiero w tym momencie Emil się wystraszył. Cofnął się i zaczął tyłem

odchodzić sprzed bramy Grossa. W tym momencie poczuł się kompletnie bezradny. Wracając do siebie, pomyślał, że jedynym wyjściem jest zdobycie informacji, które okażą się na tyle cenne, żeby w zamian za nie wypuszczono Hankę. Nie miał jednak zamiaru blefować jak kiedyś, bo tego dnia pod domem Grossa uświadomił sobie, że dla Niemców jest tylko śmieciem, którego mogą zastrzelić w każdej chwili, niczym bezpańskiego psa. Myślał również o tym, że może mógłby kogoś przekupić, ale musiałyby to być naprawdę poważne kwoty. Tymi dysponował jego prawdziwy ojciec, Antoni, jednak samo wspomnienie tego człowieka wywoływało w nim czystą nienawiść. Nawet dla Hanki nie byłby w stanie zdobyć się na rozmowę z nim. Tym razem zabrnął w ślepy zaułek i wiedział, że nie zdoła pomóc swojej siostrze, nawet jeśli bardzo chciał. Przed wojną namówiłby Franka, żeby ograbić luksusowy dom Chełmickiego, ale „Diamentowa Rączka”, odkąd zaczęła się wojna, miał problem, żeby upłynnić te fanty, które do niego przynoszono. Warszawiacy wyprzedawali wszystko, co mieli, by mieć pieniądze na opał, jedzenie czy na lekarstwa. Chodliwy był inny towar: broń, fałszywe dokumenty, przepustki czy tani węgiel. Luksusowymi dobrami nikt sobie nie zawracał głowy. Zmieniły się priorytety i jakkolwiek przed wojną stan posiadania budził zazdrość i podziw, tak gdy nastały ciemne czasy okupacji, nie miało to już znaczenia. Ważny był spokój, życie i strawa. Czym było bogactwo, gdy mogło się trafić na łapankę i wywózkę do lasu, gdzie strzelano do ludzi, jak do zwierzyny łownej, by potem ich zakopać w bezimiennej zbiorowej mogile.

Dotarł na Kercełek i odszukał Franka. Bez większych nadziei ponownie zapytał o dojście do komunistycznego ruchu oporu. W końcu to przez nich Hanka wyłądownała na Pawiaku, może zdobyliby się na to, żeby jej pomóc.

– Coś ty, Lewin, masz ostatnio ciągotki do czerwonych? – zapytał podejrzliwie Franek. – Oni takich paniczyków w alianckich ancugach od razu pod ścianą stawiają albo na wschód wywożą, żeby się fizycznej roboty nauczyli.

– Ech, Franek. Czerwoni nie czerwoni, ale wspólnego wroga mamy. Potrzebuję do nich kontakt, bo sprawę mam. Siostrę mi na Pawiaku zamknęli, bo się z jednym takim zadawała, więc niech teraz pomogą – powiedział strapiiony Emil.

„Diamentowa Rączka” podłubał zapalką w zębach i odszedł w głąb bazaru, nakazując Lewinowi czekać. Po półgodzinie wrócił i powiedział do niego:

– Jest taki najważniejszy w Warszawie. Żyd. Szwabę go ścigają, to się do getta przeniósł, robić rewolucję. Mój ziomek kilka razy zdobywał wejściówki dla kilku czerwonych, żeby mogli do niego pójść. Mówią na niego „Szalik”, bo podobno w czerwonym szaliku po getcie łązi. Taki frant. Nazywa się Mosel.

Emil zrobił wielkie oczy. A zatem to nie ten człowiek z antykwariatu, Łyszkin, ale Kuba Mosel był powodem, dla którego jego siostra tak wiele ryzykowała. A może obaj byli jej kochankami? W końcu u komunistów wszystko było wspólne. Mężatka i w ciąży, a jednak nie potrafiła zapomnieć o swojej pierwszej, niespełnionej miłości.

– Muszę się do niego dostać – cicho powiedział Emil.

– To umieralnia, Emil. Jak cię dupną, to po tobie. Nie będą się certolić, tylko skopią na śmierć albo w łeb strzelą, i po balu, panno Alu. A ja ci powiadam, Emil, że z czerwonymi można się przejechać jak gołą dupą po gruzie. Lepiej uważaj na nich. A siostrunia to już sobie w Warszawie lepszego absztyfikanta znaleźć nie mogła, tylko jakiegoś podopiecznego wujcia Stalina? I ty, Lewin, taki cwany dzieciół, nie wykminiłeś, w co pakuje się rodzinka? – Franek wciąż nie mógł się nadziwić, że Emil nagle zapalał sympatią do bolszewików.

– Dajże już spokój, to moja siostra, nawet z samym diabłem bym się zbratał, byle jej pomóc. Tylko ją mam na świecie – ze łzami w oczach wyznał Lewin.

– No już dobra, nie mój cyrk, nie moje małpy. Tysiaka dasz i załatwię ci wejściówkę. Tylko pamiętaj, nie kombinuj, bo jak tam zostaniesz, to zdechniesz jak mucha pod klapkiem – westchnął Franek. Kilka dni później Emil Lewin przekroczył szlaban i znalazł się w prawdziwym piekle.

\*\*\*

– W piekle smażyć się będziemy, że Niemców jak gości podejmujemy – mruknęła Ludmiła do stangreta Majkowskiego.

– Toż von Lossowie to od lat przyjaciele pana. Krzywdy mu nie dadzą zrobić. A jak pan Antoni zawezwał do siebie Waltera, widać ważny powód miał – mruknął Majkowski.

– Ale to Szwab, a oni wszyscy po jednych pieniądzach. Niby do pana w dyrdki przyjechał, ale wiadomo, co takiemu po głowie chodzi? Może nas zaraz pod ścianą postawią? – sarkana.

Tymczasem Walter von Lossow nie miał takich intencji. Odkąd zaczęła się wojna, nie miał kontaktu z Chełmickimi, gdy jednak stary Antoni poprosił go o przybycie do jego majątku, nie wahał się ani przez moment. Miał świadomość, że jego mundur budzi grozę i nienawiść, ale będąc w Warszawie, zdążył do tego przywyknąć.

– Dziękuję, Walterze, że przyjechałeś – z trudem powiedział Antoni.

– Panie Chełmicki, wiem, że jest wojna, ale znamy się od lat i nasze rodziny się przyjaźnią, więc szkoda byłoby to wszystko marnować – odparł z uśmiechem Walter.

– Sprawę mam do ciebie, mój drogi, a raczej wielką prośbę – wyszeptał, z trudem łapiąc oddech.

– Jeśli tylko będę mógł panu pomóc...

Walter bawił się otokiem swojej oficerskiej czapki, byle nie skupiać wzroku na starym Chełmickim. Miał świadomość, że dni tego człowieka są policzone. Antoni wyglądał po prostu źle. Z postawnego mężczyzny o pokaźnym brzuchu zrobił się zasuszony starzec o zapadniętych szklistych oczach i drżących dłoniach.

– Lubiliście się z moim Juliankiem, byliście kiedyś przyjaciółmi, prawda?

– Mam nadzieję, że nadal nimi jesteście. – Walter uśmiechnął się i dodał: – Cieszę się, że jest teraz za granicą i nie pakuje się w żadne przykre sytuacje.

– Ale po wojnie pewnie wróci, a może nawet jeszcze w czasie jej trwania – ostrożnie powiedział Antoni. – To mądry chłopak, na pewno nie będzie robił niczego głupiego, ale jest jeden człowiek, który bardzo chce mu zaszkodzić. Mają takie tam porachunki z lat młodości, ale ten mężczyzna to prawdziwy gnojek. Nazywa się Emil Lewin i mieszka teraz w Warszawie. Jego siostra, Hanka, to ta sławna śpiewaczka, porządna dziewczyna, ale ten Emil... – Przerwał mu nagły atak kaszlu.

– Mam go wsadzić do więzienia? – zapytał bez ogródek von Lossow. – Żaden problem w dzisiejszych czasach. Koledzy z gestapo już się nim zajmą odpowiednio.

Antoni zamyślił się. Czasy były niespokojne, zabicie Polaka było dla okupanta niczym utłuczenie komara. A Emil był jego synem. Wyrodnym i podłym, ale jednak płynęła w nim krew Chełmickich. Nie chciał jego śmierci ani nie życzył mu źle. Pragnął jedynie, żeby zostawił w spokoju Juliana, gdy ten powróci do kraju. A z tego, co mówiła ta wnuczka krawca, Rosińskiego, Emil pałał nienawiścią i chęcią zemsty za zmarnowane dzieciństwo. Mógł zrobić jakieś głupstwo, donieść na niego do Niemców albo sprawić mu jakieś inne problemy.

– Nie, Walterze. Z waszych więzień się nie wychodzi... Po prostu sprawdź tego człowieka

i bądź czujny. A jeśli wyda ci się podejrzany, porozmawiaj z nim ostro, ale nie rób mu krzywdy, chyba że naprawdę będzie zagrażał mojemu synowi.

– Julian to najspokojniejszy człowiek, jakiego znam. Czym mu się naraził?

Antoni milczał. Nie miał najmniejszego zamiaru wtajemniczać Lossowa w rodzinne tajemnice. Po chwili mruknął:

– To jakieś stare grzeszki z młodości, ale młody Lewin jest trochę niezrównoważony i mam obawy, co mu chodzi po głowie. Wydaje mi się, że ten Emil podkochiwał się w Adriannie i stąd te niesnaski.

– A właśnie... Co się dzieje z panną Daleszyńską?

– Prawdę mówiąc, nie wiem. Była w Chełmicach na początku wojny, a potem wróciła do rodziców, do Grójca. Odnoszę wrażenie, że nie czuła się najlepiej w towarzystwie mojej małżonki. Wiesz...

– Tak... Wiem. Z panią Izabelą chyba nie jest najlepiej. Nie poznała mnie, tylko zaczęła szlochać, żebym jej nie zabijał. Czy nie myślał pan, żeby wezwać do niej lekarza? – zatroskał się Walter.

Antoni machnął ręką.

– Był tu taki jeden, z Warszawy. Podobno najlepszy, ale co z tego? Zapisał jej jakieś mikstury, które powylewała do zlewu, bo uznała, że doktor był niemieckim szpiclem i chciał ją otruć.

– To w istocie trudna sprawa... Obawiam się jednak, że w tej sprawie nie jestem w stanie pomóc. Muszę już wracać do Warszawy, a tego gnojka sprawdzę i jeśli będzie trzeba, odpowiednio potraktuję.

– Dziękuję, Walterze. I cieszę się, że ta straszna wojna nie zdołała nas poróżnić. – Antoni Chełmicki miał w oczach łzy.

– Byłoby idiotyzmem zapominać o przyjaźni tylko dlatego, że politycy postanowili wywołać wojnę, panie Chełmicki. Niech pan dba o siebie, pewnie pana syn chciałby jeszcze zobaczyć ojca po swoim powrocie.

Pożegnali się i von Lossow wolnym krokiem ruszył w stronę stacji kolejowej, zastanawiając się, jak wiele zmieniło się w tym urokliwym zakątku, odkąd wybuchła ta niepotrzebna wojna. Pani Izabela zwariowała, Antoni nawet się nie uśmiechał, a jego przyjaciel, Julian, był teraz nie wiadomo gdzie.

Wsiadł do pociągu, śledzony nienawistnym wzrokiem przez siedzących w nim Polaków. Nie dziwił im się. Nie tak dawno odzyskali niepodległość po zaborach, by po dwudziestu latach znowu ją utracić. A jednak wciąż byli dumni, honorowi i z nadzieją, że uda im się wygrać z okupantami.

Kiedy Walter wysiadł w Warszawie, ruszył powoli przed siebie, rozglądając się czujnie w obawie, czy przypadkiem jakiś zdesperowany Polak nie zechce go zastrzelić. I wtedy dostrzegł siedzącą na ławce wymizerowaną kobietę z ogromną walizką obok. Prawie nie rozpoznałby w niej narzeczonej swojego przyjaciela, gdyby nie charakterystyczny wyraz twarzy – naburmuszonej dziewczynki. Podszedł do niej i powiedział ciepło:

– Panno Adrianno, co pani robi w Warszawie?

Podniosła wzrok na Waltera i spojrzała ogromnymi, smutnymi oczami. W ich błękiecie von Lossow dostrzegł łzy, a jej broda zaczęła drżeć.

– Zabiliście moich rodziców – wyszeptała.

– Kto? Na miłość boską, jak to się stało? – Walter usiadł obok Adrianny.

– Wy, cholerne Szwaby, zastrzeliliście moją mamusię i mojego tatę. Co oni wam zrobili? No co, do cholery?

– Panno Adrianno, bardzo mi przykro... Jest wojna, bywają ofiary, ale zapewniam panią, że nie

mam z tym nic wspólnego – zaczął nieskładnie tłumaczyć się Walter, kompletnie nie wiedząc, jak się zachować w obliczu tragedii, której doznała znana mu osoba. Co miał jej powiedzieć w takiej chwili? „Brzydzę się zabijaniem, nawet zwierząt, a ten mundur założyłem, bo tak było mi wygodniej?”. Czy mogłaby zrozumieć jego rozterki? Dopóki ta wojna oszczędzała znane mu z Polski osoby, patrzył na nią niczym bierny obserwator. Ginęli jacyś ludzie, byli torturowani, ale trwała okupacja i takie rzeczy po prostu nieuchronnie stanowiły jej część. Tymczasem zginęli ludzie, których widywał na przyjęciach u Chełmickich, rozmawiał z nimi i opowiadał im dowcipy o Hitlerze. Normalna para ze zubożałej szlachty, dla której polityka była niczym *tabula rasa*.

Adrianna zmrużyła oczy i pomyślała, że niesłusznie obwinia von Lossowa za śmierć rodziców. Poza tym mógłby jej pomóc. Był zamożny, całkiem przystojny i miał wpływy. Gdyby zdołała go uwieść, jej problemy po prostu zniknęłyby. A Emil być może dostrzegłby, co stracił, widząc ją u boku eleganckiego oficera, ubraną niczym prawdziwa dama, czyli dokładnie tak, jak lubił.

– Dom także straciłam... – jęknęła. – I nie mam się gdzie podziąć. Byłam u rodziców Juliana, ale jego matka wygoniła mnie. Jakby dopadł ją obłęd.

– Tak... wiem, właśnie wracam z Chełmic. Pani Izabela w istocie postradała zmysły. Panno Adrianno, wybaczy mi pani śmiałość, ale Julian to mój przyjaciel i nie wyobrażam sobie, abym jego narzeczoną porzucił na pastwę losu. Wiem, że to niezręcznie zabrzmiało, ale dopóki nie znajdziemy czegoś dla pani, proszę przyjąć gościnę w moim mieszkaniu. Jest niewielkie i nie może się równać z przepychem dworku w Chełmicach, ale to służbowe lokum, a ja nie jestem żadnym wpływowym oficerem.

– Mogłabym... przenocować? – zapytała słodko.

– Oczywiście, gdybym pani nie zaproponował noclegu, Julian z pewnością miałby mi to za złe.

„Wciąż tylko Julian i Julian” – pomyślała ze złością Adrianna. Uwiedzenie Waltera mogło okazać się trudniejsze, niż sądziła, ale nie miała wyjścia.

Mieszkanko von Lossowa rzeczywiście nie wyglądało imponująco. Zdjęła płaszcz, kapelusik i pozwoliła poić się gorącą herbatą. Przytuliła się do Waltera niczym zranione dziecko, szukając ukojenia w jego ramionach i by wzbudzić w nim inne uczucia aniżeli przyjacielskie. Von Lossow zdawał się jednak tego nie zauważać, poklepując Adriannę po plecach, niczym wiernego kompana. Gdy zapadła noc, przygotował dla niej łóżko, sam zaś ułożył się na kanapie. Nawet nie myślał, żeby ją uwieść, mimo że uważał ją za bardzo piękną kobietę. Ale narzeczoną jego przyjaciela po prostu była nietykalna.

## 19. New Forest, 1940

Siedziba *Special Operations Executive* w Londynie mieściła się w kilkupiętrowym, niczym niewyróżniającym się budynku przy Baker Street. Wewnątrz kręciło się mnóstwo osób, dzwoniły telefony i trzaskały drzwi. Alicja weszła do jednego z pokoi, gdzie siedział mężczyzna około czterdziestki, w cywilnym ubraniu i rozchełstanej koszuli. Jego niewielkie biurko było kompletnie puste, nie licząc aparatu telefonicznego, który bezustannie dzwonił. Wnętrze miało dość surowy i prosty wygląd, jakby funkcjonowało od niedawna, a pracujący w nim ludzie nie zdążyli się jeszcze zadomowić.

– Daisy... – powiedział przeciągle mężczyzna i uśmiechnął się szeroko. – Major Edward Honey junior. – Wyciągnął dłoń w kierunku Alicji.

Ta również uśmiechnęła się i uściśniła jego rękę. Była szczęśliwa, że jej wielotygodniowa podróży w końcu dobiegła końca. Poza trudami wędrówki, która na szczęście pomyślnie się zakończyła, była bardzo blisko celu. Blisko Juliana. To dla niego podjęła to ryzyko, chociaż gdyby wiedziała, co ją czeka po drodze, być może nie zdecydowałaby się na ten krok.

– Podobno masz dla nas ciekawe informacje, Daisy. I chcesz nam pomagać w okupowanej Europie. Odpoczniesz kilka dni w Londynie, a potem oddelegujemy cię do New Forest, do pałacu Beaulieu. Tam jednak twój wypoczynek dobiegnie końca. Będziesz się szkoliła w akcjach sabotażu, technikach kamuflażu i poznasz alfabet Morse'a. A wszystko po to, żebyś mogła bezpieczniej wykonywać powierzone zadania – zrelacjonował z entuzjazmem Honey.

– A kto powiedział, że nadal chcę współpracować z brytyjskim wywiadem? Wołałabym zrobić coś dla swojego kraju, jeśli już muszę – mruknęła.

– Jest pani dla nas bardzo cenna, a pani znajomość z Martinem Grossem wręcz bezcenna – odpowiedział major.

– Chwileczkę... Umowa była jasna. Chcę coś w zamian. Muszę zobaczyć się z Julianem Chełmickim.

– Młoda damo, stawianie takich warunków w obliczu wojny i prawdziwej hekatombi jest niewłaściwe – powiedział zniesmaczony Honey. Po chwili jednak dodał: – Mam dla pani dobrą informację: Julian Chełmicki już od kilku tygodni przebywa w New Forest, zatem niewątpliwie będzie pani miała okazję się z nim spotkać. To patriota i urodzony żołnierz, mam nadzieję, że po spotkaniu z panią nie zmieni swojej postawy.

– Uważa pan, że mogłabym mieć na niego zły wpływ? – zapytała Alicja z ironią w głosie.

– Ależ, panno Daisy, pani urok jest tak powalający, że mogłaby pani sprowadzić na złą drogę nawet katolickiego biskupa. – Uśmiechnął się.

– To zarzut?

– Nie, panno Daisy, to atut – szczerze odpowiedział Honey.

Alicja rozpięła kilka guzików bluzki i wyciągnęła z biustonosza fiolkę z mikrofilmem, nie krępując się ani trochę obecnością majora Honeya juniora. Ten wpatrywał się w jej dekolt i uśmiechał się pod nosem, jak gdyby Daisy okazała się dokładnie taką dziewczyną, jakiej szukali. Piękna, absolutnie pociągająca, a przy tym odważna i niezłomna. Miał nadzieję, że pozostanie z nimi na dłużej. Nie chciał uciekać się do szantażu, jak to zrobiono w Warszawie, jednak liczył, że Alicja zrozumie, iż grają do jednej bramki, a ich wspólnym przeciwnikiem jest Adolf Hitler. Jak się okazało, na wywołanych fotografiach nie było planów fabryki broni, ale bunkra Hitlera w Prusach Wschodnich. W tym momencie wszyscy już nabrali pewności, że wojna Niemiec i Związku Radzieckiego jest nieunikniona.

\*\*\*

Zamek Beaulieu, należący do rodziny Montagu, otoczony był z trzech stron lasem, a z jednej cięsną Solent. Ciemny bór sprawiał wrażenie dzikiej puszczy, dlatego znajdująca się w jego sercu posiadłość była niczym baśniowy rekwizyt. Alicja podała stojącemu przy bramie strażnikowi dokumenty i gdy znalazła się za jej skrzydłami, zaczęła się gorączkowo rozglądać. Nie dlatego, że interesował ją zamek czy otaczający go ogród, ale w napięciu wypatrywała Juliana. Na dziedzińcu stało kilka osób, ale żadna z nich nie była Chełmickim.

– Jesteś nowa? Sekretariat jest zaraz po prawej stronie od głównego wejścia – powiedziała życzliwie puciołowata dziewczyna o ciemnych włosach i szarych oczach.

– Tak... – odpowiedziała bezwiednie i ruszyła kamiennymi schodkami do głównego wejścia.

Sekretariat znalazła bez trudu. Za biurkiem również siedziała kobieta, bardzo młodziutka, o twarzy cherubina i dużych piersiach. Przyjęła od Alicji dokumenty wypisane w biurze przy Baker Street i powiedziała:

– Zajmiesz pokój z Madelaine i Dianą. Pobudka o szóstej. Najpierw poranna zaprawa, potem śniadanie i zajęcia taktyczne. O trzynastej jest lunch, a po nim kurs teoretyczny. Obiad o osiemnastej. Później zajęcia indywidualne, w zależności od potrzeb. Capstrzyk o dwudziestej drugiej – wyrecytowała dziewczyna, jakby miała włączoną płytę. Zapewne swoją kwestię wypowiadała kilkanaście razy dziennie i trudno, aby robiła to z entuzjazmem.

– Masz na imię Lisa? – zapytała przyjaźnie Alicja.

– Tak, jak zresztą jest napisane na mojej plakietce – odpowiedziała dumnie dziewczyna.

– Słuchaj, Lisa, szukam tutaj kogoś. Konkretnie Juliana Chełmickiego. Możesz być tak uprzejma i sprawdzić, gdzie go mogę znaleźć?

– Ależ my nie używamy prawdziwych nazwisk – zachnęła się. – To zabronione. Ale zapewne należy do sekcji polskiej SOE.

– A ja należę do...? – zapytała ostro Alicja.

– Ty jesteś w brytyjskiej, naszej – ze zdziwieniem odpowiedziała Lisa.

– No tak, jakżeby inaczej – mruknęła pod nosem.

Wzięła od dziewczyny kwit do magazynu, żeby mogła pobrać pościel, mundur i środki czystości. Gdy rozlokowała się w pokoju, od razu wybiegła na dziedziniec, czekając niczym pies na pojawienie się Juliana. Od następnego dnia już nie będzie mogła tego robić, bo grafik zajęć był wypełniony po brzegi.

Gdy zbliżała się osiemnasta, kolejne grupy wracały na dziedziniec albo wychodziły z sal, gdzie odbywały się zajęcia teoretyczne. Następował moment rozluźnienia, palono papierosy albo rozmawiano beztrosko. Kolejny wyczerpujący dzień zbliżał się ku końcowi, chociaż niektórych czekały jeszcze zajęcia indywidualne. Jednak większość szczęśliwców w rozkładzie dnia miała jedynie posiłek i odpoczynek.

Tego dnia Julian Chełmicki był wyjątkowo zmęczony. Kolejny trening kondycyjny po prostu go wykończył. Za kilka tygodni czekał ich wyjazd do Briggens, gdzie mieli ćwiczyć skoki spadochronowe. Chełmicki nigdy wcześniej tego nie robił i zastanawiał się, jak to jest rzucić się, niczym w przepaść, w ogromną przestrzeń. Ćwiczenia miały odbywać się głównie w nocy, co było daleko trudniejsze niż skoki w ciągu dnia, choć Julian rozważał, czy ograniczona widoczność nie ułatwi mu zrobienia tego pierwszego kroku. Rozejrzał się po dziedzińcu i zobaczył siedzącą na schodkach dziewczynę z kasztanowymi włosami do ramion. Była bardzo podobna do Alicji, ale przecież to nie mogła być ona. Żałował, że

dziewczyna jest jedynie uludą, tęsknił za bliskimi pozostawionymi w Polsce.

Dziewczyna podniosła się ze schodków i ze złością zaczęła poprawiać mundur, który zbyt mocno opinał się na jej obfitym biuście, a spodnie odstawały w pasie i bezustannie zsuwały się na biodra. Powiodła wzrokiem po grupie wracających mężczyzn i nagle jej serce zaczęło kołatać jak oszalałe. Wśród idących dostrzegła Juliana. „Dokonałam tego, znalazłam go” – pomyślała szczęśliwa i zaczęła przepychać się między stojącymi grupkami kursantów.

– Julian! – krzyknęła, biegnąc w jego kierunku.

Chełmicki zastygł w bezruchu, a na jego twarzy odmalował się szeroki uśmiech. Otworzył ramiona, a Alicja wpadła wprost w nie. Przytulał ją mocno, to znowu odsuwał, by sprawdzić, czy to naprawdę ona i całował po policzkach, włosach i ustach.

– Boże, Alicja, to naprawdę ty. Skąd się tutaj wzięłaś? – pytał z niedowierzaniem.

– Znalazłam cię, znalazłam...

Rozpląkała się, jakby chciała wyrzucić z siebie trudy długiej drogi do niego, śmierć Augusta, zabójstwo Marcela, a wreszcie romans z Grossem. To ostatnie musiała ukryć przed Julianem, bo miała świadomość, że nigdy by jej tego nie wybaczył. Nie był jej narzeczonym czy partnerem i wiedział, że byli inni mężczyźni w jej życiu, ale romans z nazistą był z pewnością czymś, czego nie byłby w stanie zaakceptować.

Odeszli na bok, w zaciszną alejkę ogrodu, i przysiedli na jednej z ławek.

– Kiedy dowiedziałam się, że jesteś w Anglii, postanowiłam do ciebie przyjechać – powiedziała, jakby nie szalała wojna, a odległość między Warszawą i Londynem była tak znikoma, jak między Wołą i Mokotowem.

– Alicja, jesteś kompletnie szalona... Ale uwielbiam cię za to. – Kolejny raz ją pocałował.

– Wiesz coś o moich rodzicach, o...

Nie dokończył zdania. Nie chciał psuć tego magicznego spotkania pytaniem o Adriannę, bo obawiał się, że może zranić Alicję, która zapewne włożyła wiele wysiłku, żeby się przy nim znaleźć.

– Twój tata jest chory, jak to starszy człowiek, ale jak widziałam się z nim ostatnio, żył. Mama... No cóż, twoja mama bardzo przeżywa wojnę i martwi się o ciebie. Ludmiła nadal ma zły humor, a Majkowski jak zawsze podchodzi do wszystkiego z filozoficznym spokojem. Pewnie chciałbyś się dowiedzieć, co u Adrianny? Również żyje...

Pokiwał głową. Pewnie za miesiąc, dwa powróci do kraju, ale dano mu do zrozumienia, że kontakt z najbliższymi jest wykluczony. Naraziłby ich w ten sposób na niebezpieczeństwo, a siebie na zdekonspirowanie.

– Adrianna jest w Chełmicach? – zapytał niepewnie.

– Nie... Nie jest w Chełmicach. Jest chyba w Warszawie. – Alicja wrzuciła ramionami i odwróciła wzrok.

Julian był przekonany, że rozmowa o panie Daleszyńskiej sprawia jej ból i dlatego nie chce patrzeć mu w oczy. Ale mylił się, po prostu Alicja była tak zakochana, że nie chciała ranić Juliana. Wiedziała jednak, że niektóre wiadomości sprawią mu przykrość. Chełmicki powinien się dowiedzieć, że Emil Lewin w istocie jest jego bratem i zrobi wszystko, żeby go zniszczyć. Nie chciała tego robić już pierwszego dnia, dlatego postanowiła, że poczeka na dogodniejszy moment.

– Nawet mnie nie dziwi, że przyjęli cię do Operacji Specjalnych. – Uśmiechnął się. – Dostać się do Anglii w czasie takiej zawieruchy to nie lada wyczyn.



– Już w Warszawie zaczęłam współpracę z wywiadem brytyjskim. Nie mogę zdradzać szczegółów – mruknęła, nie chcąc rozwijać tematu, a konieczność zachowania dyskrecji była jej w tym momencie bardzo na rękę. – I mam na imię Daisy.

– Daisy... Pięknie. Mnie ochrzczono tutaj Robert. – Uśmiechnął się ponownie. – Boże, jak dobrze cię widzieć...

– Ciebie też... – wyszeptwała.

– O... już osiemnasta. Czas na wyzerkę. Ale wieczorem urwiemy się gdzieś, dobrze, kochana?

– Kochana... – powtórzyła cicho i pocałowała Juliana w usta. – Nie wybaczyłabym ci, gdybyś tego nie zrobił. Chcę powtórzyć to, co ostatnim razem tak bardzo nam nie wyszło...

Spuścił głowę, bijąc się z myślami. Pragnął tego samego, ale gdzieś tam daleko była Adrianna i jej zamazany obraz. Ale jak to mówiła Carrie: „W chwilach, gdy śmierć jest tak blisko, nie myślisz o tym, co złego w życiu zrobiłeś, ale o tym, czego nie zrobiłeś, a miałeś ochotę?”

Alicja wiedziała, że Julian gryzie się z myślami i waha, bo myśli o Adriannie, słodkiej i niewinnej. Powinna mu powiedzieć o tym, że to dziwka i zdradza go, ale nie chciała ani go ranić, ani dawać mu pretekst do odwetu na niewiernej narzeczonej. Pragnęła, żeby to zrobił tylko i wyłącznie dla niej. A potem... może mu opowie, jak się sprawy mają.

Magazyny z pościelą i ubraniami znajdowały się w zimnych, przepastnych piwnicach zamku i przypominały średniowieczne kazamaty. Obiekt został wybudowany w XIII wieku i podziemia mogły budzić grozę. Julian w jednej ręce trzymał latarkę i pęk kluczy, a w drugiej ścisnął mocno dłoń Alicji i prowadził ją ciemnymi korytarzami.

– Jak ci się udało zdobyć klucz do magazynów? – zapytała cicho Alicja.

– Oczarowałem Lisę. Jest mną zachwycona. – Zaśmiał się.

Alicja klepnęła go otwartą dłonią po ramieniu.

– Drań... Nie złość mnie, dobrze? – powiedziała z udawaną złością.

Zatrzymał się na chwilę i pocałował Alicję.

– Dla ciebie mógłbym nawet oczarować naszą kucharkę – szepnął.

– Chyba mnie lubisz, bo ona waży ze sto dwadzieścia kilo. – Zachichotała.

Podeszli do ciężkich dębowych drzwi magazynu. Julian wyłuskał z pęku kluczy ten właściwy i chwilę potem znaleźli się w środku. Przsiedli na stosie materacy, a obok postawili świeczkę, wkładając ją do metalowego żołnierskiego kubka.

– To opowiadaj, co się z tobą działo od skończenia kampanii wrześniowej? – powiedziała niepewnie Alicja, gdy nastała chwila niezręcznej ciszy.

Odwrócił się w jej stronę i popatrzył wzrokiem, który powiedział już wszystko. Wyciągnął rękę i przyciągnął Alicję do siebie.

Było dokładnie tak, jak to sobie kiedyś wyobrażała. Namiętnie, w kompletnym zapamiętaniu, jakby czekali na to bardzo długo. Julian nie był ani zbyt delikatny, ani tak brutalny jak tej feralnej nocy. Alicja poddawała się jego pieszczotom, pierwszy raz czując, że to nie ona nadaje ton w miłosnych igraszkach. Tej nocy nie musiała wyobrażać sobie, że kocha się z Julianem, bo to był on. Jego ciało, zapach i niski, zmysłowy głos. Kochała go nieprzytomnie i zapisała duszę diabłu, byle tylko ona jedyna znalazła miejsce w jego sercu. Nie miała pojęcia, co czuje w tym momencie Chełmicki, drżała, by nie przestawał i nie miał dylematów.

Julian już ich nie miał. Gdy leżeli przytuleni niczym para kociąt, odwrócił się do niej i powie-

dział:

– Jeśli tylko dostanę się do Warszawy i będę mógł zobaczyć się z Adrianną, zerwę nasze zaręczyny. Nie chcę już tak żyć, pomiędzy obietnicą, szacunkiem a uczuciem. Nie chcę oszukiwać żadnej z was i czuć się jak ostatnia świnia. Wiem, że to będzie najtrudniejsza rzecz, jaką mi przyjdzie zrobić, ale po prostu muszę...

Alicja rozplakała się. Tak bardzo chciała to usłyszeć i czekała na te słowa, odkąd skończyła trzynaście lat. Walczyła o jego miłość jak lwica i wygrała. Teraz mogła mu już powiedzieć całą prawdę o Adriannie i Emilu.

– Myślę, że nie będzie takiej potrzeby. Twoja Adrianna... ma innego – niemal wyszeptała.

Zapadła cisza. Julian trawił tę informację, jednocześnie z ulgą, jak i ze złością, że przez tak długi czas starał się być jej wierny.

– A kogóż to sobie wybrała na mojego następcę panna Daleszyńska? – zapytał z ironią, podpalając papierosa.

– Nie pal tutaj, puścisz z dymem cały magazyn i nas – mruknęła Alicja i dodała: – Twojego brata, Emila Lewina.

Usiadł na materacu i zaciągnął się mocno.

– Naprawdę Lewin to mój brat? Skąd wiesz? – zapytał Julian, bo to go zdruzgotało bardziej niż informacja, że Emil zajął jego miejsce w sercu Adrianny.

– Rozmawiałam z nim i z twoim ojcem... Emil cię nienawidzi – jęknęła Alicja, bo z jednej strony miała świadomość, że Julian powinien się o tym dowiedzieć, z drugiej wiedziała, że taka informacja może go zabołec.

– Dlaczego mnie? Co ja mu zrobiłem? – prychnął.

Alicja przytuliła się do Juliana i zaczęła spokojnie mówić, aby nieco złagodzić jego zdenerwowanie:

– Bo ty miałeś wszystko, a on wychowywał się w biedzie. Stary Ignacy był człowiekiem porwczym i nieraz Hanka z Emilem dostawali cięgi. Ona się wybiła, bo miała talent i urodę, a Emil? Musiał sypiać z tą obrzydliwą Heleną Ducret, żeby cokolwiek w Warszawie osiągnąć. Wszyscy w Chełmicach wiedzieli, że Emil kocha się w Adriannie, ale jakie miał szanse z tobą? Zerowe. Brudny, źle ubrany, niewykształcony i biedny niczym mysz kościelna. Patrzył tęsknym wzrokiem, jak jeździsz bryczkami albo na wierzchowcach, a panny mdleją na twój widok, w tym ta dla niego najważniejsza, Adrianna. Tak się rodzi gniew...

– Nie wiedziałem, naprawdę... A wiesz, jak to było z plotkami. Większość to były opowieści wyssane z palca. Miałem złe przeczucia, co do tego chłopaka, ale nie pomyślałbym, że można tak bardzo nienawidzić brata. Może kiedyś zbliżymy się do siebie i wyjaśnimy sobie wiele spraw. Ma teraz Adriannę i jedyne, co mogę zrobić, to życzyć im wszystkiego najlepszego – wydukał Julian, wciąż oszołomiony usłyszczanymi informacjami.

– Myślę, Julianie, że to będzie trudniejsze, niż ci się wydaje, a Emil nie okaże się tak wspaniałomyślny, jak ty – westchnęła.

– Boże... Nie ma mnie w kraju od kilkunastu miesięcy, a zdążyłem stracić narzeczoną i zyskać brata, który jest moim wrogiem – powiedział cicho.

Tej nocy kochali się jeszcze kilkukrotnie, jakby chcieli nadrobić stracony czas, pełen wątpliwości i niepewności. Julian Chełmicki otworzył drzwi, przez które tak bardzo bał się wejść przez ostatnie lata, i zrozumiał, że są takie uczucia, przed którymi nie da się uciec, nawet jeśli bardzo się tego pragnie.

A przede wszystkim czuł, że Alicja obdarzyła go miłością, jakiej nigdy wcześniej nie zaznał. Taką, która jest w stanie pokonać każdą przeszkodę.

## 20. Warszawa, 1940

Szlaban getta był symbolem innego świata, którego granicę miał zamiar przekroczyć Emil. Był słoneczny, ale bardzo chłodny poranek. Po drugiej stronie rogatek lawina ludzi jakby w zwolnionym tempie przesuwiała się po brukowanej, szerokiej ulicy. Niektórzy chuchali w zmarznięte dłonie, wydobywając z ust kłęby pary, jakaś stara kobieta, okutana w wełnianą chustę, wyciągała drżącą dłoń w prośbie o jałmużnę, młody chłopak leżał skulony pod ścianą budynku, chcąc osłonić się przed ciężkimi butami żołnierza, który z zaciętością go kopał.

Lewin miał na sobie robocze ubranie i beret, a przez ramię miał przewieszoną torbę z narzędziami. Dawno nie czuł takiego strachu jak w momencie, gdy zbliżał się do stojącego przy bramie strażnika. Jeśli kiedykolwiek wyobrażał sobie piekło, to powinno ono właśnie tak wyglądać, ten szlaban i miejsce, na które patrzył i z którego się nie wraca. W tej chwili już całkowicie odizolowane, wypełnione nadmiarem ludzi. Żydów. Pejsaków – jak to kiedyś pogardliwie o nich mówił Emil. Nie lubił ich i uważał, że są cwaniakami, skąpcami i jedzą obrzydliwe rzeczy, których nie tknął nawet, gdy jadał bardzo skromnie. Jego poglądy podzielało mnóstwo Polaków, chociaż w dzieciństwie nikt na podobne podziały nie zwracał uwagi. Jednak żaden człowiek, którego znał, nie myślał o tak drastycznych sposobach pozbycia się Żydów ze swojego otoczenia. Czym innym była antypatia i szyderstwa wypowiedane w zaciszu domowym, a czym innym traktowanie tych ludzi niczym zwierzęta. Przywodziło mu to na myśl ogród zoologiczny, gdzie ku uciesze gawiedzi zamykano ciekawe okazy. A przecież Żydzi byli ludźmi. Czuli, mówili i pracowali. Zamykanie ich w tragicznych warunkach, upychając byle jak, byle więcej się ich zmieściło, zakrawało, nawet dla takiego antysemity jak Lewin, na barbarzyństwo. Zdarzały się także pomyłki i trafiali tam ludzie, którzy z narodem wybranym niewiele lub nic nie mieli wspólnego. Lewin obawiał się, że choć planował wejść tam tylko na kilka godzin, może z owego miejsca już nie powrócić. Pomyślał, że byłaby to czysta ironia losu, gdyby musiał odtąd żyć wśród ludzi, którymi niegdyś pogardzał, i być zdany na ich łaskę i niełaskę. A ponieważ ten naród zawsze trzymał się razem, raczej na niełaskę dla zbłąkanego Polaka.

– Co masz w torbie? – warknął żołnierz, gdy już skończył studiować przepustkę Emila.

– No co mam mieć? Klucze, taśmę, kolanko. Mówili, że im w administracji głównem załatuje – usiłował żartować Lewin, żeby pokryć swoje zdenerwowanie.

– Pewnie to nie z rur, tylko od tego była żydowskiego głównem jedzie. – Strażnik zarechotał i podniósł szlaban.

Lewin przeszedł, najpewniejszym krokiem, na jaki się zdobył, miarowo i szybko, byle jak najszybciej oddalić się od szlabanu i budek strażników. Gdy tylko wmieszał się w tłum, zaczął gorączkowo się rozglądać. Nie miał pojęcia, czy w tym potoku ludzi odnajdzie „Szalika”, czyli Jakuba Mosela. Wiedział, że ma zbyt mało czasu, aby czekać, aż ten się pojawi na głównej ulicy. Podszedł do grupki młodych mężczyzn, którzy gwarzyli sobie beztrósco. Zapewne byli tu od niedawna i życie w getcie nie dość mocno dało im w kość.

– Dzień dobry – zagadnął Emil. – Szukam „Szalika”.

Młodzi mężczyźni zamilkli i popatrzyli na Lewina. Jeden z nich, o ciemnych oczach i krótkiej bródce, powiedział:

– Stara Blumowa dzierga, nawet niedrogo bierze. W tamtej bramie z reguły siedzi. – Wskazał ręką jasnozieloną kamienicę.

Lewin pokręcił głową.

– Człowieka szukam. Mówią na niego „Czerwony Szalik”, bo ciągle w nim chodzi. To moja rodzina.

– A jak się nazywa? – zapytał podejrzliwie drugi z chłopaków.

– Mosel, Jakub Mosel – odpowiedział Emil, chociaż nie był pewien, czy Jakub z racji bycia na liście poszukiwanych wciąż posługuje się prawdziwymi personaliami.

– Moselów jakichś znam, ale tam nie ma nikogo takiego. Trzy pokolenia, ale z tych najmłodszych to są dwie dziewczuchy – mruknął ostatni z młodzieńców.

– A powiesz, gdzie ich znajdę? Do administracji wolę nie iść, bo wiecie... – zaczął się jąkać Lewin.

– Tamta brama, tam, gdzie ten stary się kiwa w kucki. W oficynie mieszkają, drugie wejście. Nie pamiętam, na którym piętrze, musisz zapytać kogoś – bąknął chłopak i dodał: – Ale jak masz dolary albo złoto, chętnie odkupię.

– Nie mam, tylko listy od rodziny i trochę „górali”. – Emil puścił do nich oko i ruszył ku wskazanej bramie.

Minął kiwającego się starca, ubranego w chałat, i wszedł na podwórze. Wszędzie piętrzyły się śmieci, a na parapetach otwartych okien mimo panującego chłodu wietrzyły się kołdry i poduszki. Wszedł do sieni i ruszył schodami, mijając po drodze bawiące się dzieci. Małe dziewczynki rozłożyły brudne kocyki i układały na nich swoje lalki, a chłopcy zjeżdżali po schodach na starym, zjedzonym przez mole dywaniku.

– Moselów szukam – powiedział do grupki dziewczynek siedzących na półpiętrze.

Jedna z nich wskazała mu drzwi. Zapukał niezbyt głośno, nie chcąc wystraszyć mieszkańców. Otworzył mu stary Samuel, niegdyś właściciel sklepu z porcelaną w Chełmicach, dziadek Jakuba. Był wymizerowany, a w jego starczych oczach czaiła się panika. Nie rozpoznał Emila Lewina, w końcu ten opuścił Chełmice wiele lat temu, więc zapytał czujnie:

– Pan do kogo?

– Dzień dobry, panie Mosel, pewnie mnie pan nie pamięta... Jestem Emil, syn Ignacego Lewina. Kaleki spod Chełmic – powiedział gromko Emil.

– Co tak krzyczysz, stary może jestem, ale nie głuchy. A co ty tu robisz? – zapytał niezbyt uprzejmie.

– Jakuba szukam – powiedział cicho.

– Nie wiem, gdzie jest Jakub – warknął stary i uciekł wzrokiem w bok, co dało Emilowi sygnał, że doskonale wie, gdzie przebywa jego wnuk.

– Mogę wejść?

Samuel Mosel otworzył szerzej drzwi i wpuścił Lewina do mieszkania. Było małe, zaledwie dwa niewielkie pokoiki, w których gnieździło się osiem osób. Cztery pokolenia Moselów, bo jedna z ich córek, Debora, trzymała na rękach małego chłopczyka. Wszyscy patrzyli na Lewina jak na zjawę, bo nie wiedzieli, skąd wziął się w getcie i po co do nich przybywa.

– Naprawy tu robię, w administracji. Pomyślałem, że odwiedzę starych znajomych z Chełmic. No, najlepiej znałem Jakuba, ale podobno jego tutaj nie ma – zaczął tłumaczyć się Emil, przybierając beztroski ton, jakby w istocie znali się dobrze. Wyciągnął z kieszeni zwitek banknotów.

– Proszę. – Wyciągnął dłoń w kierunku Debory, która najzyczliwiej na niego spoglądała. – Na pewno się wam przydadzą.

– Nie jesteśmy żebrakami, Lewin – obruszył się stary Mosel. – Muszą nas w końcu stąd zabrać,

bo przecież nie da się tak żyć. Ciasnota, jedzenia tylko tyle, żeby nie zemrzeć, a jak kto chce co więcej i lepiej zjeść, to musi fortunę zapłacić. Ostatnio Anne oddała pierścionek z rubinem za kilogram szpon-dra.

– Sam pan widzi, panie Mosel, to tak jakbym darował wam kilka bochenków chleba, prawda? Proszę przyjąć te pieniądze i gdyby Jakub się pojawił, proszę mu przekazać, że go szukam, bo mam do niego ważną sprawę. Postaram się tutaj zjawić w przyszłym tygodniu – spokojnie powiedział Emil.

– Mówiłem ci, że nie wiemy, gdzie jest Jakub – mruknął Samuel. – A za datek dziękujemy. Jak wojna się skończy i się trochę odkujemy, na pewno ci wszystko oddamy.

Emil machnął od niechcienia ręką i opuścił mieszkanie Moselów. Nie wrócił jednak na ulicę, tylko skrył się w cieniu wejścia do sąsiedniej klatki. Przeczucie go nie myliło i kilka minut później ujrzał młodszą z sióstr Jakuba Mosela, kilkunastoletnią Sarę. Wybiegła przez bramę i wbiegła w tłum na głównej ulicy. Emil podążył za nią, domyślając się, że poszła poszukać swojego brata. Wkrótce weszła do sieni jednej z kamienic i zniknęła za drzwiami mieszkania na parterze. Po kilkunastu minutach opuściła je, ale Lewin pozostał na miejscu, czekając na Jakuba. Po chwili wyszedł Mosel i w istocie miał na szyi przewiązany czerwony szalik. „Bolszewicka świnią” – pomyślał ze złością Emil.

– Jakub? – zagadnął Lewin.

Mosel odwrócił się gwałtownie i spojrzał na Emila, wystraszony.

– Nie obawiaj się, przyszedłem, bo potrzebuję twojej pomocy – zaczął grzecznie Lewin.

– A co ja mogę, człowieku? Nie widzisz, co tutaj się dzieje? – Mosel odetchnął z ulgą.

Emil zbliżył się do Jakuba i powiedział cicho:

– Wiem, że masz kontakt ze swoimi towarzyszami za murami getta.

– I co? Chcesz mnie wydać czy szantażować?

– Posłuchaj, idioto! – zdenerwował się Emil. – Moja siostra, Hanka, pomagała wam. A teraz siedzi na Pawiaku. Już długo i bardzo się o nią martwię. Pomóżcie mi ją stamtąd wyciągnąć. Ten twój rosyjski koleżka na pewno ma jakieś możliwości, broń, ludzi... Musicie ją odbić. Musicie ją stamtąd wyciągnąć. Słyszysz, Mosel?!

– Nie mogę ci pomóc. Nie będę narażał naszej siatki dla jednej kobiety – burknął.

– Pomagała wam... pomagała wam... – niczym mantrę powtarzał Emil.

– Nikt jej nie kazał.

Ostatnie zdanie rozwścieczyło Lewina. Nie był bez winy, w końcu Hanka za jego sprawą znalazła się w więzieniu, ale on chociaż starał się naprawić swój błąd i wyciągnąć ją stamtąd, a tymczasem ten „pejsak”, w którym Hanka kochała się nieprzytomnie przez niemal pół życia, prychał, jakby chodziło o załatwienie tony węgla. Przycisnął Mosela do ściany i zadzierzgnął na jego szyi ów sławetny czerwony szaliczek, buńczuczną manifestację poglądów. Jakub zaczął się wyrywać i szarpać, ale Emil z całej siły wymierzył mu kolaniem kopniaka w przyrodzenie. Mosel skulił się z bólu, a Lewin w dzikim szale coraz mocniej zaciskał szalik na jego szyi. Jakub zaczął charczeć i z trudem łapał powietrze, dopóki jego zaczerwieniona twarz nie zamieniła się w nieruchomą maskę. Ciało Mosela zwiotczało i osunęło się na posadzkę klatki. Emil sprawdził, czy doprowadził drania do kresu jego życia, po czym przeciągnął w stronę drzwi od piwnicy. Otworzył je i kopniakiem wrzucił ciało Jakuba w czeluść schodów. Wyszedł z sieni i ruszył w stronę szlabanu.

Nie żałował Mosela, ta śmierć wydała mu się jedyną sprawiedliwą zemstą za obojętność wobec losów jego siostry. Dochodząc do strażniczych budek, obejrzał się jeszcze, by popatrzeć na miejsce, gdzie gasną resztki człowieczeństwa. Czuł gniew. Taki sam jak wówczas, gdy jego prawdziwy ojciec po-

traktował go jak psa i gdy Adrianna Daleszyńska wyśmiała jego zaloty. A gdy w Emilu Lewinie rodził się gniew, nic i nikt nie było w stanie go poskromić.

\*\*\*

W warszawskim mieszkaniu von Lossowa roznosił się zapach olejku waniliowego i świeżo upieczonego ciasta. Adrianna miała nadzieję, że tym razem jej wysiłki nie pójdą na marne. Walter okazał daleko idącą pomoc, zarejestrował ją nawet jako swoją gosposię, ale wciąż pozostawał obojętny na jej wdzięki. Gdy tylko zbliżała się do niego, chcąc jakimś czułym gestem wzbudzić w nim pożądanie, odsuwał się od niej, niczym rażony prądem. Dla niego układ był jasny: Adrianna była nietykalna, bo mimo że Walter lubił się zabawiać z kobietami, ta akurat należała do jego przyjaciela. Pomógł jej, bo tak należało uczynić, ale, prawdę powiedziawszy, jej pierwsze obiady nadawały się jedynie do kubła z odpadkami. Z czasem zaczęła pobierać nauki u sąsiadki, pani Ostrowskiej, i po kilku tygodniach radziła już sobie w kuchni całkiem dobrze. Ona także byłaby zadowolona, gdyby nie jeden szczegół, który spędzał jej sen z powiek: jej brzusek robił się okrągłejszy i wkrótce każdy, kto na nią spojrzy, będzie wiedział, że jest w ciąży. Plan, żeby w owe nienarodzone dziecko wrobić von Lossowa, spalił na panewce, a po pięciu miesiącach, nawet jeśli doszłoby do czegoś między nimi, trudno byłoby mu wmówić, że jest sprawcą tej ciąży. Nie mogła zbyt nachalnie ciągnąć go do łóżka, bo obawiała się, że sympatia do Juliana okaże się silniejsza niż chęć przespania się z jego narzeczoną. Coś jednak będzie musiała powiedzieć von Lossowowi i nawet wpadła na pomysł, jak wybrnąć z tej nieszczęsnej sytuacji.

– Piękne zapachy, aż czuć na klatce – powiedział ze śmiechem Walter, stając w drzwiach małej kuchenki. – Od razu widać postępy w gotowaniu, robisz się coraz bardziej okrągłutka.

Adrianna odłożyła trzymany w dłoni talerzyk i z płaczem wybiegła do pokoju.

– E... No nie chciałem powiedzieć, że jesteś za gruba. Wyglądasz wciąż bardzo pięknie – zaczął płatać się Walter.

– Nic nie rozumiesz... – powiedziała, łkając. – Nie jestem okrągłutka, bo za dużo jem, tylko jestem w ciąży.

Von Lossow usiadł w fotelu i przez chwilę milczał. Nie miał obaw, że on jest sprawcą brzemienności panny Daleszyńskiej, ale wiedział, że Julian, jego przyjaciel, a jej narzeczony, także.

– Zdradziłaś mojego przyjaciela? – zapytał spokojnie i bez specjalnej złości. Spotkał w swoim życiu wiele porządnych panienek i szczęśliwych mężatek, którym zdarzało się ulec urokowi przypadkowych mężczyzn. Dlatego więc panna Adrianna miałaby być inna, jeśli od ponad roku nie widziała swojego narzeczonego?

– Nie zdradziłam – powiedziała smutno i dodała, żeby wzbudzić w Walterze litość i jednocześnie wyrzuty sumienia: – To twoi koledzy, niemieccy żołdacy, mnie zgwałcili. To dla mnie było okropne przeżycie, więc nie będę o nim opowiadać, ale to było straszne...

– Przykro mi... – wykrztusił. – Znałaś kogoś z tych typów?

– Nie, nie znałam ich... Wracałam któregoś dnia do domu i spodobałam im się. Wciągnęli mnie do ciężarówki, z tyłu, na pakę, i robili ze mną, co tylko chcieli... Przepraszam, nie mogę o tym mówić... – załkała.

Do pokoju wdarło się niezręczne milczenie. Po kilku minutach Walter powiedział coś, co kompletnie nie przystawało do planu Adrianny.

– Jak tylko urodzisz, dziecko pojedzie do Rzeszy. Nie martw się, nie będziesz musiała zajmować

się niemieckim bękartem.

– Ale to także moje dziecko – jęknęła.

– I nie Juliana. Jak masz zamiar to pogodzić? Co on poczuje, gdy się dowie? Nie możesz mu tego zrobić – spokojnie tłumaczył Walter.

W istocie, gdyby padła ofiarą gwałtu okrutnych niemieckich żołnierzy, rozwiązanie byłoby wprost dla niej idealne, ale ona nosiła pod sercem dziecko mężczyzny, którego kochała do szaleństwa. I pragnęła zachować przy sobie chociaż jakąś jego część. Poza tym wciąż łudziła się, że Emil zmądrzeje, przemyśli sobie wszystko i wróci, aby stworzyć z nią rodzinę. Postanowiła jednak, że tego typu rozterki zostawi sobie na później, by jak najdłużej korzystać z hojności von Lossowa.

Zjedli ciasto, wypili herbatę i Walter puścił gramofon, żeby nieco rozweselić swoją towarzyszkę, która według niego musiała w tym momencie przechodzić prawdziwe piekło. Aby odciągnąć jej myśli od tragicznych wspomnień, postanowił więc zmienić temat, nie wiedząc nawet, że wybrał najgorszy z możliwych.

– Znałaś Emila Lewina? – zapytał zupełnie niewinnie.

– Kogo? – wyrwało się Adriannie i aż łyżeczka wypadła jej z rąk ze zdenerwowania.

– Emila Lewina z Chełmic. Podobno kochał się w tobie na zabój.

Przełknęła ślinę i policzyła w myślach do dziesięciu, by uspokoić nerwy.

– Nie on jeden... Ale jakoś go nie pamiętam – mruknęła, niby od niechcienia. – A co ci nagle przyszło do głowy?

– Byłem ostatnio u Antoniego. Podobno ten Lewin to niezły szubrawiec i chce zrobić krzywdę Julianowi. Chyba dlatego, że wołałaś Chełmickiego, a nie jego. Muszę sprawdzić tego człowieka, może w istocie to jakiś zraniony przez ciebie kawaler.

– Wielu się we mnie podkochiwało... – bąknęła. – Ale nie pamiętam żadnego, który chciałby zrobić krzywdę Julianowi...

– Ten podobno zije do niego nienawiścią. Ale nie martw się, moja droga, nie pozwolę, żeby jakiś chłystek nastawał na mojego przyjaciela. Naślę na niego gestapo i jak posiedzi trochę na Pawiaku, odechce mu się podobnych pomysłów – ugodowo dodał von Lossow.

Alicja wpadła w panikę. Mimo że Emil potraktował ją w straszny sposób, nie życzyła mu aż tak źle. W ogóle nie potrafiła życzyć mu źle. Nie bardzo wiedząc, co zrobić, postanowiła wywołać awanturę.

– Ani się waż, Walter! Nie wiesz, co robią z Polakami na Pawiaku? Jesteś ślepy czy głuchy? Nie chcę, żeby kolejny rodak stracił życie, bo staremu Chełmickiemu ubzdurało się, że ktoś nie lubi jego jedynaka. Może i mają jakieś zaszłości czy zatargi, ale jeśli pójdziesz z tym na gestapo, zniszczą temu człowiekowi życie! – wykrzyczała Adrianna, w desperacji próbując odwieść Waltera od podobnego pomysłu.

Ten patrzył na nią oszołomiony.

– Nie jestem potworem, Adrianno. Chociaż jestem Niemcem. Chciałem jedynie nastraszyć tego całego Lewina, żeby utrząść mu nosa. W porządku, już dobrze, ale jak wróci Julian i ten gnojek zrobi mu jakąś krzywdę, obciąży to twoje sumienie.

– Mam tego świadomość – powiedziała cicho i zamyśliła się.

Miała dobrą okazję, żeby odegrać się na podłym kochanku, zwłaszcza po tym, co usłyszała. Emil Lewin chciał się zemścić na Julianie za to, że była jego narzeczoną. Ale przecież kochał się w niej, a ona była z nim w sposób, w jaki nigdy nie była z Chełmickim i darzyła go uczuciem, jakiego Julian nigdy od niej nie zaznał... Dlaczego więc oddawał ją niczym dziwkę innym mężczyznom, dlaczego w końcu wy-



rzucił z domu, jak psa? Nie potrafiła tego zrozumieć. Miała jednak nadzieję, że jeśli i on ją kochał równie mocno, co ona jego, mimo wszystko jest dla nich nadzieja. Była gotowa na przebaczenie...

## 21. Sztokholm, 1940

Sztokholm przywitał Łyszkina zimnymi podmuchami wiatru i ciemnymi chmurami zbierającymi się nad miastem. Ale mimo niesprzyjającej aury wyczuwało się w tym miejscu jakiś spokój. W porównaniu z Warszawą albo z Moskwą Sztokholm był niczym kurort po sezonie. A może sprawiły to ludzkie twarze? Uśmiechnięte, bez wyrysowanego napięcia, po prostu pełne spokojnych spojrzeń. Igor pomyślał, że niewiele będzie miał tutaj do roboty. Z jednej strony mogło się to wydawać nagrodą, z drugiej – jak się jest szanowanym i docenianym asem wywiadu, dostaje się rezydentury w najbardziej niespokojnych miejscach.

Podniósł kołnierz płaszcza i ruszył w stronę Gamlastan, gdzie przy Nygränd mieściła się mała agencja turystyczna. W rzeczywistości była ona przykrywką dla GRU i szwedzkich komunistów. Działali sobie spokojnie, przez nikogo nie niepokojeni, być może z powodu zwyczajowej powściągliwości Szwedów. Agencja mieściła się w podwórku jednej z zabytkowych kamieniczek i zajmowała trzy niewielkie pomieszczenia, które służyły rosyjskim szpiegom jako biuro i mieszkanie. Z reguły było ich dwóch, więc nie potrzebowali zbyt wiele miejsca do życia.

Wszedł do środka i podał hasło. Jeden z siedzących mężczyzn uśmiechnął się i wyciągnął rękę w kierunku Łyszkina.

– Oczekiwaliśmy was. Mów mi Wasyl, a to jest Iwan. Gdyby ktoś pytał, Iwan Maleszchnikow, a o mnie pytać nie będą, bo jutro o świcie wyruszam na nową placówkę – westchnął człowiek o pseudonimie „Wasyl”. – Masz, chłopie, szczęście, tutaj cisza i spokój, a ja, bracie, mam tę cholerną Warszawę.

– Jedziesz do Warszawy? – zapytał Igor.

– Tak... Nie mogę, rzecz jasna, zdradzać szczegółów, ale właśnie tam, *bladź twoju mać*.

Łyszkin uśmiechnął się. Wszyscy agenci bali się Warszawy, bo nie mogli za bardzo liczyć na wsparcie Polaków, a komunistów była tam zaledwie garstka. Poza tym w każdym okupowanym kraju największą bolączką była łączność. Niemcy znaleźli sposób, by lokalizować radiostacje co do metra. Kontrwywiad niemiecki wykorzystywał anteny kierunkowe, wyłapując sygnał radiowy. Trzy samochody wyposażone w takie anteny patrołowały ulice, tworząc siatkę triangulacyjną i określając położenie nadajników. Kiepskiej zresztą jakości, bo ich sygnały ledwo docierały do Moskwy.

– Posłuchaj, Wasyl, wiem, że zostali nam jedynie kurierzy, ale czy mógłbyś coś dla mnie zrobić, będąc w Warszawie? – zapytał Igor.

– Mógłbym... dobrze powiedziane, polska *swolocz*.

– Hanka Lewin-Niechowska, mieszkała w wiejskim domu moich rodziców w Bocianowie, kilkadziesiąt kilometrów za Warszawą, niedawno urodziła córkę. Muszę się dowiedzieć, czy wszystko z nią w porządku. Prześlij szyfrogram przez kuriera. Niech hasłem będzie „Pieśniarka” – powiedział Łyszkin.

– Nasza? – zapytał Wasyl.

– Tak, uratowała mi życie... – skłamał Igor, chcąc zachęcić kolegę do jej odszukania.

– Dobrze, towarzyszu, postaram się – powiedział z uśmiechem Wasyl i poszedł pakować rzeczy, aby zrobić miejsce dla swojego następcy.

Następnego dnia siedzieli z Iwanem w biurze i nudzili się niemiłosiernie. Nie mogli opuścić posterunku, bo czekali na kuriera przewożącego informacje do szwedzkiego Ministerstwa Wojny. Mężczyzna, Szwed w sile wieku, był zaufanym człowiekiem ministra i zagorzałym wyznawcą komunizmu. Nie-

mał każdego dnia wsiadał na swój stary rower i wiozł rozmaite dokumenty do ministerstwa. Do ramy jego roweru przytwierdzona była specjalna tablica rejestracyjna, informująca, że jego misja jest urzędowa, i dzięki temu żaden patrol policyjny nie ośmielił się go zatrzymać. Po kilku minutach Jens wjeżdżał na ciche podwórko, wyciągał z torby zwykłą tablicę miejską i przytwierdzał do roweru, zamiast tej urzędowej. Ile sił w nogach podążał do agencji turystycznej i tam przekazywał dokumenty. Iwan i Igor fotografowali je, po czym pakowali w nowe koperty i oddawali Jensowi. Ten znowu zmieniał tablicę rejestracyjną i bez przeszkód udawał się w miejsce przeznaczenia.

Któregoś dnia Igor pochylił się nad jednym z dokumentów.

– O cholera! Ty, Iwan, zobacz, Szwedzi złamali szyfry Niemców. I podsłuchują ich na całego...

Iwan pochylił się nad dokumentami.

– Dobrzy są... – mruknął. – Pakuj to, trzeba wysłać naszym. Może się okazać, że to my pierwsi poznamy plany Hitlera i Golikow obsypie nas medalami.

– Nie wierzyłbym w taki cud. – Roześmiał się.

Kolejne wiadomości płynące do Ministerstwa Wojny czytali z wypiekami na twarzach i wiedzieli już, że atak Hitlera może nastąpić w każdej chwili.

Któregoś dnia ich zwyczajowy rytm pracy zepsuło Igorowi pewne wydarzenie i nie miało nic wspólnego z planami ataku Hitlera na Związek Radziecki. Łyszkin otrzymał kartkę z Leningradu. Przedstawiała Pałac Zimowy w całej jego okazałości i krasie. Z tyłu zaś były pozdrowienia od ciotki Nataszy. Igor szybko zabrał się za rozszyfrowanie ukrytej treści, smarując kartkę specjalnym środkiem. To, co ukazało się pod niewinnymi pozdrowieniami, zmroziło go: „Pieśniarka wpadła. Jest w więzieniu od wielu tygodni. Brak kontaktu. Dziecko zniknęło. Rodzice zdrowi”. Łyszkin wyciągnął z kieszeni zapalniczkę i podpałił pocztówkę. Trzymał ją w dłoni tak długo, aż ogień zaczął parzyć mu palce. Ale Igor nie czuł fizycznego bólu, choć chciał go poczuć, żeby ten zastąpił ogromne cierpienie, jakie właśnie powstało w jego duszy. Z trudem hamował łzy, był przekonany, że nigdy więcej nie zobaczy swojej Haneczki, największej miłości jego życia.

W pewnej chwili poczuł na palcach silne pieczenie i wypuścił nadpaloną kartkę. Zacisnął pięść i nagle niczym fala opanował go gniew. Tak potężny, że byłby w stanie nawet stracić życie, gdyby tylko mógł uratować Hankę. Martwił się też o maleńką Nadię, chociaż nie była jego córką, ale postanowił, że pewnego dnia odnajdzie to dziecko i zaopiekuje się nim, bo tylko tyle był w stanie zrobić dla swojej ukochanej. Gdy ów gniew opanował go całego i czuł, że zaraz wybuchnie, pomyślał, że zamorduje każdego Niemca, jakiego spotka na swojej drodze.

Bez słowa opuścił biuro i poszedł na plażę, która o tej porze roku świeciła pustkami. Ryknął, niczym zranione zwierzę, by wyrzucić z siebie rozpacz. Poczuł się trochę lepiej, gdy wydobył na zewnątrz ból utraty Hanki, jedynie gniew pozostał wciąż taki sam.

## 22. Warszawa, 1940

Powtarzalność codziennych zajęć, brzydota pomieszczeń i głód nie doskwierały Hance tak bardzo, jak strach i tęsknota. Nie potrafiła przywyknąć do myśli, że jej córeczki nie ma przy niej. Rutyna oraz ciągle patrzeć na egzekucje i pobite więźniarki sprawiły, że Lewinówna podchodziła do tych spraw jak do innych nieodzownych elementów więziennej egzystencji. Jedyne na przesyłane grypsy rzucała się z nadzieją, ale z czasem i na to przestała czekać, jakby przeczuwając, że niczego tam nie znajdzie. Popadała niekiedy w apatię, gdzie nawet nie było lęków i obaw, jak gdyby ktoś pozbawił ją duszy i wszelkiego odczuwania. Myśli o śmierci były kojącą odtrutką, jakby pozbyła się złudzeń, a nadzieja wydała ostatnie tchnienie. Wpatrzona tępo w brudną ścianę, zastanawiała się nad możliwością odebrania sobie życia. Nie chciała jednak cierpieć i czuć bólu, pragnęła spokojnego odejścia z tego świata. Miała wrażenie, że nic jej już nie trzyma na tym ziemskim padole, a swojej córeczki zapewne już nigdy nie zobaczy.

Odwróciła się i poprosiła Bogusię, więźniarkę, która była z nią w celi od samego początku, żeby przy niej usiadła.

– Wiem, że dostajesz grypsy zza murów – szepnęła do niej. – I sama też nadajesz.

Bogusia milczała.

– Posłuchaj... – Hanka złapała ją za rękę. – Pomóż mi.

– Na Boga, Hanka, jak mogę ci pomóc, jeśli jestem w takiej samej sytuacji, co ty? – powiedziała równie cicho.

– Możesz. Proszę, prześlij wiadomość, że potrzebuję trucizny. Najlepiej cyjanku. Odrobinę, byle tylko zadziałał – wyszeptwała błagalnie.

– Oszalałaś? Dla kogo?

– Dla mnie... – Hanka spuściła głowę, jakby wstydząc się swojej decyzji. – Tak, wiem, jestem tchórzem, ale nie wytrzymam tutaj dłużej, a nie ma żadnej nadziei na to, że wyjdę.

Bogusia patrzyła na Hankę ze współczuciem. Rozumiała ją doskonale. Ona też miała taki moment, że śmierć wydawała się jedynym rozwiązaniem. Zwłaszcza na początku, gdy powracała ze spotkania ze Schwartzem. Miała wtedy wrażenie, że nie ma takiego miejsca na swoim ciele, które nie doznałoby obrażeń. Kiedy traciła przytomność, czuła, jakby odpływała w nicość, ale było jej dobrze, bo przez moment znikał ból, dopóki zimna woda, wylewana z kubła wprost na jej twarz, nie przywracała jej świadomości. Teraz było już lepiej, bo zostawiono ją w spokoju. Pewnie dlatego, że niebawem miała zostać przewieziona do obozu. A tam czekała ją kolejna niewiadoma. Jednak samobójcze myśli minęły i teraz po prostu chciała żyć.

– Hania, wiem, że jest ci ciężko, ale wytrzymaj... Dopóki żyjesz, jest nadzieja, że stąd wyjdiesz, że zobaczysz córkę albo ukochanego. Jeśli umrzesz, w taki czy inny sposób, już tego nie cofniesz, już nie będzie nadziei – mówiła spokojnie Bogusia.

– Po prostu zrób to dla mnie. Twoje słowa otuchy, piękne i szlachetne, już na mnie nie działają – burknęła nieprzyjemnym tonem Hanka.

– Nie zrobię tego. Nie przyłożę ręki do twojej śmierci. – Wyrwała rękę z uścisku Hanki.

– To znajdę inny sposób, bądź pewna – mruknęła Hanka i na powrót odwróciła się w stronę szarej, brudnej ściany.

Postanowiła, że znajdzie metodę, aby pozbawić się życia. Zaczęła zgłaszać się do pracy w pralni, w ogrodzie, szukając czegoś, co będzie mogła połknąć albo okaleczyć się. Wyznaczyła sobie termin jed-

nego miesiąca i jeśli w tym czasie nie uda jej się skutecznie popełnić samobójstwa, po prostu napadnie na którąś ze strażniczek i zabije ją lub spróbuje ucieczki, a to mogło zakończyć się tylko jednym – karą śmierci. Była opętana wizją pożegnania się z tym światem i ani myśli o Nadii, ani o Igorze nie były w stanie zmienić jej nastawienia. To było jej życie i chciała sama zdecydować, kiedy je zakończy. Narastał w niej gniew, że inni mogli to zrobić jednym rozkazem, jednym strzałem, a ona nie mogła. Było to dla niej najgorszą formą zniewolenia, gdy to inni mają w rękach twoje życie i żonglują nim według własnych życzeń. Tak po okresie złudzeń, a potem apatii nadszedł moment wściekłości. Hanka była zdecydowana i zdeterminowana, a gniew rodzący się w jej duszy dodawał jej siły.

## 23. New Forest, 1941

Zajęcia prowadzone w New Forest były dla Alicji niezmiernie ciekawym doświadczeniem. Chłoneła wszystko niczym gąbka, chcąc być coraz lepszą i zdobyć jak najszerszą wiedzę. Skrzydeł dodawała jej miłość, która nareszcie się spełniła. Mimo że mieli z Julianem niewiele czasu dla siebie, wystarczyła jej myśl, że kocha i jest kochana.

Do zamku Beaulieu przyjeżdżali dziwni osobnicy, niekiedy w kajdankach, które rozkuwano im na czas zajęć. Byli to najlepsi włamywacze i fałszerze. Na stole leżały drzwi wyposażone we wszystkie najbardziej znane modele zamków, a stary kryminalista instruował kursantów, jak je otwierać i jak dobierać wytrychy. Z lekarskim stetoskopem wsłuchiwali się w zamknięte sejfy, by wyczuć delikatny dźwięk, który pozwoli im dostać się do wnętrza. Inny specjalista w swoim fachu, znany fałszerz, pokazywał im, jak podrabiać dokumenty i sprawić, żeby były podobne do oryginału. Całymi godzinami ćwiczyli kaligrafię, pisali bezustannie nazwiska, by każda litera była idealnie skopiowana. Alicja nie lubiła tego zajęcia, bo kojarzyło jej się z szyciem w warsztacie dziadka, a żmudne czynności, wymagające precyzji i ślęczenia w jednym miejscu, odstręczały ją. Dużo ciekawsze wydawały jej się te, które prowadzone były poza zamkiem. Jeździli do Londynu, gdzie uczyli się gubić ogony, korzystać dyskretnie z budek telefonicznych i zostawiać w nich wiadomości. Nawet techniki cichego zabijania wydawały jej się bardziej pasjonujące, chociaż wiedziała już, jakim obciążeniem psychicznym jest zabicie człowieka. Mogła podejrznać gardło Marcelowi, a jednak nie była w stanie tego uczynić, chociaż wbicie mu noża prosto w serce też nie było niczym przyjemnym.

Najwięcej jednak adrenaliny wywołały w niej nocne skoki spadochronowe. Gdy rzucała się w czarną czeluść, czuła jedynie podniecenie, swoisty smak wolności, jaki dawało swobodne spadanie. Lądowanie wychodziło jej zdecydowanie gorzej, bo nie jeden raz zawisła na drzewie albo boleśnie okaleczyła się o krzaki.

Nawet taki twardziel jak Julian Chelmsicki miał więcej oporów, gdy przyszło mu skakać. Ze wstydem musiał stwierdzić, że pierwsze pięć razy został po prostu wypchnięty z samolotu. Po kilkudziesięciu skokach jednak przywykł do tego i nie wydawało mu się to takie straszne. Wciąż czekał, aż będą mogli wrócić do ojczyzny i zrobić w końcu coś, co nie będzie jedynie szkoleniem. Przeszedł drastyczne sito rekrutacyjne i wiedział, że jeśli nadejdzie rozkaz, on znajdzie się w grupie, która poleci do Polski. Zastanawiał się, co będzie z Alicją. W końcu była kobietą i nie wyobrażał sobie, że będzie podkładać bomby w lokalach czy na torach kolejowych albo strzelać seriami z karabinu. Pod znakiem zapytania była także jej rola. Alicja nie chciała już pracować dla Brytyjczyków i za wszelką cenę pragnęła dołączyć do polskiej grupy. Czekala na przyjazd niejakiego majora Honeya, aby ustalić z nim warunki dalszej współpracy.

Tak, Alicja właśnie to zamierzała zrobić. Rozmówić się z Honeyem i raz na zawsze opuścić szeregi brytyjskiego wywiadu. Gdy tylko na teren ośrodka wjechał samochód z majorem, przebierała z nogi na nogę, aby jak najszybciej poprosić o spotkanie z nim. Jednak musiała czekać niemal cały dzień, aż Honey zaprosił ją na rozmowę.

– Majorze Honey, jakie zadania dla mnie wyznaczyliście? – zapytała hardo. – Przeszłam szkolenie z wynikiem celującym.

– Bardzo mnie to cieszy, Daisy. – Uśmiechnął się. – Jesteś zatem gotowa, aby powrócić do Warszawy i do Martina Grossa.

– Nie, panie majorze. Nie będę już kochanką Grossa – powiedziała stanowczo.

– To służba, a nie przyjęcie u cici. Musisz być gotowa do poświęceń.  
– Nie! Chcę wejść w struktury Polskiego Państwa Podziemnego i wykonywać ich rozkazy.  
– Julian Chełmicki dowie się... – zaczął Honey, ale Alicja mu przerwała.  
– Trudno. Niech się dowie, ale ja nie będę dłużej waszym zakładnikiem – warknęła.  
– Walczymy ze wspólnym wrogiem, Daisy. – Major starał się załagodzić sytuację.  
– I przetrącać ludziom kręgosłupy... – powiedziała cicho i podała kartkę majorowi. – To jest moja oficjalna rezygnacja ze współpracy, a kapitan Chełmicki dowie się ode mnie, co zrobiłam. I to on podejmie decyzję, czy mi wybaczy, a nie brytyjski wywiad. Żegnam.

Opuściła pokój i postanowiła, że rzeczywiście czeka ją przykra rozmowa z Julianem. Musiała to zrobić. Nawet jeśli nadal dawałaby się szantażować Brytyjczykom, Chełmicki, po wróciwszy do Warszawy, i tak dowiedziałby się o tym, że mieszkała z Grossem. Nie wiedziała również, jak zareagowałyby władza, dowiadując się, że jednocześnie służyła alianckiemu wywiadowi. Ale Julian był przede wszystkim Polakiem i jej mężczyzną. I powinien poznać pewne fakty z jej życia.

Złapała go po kolacji, gdy szedł po dziedzińcu, spocony po wieczornym treningu kondycyjnym. Zaciągnęła go na parkową ławkę, tę samą, na której siedzieli pierwszego dnia, i zaczęła mówić. Nie kryła niczego, intencji, jakie jej przyświecały również. Była szczerą do bólu. Julian zakrył twarz rękoma i powiedział cicho:

– Powiedz mi, że to kłamstwo... Alicja, nie z kimś takim... Proszę...  
– To niestety prawda, Julianie. Nie jestem z tego dumna, ale tak bardzo chciałam być blisko ciebie... – szepnęła błagalnie i próbowała wziąć jego dłoń, ale odepchnął ją i wstał z ławki.  
– Nie mogę, Alicjo. Po prostu nie mogę...  
– Kocham cię, proszę, wybac mi... – jęknęła, z trudem powstrzymując łzy.  
– Proszę, zostaw mnie. Nie potrafię... – Ruszył aleją w stronę dziedzińca.  
– Błagam, powiedz, że kiedyś mi wybaczysz... Za rok, za pięć... – łkała.

Przebyła tak długą drogę, by go odnaleźć, czekała całe lata, by usłyszeć, że ją kocha, posunęła się do haniebnego czynu, by zdobyć jego miłość... i straciła go w ciągu kilku minut. Jednak w jej sercu pozostała nadzieja, bo Julian także ją kochał. A jeśli tak, wszystko było możliwe. Miłość była prosta, jeśli kogoś kochasz, to czekasz, a jeśli uczucie jest prawdziwe, potrafisz wiele wybaczyć.

Chełmicki odszedł w cienisty zakątek ogrodu i przysiadł na dużym kamieniu. Bezwiednie patrzył na nieco zaniedbane, nieprzycięte iglaki, które zapewne wyglądały dostojnie, gdy ogrodnik państwa Montagu raz w tygodniu je pielęgnował. Ale ich naturalny wygląd odbiegał od ideału. Tak jak prawdziwe ludzkie oblicza, gdy zrzucają maski hipokryzji. I wtedy widać ich ułomność, słabość i podłość.

Tak wiele się zmieniło przez te kilkanaście miesięcy w życiu Juliana. I nie dlatego, że wybuchła wojna, która pozbawiła go ojczyzny, a jego narażała na utratę życia. Sytuacja zmusiła go, aby popatrzeć na świat i otaczających go ludzi innymi oczami. Nic nie było takie, jakie dotychczas zdawało się być. Otwierały się drzwi, których nigdy nie chciał otworzyć, i ukazały się sprawy, których widzieć nie chciał. Czuł, jakby dotychczas się oszukiwał i żył złudzeniami. Tak było wygodniej i bezpieczniej – żyć w świecie, który poukładał według swoich wyobrażeń. I nagle jakby we mgle zaczął rozpoznawać kontury i kształty, które tak bardzo nie przystawały do tego, co miał w sercu.

Czuł narastający w sobie gniew. Nawet nie wiedział, wobec kogo lub czego go kieruje. Wobec Alicji, że oddawała się naziście, by go zobaczyć, wobec Grossa, który wykorzystał młodą dziewczynę, a może wobec Augusta, który ją szantażował? Kim byli ludzie wokół niego? Emil, jego brat, który ział

nienawiścią, Adrianna rzucająca się w ramiona kochanka, ojciec wyrzekający się własnego syna i wreszcie Alicja... jego najukochańsza Alicja, której bezwzględna miłość do niego przysłoniła najwyższe wartości, jak honor i ojczyzna. Kim wreszcie był on sam?

Miał dwadzieścia sześć lat i zaczynał wszystko od początku. Żałował, że u podstaw tego nowego życia krył się gniew.

**KONIEC TOMU I**